

**Mirosław Chrzanowski**

**CZARNO-BIAŁA...**  
**i W KOLORZE**

# 1. CHEŁMSKA 21

Moja koleżanka z czasów studiów, Basia Gardowska, z którą pracowaliśmy w jednej redakcji, zapytała mnie, gdy piliśmy kawę w „stołówce sejmowej” (tak to się wówczas nazywała, obecnie wytworna restauracja) czy chciałbym zmienić pracę? Byłem zaskoczony pytaniem, więc po chwili namysłu odpowiedziałem, że musiałbym się zastanowić.

Wtedy dodała: Michał (mąż Basi, redaktor naczelny) ma zamiar zaproponować ci pracę na stanowisku swojego zastępcy w Polskiej Kronice Filmowej.

- Ile czasu potrzebujesz do namysłu?

- Dwa, trzy dni...

Praca w tygodniku „Rada Narodowa” nie dawała mi już satysfakcji. Pisywałem, więc do innych gazet, współpracowałem m.in. z „Polityką.” Zdawałem sobie sprawę z tego, że przejście do Polskiej Kroniki Filmowej na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego uniemożliwi mi współpracę z najlepszym tygodnikiem w socjalistycznej Europie. I trochę mi było tego żal.

Kierownik działu krajowego „Polityki” Józef Śmietański, gdy się go radziłem w sprawie zmiany redakcji, przedstawił mi wszystkie „za i przeciw” związane z pracą w kronice... Prawdopodobnie posłuchałbym jego rad, gdyż Śmietańskiego bardzo cenilem, a i on był zadowolony z moich artykułów, ale w kilka dni później dowiedziałem się, od niego z resztą, że wyjeżdża z Polski. Ta wiadomość przesądziła o decyzji. Powiedziałem Basi, że się zgadzam.

Po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że Michał Gardowski pewnie rozmyślił się i zrezygnował z propozycji, od rozmowy z jego żoną upłynęło, bowiem sporo czasu, a Basia nie wróciła już więcej do tego tematu. Aż tu pewnego dnia w stołówce sejmowej, dokąd

Michał przychodził czasami na obiad, powiedział mi po prostu, bym się zgłosił na Chełmską 21 pierwszego lipca 1969 roku i podjął pracę. Oto jak prozaicznie zaczęła się największa przygoda mojego życia!

Na Chełmskiej przyjęto mnie, jak każdego nowicjusza, z pewnym zaciekawieniem. Pani Jadwiga Zaiczek, utalentowana i sławna montażystka, wyciągnęła z kosza kawałek taśmy i objaśniła, do czego służy i co to jest emulsja, co miało świadczyć o jej dla mnie życzliwości. Nie wiedziała, bo i skąd, że moje zdjęcia już od lat ukazywały się w prasie, a w telewizji też kilka razy mignęło moje nazwisko. Przyznam, że byłem trochę rozczarowany, redakcja mieściła się w czterech pokojach, z „gabinetem” redaktora naczelnego włącznie, co nie odpowiadało sile oddziaływania Polskiej Kroniki Filmowej. Kończyliśmy właśnie pić z Michałem kawę, gdy do „gabinetu” wszedł wysoki, uśmiechnięty, przystojny pan, Zygmunt Kniaziolucki, dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych, jak go przedstawił Gardowski. Dyrektor przyjrzał mi się dokładnie, jak to się mówi „zlustrował mnie od stóp do głów” i orzekł, że nie wyglądam na rzeźnika, więc współpraca powinna nam się ułożyć. Uśmiechnąłem się, prawdopodobnie zakłopotany, bo nie wiedziałem, czy przyjąć jego słowa jako komplement czy impertynencję. Dyrektor długo nie zabawił, po jego wyjściu Michał dodał, że nie jest to nasz przełożony, ale trzeba go traktować poważnie, bo może, jeśli zechce utrudnić życie. Szefa prawdziwego zobaczysz za godzinę – poinformował.

Pojechaliśmy więc do „Białego Domu”, czyli do KC PZPR. Choć do partii należałem już dwadzieścia lat, w tym gmachu byłem po raz pierwszy. Najpierw biuro przepustek, potem windą na drugie piętro; i znaleźliśmy się w Wydziale Prasy, Radia i Telewizji KC. Tu stanąłem przed obliczem towarzysza Jana Symonika. Sprawiał on wrażenie człowieka surowego i wymagającego. Teraz, gdy o tym piszę, myślę, że moje pierwsze wrażenia okazały się trafne, wspomnę tylko jeszcze, że ludzi oceniał sprawiedliwie i traktował życzliwie, mimo surowości zasad, jakim hołdował. Wymagania egzystencjalne miał niewielkie i, jak słyszałem, prowadził rzeczywiście ascetyczny tryb życia. Wśród wielu chwalebnych cech miał jedną nadzwyczaj ludzką - nie wylewał za kołnierz - co ułatwiało rozmowę z nim i porozumienie. Rozpisałem się o towarzyszu Janie z sympatią, bo zasłużył się on kronice, jego jedna, bardzo ważna decyzja, została już doceniona przez historię, a nawet przez tych, co dziś z niepojętą zaciekłością zwalczają nieistniejącą już Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, miast tę energię skierować na organizowanie życia w kraju, w taki sposób, by nie było głodnych, bezrobotnych i wykluczonych. Nie chcę przez to powiedzieć, iż pragnę, by działo się w Polsce tak jak za nieboszczki nieomyślnej, nie, broń Boże. O decyzji towarzysza Jana opowiem za chwilę. Teraz pora wrócić na Chełmską 21.

Kronika była dla mnie nowym rodzajem dziennikarstwa, musiałem jak najszybciej przestawić się z warsztatu pisanego na obrazkowy, wejść w odmienny rytm pracy i korzystać z innych narzędzi niż długopis, maszyna do pisania i aparat fotograficzny. Właściwie nie posługiwałem się bezpośrednio ani kamerą, ani stołem montażowym, ani też magnetofonem, ponieważ każde z owych narzędzi obsługiwały osoby profesjonalnie do tego przygotowane: operatorzy, montażyści obrazu i dźwięku oraz różni technicy. Dwa razy w tygodniu w gabinecie redaktora naczelnego odbywała

się t.zw. „układka” kroniki. Szef podawał do wiadomości zebranych osób tematy, jakie wejdą do najbliższego wydania, a każdy uczestnik spotkania mógł zgłosić swoją propozycję. Na układce obowiązkowo musiała być obecna osoba, która miała kronikę montować, osoba przygotowująca muzykę i podkładająca dźwięk. Operatorzy i redaktorzy nie musieli uczestniczyć w tym obrzędku, jeśli nie mieli ochoty. Michał zawsze informował zebranych o idei, jaka mu przyświecała przy doborze tematów. Montażystki - przeważnie panie – (jedyнным wyjątkiem był pan Waław Kaźmierczak - zasłużony człowiek i ceniony fachowiec) miały całkowitą swobodę i od nich zależało, jak temat, zostanie zmontowany. Często w montażowni spotykało się operatorów i dziennikarzy, gdy ich temat „wchodził” właśnie na stół, asystowali przy montażu, zgłaszali propozycje. Zmontowaną kronikę oglądał na stole szef, któremu prawie zawsze towarzyszyłem, on to przecież był „reżyserem” wydania PKF. Słowa „reżyser” nigdy jednak nie używaliśmy, ponieważ zwyczajowo zastrzeżone było dla dokumentalistów, oni bowiem socjalistycznej rzeczywistości nadawali w swoich filmach własny, przetworzony artystycznie kształt i niepowtarzalną wymowę. „Kronikarzy”, czyli nas traktowali, nie wszyscy, to prawda, tak jak prawdziwy artysta traktuje rzemieślnika.

Zdarzało się, że szef wyjeżdżał za granicę, albo na urlop, wtedy ja układałem kronikę i na mnie spadała odpowiedzialność, mimo że na planszy widniało nazwisko Gardowskiego... Świadczyło to o jego do mnie zaufaniu, tak to wtedy odbierałem. Gdy kronika została przyjęta przez szefa, przyjeżdżał autor tekstu, aby ją obejrzeć. Projekcja odbywała się w sali B, autor otrzymywał dokumentację do każdego tematu i listę montażową zawierającą kolejność ujęć i ich długość i oczywiście opis zdjęć. Dokumentacja składała się z karty przygotowanej przez operatora, tekstu dziennikarza, jeśli uczestniczył w realizacji tematu, oraz wycinków z prasy: notatek, informacji, artykułów. Następnego dnia rano autor przywoził komentarz do redakcji i rozstawiał go na stole montażowym, czyli dopasowywał tekst do obrazu. Miejsce, w którym „wchodził” tekst, zaznaczało się na taśmie filmowej białymi iksami, po to, by na nagraniu właśnie w tym miejscu lektor zaczął czytać komentarz. Wszystkich autorów obowiązywała zasada: nie opowiada się o tym, co znajduje się na ekranie jedynie obraz się komentuje. To między innymi odróżniało kronikę od telewizji. Karol Małcużyński nie przywoził tekstu osobiście, przysyłał go przez kierowcę. Jego teksty idealnie przystawały do obrazu i z rozstawieniem nie było nigdy trudności. Tekst rozstawiony i przepisany dostarczało się na ulicę Mysią do cenzury. Nagranie wydania PKF zawsze rozpoczynało się o godzinie 14-tej, we wtorek i w czwartek.

Do sali nagrań przychodził wtedy redaktor prowadzący, szef redakcji, członek kolegium PKF, montażyści obrazu i dźwięku, osoba prowadząca nagranie, najczęściej inżynier Zbigniew Wolski, obecny był cenzor, a w kabinie technicy. Następnego dnia rano redakcja oglądała pierwszą, jeszcze ciepłą, kopię. Następne kopie każdego wydania kroniki wykonywano w Łódzkich Zakładach Kopii Filmowych i rozsyłano do kin w całym kraju.

Redaktor naczelny Polskiej Kroniki Filmowej powoływał kolegium, które było jego ciałem doradczym; kolegium składało się z przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Urzędu Rady Ministrów, Komitetu Warszawskiego PZPR i KC.

Nie były to osoby delegowane przez wymienione instytucje, lecz zaproszone przez redaktora naczelnego PKF do współpracy. Michał Gardowski powołał, na przykład, do kolegium Dobrosława Kobielskiego, redaktora naczelnego „Perspektyw.” Pragnę zaznaczyć, że kolegium nie podejmowało żadnych decyzji, było wszak ciałem doradczym. Przebieg spotkań tego grona miał charakter raczej towarzyski, powiedziałbym nawet plotkarski, co w pracy dziennikarskiej też się liczy..

Przed pierwszym ważnym wyzwaniem stanąłem w grudniu 1970 r. Michał Gardowski wyjechał do Londynu i siłą rzeczy musiałem w tym czasie podejmować decyzje. Do PKF zadzwonił wtedy Jan Symonik i poprosił, abym pojechał z nim do telewizji, na Plac Powstańców, gdzie mieściła się wówczas Redakcja Dziennika. Obejrzelśmy tam zdjęcia z zaczynającego się strajku w stoczni szczecińskiej. Wywarły one na nas bardzo silne wrażenie. W drodze powrotnej poprosiłem Symonika o zgodę na wyjazd ekipy PKF do Szczecina i mój wyjazd do Gdańska, gdzie przebywali akurat dwaj nasi operatorzy, którzy notabene zamiast filmować siedzieli przestraszeni w hotelu. Jan Symonik po powrocie do KC zgodę na wyjazd wyraził. Musiałem tylko podać nazwiska wyjeżdżających osób i numery rejestracyjne samochodów. Listę zawiozłem osobiście. Dyrektor WFD, gdy go o tym poinformowałem, powiedział, że nie możemy jechać, bo ma zakaz wysyłania ekip na Wybrzeże. Moje zapewnienie, że PKF otrzymała zgodę z Komitetu Centralnego nie przekonały go, musiał zadzwonić osobiście Symonik. Do Szczecina wysłałem operatora Janusza Kreczmańskiego, a ja wraz z kierowcą ruszyłem samochodem służbowym do Gdańska. Wyjechaliśmy parę minut po 14 -tej. Po raz pierwszy uzbrojony patrol zatrzymał nas w Ostródzie. Im bliżej Wybrzeża, tym kontrolowano nas częściej. Za każdym razem posterunki skrupulatnie sprawdzały nasze dokumenty i numery rejestracyjne samochodu. Do Gdańska wjeżdżaliśmy już w całkowitych ciemnościach. Im bliżej centrum miasta, tym więcej spotykaliśmy czołgów i samochodów pancernych (skotów) i więcej uzbrojonych patroli. Wyludnione, źle oświetlone ulice, ciemne sylwety czołgów i niesamowita cisza... Gdańsk wyglądał jak miasto upiorów. Nie wiedziałem wtedy jeszcze o tragicznych wydarzeniach... Na chwilę wszedłem do hotelu, by porozmawiać z operatorami Witoldem Jabłońskim i Józefem Bakalarskim. Powiedziałem im, że rano będziemy filmować miasto. Kierowca zawiózł mnie do Orłowa, gdzie mieszkała moja ciotka, Irena Czerwionka. Od niej dostałem dość dokładne informacje o wydarzeniach w Gdyni.

O świcie poszedłem do sztabu w Gdańsku, tu otrzymałem zgodę na filmowanie. Na widok kamery dowódca patroli reagował ostro i stanowczo, żądali dokumentów. Z każdym z nich witałem się wyciągając rękę, w przyjaznym geście. Pamiętam, że wszyscy mieli nowe brązowe rękawiczki. Zanim oficer zdjął rękawiczkę mijalo

kilkanaście sekund, co łądziło napięcie. Najpierw filmowaliśmy: podpalony budynek komitetu partii, sklepy z powybijanymi szybami i pustkę na ulicach. Potem dostaliśmy się do stoczni gdańskiej. Tu, podobnie jak na ulicach, musieliśmy poddać się kilku kontrolom. Strajkujący przyglądali się nam w milczeniu, nieufnie. Dopiero na wydziale K - 2 atmosfera znormalniała. Spostrzegłem, że większość załogi to ludzie młodzi. Ktoś krzyknął: dlaczego nazywacie nas chuliganami?! Odpowiedziałem, że jesteśmy z Polskiej Kroniki Filmowej i dopiero kręcimy materiał... Ktoś inny dodał, że widział i słyszał to w telewizji. I tak zaczęła się nasza rozmowa, najpierw ostra, potem z upływem czasu łagodniejąca. Jeden z tych młodych robotników zwrócił się do mnie pojednawczo: no dobrze, wy jesteście z kroniki, ale kto wie, co tam nawygadujecie. Jest pan redaktorem, to niech nam pan wyjaśni, dlaczego w telewizji nazwali nas chuliganami?

- Nie wiem, może, dlatego, że macie takie długie włosy?

- Być może – usłyszałem - ale w takim razie, kto wyrządził więcej szkód krajowi, łysi czy długowłosi? Inny stoczniowiec stojący nieco z boku zapytał sarkastycznie, a pamięta pan, jakie włosy miał Marks? To, czego się czepiacie! Panowie – uspokajam – nie oskarżajcie Polskiej Kroniki Filmowej, bo o Gdańsku nic się jeszcze nie ukazało na ekranach kin.

I od tego momentu, coś się przełamało w rozmowie, zaczęliśmy w miarę spokojnie mówić o związkach zawodowych, które nie bronią robotników, o partii robotniczej, która nie wie, co robotnicy myślą. Nie wiadomo, jak długo trwałaby wymiana poglądów, gdyby trzech panów w cywilu nam jej nie przerwało. Zabrano nas do budynku dyrekcji, posadzono w jakimś pokoju i kazano czekać. Nie pamiętam, jak długo przebywaliśmy w tym „areszcie.” W pewnej chwili usłyszeliśmy krzyki... wyjrzelśmy przez okno, na placu stało dwieście, może trzysta osób. Skandowali: wypuścić kronikę! Byliśmy wolni...I usatysfakcjonowani.

Po Nowym Roku, w pierwszych dniach stycznia z Ryszardem Golcem – operatorem, znanym w Gdańsku, bo to on filmował Gdańsk i województwo od wielu lat, także Stocznnię im. Lenina i Witoldem Popkiewiczem – operatorem dźwięku, wróciliśmy do stoczni. Wtedy podziękowałem robotnikom z wydziału K -2 za okazaną Polskiej Kronice Filmowej pomoc.

W grudniu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, w drodze powrotnej do Warszawy, zastanawiałem się, jak zmontujemy temat o Gdańsku. Jednego byłem pewien, wiedziałem, że po tym, co zobaczyłem i po przeżyciach w stoczni nie zgodzę się na tekst potępiający robotników. Wiedziałem też, że zdjęcia czołgów i skotów nie ukażą się na ekranie; robiliśmy je dla historii, taka była umowa z Janem Symonikiem.

Janusz Kreczmański przywiózł ze Szczecina wstrząsające zdjęcia, zwłaszcza kilka ujęć nakręconych z góry, chyba z okna jakiegoś budynku sfilmował biegnącego mężczyznę, który pada na ziemię, trafiony kulą...W tym kadrze widać także strzelającego. Już w czasie stanu wojennego, gdy żegnałem się z osobami współpracującymi z Polską Kroniką Filmową, pani Agnieszka Bojanowska (montowałem z nią m.in. film o dojściu Edwarda Gierka do władzy pt. "Pomożemy" przeznaczony dla polskich placówek za granicą), spytała: czy pan wie, że tego ujęcia ze Szczecina, nakręconego przez Janusza, nie ma już w archiwum? Nie wiedziałem. I nie mogłem już sprawdzić.

Nie musiałem przekonywać Michała Gardowskiego, by w wydaniu kroniki nie krytykować stoczniowców, wystarczyła mu moja relacja z tego, co widziałem oraz zdjęcia z Trójmiasta i ze Szczecina.

Temat o wydarzeniach w Gdańsku zamieszczony w Kronice nie pokazywał w całości prawdziwych wydarzeń, zaledwie migawki, ale materiał przetrwał, jest dziś świadectwem naszej historii i to jest najważniejsze.

## **2. MORD W KARACZI**

28 października 1970 roku po raz pierwszy w życiu obsługiwałem oficjalną wizytę przewodniczącego Rady Państwa, marszałka Polski, Mariana Spychalskiego, w Islamskiej Republice Pakistanu.

Przed wyjazdem otrzymałem książeczkę z napisem „POUFNE”, w której znajdowały się nazwiska osób towarzyszących przewodniczącemu i jego małżonce. Na liście umieszczono nazwiska ministrów, dyrektorów departamentów, pułkowników, tłumaczy, oficerów ochrony. Razem 23 osoby. Przewodniczącemu towarzyszyło także dziesięciu dziennikarzy. W książeczce umieszczono dokładną trasę lotu wraz z mapką: Warszawa - Moskwa - Taszkient - Rawalpindi - Karaczi. I powrotnej trasy: Karaczi - Taszkient - Wołgograd - Warszawa. Podano nawet spodziewaną temperaturę w ZSRR i w Pakistanie. Odlecieliśmy z Warszawy samolotem rządowym Il 18, dwudziestego ósmego października o godzinie 8,10. Stolica żegnała nas siąpiącym deszczem i temperaturą plus pięć stopni. W Moskwie wylądowaliśmy o 12, 30. Na lotnisku Wnukowo odbyło się krótkie (przewidziane przez protokół dyplomatyczny) spotkanie z przedstawicielami władz ZSRR. W spotkaniu towarzyszyło przewodniczącemu piętnaście pierwszych osób wymienionych na liście. O godz. 14 samolot rządowy odleciał do Taszkientu. Na lotnisku oczekiwały władze republikańskie Uzbekistanu. W stolicy USRR spędziliśmy noc.

Rano, 29 października o 11,10 (czasu pakistańskiego, GMT+5) odlecieliśmy do

Pakistanu. O 12,30 samolot wylądował na lotnisku w Rawalpindi. Po wyjściu z chłodnego wnętrza samolotu otoczył nas dosłownie żar, 30 stopni w cieniu. Przewodniczącego Rady Państwa, i jego małżonkę wita prezydent Pakistanu generał Agha Mohammad Yahya Khan z małżonką. Ryszard Golec filmuje ceremonię powitania. Świetnie prezentuje się barwna gwardia honorowa złożona z dwóch oddziałów wojska - lądowego i lotniczego, która ze sztandarami defiluje przed marszałkiem Polski. Po drugiej wojnie światowej system kolonialny zaczął się rozpadać. Na wielkim subkontynencie indyjskim dobiegało końca panowanie Wielkiej Brytanii. 15 sierpnia 1947 roku Indie ogłaszają niepodległość. Dzień wcześniej niepodległość uzyskuje nowe państwo - Pakistan, składające się z dwóch części Pakistanu Zachodniego (wówczas 58 mieszkańców mln.) i Pakistanu Wschodniego - Bengalu, (70 mln. ludności). Obie części Pakistanu rozdziela pas terytorium Indii o szerokości 1700 kilometrów. Fundamentem, na którym zbudowano nowe państwo, była religia, większość ludności bowiem zamieszkującej obie części Pakistanu wyznawała Islam. Jak się wkrótce okazało, to spoiwo nie wystarczyło jednak do utrzymania jedności owego sztucznego tworu. W Pakistanie Wschodnim szybko powstały ruchy zmierzające do stworzenia państwa samodzielnego i niepodległego. Mimo uzyskania niepodległości, Pakistan do 1956 roku pozostaje dominium brytyjskim, nad którym czuwał wicekról Indii, lord Louis Mountbatten. Dopiero w 1956 roku Pakistan uchwalił konstytucję i przybrał nazwę Islamskiej Republiki Pakistanu, ze stolicą w Islamabadzie - nowym mieście w budowie. Po opuszczeniu Rawalpindi kierowca nagle się ożywia i staje się bardziej rozmowny. Takiej budowy jak w Tarbela - mówi - jeszcze w życiu nie widzieliście, największa w Pakistanie i chyba największa na świecie. W jego głosie wyczuwa się dumę. Po drodze zatrzymujemy się i Ryszard Golec robi zdjęcia namiotów nomadów, stadka kóz, kilku wielbłądów. Wychudłe, spalone słońcem twarze koczowników i prześliczne dzieci, biedne, zaniedbane. Ruszamy dalej, po półgodzinnej jeździe znowu się zatrzymujemy. Po lewej stronie drogi unoszą się kłęby jasnego pyłu. Kierowca wyjaśnia, że to chłopci pracują w polu. W tym roku panuje wielka susza. Susza, to obok powodzi i szarańczy jedna z największych plag nękających wieś pakistańską. Zatrzymujemy się, robimy zdjęcia. Dwie chude krowy, zaprzęgnięte do narzędzia przypominającego średniowieczną drewnianą sochę, z trudem ciągną to archaiczne narzędzie. Prosimy kierowcę, aby zapytał właściciela dwóch krów i sochy, ile hektarów ma jego gospodarstwo? Początkowo sądzimy, że chłop nie zrozumiał pytania. Ogląda się bowiem wokoło i pokazuje skrawek ziemi, który może mieć hektar, może trochę więcej. Ale ta ziemia nie jest jego własnością, on ją tylko dzierżawi. Właściciel mieszka w mieście. Cała wieś należy do niego. Nieco dalej spotykamy urządzenie do nawodniania ziemi. Na wielkim drewnianym kole są umocowane gliniane naczynia do czerpania wody. Urządzenie przypominające prymitywny kierat porusza krowa z zawiązaną na oczach szmatą. W Pakistanie 80 procent ludności utrzymuje się z rolnictwa, ale wieś nie zaspokaja zapotrzebowania kraju na żywność. Zbliża się południe i upał staje się nie do wytrzymania; koniec października, a temperatura 34



stopni w cieniu. Wreszcie docieramy do „największej w Pakistanie, a może na świecie” budowy. Zapora na rzece Indus wygląda imponująco. Ale my rzucamy się na butelki z wodą mineralną, kapslowane fabrycznie, innych płynów pić nie wolno. Rzecznik prasowy podaje dane techniczne: na budowie pracuje 130 przedsiębiorstw, które zatrudniają 14 tysięcy robotników, techników i inżynierów oraz 800 zagranicznych ekspertów. Długość zapory głównej 2740 metrów, wysokość 150 metrów. Zbiornik wodny, jaki powstanie po wybudowaniu tamy w dolinie Indusu, będzie miał 80 km. długości i 137 metrów głębokości. Dwanaście turbin nada hydroelektrowni moc 2,1mln.kW.

Usiłuję sobie wyobrazić, jak to wszystko będzie wyglądać w 1976 roku po zakończeniu budowy.

- Nie zapomnijcie napisać - dodaje rzecznik prasowy-że zbudowanie zapory umożliwi nawodnienie 400.000 ha ziemi. Czyjej ziemi? Jaką korzyść odniesie z tego chłop, z którym rozmawialiśmy, jadąc tu właśnie. Dodam jeszcze, że zapora powstaje z darowizn i kredytów Australii, Kanady, Francji, Włoch, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, USA, RFN i kredytu Międzynarodowego Banku do Spraw Odbudowy i Rozwoju. Do naszych uszu dobiega warkot samolotu. Nadlatuje właśnie „Fokker Friendship” z marszałkiem Spychalskim na pokładzie.

Kiedy kończą się spotkania oficjalne i członkowie delegacji odpoczywają po trudnych rozmowach, my zaczynamy pracować intensywnie. Mamy przecież pokazać naszym widzom kraj, w którym składa wizytę oficjalną przewodniczący Rady Państwa. Udajemy się do Islamabadu -miasta w budowie. Decyzję o budowie nowej stolicy podjął Ayub Khan, poprzedni prezydent. Pierwsze fundamenty położono dziesięć lat temu, w 1960 roku. Zlokalizowana na terenach wsi Saidpur, na wysokości 700 metrów nad poziomem morza, stolica zyskała międzynarodowy rozgłos nie ze względu na swoje położenie, a architektów, autorów planów - Greków, z którymi współpracowali najslawniejsi architekci: Corbusier, John Stone, Geo Ponti. Filmując Islamabad, mimo woli myśleliśmy o Brasili, metropolii państwa na innym kontynencie. Islamabad, oglądany po dziesięciu latach wznoszenia, jeszcze nie imponował. Zabudowany regularnymi sektorami luksusowych willi - pałaców i wyniosłymi gmachami administracji, tylko nielicznymi motywami przypominał kipiące życiem, ludne miasta Azji. Wygląd Islamabadu podsunął mi pytanie: dlaczego w państwie, które ma tyle pilnych potrzeb społecznych, buduje się tak luksusowe miasto? Czyżby władze kraju chciały stworzyć porywającą wizję przyszłości dla milionów pozbawionych ziemi pakistańskich chłopów -analfabetów? Teraz, po latach, gdy powtarzam stawiane wówczas pytania, wiem, że nie jest to wynalazek wyłącznie pakistański. Zawsze tak było. Monumentalne budowle nigdy nie powstają z myślą o potrzebujących, najbiedniejszych. Czyż budowanie gigantycznych pomników w krajach, gdzie są głodne dzieci, nie jest przejawem pychy i ciężkim grzechem panujących? Zupełnie inny koloryt ma dzielnica handlowa Raja - Bazar w Rawalpindi. Wąskie uliczki o starej zabudowie, zapełnione poruszającym się wolno tłumem, przypominają wielkie ludzkie mrowisko. Ledwo można tu przedrzeć się przez ciżbę

kupujących i sprzedających. W cieniu pod ścianami domów, wprost na jezdni, siedzą w kucki handlarze owoców, warzyw, mięsa i ryb, przypraw i tandetnych towarów przemysłowych. Jeżeli masz czas i lubisz się targować - kupisz tu wszystko o połowę taniej. Ulice w Rawalpindi porażają czasem swą egzotyką. Oto na jednej z nich spotykamy np. „dentystę.” Otacza go tłum gapiów i ciekawskich. On tymczasem przygotowuje się spokojnie do zabiegu, nie zwracając uwagi na wpatrujących się w niego w milczeniu dziesiątków uważnych oczu. Teatralnie podnosi do góry dłonie i bez pomocy narzędzi chirurgicznych, po prostu palcami, dokona zabiegu. Aby lepiej uchwycić ząb delikwenta, na palce zakłada szmatkę szarobiałego koloru. Z gardła pacjenta wydostaje się przejmujący wrzask. „Dentysta” po chwili unosi wysoko rękę, wszyscy mogą zobaczyć ząb! Oczy „medyka” zdają się mówić: patrzcie, jak sprawnie poszło! Kto następny? Aż się uśmiechnąłem, kiedy trzydzieści pięć lat później moja wnuczka, Agata, przysłała mi z Indii e- maila: dziadku widziałam twojego dentystę na własne oczy!

Od czasu do czasu ulicami Rawalpindi przejedzie wolno samochód osobowy z flagą o barwach Islamu. To jedna z licznych partii prowadzi kampanię wyborczą. Generał Yahya Khan, prezydent Pakistanu, nie kontynuuje polityki swojego poprzednika, który dał prawo wyborcze tylko 80 tysiącom wiernych mu elektorów. Yahya Khan zapowiedział bowiem wybory powszechne do Zgromadzenia Narodowego. Będą to pierwsze demokratyczne wybory w historii tego kraju.

W centrum Lahore, kilkanaście metrów od postumentu, na którym stoi „Zamzama”- armata upamiętniona przez Kiplinga w jego powieści pt. „Kim.” Kipling przez dłuższy czas mieszkał i pracował w tym mieście. W pobliżu „Zamzamy” zbiegowisko, przez które z trudem się przeciskamy, by zobaczyć najmniejszy cyrk świata. - „Oh sir, jeżeli chcesz zrobić zdjęcie mojej małpie- zwraca się do mnie chłopiec, a zarazem właściciel cyrku, musisz zapłacić dziesięć rupii, w przeciwnym razie przerwę występ. Sir, to, co ta mała małpka potrafi, doprawdy warto zobaczyć. W kraju, z którego pochodzisz, zapewniam cię, jej występ będzie prawdziwą rewelacją!” Czego nie robi się dla widzów kroniki. Płacę dziesięć rupii i filmujemy. Małpka trzymana przez chłopca na cienkim sznurku, ubrana w zieloną czapkę z czerwonym pomponikiem, popisuje się przed publicznością swoimi umiejętnościami. Na rozkaz tańczy i fika koziołki. Na koniec występu staje na baczność i niby prezentuje broń. Po czym siada, zakłada nogę na nogę, podpiera łapką łebek i odpoczywa jak utrudzony żołnierz po przegranej bitwie. Przypomina w tej pozie człowieka fraszobliwego, który wpatruje się nieruchomo w ludzi swoim małpim, zmęczonym wzrokiem. Za to chłopakowi oczy błyszczą radośnie - udało się zarobić!

Lahore stanowi centrum muzułmańskiej kultury i nauki. Prawdziwy prestiż dwumilionowemu Lahore przynosi uniwersytet, założony w 1869 roku, cieszy się w całej Azji zasłużoną renomą. Pracuje w nim 350 profesorów, a studiuje 7000 studentów, w tym 970 dziewcząt. Biblioteka uniwersytetu Lahore zgromadziła 245 tysięcy książek i 18.456 rękopisów. Lahore nazywają miastem - ogrodem. Ogrody Shalimar założył w 1641 roku cesarz Shahjaha. Zbudowane w kształcie tarasów są

ozdobą i atrakcją turystyczną. Pełno tu pamiątek przeszłości. Forty miasta zbudowali cesarze mogolscy. Meczet Babshahi, wzniesiony w 1694 roku przez cesarza Aurangzeba, jest uznawany za najwspanialszą budowlę muzułmańską. Zalicza się go do największych meczetów na świecie. Szkoda, że mamy bardzo mało czasu i filmujemy te wspaniałości w biegu, fragmentarycznie, a przecież każdy z wymienionych obiektów, sfilmowany dokładnie, może być ucztą dla oczu widzów kroniki.

Niedziela, 1 listopada. Samolot z polską delegacją ląduje w Karaczi. Spostrzegam, że całe lotnisko obstawione jest działami przeciwlotniczymi. Ustalamy z Marianem Kruczkowskim, z Biura Prasy KC, że nie będziemy filmować powitania w Karaczi, powitań mamy bowiem nadmiar. Zostajemy na pokładzie samolotu i tylko je obserwujemy. Budynek lotniska udekorowano wielkimi portretami Mariana Spsychalskiego i Yahya Khana, polskimi i pakistańskimi flagami. Przewodniczący Rady Państwa, przechodząc wzdłuż szpaleru osób składającego się z przedstawicieli miasta, wojskowych, korpusu konsularnego i kolonii polskiej, wita się z każdym z osobna, wymienia jakieś grzecznościowe słowa. W pewnym momencie M. Spsychalski zatrzymuje się nieco dłużej i prowadzi rozmowę z Pakistańczykiem. Spostrzegamy przejeżdżający obok naszego samolotu zielony samochód dostawczy z żółtym pasem u góry i napisem PIA. Policjant macha ręką, jakby chciał go zatrzymać, ale ciężarówka jedzie dalej bardzo wolno i zbliża się do szpaleru ludzi witających polską delegację. Dopiero, gdy podjeżdża blisko, gwałtownie przyśpiesza. W tym samym niemal czasie wiceminister spraw zagranicznych, Zygfryd Wolniak, spostrzega, że rozmowa przewodniczącego z Pakistańczykiem nazbyt się przedłuża, więc wysuwa się kilka kroków do przodu, dając znać w ten sposób członkom delegacji, aby za nim podążyli. W tym momencie samochód, który nabrał już szybkości, gwałtownie uderza w szpaler. Rozlega się krzyk kilkudziesięciu ludzi. Biegniemy z Golcem w stronę miejsca skąd dobiegają głosy ludzi. Są ranni. Ktoś z Polaków pyta o Zygfryda Wolniaka. Mówią, że wiceminister jest ciężko ranny. Niestety, szybko okaże się, że został zabity. Pułkownik Górecki, szef Biura Ochrony Rządu, nakazuje nam powrót do samolotu. Czekamy, aż sprawa się wyjaśni, a do samolotu wrócą członkowie delegacji. W tym czasie ktoś z załogi samolotu przynosi dwie butelki wypełnione płynem i stawia w kabinie pilotów. Pytamy, co jest w butelkach? Uzupełnialiśmy w Karaczi paliwo - słyszymy w odpowiedzi - po tym, co się stało, pracownik konsulatu zabierze te butelki do naszej placówki. To tak na wszelki wypadek. Gdyby samolot po starcie rozleciał się w powietrzu, paliwo zostanie zbadane przez polskich ekspertów, czy nie zostało zainfekowane. Napięcie rośnie. Wiadomo już, że zginął oficer pakistańskiej ochrony i dziennikarz. Dowiadujemy się, że zamachowcem okazał się Mohammad Feroz, członek skrajnie prawicowej partii Dżamat-e-Islami, wykluczającej jakiegokolwiek kontakty z krajami socjalistycznymi. Wizyta w Pakistanie zostaje przerwana. Kiedy samolot oderwał się od ziemi, Marian Kruczkowski nachylił się do mnie i zapytał: jak sądzisz, z którego działa nas trafią? Wtedy powiedziałem mu o butelkach z paliwem zabranych do konsulatu... Oczekiwałem najgorszego.

W czasie lotu płk. Jan Górecki poinformował pasażerów, że zostaniemy poproszeni do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w celu złożenia zeznań. Dopiero po wylądowaniu w Taszkencie przestałem myśleć o butelkach.

W tym miejscu wspomnień muszę się cofnąć do lat studenckich. W czasie studiów na Wydziale Dziennikarskim UW byłem przez jedną kadencję sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej. Pewnego dnia przyszedł do pokoju egzekutywy, w którym przebywałem, student z Wydziału Prawa. Oświadczył, że jest pracownikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i poprosił, abym opowiedział mu wszystko, co wiem o Agnieszce Osieckiej, studiującej na młodszym roku naszego wydziału. Zgodnie z prawdą, odpowiedziałem „przedstawicielowi” MSW, iż o tej koleżance nie wiem nic, ponad to, że jest przepiękną dziewczyną i co najmniej połowa wydziału w niej się kocha. Oczywiście, ta brzydsza połowa, dodałem żartobliwie. Nie potraktowałem na początku, rozmowy „przedstawiciela MSW” poważnie, sądziłem bowiem, iż to jeszcze jeden z licznych wielbicieli Agnieszki, bez szans, pragnący w bezczelny sposób uzyskać, jakieś informacje o dziewczynie, w której się zadurzył. Ale nieustępliwość, z jaką żądał informacji, zapaliła w mojej głowie czerwone światełko; po oświadczeniu zwłaszcza, że wróci tu za trzy dni. Żeby rozproszyć moje wątpliwości wyznaczył nawet godzinę, o której się zjawi po informacje.

Na moim roku studiował Eugeniusz Kielarski, który był członkiem Komitetu Uczelnianego PZPR. Udałem się do Gienka i opowiedziałem mu o zdarzeniu. Dodałem, że jako sekretarz OOP nie mam zamiaru udzielać informacji o kimkolwiek tego typu osobnikowi. Gienek żywo zareagował. Umówiliśmy się, że w dniu i o godzinie wyznaczonej będzie czekał w pobliżu pokoju egzekutywy. Jak tylko delikwent się pojawi miałem wyjść na chwilę i dać znać. Jak się umówiliśmy tak też się stało. Gdy Gienek wszedł do pokoju, przedstawiłem mu gościa i poinformowałem, z jakiej jest instytucji i czego ode mnie żąda.

Kielarski ostrym głosem zapytał: kto cię tu przysłał? Złapał nieszczęśnika za kołnierz i najzwyczajniej w świecie wyrzucił intruza za drzwi. Od opisanego tu zdarzenia minęło szesnaście lat. I oto wezwano mnie na Rakowiecką w celu złożenia zeznania dotyczącego wypadku na lotnisku w Karaczi. Kiedy, zapukawszy do drzwi, wszedłem do wymienionego w wezwaniu pokoju, za biurkiem ujrzałem owego niefortunnego wywiadowcę sprzed szesnastu lat! Czy był to przypadek? Rozmowa miała charakter oficjalny, on zadawał pytania, ja odpowiadałem. Po dokładnym przeczytaniu mojego zeznania podpisałem je i opuściłem pokój.

### 3. Podróże kształcą

W latach, które tu opisuję, wyjazdy zagraniczne nie były tak powszechne jak obecnie. Kroniki - „oczka w głowie” – jak dziś niektórzy twierdzą, władze nie rozpieszczały, więc każda nadarzająca się okazja wyjazdu była nie lada gratką. Toteż propozycja, jaką otrzymałem od ministra żeglugi Jerzego Szopy, została zaakceptowana przez szefa kroniki i zaczęliśmy się sposobić z Ryszardem Golcem, operatorem PKF, do wielkiej podróży morskiej. Na pokładzie statku Polskich Linii Oceanicznych „Lechistan II” mieliśmy opłynąć basen Morza Śródziemnego, przywieźć dla kroniki reportaże i zrealizować dla Ministerstwa Żeglugi film o statku i jego załodze. Minister Jerzy Szopa postanowił nawet zakupić barwną taśmę Kodaka i sprawił, że armator zapewniał nam transport w każdym porcie. Słowem, nic nie stało na przeszkodzie, byśmy wypłynęli z Ryszardem, w nasz pierwszy wielki rejs.

Jerzy Raczkowski, kapitan żeglugi wielkiej, w czasie spotkania w Gdyni poinformował nas, że pasażerów i gości ministra obowiązuje taka sama dyscyplina, jak członków załogi, z jednym wszakże wyjątkiem- będziemy mogli w czasie rejsu kupić na statku alkohol, którego nie sprzedaje się załodze. Zaznaczył żartobliwie, iż ma nadzieję, że nie nadużyjemy tego przywileju. Choć „Lechistan II” płynął pod polską banderą i był skrawkiem polskiego terytorium wszelkie transakcje handlowe odbywały się w walucie amerykańskiej, czyli w dolarach. Zapewniliśmy kapitana, że nie osuszemy mu „piwniczki”, albowiem ojczyzna socjalistyczna dała nam na cały rejs po 20, słownie – dwadzieścia dolarów! Nie ukrywaliśmy przed nim, że mamy trochę prywatnych zasobów, ale nie tyle, aby każdego dnia kupić flaszkę. Przyjął nasze wyjaśnienie ze zrozumieniem. Dowiedzieliśmy się w tej rozmowie, że będziemy mieli towarzystwo, bo popłynie statkiem jeszcze jeden dziennikarz z Warszawy. Niestety, kapitan nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

21 marca 1971 roku, punktualnie o godzinie 12, na pokładzie rozległy się różnorodnie brzmiące dzwonki, a na mostku statku pojawił się kapitan w galowym mundurze. „Lechistan II” drgnął na naprężonych linach i holownik odciągnął go od nabrzeża. Minęliśmy Westerplatte spowite miękką, wiosenną mgłą, która na morzu jeszcze zgęstniała. Ryszard natychmiast przystąpił do rozpakowania sprzętu. Ułożył wszystko na właściwym miejscu: obiektywy, taśmę, magnetofon i potrzebne przybory. Z pokładu dociera do nas stłumiony głos syreny, znaczy to, że mgła nie ustępuje. Naszym sąsiadem jest redaktor Tadeusz Kur. Znany ze swoich artykułów publikowanych w „Prawie i Życiu” w marcu 1968 roku. Sławy w środowisku przysporzył mu felieton Darka Fikusa pod znamienym tytułem „Kur-wie lepiej, „który, niestety, nie ukazał się w „Polityce”, bo zdjęła go cenzura. Redaktor Kur okazał się człowiekiem nadzwyczaj elokwentnym, mówienie go nie męczyło, przy czym nie

dopuszczał nikogo do głosu. Nieważny był temat rozmowy: hodowla róż, produkcja samochodów, pogoda – każdy kończył się na Żydach. Żydzi, zdaniem redaktora, są źródłem wszystkich nieszczęść świata, a zwłaszcza Polski. Żadne racjonalne argumenty nie docierały do niego. Jak my to wytrzymamy? Rejs potrwa przecież prawie dwa miesiące... Pierwszy port, do którego statek zawija to Varberg w Szwecji, miasteczko położone nad cieśniną Kattegat.

„Lechistan II” przywiózł tu plastikowe łodzie, wyprodukowane w Polsce. Połączone drewnianymi listwami w zestawy po cztery zajmowały cały pokład statku. Pierwszy oficer odpowiedzialny za przewożenie ładunku nie przewidywał długiego postoju. Dwa dni najdłużej. Ryszard Golc i ja nie mieliśmy szwedzkich wiz, w ambasadzie powiedziano nam, że na dwa dni nie warto wiz wypisywać. Zapewniając przy tym, że będziemy mogli bez najmniejszych przeszkód filmować port i miasteczko. Piszę miasteczko, bo wiosną 1971 roku zamieszkiwało je niewiele więcej niż dwadzieścia tysięcy ludzi.

Pierwsze kroki i pierwsze zaskoczenia. Wychodząc z portu nie natknęliśmy się na żadne posterunki, kontrolę celną bądź graniczną. Ot, tak po prostu wyszliśmy i udaliśmy się do miasta. To stare szwedzkie miasto, z twierdzą z XIII wieku, okazało się sterylne czyste, lśniące i pachnące, wprost wymuskane. Ludzie pogodni i uprzejmi, uśmiechnięci. Dużo rowerzystów, samochody wymyte do połysku i bardzo ich dużo jak na tak małą miejscowość. Znaleźliśmy nawet salon samochodowy. Volvo, saab i inne europejskie marki, proszę bardzo, każdy może kupić, w dodatku bez przydziałów i talonów, wystarczą szwedzkie korony. Dolarów nie przyjmują, wszak Varberg jest miastem szwedzkim. Sklepy spożywcze i domy towarowe to oazy konsumpcyjnej rozpusty. Pomarańcze, cytryny, winogrona, śliwki i owoce egzotyczne z całego świata. Świeże pomidory, kalafior i ogórki. Aby ułatwić klientowi szybkie wydanie pieniędzy, szklane drzwi wiodące do miejscowego domu towarowego, zwanego tu marketem, automatycznie same się przed nim otwierają, jak przed bezgrzesznym, bramy raj. Przyznaję, że zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Szybko wróciłem myślą na MDM, gdzie z trudem można otworzyć kute w metalu, solidne, ciężkie drzwi. No i... magazyny erotyczne w kioskach. Rozneglizowane dziewczęta kuszą z każdej okładki, dzieci i młodzież przechodzą obok tych seks wydawnictw obojętnie. Za to nasi marynarze zaopatrują się w „świerszczyki” hurtowo. Spotkani na ulicy pytają, dlaczego tego towaru nie kupujemy, to przecież najlepsza waluta wymienna w portach, do których płyniemy. Odpowiadamy, że nie mamy pieniędzy. Nie wierzą, po prostu nie wierzą. Wieczorem do kajuty przychodzi dwóch spotkanych w miasteczku marynarzy, by porozmawiać na ten temat i przekonać się, czy rzeczywiście nie mamy „zielonych”? Oświadczamy, że mamy trochę dolarów, bo dostaliśmy po dwadzieścia na głowę, na całą podróż. Śmieją się i nadal nie wierzą. Pokazuję im wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie, i dokumenty z banku. Wtedy pada propozycja – pytanie: czy obdarzymy ich zaufaniem, choć się przecież nie znamy, i powierzmy im swoje zasoby, a oni zwrócą je nam, pomnożone, w Istambule? Mówię, że nie mogę wyzbyć się całej sumy, bo muszę przecież mieć na

taksówkę, na coca- colę, gdy zachcę się czegoś napić. Proponują, że przed każdym wyjściem do portu będziemy mogli pobrać odpowiednią sumę, ale po powrocie z miasta musimy ją zwrócić. Nie wiedziałem na czym ta gra polega, ale lubię ryzyko i propozycję przyjmuję. Ryszard, który nie ma w sobie nic z hazardzisty, jeszcze się waha, ale po chwili idzie w moje ślady.

Następnego dnia, gdy wychodzimy do miasta, pierwszy oficer przypomina, że dziś po południu odpływamy i prosi, abyśmy o tym pamiętali i wrócili przed czternastą. Ryszard zrobił jeszcze kilkanaście ujęć, najbardziej podobały mu się szklane drzwi, w domu towarowym, które się same przed wchodzącym otwierają. W miasteczku spotkaliśmy dwukrotnie patrole policyjne w samochodach, ale policjanci nie zwrócili na nas uwagi. Wróciliśmy na statek przed wyznaczonym terminem. Nie wyszliśmy jednak w tym dniu w morze, ponieważ nie rozładowano do końca statku. Zostało jeszcze sześć zestawów łodzi. O godzinie piętnastej Szwedzi skończyli pracę, nie pomogły prośby pierwszego oficera. Odpowiedź dokerów brzmiała: „Załatw to ze związkami zawodowymi”. Nie możemy- wyjaśniali- bez zgody związku zawodowego naruszać prawa. Tyle lat walczyliśmy o to, aby nas nie wyzyskiwano.

Przy okazji dowiedzieliśmy się, że szwedzkie związki zawodowe nie organizują współzawodnictwa, nie podejmują zobowiązań produkcyjnych, a praca na akord jest w Szwecji zabroniona. Po południu więc ponownie wyruszyliśmy do miasta.

Wracamy przed wieczorem. I znowu zaskoczenie. W porcie kilkanaście samochodów osobowych. Czyżby dokerzy powrócili, aby rozładować statek? Nic podobnego. Przyjechali Szwedzi, ale nie do pracy, lecz po wódkę, wszak Polska produkuje dobry alkohol, no i najtańszy.

Wieczorem w messie oficerskiej, w czasie kolacji, rozgorzała dyskusja. Wymieniamy na gorąco wrażenia z Varbergu, porównania z krajem nasuwają się same. Oficerowie, którzy znają świat, a Varberg to dla nich prowincjonalne miasteczko, ciekawi są naszych spostrzeżeń. Wymiana obserwacji i poglądów trwa krótko, do głosu bowiem dochodzi redaktor Kur, a on wie wszystko lepiej. Przed wyjściem w morze na statku nagle pojawiła się szwedzka policja. Sądziliśmy, że może przyszli spytać nas o zezwolenie na filmowanie, Ryszard obawiał się o taśmę. Oni tymczasem chcieli tylko, aby marynarz, który kupił okazjnie pasy do samochodu opisał wygląd człowieka, handlarz bowiem ukradł te pasy w „markecie”. Ot, i nieprzyjemny zgrzyt na zakończenie naszego pobytu w Szwecji.

Po wyjściu w morze kapitan zaprasza na wieczorek zapoznawczy. Płyną z nami dwie panie, żony marynarzy, ale tylko jedna zaszczyciła nas swoją obecnością, druga pani poczuła się źle i pozostała w kajucie.

W sobotę dopływamy do Dunkierki, statek wchodzi do portu, gdzie dowiadujemy się, że właśnie strajkują dokerzy. Kapitan nie jest tą wiadomością zachwycony. Port w Dunkierce nie przypomina tego z Varbergu, przerasta szwedzki wielokrotnie wielkością, a także i sławą zdobytą w drugiej wojnie światowej. Tu również nie ma bram ze strażami, kontroli, sprawdzania paszportów i celników. We Francji czujemy się pewniej niż w Szwecji, mamy w paszportach wizy, przebywamy tu za zgodą władz francuskich. W niedzielę Dunkierka wygląda jak miasto opuszczone: puste ulice, ruch samochodów niewielki, sklepy pozamykane. Pogoda prawdziwie wiosenna, świeci słońce, mieszkańcy więc wyjechali za miasto.

W poniedziałek filmujemy pochód strajkujących dokerów, uformowany w porcie. Na czele pochodu idzie około pięćdziesiąt osób – organizatorzy strajku, działacze związków zawodowych, przedstawiciele załóg z różnych firm, które dołączyły się do dokerów na znak solidarności. Za czołem pochodu jadą na skuterach i rowerach strajkujący, a za nimi wolno sunie najdłuższa kolumna strajkujących w samochodach osobowych. Na centralnym placu pochód się rozwiązuje. Część dokerów udaje się do gmachu, gdzie mieści się CGT (Confédération Générale du Travail), reszta uczestników pochodu rozchodzi się po kafejkach. Wstępujemy do tej, do której weszło najwięcej strajkujących. Witają nas bardzo serdecznie, pytają, skąd jesteśmy. Zauważyli, że ich filmowaliśmy. Spotkanie z dokerami jest dla nas następną lekcją. O tym, o czym rozmawialiśmy, nie uczono nas, ani w szkole, ani na wyższej uczelni. Nastrój, jaki panuje w lokalu, odbiega od tego, co zwykliśmy oglądać w kinie, w filmach pokazujących strajkujących robotników. I od tego, co przeżyliśmy z Ryszardem w styczniu 1971 roku, podczas filmowania w Stoczni im. W. Lenina w Gdańsku. Tu w kawiarni atmosfera jest wesoła. Strajkujący piją kawę bądź piwo. Słychać śmiechy i żarty. Na pytanie, dlaczego strajkują, słyszymy różne odpowiedzi. Można je streścić w kilku zdaniach. Pragną przypomnieć kapitalistom, że są silni i nikt nie powinien tej siły lekceważyć. Pewności siebie i własnej wartości przydaje im dobra organizacja, dyscyplina i robotnicza solidarność, no i oczywiście związek zawodowy. Drugi powód – prawie trzy lata nie strajkowali. Każdy członek CGT co miesiąc wpłaca określoną sumę pieniędzy na fundusz strajkowy. Przez trzy lata uzbierało się sporo franków, trzeba je więc odzyskać. Dowiadujemy się ponadto, że aby pracować w porcie, trzeba posiadać kartę dokera, wydawaną przez związki zawodowe. Pracodawca nie może w razie strajku przyjąć nikogo do pracy bez karty. Dokerzy mają zagwarantowane dwadzieścia dni pracy w miesiącu. Gdy z winy pracodawcy nie ma roboty, muszą otrzymać zapłatę za dwadzieścia dni.

Pytam o współzawodnictwo pracy. Nie wiedzą, o co mi chodzi, nie mogą zrozumieć. Tłumaczą, że robotnik nie może pracować więcej, niż przewiduje układ zbiorowy, bo wtedy jest to eksploatacja człowieka i jawny wyzysk.

Wieczorem znowu dyskutujemy o tym, z czym się zetknęliśmy we Francji i porównujemy z tym, co jest w Polsce.



Na marginesie wspomnę, że na targu w Dunkierce w czasie filmowania usłyszeliśmy: panowie z Polski? Zadał je pan Henryk Paluch, rodak zamieszkały w Lille, właściciel straganu ze świecidełkami, pochodzący z pod krośnieńskiej wsi Bajdy. Opisałem to spotkanie w „Chłopskiej Drodze” (17.10.1971). Dzięki temu rodzina odnalazła krewnego, którego uznawała za zaginionego w czasie wojny.

W Antwerpii natychmiast udajemy się do siedziby spółki polsko-belgijskiej (PSAL), mamy tu odebrać barwną taśmę, obiecaną przez ministra Szopę. Przyjmuje nas dyrektor firmy, Ryszard Karger, częstuje kawą i koniakiem. Już na początku rozmowy pojawia się ważny problem. W Warszawie dyrektor WFD, Zygmunt Kniaziołucki, poinformował mnie, że metr taśmy barwnej kosztuje pół dolara, tymczasem okazuje się, że tu, w Belgii, trzeba za metr zapłacić dolara. Dzwonimy do Warszawy, wyjaśniamy. Dyrektor podał nam ceny hurtowe, obowiązujące przy zakupie dużych partii. Trzy tysiące metrów to detal. Ostatecznie dyrektor Karger, potargowawszy się, podejmuje samodzielną decyzję. Po taśmę udajemy się z nim do Brukseli. Była to następna lekcja poznawania świata. Oto opowieść dyrektora, którą usłyszeliśmy na autostradzie między Antwerpią, a Brukselą. -

- Kierowałem spółką już ponad pół roku, współpraca z moim belgijskim zastępcą układała się znakomicie. Mogę nawet powiedzieć, że zaprzyjaźniliśmy się. Spotykaliśmy się na gruncie prywatnym – rodzinnym. Ale ciągle się czymś zaskakiwaliśmy. Pewnego dnia, gdy narzekałem na to, że ledwo wiązę koniec z końcem, mój belgijski przyjaciel zapytał: musisz mieć jakieś nadzwyczajne wydatki, skoro mamy takie same rodziny, a zarabiasz więcej ode mnie? Ja ze swojej pensji utrzymuję dom i jeszcze oszczędzam. Wtedy wyjaśniłem mu, że polska firma wypłaca mi tylko połowę moich zarobków. Belg nie mógł tego pojąć. Ja natomiast nie mogłem zrozumieć przyjaciela, gdy przed urlopem przyszedł się ze mną pożegnać. Po kurtuazyjnej wymianie zdań obowiązującej w takich sytuacjach, po złożeniu mu życzeń przyjemnego urlopu, mój zastępca nie podniósł się nawet z fotela, tylko siedział z miną jakby na coś czekał. Zapytałem więc, co mogę jeszcze dla niego zrobić? Wypłacić mi pensję na urlop – odpowiedział.

- Jaką pensję, przecież pierwszego firma przelała ci na konto pieniądze?

- To prawda, odpowiedział Belg, ale należy mi się wypłata urlopową.

- Nic o tym nie wiem – odpowiedziałem.

- Przykro mi, że nasz parlament podejmując ustawę nie uzgodnił jej z tobą.

Zwyczajowo, dyrektor wypisuje swojemu zastępcy, polecenie wypłaty za urlop na zwykłej kartce.

Niemal co krok pobieraliśmy kolejne lekcje i wzbogacaliśmy swoją wiedzę o świecie. W Brukseli po zakupie taśmy zwiedziliśmy stare miasto i uliczkę, gdzie w witrynach siedziały roznegliżowane panie w różnym wieku i o różnych kolorach skóry. Z nieskrępowaną swobodą prezentowały swoje wdzięki i zachęcały do wypicia szampana. Nie ukrywam, że w kwietniu 1971 roku owa uliczka wywołała w nas prawdziwy szok.

W czasie obiadu w wytwornej restauracji, Rysiek wyciągnął z kieszeni różowy banknot i zapytał, czy można wymienić go na współczesną walutę. Dyrektor przyjrzał się papierkowi dokładnie i stwierdził, że jest to banknot sprzed dziewięćdziesięciu lat i pochodzi z byłych terytoriów zamorskich United Kingdom, i że można go wymienić na współczesne funty w każdym brytyjskim banku. Po obiedzie przekonaliśmy się, że dyrektor Karger miał rację. Ryszard nie mógł się nadziwić, że nie wiedzieli o tym w polskich bankach w Warszawie.

W drodze powrotnej do Antwerpii jeszcze jedna ciekawostka: parterowe bungalowy z wielkimi oszklonymi oknami stojące przy autostradzie, a w witrynach roznegliżowane panienki. Znużony monotonością autostrady kierowca może tu wstąpić na azjatycki masaż, może wziąć prysznic i skorzystać z innych przyjemności.

Następnego dnia obiad zjedliśmy we włoskiej restauracji, na kolację zaś pojechaliśmy do Westmalle, gdzie w gospodzie „Trapistów” piliśmy piwo o smaku wina, warzone przez mnichów z tamtejszego klasztoru i tylko tu do nabycia, do tego żółty ser z musztardą i inne zakąski również przez nich przygotowane. Kolacja kończyła nasz pobyt w Antwerpii. Będziemy ją długo wspominać, Antwerpię i dyrektora Kargera.

Późnym wieczorem „Lechistan II” wyszedł w morze. Przez siedem dni i nocy nie zawinęliśmy do żadnego portu.

3 kwietnia Ryszard obchodzi imieniny, więc składam mu życzenia. Na pełnym morzu zaczyna mocno kołysać statkiem. Marynarze pocieszają nas, że to zaledwie wstęp, przygotowanie przed Zatoką Biskajską, tam dopiero porzuca statkiem, przekonacie się, do czego zdolne jest morze... „Biskaje” przepływamy jak jezioro, wkoło cisza, morze jak lustro. To rzecz niebywała- mówią doświadczeni marynarze. Może dlatego na kolację niespodzianka : placki ziemniaczane. Pyszne i pożywne. Chwalimy ochmistrza i szefa kuchni. Oficerowie przyjmują nasze „ochy” i „achy” z powściągliwością. Informują, że ochmistrz na statku handlowym to polski wymysł. Nie istnieje ta funkcja na statkach angielskich, holenderskich i norweskich ani na żadnych innych. U nas wymyślono ją, po to, aby zatrudnić pracowników z wojska, MSW i MO. Funkcja ochmistrza nie wymaga kwalifikacji. Dowiaduję się, że zdarzają się ochmistrzowie, którzy na statku najbardziej narzekają, a w kraju jeżdżą mercedesami.

6 kwietnia, na wysokości Przylądka św. Wincentego, dogoniliśmy m/s „Gorlice”, które z Antwerpii wyszły dużo wcześniej. Kapitan Raczkowski zadowolony, mimo że bezskutecznie próbuje nawiązać łączność „z tą łajbą”. W nocy, 7 kwietnia przepływamy przez Gibraltar, wczesnym rankiem „chief” wzywa nas na pokład i informuje, że do statku zbliżają się delfiny. Piękne powitanie na Morzu Śródziemnym. W dodatku kapitan zaskakuje nas przy podwieczorku. Na stole mieni się w butelce zmrożona „Wyborowa.” Co się stało? - pytamy chórem. Okazuje się, że dziś do kapitana zadzwoniła żona i poinformowała go, że otrzymała telefon z redakcji Polskiej Kroniki Filmowej, iż o 22,15 telewizja wyemituje kronikę z tematem o „Lechistanie II.” Kapitan stawia zatem wódkę i wznosi toast za kronikę, solidną firmę. Pijemy więc za kronikę i za tych co na morzu. Jeszcze tego wieczoru spotykamy się z załogą statku i opowiadamy, jak powstaje kronika. Mnóstwo pytań, ale najważniejsze to: kto i dlaczego wycofał Polską Kronikę Filmową z polskich statków? I komentarz: to oburzające. Na morzu panuje dobry, niepisany zwyczaj, mówi jeden z marynarzy. Statki różnych bander wymieniają między sobą filmy. Norwegowie do dziś pytają o Kronikę.

8 kwietnia, o piątej rano, chief znowu wzywa nas na pokład. Mijamy właśnie Algier. Naszą uwagę przykuwa niecodzienne zjawisko, fale wytwarzane przez statek tworzą wokół „Lechistanu II” fosforyzującą zielonkawą otoczkę. Bajkowy widok! Plankton występujący w tym miejscu daje takie cudowne efekty. Znowu pojawiają się delfiny. Dziś o 18,30, redaktor Tadeusz Kur spotyka się z załogą.

Późnym wieczorem, 9 kwietnia, zbliżamy się do Malty. Na horyzoncie zaczynają migotać światła La Valletty. Na redzie portu dostrzegamy potężną sylwetkę amerykańskiego lotniskowca. W samym porcie stoją zakotwiczone krążowniki, raketowce i wszystko, co można nazwać okrętem. Po raz pierwszy żałuję, że pułkownik Poździk usunął mnie po kilku zajęciach ze studium wojskowego, jako inwalidę wojennego. O uzbrojeniu nie wiem absolutnie nic, a tym bardziej o marynarce wojennej. Rano wychodzimy z Ryszardem na pokład i obserwujemy u nabrzeży stalowe kolosy. Pytam kapitana, czy te potwory można sfilmować.

- Jeśli ma pan dziesięć dolarów, to nic nie stoi na przeszkodzie – odpowiada kapitan.

- Jak to, tak bez zezwolenia?

- Możecie filmować na moją odpowiedzialność.

- Potwierdzam, że mam dziesięć dolarów.

Kapitan wkłada dwa palce do ust i gwizdże. Nie wiadomo skąd pojawiają się przy burcie naszego statku pięknie rzeźbione łodzie. Wybieramy jedną i płyniemy. Ryszard

filmuje z rozkoszą. Będzie miał niecodzienne zdjęcia. Płyniemy w kierunku morza. Właściciel łodzi wiosłuje wolno i operator jest zadowolony, że tak szybko wiosłarz pojął, iż nie powinno huścić zbyt mocno. Dostrzegli nas amerykańscy marynarze, czyli - jak ich tu nazywają – marines. Gdy wracamy, zapraszają na pokład. Pytam Rysia, czy wchodzimy? Dostrzegam na jego twarzy moment wahania, odpowiadam więc - dziękujemy, może wrócimy tu jutro, wówczas z przyjemnością skorzystamy z zaproszenia.

Sympatycznych amerykańskich chłopców z VI floty spotkaliśmy następnego dnia w samym sercu La Valetty. Tak wówczas odnotowałem spotkanie z marynarzami US Navy na łamach „Nowej Wsi.” „Niemiecki dziennikarz lubujący się w dosadnych porównaniach nazwał Malteę „kurtyzaną na Morzu Śródziemnym.” Chłopcy z VI floty nie muszą czytać niemieckich gazet, ani znać historii wyspy, ich rodzinom i narzeczonym w Minneapolis, Houston i Kansas City wystarczą pamiątkowe zdjęcia. Nad rolę, jaką spełniają w tym rejonie świata, niech się zastanawiają inni. Są przecież młodzi, bardzo młodzi, aż wierzyć się nie chce, że przed kilkunastoma minutami – nim zeszli z pokładów – mieli na sobie mundury US Navy. Tłumnie wysiadają na brzeg, śpiesząc na zwiedzanie miasta. Nie spotkałem ich jednak w zabytkowej Katedrze św. Jana, ani na dziedzińcu Pałacu Wielkich Mistrzów. Najchętniej przebywają na Strait Street. O tej uliczce nie pisze się w turystycznych przewodnikach, nie polecają jej swoim klientom żadne biura podróży katolickiej wyspy. Nicolas Borg z LaValetty powie o Strait Street: powinna nazywać się „American Street,” a niemiecki dziennikarz nazwie ją „uliczką Wielkiej Swobody.” Strait Street jest wąska i ciasna. Dwa i pół metra, miejscami nieco więcej szeroka, zabudowana trzypiętrowymi domami, ciemna, niemal przez cały dzień pozbawiona słońca, wyróżnia się spośród innych podobnych uliczek La Valetty swoistym charakterem. W godzinach największego nasilenia ruchu u wejścia i wylotu uliczki dyżurują patrole angielskiej i amerykańskiej żandarmerii morskiej w towarzystwie czarno ubranych policjantów maltańskich. Fotografowanie nie jest tu mile widziane...”

Nam pomógł właściciel kafejki, posadził przy jednym z dwóch stolików stojących przed lokalem, a patrolowi powiedział: to są moi goście, na mojej ziemi i mogą robić, co im się podoba. Dziwiliśmy się, że nie zabroniono filmować okrętów, a jedynie marynarzy i w dodatku w cywilnych ubraniach.

„Amerykańscy chłopcy z lotniskowca oznaczonego numerem 42 i towarzyszących mu okrętów biorą Strait Street w niepodzielne władanie. Od wczesnych godzin popołudniowych do późnej nocy pełno ich we wszystkich lokalach: alkohol, tańce, hazard, dziewczęta...

Oto na środku uliczki odbywa się prawdziwe misterium gry w trzy karty. Siedzący na bruku Maltańczyk przegrywa beznadziejnie do swojego kolegi. To

przynęta na yankee boys. Przynęta skuteczna, bo marines szybko przystępują do gry. Niejeden zostawił tu już cały żołd. Chłopcy z VI floty nie mogą w żaden sposób pojąć, że jakiś tam Maltańczyk może być lepszy od nich. Pragną za wszelką cenę okazać swoją wyższość i popełniają błąd. W tej grze nie mają szans żadnych. Przed „Tico – Tico Bar,” „New Life Bar,” „White Star,” „Colorado Spring” stoją w mini spódniczkach, obcisłych szortach maltańskie „dziewczyny do towarzystwa.”

- Hello, Johnny, w naszym lokalu spędzisz najpiękniejszy wieczór. I Johnny pije drinka za drinkiem, dziewczyny go bawią, a kiedy jest „spłukany” usuwają się dyskretnie, aby zapolować na kolejnego amatora spędzenia „najpiękniejszego wieczoru.”

Do „Splendid Bar,” co chwila zachodzą mali chłopcy – sprzedawcy różnych drobiazgów. Trzynastoletni Tony usiłuje sprzedać marynarzom gumę do żucia. Chodzi od stolika do stolika, wyciąga z małego tekturowego pudełka różnokolorowe prostokąciki, zachwala, w najlepszej, jaką zna angielszczyźnie. Tony musi dziś coś zarobić. Odpoczynek floty stwarza szansę. A gdy okaże się, że American boys dziś wieczór nie będą poruszać szczękami, Tony poprosi filigranową Vicy do tańca. W takt ludowej melodii maltańskiej Tony tańczy z wyższą od siebie o głowę Vicy; tańczy w skupieniu, z poważną miną. Tylko Vicy przez cały czas go kokietuje. Właściwie to nie Tonyego. Ta kokieteria ma rozgrzać krew chłopcom z Oklahomy. Oglądają takie występy z dużą przyjemnością. Po kilku kieliszkach Old Scotch Whisky z widzów stają się sami aktorami. Wcielają się w bohaterów westernów, powtarzają ich ruchy, odgrywają całe sekwencje ze znanych filmów kowbojskich. I płacą, płacą, płacą...

McGimis z Buffalo doszedł w tej zabawie do perfekcji. Jeżeli go nie utłuką w jakiejś bójce w jednym z portów Morza Śródziemnego, po powrocie do Stanów zrobi chyba karierę filmową. McGimis prezentuje się znakomicie, gdy nogą otwiera drzwi. A drzwi są rzeczywiście jak w saloonie z Hollywood. Pomysłowi właściciele barów zrobili wszystko, żeby podzielać na amerykańską wyobraźnię. Tu każdy może się czuć jak prawdziwy kowboj. Więc McGimis kołyszącym się krokiem wchodzi po schodach do „Splendid Bar.” Ręce w czujnym wyczekiwaniu. Nagle przyklęka na schodach, wyciąga przed siebie obie ręce z wyprostowanymi palcami wskazującymi i „wypala” w kolegów, którzy usiłowali wstać od stolika na jego widok. McGimis jest szybki. Przeciwnicy nie zdążyli się nawet podnieść. McGimis może się równać nawet z Johnem Wayne’em. Dziewczęta biją brawa. McGimis to porządny chłop, zna się na zabawie.

Przez kołyszące się drzwi salonu zaglądną dwie małe, może dziewięcio-, a może dziesięcioletnie – dziewczynki. Wykrzykują coś po maltańsku do marynarzy. McGimis przyjmuje to jako zaproszenie do zabawy. Chwyta smarkule, sadza przy stoliku i zamawia dla nich dwie butelki coca-coli. Ale przedtem dziewczynki muszą wypalić

papierosa, taki jest układ, warunek gry. Smarkule krztuszą się dymem, kaszlą głośno, z oczu lecą im łzy. McGimis i jego koledzy pokładają się ze śmiechu.

- W porządku – mówi McGimis – klawa zabawa.

Daje dziewczynkom po kilka centów. O'key! Na Strait Street – uliczce wielkiej swobody, można się tanio i dobrze zabawić.

A kiedy żołądek się wyczerpie, można także zaproponować kolegom:

- Do diabła chłopcy, za pięć dolarów zdemoluję dla was ten cholerny lokal!...”

Kapitan ma dla nas wiadomości. Złożył mu wizytę profesor – Polak, który jest wykładowcą uniwersytetu w La Valetcie, i na jego ręce, podczas naszej nieobecności, zostawił dla nas zaproszenie na obiad. Przyjedzie po nas jutro o czternastej.

Pytam kapitana, czy jedzie z nami?

- Byłem tam wczoraj, w drugie święto wielkanocne.

- Czy redaktor Kur też został zaproszony?

- Oczywiście, profesor zaprosił go osobiście. Czeka was miła niespodzianka.

Profesor mieszka w kremowej willi, w zamożnej dzielnicy La Valetty. Kiedy za samochodem zamyka się brama, przed dom wychodzi żona profesora i wita nas serdecznie.

- Jestem szczęśliwa, że mogę spotkać kolegów dziennikarzy, tym bardziej że sama jestem dziennikarką.

- My też się cieszymy – odpowiadam – że na tej cudownej wyspie spotykamy koleżankę.

- Czy panowie czytali mój artykuł w „Przekroju?” To moja pierwsza publikacja w prasie krajowej. Na stałe jestem zakotwiczona w rozgłośni „Radia Wolna Europa.”

Tadeusz Kur, odwraca się raptownie, jakby chciał stąd uciec. Przytrzymuję go za połą marynarki i powstrzymuję przed rejteradą.

Wchodzimy do wnętrza, gdzie w salonie czeka już zastawiony stół, na którym pośrodku króluje nasza oj- czysta „wyborowa”, gdyby nie oszronienie, można by rzec: prosto z „Pewexu.” Ten stół przykryty białym obrusem, i suto zastawiony miejscowymi potrawami, wśród których dostrzegam polską szynkę i jajka pomalowane jak na łowickiej wsi, ten polski stół wpływa kojąco na redaktora Kura.

Państwo Kozłowski sprawiają wrażenie wyraźnie uradowanych spotkaniem. Profesor wznosi pierwszy toast za gości z kraju. Odwzajemniamy się toastem i atmosfera staje się niemal rodzinna. Tadeusz Kur proponuje przeprowadzenie wywiadu z panią domu i obiecuje opublikować go w „Prawie i Życiu”, dodając, że chętnie na zasadzie wzajemności udzieli osobiście wywiadu przedstawicielce „Wolnej Europy.” Pani domu próbuje wyjaśnić gościowi, że zbojkotowały ją prasa emigracyjna, a i rozgłośnia mogłaby mieć pretensje. Redaktor Kur twierdzi, że my nie mielibyśmy kłopotów.

Zabieram głos i przypominam, że dziś jest trzynasty, a ja jestem przesądny, i obawiam się, że mój szef mógłby wywiadu z koleżanką nie opublikować. Wznoszę toast za panią domu, która przyjmuje nas z istic polską gościnnością.

Przestajemy spierać się politycznie, przez pewien czas słuchamy opowieści profesora i ani się spostrzeżliśmy, a już czas wracać na statek. Profesor odwozi nas do portu, z którego odplynęły okręty VI amerykańskiej floty.

Rano Ryszard przypomniał sobie, że musi w mieście zrobić jeszcze kilka dokrętek. Przy okazji zajrzeliśmy na Strait Street, opustoszała i cicha jak porzucona kochanka. W drodze do Grecji spotkaliśmy eskadrę okrętów na pełnym morzu. Z lotniskowca zapytano: „what ship?” Radiooficer odpowiedział: jestem „Lechistan II.” Kapitan wydał rozkaz zmiany kursu. Z prawej strony zbliżały się do statku dwa olbrzymie okręty wojenne. Z lotniskowca oznaczonego numerem 42 wystartowały w naszym kierunku odrzutowce. Chłopcy, których poznaliśmy na Strait Street, przestali być zabawni. Przyznaję, poczułem się nieswojo. Ryszard zachował zimną krew i filmował to spotkanie. Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta zabawa, gdyby kapitan „Lechistanu II” nie miał dość zmieniania kursu. Przedstawił się i stanowczo zapytał, czy dowódca VI floty zna wszystkie konwencje obowiązujące marynarkę wojenną na wodach międzynarodowych w czasie pokoju?

- Sorry – odpowiedziano z lotniskowca - nie denerwuj się, to tylko zabawa.

Płynęliśmy w kierunku wybrzeży Grecji, konkretnie do Scaramanki. W nocy złapała nas burza morska, rzadko spotykana na Morzu Śródziemnym. Statkiem rzucało niemiłosiernie, niesamowicie ogromne fale zalewały pokład, chwilami nie było go widać. Bryzy wody rozbijały się o szyby mostku kapitańskiego. Kiedy uderzała ogromna fala, wydawało się, że dziób unosi się w górę i statek staje dęba, żeby po chwili raptownie opaść w dół i przyjąć następne uderzenie żywiołu. Przetrwiałem ten sztorm bez większych sensacji, ale współpasażerowie, ba, niektórzy marynarze, rano wyglądali szaro i byli potwornie zmęczeni. Na redzie Scaramanki, portu wówczas nieistniejącego na mapie, zaczęło się rozładowywanie statku. Za pomocą dźwigu przenoszono na barki kwadratowe paki. Mogliśmy się tylko domyślać, iż jest to jakiś niebezpieczny ładunek. Trwało to kilka godzin, potem, przed wejściem do portu, zabrano nam kamerę i aparaty fotograficzne. W Grecji rządili wówczas „Czarni pułkownicy”, grupa oficerów, którzy 21 kwietnia 1967 roku dokonali zamachu stanu i

przejęli władzę. Przed opuszczeniem Scaramanki oddano nam kamerę i aparaty fotograficzne. „Lechistan II” skierował się w stronę Pireusu. Nie wpłynęliśmy do portu, bo nie zgodziła się na to załoga, która straciłaby wolny dzień w kraju, gdyby „Lechistan II” zamiast na redzie cumował przy nabrzeżu portowym. Przez dwa dni dochodziły nas odgłosy Pireusu, miasta obchodzącego grekokatolicką Wielkanoc. Nasze interesy kłóciły się z interesami załogi, której większość nie wykazywała zainteresowań kulturalnych, historycznych, czy turystycznych. Wielu marynarzy w ciągu dwumiesięcznego rejsu zeszło na ląd tylko raz, by zrobić zakupy. Akropol, Partenon to nazwy, które nie funkcjonowały w tym środowisku, nie pobudzały wyobraźni. W poniedziałek, w drugim dniu świąt, dopłynął do statku przedstawiciel PLO. Jak już wspomniałem, armator zobowiązał się pomóc kronice i zapewnić w każdym porcie transport. Gdy pan Adamski dowiedział się, że nie mamy wiz greckich, wystraszył się na dobre. Opowiedział nam, że nie tak dawno policja grecka aresztowała filmowca, spędził on w areszcie kilka tygodni zanim go stamtąd wyciągnięto. Ale obiecał przysłać samochód, gdy tylko statek wejdzie do portu. Zastanawialiśmy się z Ryszardem nad ostrzeżeniem pana Adamskiego. Po długim namyśle postanowiliśmy zaryzykować. W greckiej ambasadzie w Warszawie powiedziano bowiem, że będziemy mogli wychodzić do miasta na takich samych zasadach, jak członkowie załogi. We wtorek o świcie „Lechistan II” wpłynął do portu. Po śniadaniu wyruszyliśmy do miasta. Dokerzy przyglądali się nam z zaciekawieniem, Ryszard niósł kamerę na ramieniu, a ja dwa aparaty fotograficzne. Ponieważ szliśmy podczas przerwy śniadaniowej, robotnicy poczęstowali nas czarnymi oliwkami, ich smaku nigdy nie zapomnę.

Miejską komunikacją dojechaliśmy do placu Omonia, skąd dochodziły dźwięki wojskowej orkiestry. Wzdłuż jednej z głównych ulic prowadzącej do placu zobaczyliśmy tłumy ludzi stojące na chodnikach. Zamierzaliśmy się wycofać, gdy usłyszeliśmy gwizdek policjanta, który dawał nam znak ręką byśmy do niego podeszli. Pomyślałem: to koniec, przypominałem sobie opowieść pana Adamskiego. Rysiek - jak się później okazało, pomyślał to samo. Tymczasem policjant kazał nam iść za sobą, co wzmogło jeszcze nasze obawy. Podprowadził nas kilka kroków, odsunął ludzi i ustawił naprzeciw trybuny, na której pułkownicy przyjmowali defiladę wojska. Spojrzeliśmy na siebie bez słowa i Ryszard zaczął filmować. Defilada odbywała się w czwartą rocznicę dojścia pułkowników do władzy.

Podeksycytowani wracaliśmy na statek, Ryszard zapytał: czy u nas moglibyśmy filmować defiladę i trybunę z dostojnikami bez zezwolenia?

Trafiłeś w sedno drogi Ryszardzie – odpowiedziałem – czymś się przecież musi różnić dyktatura proletariatu od dyktatury „czarnych pułkowników”.

Najważniejsze, że ustąpiły wszelkie obawy. W realizacji naszych planów nieocenioną pomoc okazał nam Krzysztof, syn pana Adamskiego. Przyjeżdżał



samochodem i czekał na nas przed bramą portową, w ten sposób nie traciliśmy cennego czasu. Straż portowa i celnicy przestali kontrolować, a dokerzy traktowali jak przyjaciół, częstowali nie tylko smakowitymi oliwkami, ale także „retsine” złotym winem o zapachu sosny. Z żalem opuszczaliśmy Ateny, Pireus i piękną Helladę. W przeddzień wyjścia w morze do Pireusu zawińeli nasi znajomi - z VI US Navy.

„Lechistan II” wszedł na kurs do Turcji. Bez przesady mogę napisać, że załoga na dźwięk słowa Istambuł bardzo się ożywiła. Miasto już wtedy cieszyło się uznaniem marynarzy, jako centrum atrakcyjnych i tanich zakupów. Ledwo „Lechistan II” opuścił kotwicę na redzie Istambułu, do statku zbliżyło się kilkanaście łodzi. Najpierw na pokład weszli celnicy, którzy zakupili od marynarzy: papierosy, alkohol i „świerszczyki”. Po celnikach na statek wtargnęli zwykli handlarze, ich gusty niczym się nie różniły od upodobań celników. Kiedy łodzie oddaliły się od burt statku, weszliśmy do portu i zarzuciliśmy cumy przy nabrzeżu po azjatyckiej stronie miasta. A gdy ucichł gwar na pokładzie, do kabiny przybyli dwaj marynarze, którzy zwrócili nam dolary z dużymi odsetkami. Mogliśmy wyruszyć na sławny „Wielki Bazar” w Istambule po prezenty dla najbliższych. Na szczęście marynarze uprzedzili nas, że tu w Turcji należy obowiązkowo targować się ze sprzedającym. Klient (Amerykanie, Niemcy), który płaci bez targowania, nie wzbudza uznania sprzedającego. Jeśli targujesz się znaczy to, że towar ci się podoba i kupienie go sprawi ci radość. Takiemu klientowi warto opuścić parę groszy. Jeśli kupujesz bez targowania, nie możesz poznać wartości towaru i umiejętności zaprezentowania jego zalet. Targując się, tym samym wchodzisz w bliskie związki uczuciowe ze sprzedającym, nawiązujesz z nim głębszą znajomość. I masz większą satysfakcję z transakcji.

Wielkie wrażenie wywarły na nas stragany z wyrobami ze złota. Łańcuszki, medaliki, znaki zodiaku, krzyżyki, pierścionki i obrączki we wszystkich rozmiarach i kształtach. Na każdym wyrobie próba. Upewniliśmy się, że można kupować bez obawy, nie ma tu żadnych podróbek z tombaku. Oszustwo na wyrobach ze złota jest nie do pomyślenia, wysokość kary odstrasza. W eleganckich sklepach w centrum miasta handel przebiega zupełnie inaczej. Sadzają klienta w wygodnych fotelach, częstują aromatyczną kawą, schłodzoną coca-colą, herbatą... Oczywiście, targowanie jest tu również dobrze widziane i cenione. Gdy opuszczasz sklep, wręczają ci obowiązkowo garść wizytówek. Rozdaj je w swoim kraju znajomym i przyjaciołom – mówią. Nie szkodzi, że z Polski nie ma jeszcze zbyt wielu turystów. Prędzej czy później pojawią się i wyjadą stąd zadowoleni.

Bardziej od zakupów pociąga nas historia miasta, noszącego w przeszłości miano Nowego Rzymu, Bizancjum, Konstantynopola... Oto osławiona Hagia Sophia-bizantyńska świątynia zamieniona przez Mustafę Kemala Paszę Atatürka na muzeum, gdy jego współbracia zaczęli się spierać o to, jak wykorzystać wiekową budowlę, co w niej urządzić – meczet czy kościół? Z Hagia Sophią rywalizuje meczet olśniewającej piękności, wzniesiony przez Sulejmana Wspaniałego, aby przyćmić

wielkość świątyni Hagia Sophia. Czy przyćmił? Obie budowle, symbole różnych epok i kultur, zachwycają dziś oryginalnością rozwiązań architektonicznych i cudownymi freskami.

Wieża Galaty, w której ponoć imć pan Onufry Zagłoba, herbu Wczele, w niewoli przez Turczyńca był osadzony, góruje nad Zatoką Złotego Rogu. Śladów sławnego przodka nie znaleźliśmy, ale legenda jest wiecznie żywa. I jeszcze tylko Topkapi Sarayi, przepyszna rezydencja sułtanów, położona na wysokim cyplu i opiewany przez poetów harem. Stąd rozpościera się otwarty widok na Bosfor i wznoszony most, który po ukończeniu połączy dwa kontynenty azjatycki z europejskim. Zwiedzamy najświetniejsze zabytki Istambułu w tempie, na jaki pozwala Ryszard, on nie może przyspieszyć, on musi przenieść na taśmę nieuchwytnie piękno i atmosferę tu panującą. Kiedy opuściliśmy Istambuł i pokonaliśmy cieśniny, kapitan wydał rozkaz: kurs – Lattakia. Znaleźliśmy się na pełnym morzu, spokojnym i monotonnym. I gdy wydawało się, że nic nie zakłóci błędnego nastroju kapitan ogłosił alarm szalupowy. Szybko założyliśmy kamizelki ratunkowe i wsiedliśmy do łodzi. Najtrudniej miał Ryszard, bo nie dość, że musiał założyć kamizelkę, to w dodatku musiał jeszcze zrobić dobre zdjęcia. W związku z tym trzy razy opuszczano łódź na wodę i dwa razy powtarzano akcję: człowiek za burtą! Alarm udał się nadzwyczajnie Ryszard nie krył zadowolenia, bo zrobił dobre ujęcia, kontent był kapitan, bo nikt nie utonął, uradowani byli pasażerowie, bo przerwano monotonię rejsu. Cieszyliśmy się, że za dwa dni zobaczymy brzegi Syrii. W nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszy maja kotwica „Lechistanu II” sięgnęła morskiego dna... staliśmy na redzie w Lattakii.

Pierwszego maja 1971 roku Ryszard Golc nie mógł sfilmować pochodu w Lattakii. Wprawdzie z miasta dolatywały dźwięki orkiestr, okrzyki i wiwaty, my jak zwykle, staliśmy na redzie. Ale załoga nie chciała wziąć udziału w święcie pracy, marynarze nie znali idei internacjonalizmu, nie zamierzali stracić po powrocie do kraju wolnego dnia. My z Golcem mieliśmy tak skwaszone miny, że bosman wyciągnął ostatnią skrzynkę prawdziwego „żywca”, przechowywaną pieczołowicie przez pięć tygodni rejsu! „Bankiet na rufie” i marynarskie opowieści o rejsach do Japonii złagodziły trochę nasz żal. Resztę dnia urozmaicił przyjazd z lądu lekarza, którego wezwano przez radio do chorego marynarza. Majtek po badaniu i zastrzyku szybko powrócił do zdrowia, lekarz zaś zasiadł w messie oficerskiej i popijał polską wiśniówkę – tutaj zwaną cherry cordial. Pewnie tak mu smakowała, że zapomniał i o Koranie i naukach proroka. Opuścił pokład przed zachodem słońca na nieco miękkich i niepewnych nogach. A że Allah jest wielki i miłosierny przymknął z pewnością oko na postępek swego wyznawcy.

W końcu „Lechistan II” zacumował przy nabrzeżu portu w Lattakii, gdzie powitał nas serdecznie dr Gabriel A. Abouhamad – przedstawiciel PLO, Syryjczyk, którego łączyły z Polską nie tylko interesy handlowe.

Często odwiedzał nasz kraj i za każdym razem coś go zadziwiało i głęboko wzruszało. Poznaliśmy rodzinę pana Abouhamada. Dzieci doktora, córeczka i synek, powitały nas polskim „dzen-dobhry, ale próba powiedzenia „stół z powyłamywanymi nogami” nie powiodła się, mimo determinacji dzieci. Piękna i gościnna żona doktora podejmowała nas w domu i raczyła syryjskimi przysmakami. Jeden dzień spędziliśmy na plaży, delektując się krewetkami łowionymi na naszych oczach przez miejscowych chłopców, w morzu. Słowem, pobyt w Lattakii, dzięki gościnności państwa Abouhamadów, potraktowaliśmy wypoczynkowo.

Odbyliśmy także krótką podróż przez Syrię w towarzystwie rodziny doktora. W Latakii, gdzie polscy architekci wygrali konkurs na budowę nowych dzielnic, najbardziej zaskakującym widokiem były kobiety w czarczafach, i to nie te w narodowych strojach, lecz te, ubrane po europejsku. Dziwne, że one właśnie ukryły twarze pod czarnymi zasłonami. Może to jakiś rodzaj kokieterii? Jadąc przez Syrię, zahaczyliśmy o Hamie, gdzie nasi specjaliści wygrali przetarg na projekt i budowę walcowni stali. Pierwsza grupa polskich specjalistów (ponad stu inżynierów i techników) przybyła tu w 1969 roku.

Czym prędzej sfilmowaliśmy wielkie zębate koło z napisem „Centrozap” stojące w Damaszku, na centralnym placu miasta. Odwiedziliśmy też dwie fabryki włókiennicze wyposażone w maszyny z Bielska i Zielonej Góry. Wpadliśmy po drodze do Aleppo, tu polscy specjaliści montowali polskie urządzenia, ale nie spotkaliśmy nikogo, jako że obchodzono w mieście lokalne muzułmańskie święto. Nie ukrywam, że te wszystkie „polonica” spotykane w Syrii cieszyły nasze oczy i dzieliliśmy się tą radością z widzami w kraju. Dziś, w wolnej Polsce tematy z Syrii zostaną zaliczone do „propagandy sukcesu”.

Państwo Abouhamadowie zawieźli nas do Ugarit, miasta zamierchłej cywilizacji, którego nie znajdziecie na żadnej mapie. Po ruinach tego kananejskiego miasta sprzed pięciu tysięcy lat p.n.e. oprowadzał nas przewodnik Ismail Abduihak. Na centralnym placu zachowały się mury świątyń Dagana i Baala, ruiny królewskiego pałacu, łaźnie i baseny. Przetrwały do naszych czasów domy z piaskowca, wodociągi, grobowce królów i proroków. Ugarit w tamtych zamierchłych czasach był portem morskim, dziś morze odsunęło się od ruin. Ekspedycja archeologiczna znalazła tu najstarsze, w pełni wykształcone pismo klinowe, a w królewskiej bibliotece, obok pism urzędowych, poematy i eposy, do 1971 roku jeszcze nieodczytane.

Doktora Gabriela A. Abouhamada, z którym przez wiele lat korespondowałem, wspominam zawsze z wielką sympatią.

Podobnie jak jego brata, który gościł nas w Bejrucie. Gabinet Abouhamada bejruckiego wyposażony w przepiękne gdańskie meble wywierał ogromne wrażenie, świadczył, że jego właściciel prowadził z Polską Ludową i wieloma innymi krajami rozległe interesy. W jego kasie panczernej leżały paszporty dyplomatyczne wielu europejskich krajów. W czasie pobytu w Bejrucie pan Abouhamad zafundował nam wieczór w „Casino du Liban.” Założone w 1959 roku, stało się szybko centrum rozrywki całego Bliskiego Wschodu i symbolem jego żywotności. Niszczony wielokrotnie przez wojny odradzało się i rozkwitało. Zjeżdżali tu szejkowie ze wszystkich krajów arabskich. Tancerki z baletu „Casino du Liban” długością nóg i krągłością piersi nie ustępowały paryskim koleżankom z „Lido” i „Moulin Rouge”, a widowiska tu wystawiane z powodzeniem konkurowały z najświetniejszymi na świecie. Mieliśmy szczęście, trafiliśmy na nowy spektakl, wystawienie którego kosztowało wówczas siedem milionów dolarów i ściągnęło do Bejrutu tysiące widzów z całego ziemskiego globu! Widowisko zaczynało się wietnamską apokalipsą. Na bocznych ekranach rozgrywały się filmowe sceny wojenne z helikopterami, napalmem, zabijanymi ludźmi. Fragmenty wojny stopniowo zaczęły zanikać, wtedy na scenie pojawił się balet symbolizujący swoim tańcem walkę Dobra ze Złem. A gdy słabe Dobro zwyciężyło wszechpotężne Zło wyposażone w helikoptery, napalm i bomby na widowni rozległy się długo niemilkące oklaski. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, po której stronie stała w „Casino du Liban,” wytworna publiczność Bliskiego Wschodu.

Tu w Bejrucie, gdzie żarzył się prawie niewidoczny płomień wojny występ tego wspaniałego baletu wprowadził nas w prawdziwe oszołomienie. Przyjechaliśmy z kraju, gdzie najlepsze zespoły taneczne widywaliśmy na występach Mazowsza i Śląska, a najlepszy balet kojarzył się z klasycznym „Jeziorem Łabędzim” Czajkowskiego. Tymczasem w kasynie naszym oczom objawił się współczesny, nowoczesny balet z tancerkami z odsłoniętymi piersiami, balet żywioł, rozszalały w tańcu. Jezioro łabędzie też na tej scenie obejrzelśmy w wykonaniu... „Mortalesów”, polskiego zespołu rozrywkowego. Ten występ rodaków, oklaskiwany gorąco przez widownię, uzmysłowił nam, że Polak nie jest taki ponury jak go malują. Dopiero po spektaklu, gdy w towarzystwie dyrektora „Casino du Liban” zwiedzaliśmy bajeczne wnętrza, dowiedzieliśmy się, że jego żona jest Polką, a córka z libańsko – polskiego małżeństwa zdobyła tytuł Miss Libanu. Dyrektor pokazywał nam kolejno sale gier: amerykańskiej ruletki, Black Jack’a, Punto Banco i błagał, aby nas czasami nie skusiło zagrać, bo w tym kasynie jeszcze nikt nie wygrał... Z sympatii do przybyszów znad Wisły dyrektor zabronił wchodzenia do kasyna gry członkom zespołu „Mortales”, nie mógł bowiem dopuścić do tego, by artyści zostawili tu ciężko zarobione pieniądze. Dowiedzieliśmy się od niego, że nawet najwięksi hazardziści muszą trzymać swoje temperamenty na wodzy, bo graczowi, który przegra wieczorem więcej niż wynosi zwyczajowa stawka, żaden bank nie udzieli następnego ranka kredytu bez specjalnych zabezpieczeń.

Dzięki uprzejmości naszego libańskiego cicerone, mogliśmy zobaczyć prawdziwych szejków w otoczeniu pięknych roześmianych kobiet. Tylko jedna

cudowna blondynka wydała nam się smutna i melancholijna. Nasz przewodnik natychmiast potwierdził trafność tej obserwacji. Ta młoda i piękna dama jest tu po raz ostatni - objaśnił. Jutro opuszcza Bejrut, rozstaje się z szejkiem i wraca do swojej północnej ojczyzny. Jej smutek jest więc zrozumiały. Szejk okazał swojej sezonowej przyjaciółce dużo zrozumienia i przekazał na jej konto 100.000 dolarów, nie licząc różnych wartościowych prezentów. Młode damy towarzyszące królom szybów naftowych, władcom arabskich pustyni i ropodajnych zatok, oglądane z bliska, wywierały na przybyszach z północnego kraju, jeszcze większe wrażenie niż roznieglizowane girlsy na scenie. Ale tej przepięknej blondynce, którą znudził się szejk, chyba trochę współczuliśmy, a myśl, że już jutro odleci z tego bajkowego świata do północnej szarości wywoływała smutną refleksję o przemijającej ulotności beztroskiego życia.

Ze smutkiem schodziliśmy z pokładu „Lechistanu II”. W Bejrucie kończyliśmy morską przygodę. Przyrzekliśmy załodze, że pojawimy się w Gdańsku, gdy dostaniemy wiadomość o ich powrocie. To wprawiło przyjaciół z „Lechistanu” w dobre humory. Jeśli będziecie filmować powrót to, może „czarna brygada” (tak marynarze nazywali grupę celników) nie będzie nas tak bezwzględnie kontrolować. Zapewniliśmy, że zdjęcia musimy zrobić dla kolorowej relacji z tego rejsu. A co do przemytu mieliśmy już na ten temat własne zdanie. Marynarze pływający pod polską banderą nie mieli takich zasobów finansowych, aby uprawiać przemyt na wielką skalę. Towary, jakie przywozili, wyrównywały zaledwie różnice między zarobkami naszych wilków morskich i dochodami załóg pływających pod banderami państw zachodnich. Statki handlowe krajów zachodnich nie tkwiły na redzie, gdy przyplływały do portu w dni świąteczne i niedziele. Piosenka o tym, że „marynarz w noc się bawi w hamaku we dnie śpi” była od początku do końca nieprawdziwa. I gdyby nie powstała w II Rzeczypospolitej, na pewno gorliwi żurnaliści umieściliby ją w arsenale propagandy sukcesu!

Opuszczając statek obawialiśmy się, że celnicy w Bejrucie zechcą otworzyć nam pudełka z naświetloną taśmą filmową. Znalazł się i na to sposób. Ponieważ w czasie całego rejsu nie kupowaliśmy w sklepiku alkoholu w ilościach wskazujących na cele handlowe (nabyliśmy raptem trzy półlitrowe butelki naszej dumy narodowej), wdzięczny ochmistrz odstąpił nam dwie buteleczki wody kolońskiej o nazwie „Prastara”, oplecione koszyczkiem z wikliny. Wręczyliśmy je szefowi celników. I w ten sposób uniknęliśmy otwierania pudełek z taśmą. „Prastara” w tym rejonie świata była bowiem bardzo ceniona. Produkowana na polskim spirytusie, zastępowała prawdziwy alkohol. Wszak nigdzie, w żadnej księdze nie napisano, że wyznawcom Allaha nie wolno pić polskiej wody kolońskiej!” O magicznym działaniu tego słowiańskiego płynu przekonałem się na granicy dwu państw regionu Middle Easts. Po opuszczeniu statku w Bejrucie zakotwiczyliśmy się w mieszkaniu mojego przyjaciela, któremu obiecałem, że nigdy nie ujawnię jego nazwiska. Przyrzekłem mu to uroczyście i doprawdy nie wiem, dlaczego tego ode mnie zażądał. Pomógł nam bardzo w

realizowaniu reportażu z Bejrutu i okolic. Nie zniechęcił się do nas nawet wtedy, gdy naraziliśmy go na niebezpieczeństwo. Byliśmy umówieni w obozie dla uchodźców palestyńskich. Mieliśmy się spotkać z Palestyńczykami o godzinie 16. W niedzielę rano pojechaliśmy do Dżubail - starożytnego Byblos. Miejscowość położona nad Morzem Śródziemnym wzbudza nieustające zainteresowanie turystów z całego świata. Tu można spotkać ślady różnych epok, cywilizacji i kultur. O chlubnej historii Byblos świadczą wykopaliska prowadzone przez archeologów, resztki wiekowych budowli, rzymskiej kolumnady, forteca zbudowana przez krzyżowców i świątynia z II wieku p.n.e. Stąd bierze swój początek słowo – biblia.

Golc bez przerwy filmował. Ani się obejrzeliliśmy, gdy zegar wybił godzinę 15. Mieliśmy spory zapas czasu, więc bez pośpiechu wsiedliśmy do samochodu. Z Byblos jedzie się do Bejrutu trzydzieści minut. Nie przewidzieliśmy, że w drodze powrotnej złapiemy gumi, i to aż dwie gumi! Zaskoczyła mnie uprzejmość libańskich kierowców, w czasie zmieniania zapasowego koła zatrzymywali się i pytali w czym mogą pomóc. Przyjaciel dziękował informując, że to tylko zmiana koła na zapasowe. Nie ujechaliśmy nawet kilometra, gdy złapaliśmy następną gumę. I zaczęły się „schody”. Właściciel pierwszego samochodu, który się zatrzymał, obiecał przysłać pomoc. Wtedy nie istniały jeszcze telefony komórkowe. Pomoc pojawiła się po dwudziestu minutach. Przywieźli zapasowe koło i pomogli je wymienić. Przed bramę obozu dla uchodźców palestyńskich dotarliśmy z ponad godzinnym spóźnieniem. Wpuszczono nas za bramę i zaczęło się prawdziwe przesłuchanie. Dlaczego się spóźniliśmy? Skąd przyjechaliśmy? Z kim rozmawialiśmy? Kto pomógł nam wymienić koło, czy pamiętamy napis na samochodzie? Nie pamiętaliśmy, nie mieliśmy nawet rachunku za udzieloną pomoc. W końcu po licznych rozmowach telefonicznych zaprowadzono nas do sztabu palestyńskich bojowników. We wnętrzu nie pozwolono nam nic filmować. Ani portretu Stalina, ani plakatu z Che Guevarą. Nasz rozmówca też się nie przedstawił. Rozmowa toczyła się na tarasie domu. Na moje pytanie, dlaczego porywają samoloty pasażerskie i zabijają niewinnych ludzi, usłyszałem:

- Naszych braci, choć byli niewinni, zabijali silniejsi od nas.
- Nie boicie się, że opinia publiczna was potępi?
- Nie potępiła naszych katów, to dlaczego ma potępić nas?
- Co chcecie osiągnąć, wysadzając samoloty?
- Pragniemy zwrócić uwagę uczciwego świata na naszą walkę, przypomnieć o naszym istnieniu i o naszych prawach.

Pozwolono nam zrobić kilka ujęć z tarasu domu i sfotografować sylwetkę naszego rozmówcy, a także, po zakończeniu rozmowy, sfilmować fragmenty osiedla i

ludzi znajdujących się na ulicach. Niewiele ujęć zdążył zrobić Golc. Przy pryzmie śmieci spotkaliśmy grupę dzieci. Była wśród nich pięcio, może sześćoletnia dziewczynka. Tak piękna, że natychmiast przykuła uwagę operatora. Główkę jej otaczały czarne, lekko pofalowane włosy, a wielkie, niewinne czarne oczy wpatrywały się w terkoczącą kamerę z zaciekawieniem. Rysiek natychmiast ją sfilmował. Gdyby nie góra śmieci, z pewnością nikt nie zwróciłby na to zdarzenie uwagi.

Kiedy jednak zaczął filmować, ową nieszczęsna górę, natychmiast otoczyli nas mężczyźni z karabinami i pistoletami w rękach. Zabrali kamerę i krzyżąc zasypali nas pytaniami. Na szczęście, nie tylko oni obserwowali naszą pracę. Po chwili pojawił się młody mężczyzna. Rozmowa z uzbrojonymi ludźmi trwała, a może nam się tak tylko wydawało, parę minut. Ryszardowi zwrócono kamerę i pozwolono nam odejść w towarzystwie wybawcy. Szef, nasz rozmówca, przeprosił za incydent. - W tym obozie znajduje się kilka różnych ugrupowań, widocznie nie wszystkie udało się powiadomić o waszej wizycie...

W dwa dni po wizycie w obozie Palestyńczyków wybraliśmy się do Damaszku. Wizy syryjskie były jeszcze ważne, nic więc nie stało na przeszkodzie, by jeszcze raz zobaczyć to historyczne miasto. Ryszard miał już zaplanowane „dokrętki”. Droga do granicy wiodła przez góry. Górskie serpentyny, nasz dobroczyńca, i zarazem przewodnik, pokonywał z niebywałą szybkością. Opony volvo wydawały niesamowite dźwięki: pisk pomieszany z głośnym odgłosem tarcia przy hamowaniu. Nie wypadało krzyżeć, siedziałem więc z zaciśniętymi zębami i kurczowo prawą ręką trzymałem się uchwytu znajdującego się nad oknem samochodu. Prowadzący volvo dostrzegł widocznie moje przerażenie, bo zmniejszył szybkość, a po chwili zatrzymał się na placu przeznaczonym dla aut osobowych. Stał tam już jeden samochód, a dwie turystki, panie nadzwyczaj urodziwe, około trzydziestki, najspokojniej w świecie paliły nargile. Powitały nas życzliwie i z dużym zainteresowaniem. Gdy dowiedziały się, że jesteśmy z Polski, zaprosiły do palenia fajki. Ryszard odmówił, a ja kurtuazyjnie i z ciekawości, pociągnąłem kilkanaście razy, początkowo nic nadzwyczajnego nie odczuwałem, dopiero po pewnym czasie, gdy zbliżyliśmy się do granicy syryjskiej świat zaczął przybierać kolor różowy, czułem się bardzo lekko, a wierzchołki libańskich cedrów poruszane wiatrem szumiały niebiańsko.

Na granicy libańsko syryjskiej spotkaliśmy długi sznur eleganckich samochodów. To nasi „znajomi” szejkowie, z „Casino du Liban” z żonami, dziećmi, nianiami, guwernantkami i przyjaciółkami wracali do swoich domowych pieleszy. Niestety, musieliśmy czekać. Gdy nadeszła nasza kolej, przyjaciel wyciągnął cały kartonik „Prastarej” i wręczył go celnikowi. Kontrola graniczna stała się zwykłą formalnością. Nawet nasze polskie paszporty, ani kamera na tylnym siedzeniu nie wzbudziły zainteresowania celników i służby granicznej. Po upływie kilkunastu minut, już na terytorium Syrii, mój przyjaciel zatrzymał samochód, otworzył bagażnik..., z którego wygramolił się młody Palestyńczyk.

- Nie zadawaj żadnych pytań- uprzedził- nie otrzymasz odpowiedzi.

Do dziś dręczy mnie pytanie- kiedy ów pasażer ukrył się w bagażniku? Nie widziałem, by ktokolwiek w Bejrucie, kręcił się koło samochodu, w drodze do Syrii zatrzymaliśmy się tylko raz, w górach, gdzie spotkaliśmy dwie piękne panie palące nargile, na samej granicy nikt z nas nawet z wozu nie wysiadł. No cóż, w drodze do Damaszku nie takie cuda się zdarzały...

Ostatni dzień pobytu w Bejrucie, w mieście nazywanym Paryżem Bliskiego Wschodu, postanowiliśmy spędzić bez kamery. Żadnych dokrętek, nowych ujęć, żadnego fotografowania. Dzień na luzie z pewnością się nam należał. Pracowaliśmy intensywnie przez cały czas rejsu po Morzu Śródziemnym. Staraliśmy się zaprezentować widzom kroniki różnorodny świat, widziany polskimi oczami. Więc jeden dzień poświęciliśmy turystyce bez kamery. 14 maja 1971 roku, samolotem PLL „Lot” odlecieliśmy do Warszawy.

Sześciotygodniowy rejs na pokładzie „Lechistanu II” był dla mnie ważnym doświadczeniem. Umocnił mnie w przeświadczeniu, że arystotelesowska dewiza, by o wszystkim wątpić, jest ciągle żywa i aktualna i ma przed sobą wielką przyszłość. Przez sześć tygodni stykałem się z różnymi ludźmi, różnymi poglądami. Spostrzegłem, że to, co w jednym kraju może być zakazane, w innym bywa dozwolone. Utwierdziła mnie ta podróż w przekonaniu, że świat nie jest jednorodny i od początku do końca jednowymiarowy. Świadczy o tym najlepiej różnorodność kultur, z którymi w ciągu sześciu tygodni się zetknąłem. Słowem, sporo nauczyłem się w tak krótkim czasie. Sprawdziło się powiedzenie, że podróże kształcą.

## 4. Indie

W styczniu 1972 roku, dzięki uprzejmości Jana Mitreği, wicepremiera i ówczesnego ministra górnictwa i energetyki, który wybrał się na inspekcję polskich załóg budujących kopalnie i zakłady przemysłowe nad Gangesem, a także na rozmowy z rządem pani Indiry Gandhi, wylecieliśmy do Indii. Szef Polskiej Kroniki Filmowej, Michał Gardowski, kazał nam „przy okazji wpaść” do Dhaki, bo dowiedział się, że powstaje tam nowe państwo. Towarzyszyliśmy wicepremierowi tylko do New Delhi. W stolicy Indii zamieszkaliśmy w najlepszym wtedy, luksusowym hotelu, „Ashoka, „(czytaj- Asioka). Hotel nosi imię słynnego króla nieprzypadkowo. Król Ashoka jest uznawany za największego budowniczego Indii, stworzył on nie tylko nowy styl w budownictwie, zasłynął z nowoczesnych rozwiązań w tej dziedzinie i jest do dziś czczony przez współczesnych Hindusów. W młodości Ashoka, wyróżniał się odwagą,



walecznością i okrucieństwem. To też ojciec, król Bindusara, wysyłał go do tłumienia zbuntowanych prowincji. Młodzi - zdolni są z reguły żądni władzy, więc doświadczony tata mianował syna namiestnikiem prowincji północno - zachodniej, której stolicą był znany ośrodek uniwersytecki, Taksila. Upiekł w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozbył się krewkiego synka i uniknął detronizacji. Po śmierci Bindusary młody Ashoka przejął władzę i natychmiast przeprowadził, mówiąc językiem współczesnym, lustrację; uśmiercił swoich przyrodnych braci, którzy mogli przecież spiskować bądź zorganizować się w opozycję. Dzięki tym prostym zabiegom poczuł się bardziej bezpieczny, więc wszystkie siły poświęcił budowie potęgi imperium i rozszerzaniu jego terytorium. Nie zwlekając, wyruszył na podbój Kalingi i mimo wytrwałego oporu napadniętej ludności odniósł zwycięstwo. Armie Ashoki dopuściły się okrutnej rzezi. Sto tysięcy ludzi zabito w walce. „Gdy Asioka się o tym dowiedział - pisze w „The Discovery of India” Jawaharlal Nehru - opanowały go wyrzuty sumienia i powziął odrazę do wojny. Jako jedyny spośród zwycięskich monarchów i wodzów świata postanowił przerwać zwycięską wyprawę wojenną. Całe Indie uznały jego zwierzchność z wyjątkiem południowego skrawka, a i ten mógł łatwo stać się jego zdobyczą. Ale Ashoka zaniechał dalszych podbojów i umysł jego pod wpływem nauki Buddy, zwrócił się ku zdobyczom i badaniom w innych dziedzinach.” Wtedy właśnie narysował koło, które wdzięczni potomkowie umieścili na fladze Indii współczesnych. Imperator Ashoka (273- 232 p.n.e.) stał się głóscielem idei dharmy, czyli sprawiedliwości i prawa, idei, która miała zapewnić wszystkim podwładnym szczęście. Jego nowe poglądy współbrzmiły z modnym wówczas buddyzmem, co pozwoliło temu prądowi swobodnie rozwijać się na terytoriach Ashoki. Okrutny w młodości Ashoka, zmienił się do tego stopnia, że zaczął głóscić ahimsę, czyli ideę niestosowania przemocy fizycznej- a co najważniejsze- przemocy umysłowej i mentalnej! „Ten zadziwiający władca - pisze Nehru - kochany dotąd w Indiach i wielu częściach Azji, poświęcił się szerzeniu nauki Buddy, prawości i współczucia, a także społecznej działalności dla dobra narodu.” H.G. Wells w książce „Outline of History” napisał: „Wśród dziesiątek tysięcy imion monarchów, zapelniających karty historii, wszystkich tych cesarskich i królewskich mości, światłości, wysokości...imię Ashoki świeci, i to prawie samo jedno, jak gwiazda... Więcej żywych ludzi czci jeszcze dzisiaj jego pamięć, niż słyszało kiedykolwiek imię Konstantyna lub Karola Wielkiego.” To wspaniałe moralne przesłanie przetrwało do czasów nam współczesnych. Najlepszym przykładem może być Mahatma Gadhi, który bez stosowania przemocy, pokonał największe imperium kolonialne świata, krótko mówiąc, United Kingom. W czasie pobytu w Indiach doświadczaliśmy dobrodziejstwa tej idei na każdym kroku. Nigdzie na świecie nie ma tylu religii, co w Indiach i takiego mnóstwa bogów jak nad Gangesem. Różnorodność i tolerancja rzucała się w oczy przez cały czas pobytu w New Delhi. Na Chandni Chowk - głównej arterii komunikacyjnej i handlowej - w Starym Delhi, gdzie współżyją obok siebie różne szkoły filozoficzne i religie, poznaliśmy przemiłego astrologa, z białą, majestatyczną brodą, który za kilka rupii przepowiedział nam przyszłość, a uczynił to w tak nadzwyczajny i sympatyczny

sposób, że uwierzyliśmy, przynajmniej chwilowo, w jego super optymistyczne przepowiednie. Nie wspominałbym o tym drobnym zdarzeniu, gdyby nie dziennikarz z Polskiej Agencji Prasowej, towarzyszący premierowi Mitrędze w charakterze oficjalnego sprawozdawcy. Otóż ten młody kolega, uszczęśliwiony, że zobaczy Indie, przez cały czas długiej podróży (samolot „Il - 18”) przeżywał istne katusze i zostawił, bowiem w Warszawie żonę, którą poślubił zaledwie dziesięć dni przed wylotem do Indii. Jego sercem targwały różne uczucia: miłość i zazdrość, ciekawość świata i zwyczajne obawy młodego żonkosia. Postanowiliśmy mu przyjść z pomocą. Opowiedzieliśmy astrologowi cierpienia młodego dziennikarza i męża w jednej osobie, pytając jednocześnie, czy ma na te dolegliwości jakieś lekarstwo? Zgodził się wyleczyć naszego kolegę podczas jednej sesji, poprosił jedynie o podanie imion - delikwenta i jego wybranki. Za niewygórowane honorarium, astrolog ów dokonał niemal cudu. Kolega po półgodzinnej rozmowie był tak szczęśliwy, że zaprosił nas na whisky. Na przyjęciu, które zamierzał pokryć z własnej (bardzo skromnej) dziennikarskiej diety, opowiadał z przejęciem w głosie, że astrolog dwukrotnie wymówił prawidłowo imię jego ukochanej żony - Ilona. Po skończonej biesiadzie sięgnął do portfela po rupie, nie wiedząc, że goście „Ashoki” nie płacą tylko podpisują rachunki. Byliśmy bądź, co bądź gośćmi indyjskiego rządu. Wicepremier, Jan Mitręga, a z nim młody dziennikarz, polecieli odwiedzić polskich górników, a my, dzięki pomocy ambasadora PRL w Indiach pana, Wiktora Kineckiego, i konsula w Dhace pana, Jerzego Szpunara, który na szczęście dla nas był akurat w stolicy Indii, udaliśmy się do Kalkuty, gdzie cztery dni czekaliśmy na okazję, by dostać się do Bangladeszu (dawniej Pakistan Wschodni). Wieczory Sławek Sławkowski, operator PKF umiłał nam opowiadaniem o pierwszym swoim pobycie w Indiach. Przyleciał tu z premierem Józefem Cyrankiewiczem, składającym oficjalną wizytę państwową na Cejlonie, który był wówczas republiką demokratyczno-socjalistyczną, a następnie miał udać się do Indii. Samolot rządowy popsuł się (to już chyba polska tradycja) w stolicy Cejlonu, Kolombo, i delegacja nie miała czym lecieć do New Delhi. Z pomocą przyszli Amerykanie. Zaoferowali premierowi pasażerski samolot wojskowy. Józef Cyrankiewicz propozycję przyjął. Przed samolotem czekała na polską delegację pięcioosobowa załoga. Po krótkim wojskowym powitaniu maszyna Air Force wzbiła się w powietrze i wzięła kurs na New Delhi. Po godzinie lotu kapitan wraz z całą załogą, szampanem i kieliszkami pojawił się w pasażerskiej części statku, aby uczcić ten szczęśliwy i zaszczytny - jak powiedział - traf, iż leci z premierem Polski. Ale zamiast uśmiechów, na twarzach pasażerów dostrzegł, nazwijmy to dyplomatycznie, poważne zaniepokojenie. W tym właśnie momencie wicepremier zapytał dowódcę, kto prowadzi samolot, skoro cała załoga pije szampana? -Pilot automatyczny - odpowiedział kapitan. Proszę się nie niepokoić, jest on precyzyjniejszy od człowieka. Następnie dowódca samolotu spokojnie objaśnił, na czym polega praca automatycznego pilota. Kalkuta, nazywana w tamtych latach (1972 r.) miastem pałaców, ale także dnem piekieł, była w istocie miejscem, które nas poraziło. Urodzeni i wychowani nad Wisłą, niewiele wiedzieliśmy o bogactwie wolnego świata, nie

mieliśmy też najmniejszego pojęcia o ogromie ludzkiej nędzy. Tu, w Kalkucie, zobaczyliśmy na własne oczy i jedno i drugie- bogactwo Birli i Taty i przerażające slumsy wydziedziczonych, które rzeczywiście można porównać z dnem piekieł. Całe dzielnice wielomilionowej Kalkuty zamieszkiwali nędzarze. Zamieszkiwali, to chyba nieadekwatne słowo, sugerujące, że mieli marny, ale jednak dach nad głową. Tymczasem w dzielnicach nędzy wygłodniałe szkielety ludzkie wegetowały pod gołym niebem. Na ich twarzach nie było widać nawet rozpacz, były to twarze ogarnięte bezgraniczną rezygnacją, odrętwieniem i agonią śmierci. Wstrząsające wrażenie wywarły na nas wychudzone, nagie dzieci, umierające na gołej ziemi i ich matki zrozpaczone, iż nie mogą im przyjść z pomocą. W styczniu, w Kalkucie, temperatura w dzień dochodzi do 30 stopni C. w cieniu, przy wilgotności powietrza przekraczającej 90 procent, w nocy zaś spada do 10 - 12 stopni. W dzielnicy, gdzie znajdował się nasz hotel, a więc nie w strefie slumsów, samochody służb sanitarnych bardzo wcześnie rano zbierały z chodników ciała martwych nędzarzy, którzy nie przetrwali głodu i chłodu nocy. Dopiero w kalkuckich dzielnicach nędzy zrozumiałem, jak obiegowe opowiadania o indyjskich „świętych krowach”, których nie wolno ruszyć, czy przepędzić są płytkie i powierzchowne. Tu w świecie, gdzie jedni umierają z przejedzenia, a inni z głodu, święte krowy korzystające z immunitetu spełniają dobroczynną, zbawienną rolę. Często są one ostatnim ratunkiem dla nędzarzy, dają im wszak mleko i opał. Łatwo w Indiach pstryknąć zdjęcie świętej krowy, stojącej na ruchliwym skrzyżowaniu ulic, i policjanta, który jej nie przepędza, mimo że blokuje ruch, ale trudniej, a może wręcz niebezpiecznie, jest zrobić zdjęcie, gdy biedacy skrętnie zgarniają dłońmi odchody świętej krowy, formują je w krążki i suszą, by w czasie porannego chłodu rozpałić ognisko i ugotować dzieciom ciepłą strawę. Jeszcze trudniej zrobić zdjęcie, gdy biedna kobieta doi świętą krowę. Ja w tej nietykalności świętych krów, w Indiach, dopatruję się jakiegoś przejawu sprawiedliwości, w bezwzględnym świecie miliarderów i nędzarzy. Już tylko z kronikarskiego obowiązku dodam, że w bogatych i sytych dzielnicach miast indyjskich nie spotyka się świętych krów, widocznie upodobały sobie rezerwy nędzy.

Victoria Memorial, pyszny pałac z białego marmuru, z potężną kopułą w środku i czterema wieżami w rogach, wzniesiono na cześć królowej brytyjskiego imperium. Park otaczający budowlę utrzymany w stylu angielskim, stał się szybko ulubionym miejscem spacerów elit Kalkuty.

Mieliśmy do wyboru cztery środki lokomocji: tramwaj, autobus, riksę i taksówkę, by dotrzeć do budowli symbolizującej potęgę imperium, w którym nigdy nie zachodziło słońce. Tramwaj i autobus odpadły ze względu na tłok panujący w miejskich środkach lokomocji, riksza - ze względów moralnych, nie mogliśmy wyobrazić sobie jazdy riksą ciągnioną przez bosonogiego, wychudzonego kulisa. Taksówką dojechaliśmy po długim i mozolnym przebijaniu się przez zatłoczone ulice miasta.

Jeszcze nie zdążyliśmy wymazać z zakamarków pamięci obrazów wywiezionych ze

slumsów i obozów uchodźców ze Wschodniego Pakistanu, gdy naszym oczom ukazały się widoki niczym z rajskiej sielanki. Spacerując czystymi alejkami wśród egzotycznych kwiatów, nie spotkaliśmy ani jednego nędzarza i ani jednej gromadki żebrzących dzieci. Zobaczyliśmy natomiast mnóstwo wytwornych dam, ubranych w bajecznie kolorowe sari, eleganckich gentelmenów, dzieci syte i szczęśliwe. Te dwa odległe i obce sobie światy dzieliło zaledwie kilka mil.

W 1972 r. w Indiach żyło 550 milionów ludzi i prawie tyleż problemów czekało na rozwiązanie. Po powrocie z Dhaki znowu zamieszkaliśmy w hotelu „Ashoka”, przez dwa tygodnie byliśmy bowiem gośćmi pani premier Indiry Gandhi. Ambasador PRL w New Delhi, Wiktor Kinecki, którego pani Gandhi bardzo ceniła i lubiła, sprawił, że zgodziła się, by Polska Kronika Filmowa zrobiła zdjęcia w jej gabinecie. Jak zawsze w takich razach, przyjechaliśmy do siedziby pani premier Indii kilkanaście minut wcześniej, aby broń Boże, nie spóźnić się z filmowaniem. Przywitał nas szef gabinetu i poprosił, aby nie zadawać jej pytań, zachowywać się bardzo cicho i nie rozmawiać między sobą. Gdy czekaliśmy w sekretariacie, szef gabinetu zajrzał przez wziernik wmontowany w drzwiach i dał mi znak ręką, bym podszedł do drzwi i spojrział przez wziernik. Zdumiony, zobaczyłem Indirę Gandhi zmieniającą sari. Przebierała się do zdjęć. Przebywaliśmy w gabinecie nie dłużej niż 20 minut. Pani premier pracowała siedząc za biurkiem, przeglądała korespondencję, w pewnym momencie wstała podeszła do półki z książkami, poprosiła szefa swojego gabinetu, zadała mu jakieś pytanie. Zachowywała się po prostu naturalnie.

Po skończonych zdjęciach, kiedy z szefem piliśmy herbatę, zapytałem go, dlaczego prosił o to, aby nie zadawać pytań i nie rozmawiać? Według hinduskiego zwyczaju, milcząc lepiej się rozumiemy, odparł z pełną elegancją.

Codziennie rano pod hotel „Ashoka” podjeżdżał ogromny samochód osobowy. Jego kierowca, nadzwyczaj uprzejmy Shik, w turbanie, pomagał nam pakować sprzęt do bagażnika i wyruszyliśmy w drogę, by odkrywać Indie.

Pierwszego dnia skierowaliśmy się do Chandigaru, stolicy Pendżabu, uznawanego za najbogatszy stan Indii, w którym rolnictwo osiągało najlepsze wyniki w kraju.

Najpierw kilka słów o mieście zrodzonym z marzeń Jawaharlala Nehru, pierwszego premiera niepodległych Indii, także dlatego, że w realizacji wizji nowoczesnego miasta miał swój udział architekt Maciej Nowicki, który przygotował szkice budowy Chandigaru, nadał wizji Nehru pierwszy kształt. Zginął, niestety, w 1950 roku w katastrofie samolotu, a realizacją marzeń zajął się Le Corbusier, znany na całym świecie z nowatorskich, rozwiązań architektonicznych. W roku 1972, budowa stolicy Pendżabu nie została jeszcze zakończona, ale miasto żyło, działała

administracja, funkcjonował handel, młodzież uczęszczała do szkół zorganizowanych według wzorów europejskich - nie obowiązywały mundurki, jak na przykład w szkołach w New Delhi. Problem oświaty w Indiach pozostawał jednak ciągle otwarty, nie wszystkie dzieci miały szczęście uczęszczać do szkoły. Powszechnym nauczaniem w zakresie czterech klas planowano objąć dzieci w całym państwie dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych!

W latach siedemdziesiątych Indie, podobnie jak cała prawie Azja, przeżywały okres zielonej rewolucji. Sprowadzono nad Ganges nowe odmiany wysoko wydajnej pszenicy, wyhodowanej w Meksyku, i równie wydajne ziarno ryżu zwanego „I-r”. Wzrosły gwałtownie plony. Indira Gandhi mogła zakomunikować społeczeństwu, że Indie rezygnują z importu amerykańskiego ziarna i podejmują walkę z głodem. W tej zielonej rewolucji, w jakimś bardzo drobnym stopniu uczestniczyła Polska. Na polach Pendżabu spotkaliśmy nasze „ursusy”. W Patialii, powiatowym mieście, gdzie działała stacja obsługi firmy „Escarts, „dowiedzieliśmy się, że w ubiegłym roku sprzedano tu 200 ursusów, a w całym stanie ponad tysiąc. Ku naszemu zaskoczeniu, ale i radości usłyszeliśmy, że ursus wygrał konkurencję z traktorami czechosłowackimi, radzieckimi, amerykańskimi i japońskimi! Informację tę przypisywałem uprzejmości moich rozmówców. Potwierdził ją jednak sam ambasador Kinecki. Widząc moje niedowierzanie, wyjaśnił: ursus wygrał, bo jest bardzo prosty i w obsłudze, i w naprawie, a trzeba pamiętać, że większość hinduskich rolników to analfabeci. W roku 1972, na polach Indii pracowało 50 tysięcy polskich traktorów!

Rolnictwo Indii wchodziło w fazę wielkich przemian. Na ziemię czekały sto trzy miliony bezrolnych chłopów, ale reforma rolna bardzo się ślimaczyła. Większe sukcesy odnotowywały Indie w sektorze technicznym: nawodnieniu pól. Zamiast siedmiu tysięcy studzien zasilających pola w wodę pracowało już sto dwadzieścia tysięcy, wzrosło zużycie nawozów. Na wielką skalę przeprowadzano prace irygacyjne. Przy pomocy Rosjan budowano kanał nawadniający z Pendżabu do Radżasthanu o długości 200 kilometrów. W każdej dziedzinie życia Indie podejmowały wyzwania współczesności, likwidując przeżytki czasów feudalnych i kolonialnych. Parlament Indii zniósł kasty i zrównał wszystkich obywateli wobec prawa. Premier Indira Gandhi pozbawiła feudalnych przywilejów 278 maharadzów, nababów i nizamów. Rząd przestał im wypłacać z państwowej skatunki pensje, które w ciągu dwudziestu trzech lat niepodległości pochłonęły 200 milionów dolarów! W kraju, gdzie tysiące ludzi umierało z głodu na ulicach! Nie obeszło się bez walki. W 1970 roku po burzliwej debacie izba niższa parlamentu uchwaliła poprawkę do konstytucji, znosząc przywileje wysoko urodzonych książąt...izba wyższa uchylila tę decyzję! W tej sytuacji dopiero prezydent Giri specjalnym dekretem pozbawił wysoko urodzonych przywilejów.

W centrum New Delhi samochód prowadzony przez uprzejmego Shika nagle się zatrzymał, z naprzeciwka nadjeżdżał elegancki wóz z czerwoną tablicą rejestracyjną i

chorągiewką z heraldycznymi znakami. W środku siedział prawdziwy maharadża. Pozbawieni przywilejów błękitnokrwieści w ten choćby sposób podkreślali swoją odrębność. Jeszcze dwa lata temu korzystali z pierwszeństwa przejazdu, a policjanci musieli im oddawać honory, salutując. Nie byłem pewien, czy kierowca tak gwałtownie zahamował, bo chciał pokazać nam samochód maharadży, czy może z nawyku. Zwykle trwają one bardzo długo w ludzkich sercach i umysłach. Kiedyś w Dżajpurze obserwowałem taką oto scenę: na biurku wyższego rangą urzędnika przez długą chwilę dzwoni telefon, ale siedzącemu za biurkiem mężczyźnie nie drgnęła nawet ręka. Ogłuchł, czy co pomyślałem zdumiony. Tymczasem urzędnik najspokojniej czekał, aż podbiegnie chłopak i poda mu słuchawkę. Po skończonej rozmowie nie położył jej na widełkach, lecz oddał słuchawkę czekającemu kornie chłopakowi.

W New Delhi do bogatej dzielnicy, Sunder Nagar, od rana ściągali biedacy, aby z okazji ślubu wnuczki Birli, drugiego na liście najbogatszych ludzi Indii, otrzymać na wielkim zielonym liściu, zastępującym talerz, trochę pożywienia przygotowanego specjalnie dla ubogich. Ten ślub był w mieście nie lada wydarzeniem, mogliśmy obejrzeć cały piękny i bardzo długi ceremoniał zaślubin, a także najbogatszych ludzi Indii. Pod ogromnym namiotem rozbitym na zielonym placu, oświetlonym różnobarwnymi lampionami zgromadziła się najbogatsza elita Delhi. Pracownik ambasady, który nas tu przywiózł, po drodze pokazał nam kilka innych ślubów, gdzie pan młody przyjeżdża do swojej wybranki na białym koniu... Tu przybył wytwornym, kremowym rolls-royce'm, jego ojciec plasował się na liście najbogatszych ludzi w Indiach na trzecim miejscu.

Na marginesie dodam, że zamieściliśmy temat w kronice 11B/72 o tym egzotycznym dla nas ślubie, przekazując widzom nieco interesujących szczegółów na przykład, że datę ślubu ustalili astrologowie, że zaproszono 3000 gości, liczby posiłków wydanych biednym nie udało się ustalić. Z pewnością zapomniałbym o wydarzeniu, gdyby nie to, że pewnego dnia otrzymałem list z Bombaju, w którym ojciec pana młodego prosił o sprzedaż mu materiału filmowego ze ślubu jego syna. Kronika nie zajmowała się handlem, zwróciłem się, przeto z zapytaniem do Naczelnego Zarządu Kinematografii, ile dolarów można wziąć za temat zamieszczony w PKF i materiał, który nie ukazał się na ekranie. Ani NZK, ani Film Polski nie potrafili mi odpowiedzieć, dając do zrozumienia, iż nie powinienem zabierać im drogiego czasu stawianiem głupich pytań. Na szczęście utrzymywaliśmy wymianę z kroniką filmową w Bombaju, wysłałem tam materiał z prośbą, aby przekazali go panu D. Otrzymałem list z podziękowaniami, w którym autor z podziwem wyrażał się o mojej hojności. Uznał, że muszę być bardzo bogaty, skoro podarowałem mu taki ważny i drogi prezent! Nie podtrzymałem korespondencji. Cóż mogłem napisać? Że to nie ja jestem bogaty, ale Polska Ludowa, która ma urzędników potrafiących handlować statkami, no i może także traktorami, ale nie tego rodzaju drobiazgami.

Ostatnie dni pobytu poświęciliśmy turystyce, odwiedzając Agrę i Kadzurao. W Agrze podziwialiśmy grobowiec z białego marmuru, Taj Mahal, który jest świadectwem romantycznej, wzruszającej do łez miłości króla, a w Kadzurao, świątynie poświęcone miłości fizycznej, przedstawionej na płaskorzeźbach w wyrafinowany i piękny sposób przez ówczesnych artystów. Erotyczne płaskorzeźby ze świątyni w Kadzurao niektórych turystów z nad Wisły kompletnie zwalają z nóg. Oto wypowiedź zaczerpnięta z Internetu z roku 2007:

„Bóg was rozliczy!

Tfuj! Powinni zburzyć to całe świństwo! Albo zakazać ludziom wstępu. Czy zdajecie sobie sprawę jak zgubny wpływ na ludzi mają takie bezceństwa. Mojej koleżance właśnie rozpada się rodzina bo mąż naoglądał się pornografii i chciał ją zmusić do naśladownictwa. Jak można dopuścić do takiego zbydlęcenia. Wszyscy zbrojeńcy i dewianci odpowiedzą za to przed Bogiem i zostaną potępieni. I dobrze im tak. Mam nadzieję że szybko to nastąpi i świat zostanie uwolniony raz na zawsze od nich i ich sprośności”.

Nasza podróż po Indiach zbliżała się ku końcowi. Pobieźnie mogliśmy poznać wielkość Indii, przeszłość kraju, której wymownym świadectwem są wspaniałe budowle i dzieła sztuki. Podziwialiśmy pyszne mauzoleum Akbara, z dynastii Wielkich Mogołów, grobowiec Taj Mahal w Agrze, wznoszony dwadzieścia dwa lata przez dwudziestotysięczną armię robotników, kamieniarzy i artystów rzeźbiarzy, świątynie Kadzurao ze sławnymi płaskorzeźbami, współczesną Birla Temple i współczesny Chandigar, z pozoru nie mieszczący się w kulturze Indii. Dzieła wzniesione w ciągu wieków są świadectwem nie tylko wielkości Indii, mówią także o odwadze myślenia i tak tu szanowanej różnorodności.

Nie bez zdziwienia stanąłem jednak (1972r) w Starym Delhi przed skromnym grobem, Mahatmy Gandhiego. Człowieka, którego uznaje się tutaj za niekwestionowanego twórcę Indii współczesnych. Nie pozostawił po sobie wspaniałych budowli (nie lubił przepychu, nie korzystał z olbrzymiej świątyni, którą zbudował dla niego Birla), żył jak większość jego rodaków, w wielkiej skromności, co go dotąd wyróżnia wśród charyzmatycznych przywódców politycznych i religijnych świata.

Jawaharlal Nehru w „Odkryciu Indii” wystawia swojemu mistrzowi najwspanialszy pomnik, pisząc: „Pod wpływem Gandhiego pojęcie wolności politycznej przybrało nową formę i uzyskało nową treść. Nie wszystko, co głosił, przyjmowaliśmy bez zastrzeżeń, a niektóre jego zapatrywania czasami zupełnie odrzucaliśmy. Ale nie to było najważniejsze. Nauki Gandhiego tchnęły duchem nieustraszonej i prawdy, ich istotną treść stanowiło nawoływanie do czynu i troska o dobro mas. W naszych starych księgach czytaliśmy, że największym darem,

mogącym się stać udziałem jednostki lub narodu jest abhaja, nieustraszonosc, nie tylko odwaga fizyczna, ale smialosc umyslu. W zamierzonych czasach naszych dziejow Czanakja i Jadzniawalkja glosili, ze zadaniem przywódców ludu jest uczynić go nieustraszonym. A tymczasem pod rządami angielskimi w Indiach dominującym uczuciem był strach, strach do głębi przejmujący, ugniatający piersi, chwytający za gardło. Strach przed wojskiem i policją, przed szeroko rozgałęzionym tajnym wywiadem. Strach przed urzędnikami. Strach przed zarządzeniami prawnymi, zwiastującymi represje. Strach przed więzieniem. Strach przed administratorem właściciela ziemskiego. Strach przed lichwiarzem. Strach przed bezrobociem i głodem, które zawsze czyhały u progu. I temu właśnie wszechwładnemu strachowi Gandhi rzucił wyzwanie, napominając Indów spokojnym, ale stanowczym głosem: „Bądźcie nieustraszeni.”

I to jest najpiękniejszy pomnik, jaki w trwającej ponad pięć tysięcy lat historii, Indie wystawiły swojemu wielkiemu synowi.

## 5. Joy Bangla!

Do Kalkuty przylecieliśmy samolotem rejsowym Air India wraz z panem Jerzym Szpunarem, konsulem polskim w Dhace. Przez cztery dni konsul starał się zorganizować transport do Dhaki. Wreszcie dostał wiadomość, że w Kalkucie wylądował samolot z Rawalpindi, którym będzie wracał z pakistańskiego więzienia do Dhaki szejka Mudżibur Rahman, przywódca zbuntowanych Bengalczyków, skazany przez sąd wojskowy w Islamabadzie na karę śmierci.

Lotnisko w Dhace praktycznie nie funkcjonowało i sprawiało wrażenie opustoszałego. W miejscu, gdzie kiedyś pracowali celnicy i służby graniczne, siedział jakiś znudzony mężczyzna z karabinem, długo szukał pieczątki, by podstemplować nasze paszporty. Nie spytał, co wwozimy, choć nie mógł nie zauważyć dość dużego bagażu służbowego (kamery w metalowej walizce, taśmy filmowej w specjalnych pojemnikach, statywu, kanistra ze spirytusem, do przemywania obiektywów, magnetofonu, zestawów oświetleniowych i trzech walizek osobistych: Sławka Sławkowskiego – operatora PKF, Bogdana Saganowskiego-asystenta i mojej najmniejszej, oczywiście.

Nazajutrz rano, gdy udaliśmy się do centrum miasta usłyszeliśmy okrzyki manifestujących mieszkańców Dhaki: „Joy Bangla, Joy Bangla” – raduj się Bengalia! Przez cały czas pobytu będziemy słyszeć to zawołanie. Joy Bangla - pozdrawiają nas uczniowie, Joy Bangla – wołają manifestujący zebracy, Joy Bangla –



rozlega się na zatłoczonych drogach i rzecznych przeprawach. Tłumy Bengalczyków wyrażają w ten sposób radość z odzyskania niepodległości i przepędzenia Pakistańczyków, traktowanych od początku powstania Pakistanu Wschodniego jak okupantów, bowiem oprócz religii nic ich z Pakistanem nie łączyło. Przez pierwsze dziesięć dni byliśmy w Dhace jedyną zagraniczną ekipą filmową. Zamierzaliśmy nawet wysłać do Warszawy z Chittagongu (tylko to portowe miasto utrzymywało łączność ze światem) naeksponowaną (naświetloną) taśmę, ale pomysłu nie zrealizowaliśmy, z powodów czysto prozaicznych. Prywatny samolot, który woził pocztę, pobierał opłatę w dolarach amerykańskich, a my dysponowaliśmy tylko niewymienialnymi wtedy w Bangladeszu na żadną zachodnią walutę, rupiami indyjskimi.

W Dhace konsul Szpunar zaproponował, żeby zrezygnować z hotelu.. Sławek i Bogdan rozlokowali się w pokoju gościnnym konsulatu, a ja skorzystałem z uprzejmości wicekonsula Romana Polaka. Jego mieszkanie świeciło pustką, bowiem żony i rodziny pracowników wyjechały do kraju, gdy rozpoczęła się dziewięciomiesięczna wojna z Pakistanem. Pracownicy placówki: konsul, wicekonsul, szyfrant i pan, który zajmował się zakupami juty, zwany „juciarzem” stanowili cały personel. Pierwszy wieczór, zaraz po przylocie, spędziliśmy w konsulacie opowiadając o kraju, bo tu wieści znaną Wisły nie docierały przez cały czas wojny. Na wspólnej kolacji, przekonałem się, że Sławek Sławkowski to nie tylko utalentowany operator filmowy, ale i zaradny życiowo człowiek. Kiedy na stole nasi gospodarze rozstawili egzotyczne potrawy, Sławek wparadował do salonu z butelką złocistego płynu w ręce i przeprosił wszystkich za zaniedbanie, którego się dopuścił, przywożąc spirytus bez soku z mazowieckich wiśni. Piliśmy więc „grejpfrutówkę”, która naszym rodakom smakowała prawie tak samo jak wiśniówka. Upředzę tu pewne fakty. Spirytus przeznaczony do przemywania sprzętu, okazał się środkiem bezcennym. Otwierał wiele drzwi, ułatwiał kontakty dyplomatyczne i towarzyskie. Grejpfrutówka smakowała szczególnie konsulowi radzieckiemu- składał często przyjacielskie wizyty tak długo, aż zakomunikowaliśmy mu, że spirytusu już nie ma. Wtedy nasze więzy bardzo się rozluźniły. Sławek ponadto był mistrzem w nawiązywaniu bliskich kontaktów z przedstawicielami różnych nacji, jego szeroko otwarta dusza słowiańska zjednywała mu przyjaciół w armii indyjskiej, wśród oddziałów Mukti Bahini, urzędników kancelarii premiera i wojskowych bengalskich. Pewien Shik, pułkownik armii indyjskiej, zaprosił nas nawet do siebie na kolację, nie tylko nas, ale także przedstawicieli armii bengalskiej, jak również cywilów ze sfer zbliżonych do demokratycznego rządu. Na przyjęciu nie było ani jednej damy. „Same chłopcy!” Sławek oczywiście przyniósł flaszeczkę mazowieckiej „grejpfrutówki.” Napój wywarł nadspodziewanie piorunujące skutki. W takt indyjskiej i bengalskiej muzyki rozpoczęły się tańce. Pamiętam, że tańczyłem z hinduskim pułkownikiem, miał on na głowie gustowny turban, więc się prezentował bardzo efektownie. Mazowiecka grejpfrutówka (podejrzewam, że nie była to jedna butelka) rozweseliła i wprawiła naszych nowych przyjaciół w doskonały nastrój. Piliśmy bruderszafty i przysięgaliśmy

sobie dozgonną przyjaźń. Sławek nie zwlekając zapytał pułkownika, kiedy pojawią się damy. Zjawiły się natychmiast: siostry, kuzynki, a nawet żony, no może nie te pierwsze, ale drugie z pewnością, bawiliśmy się wszak w świecie muzułmańskim, a muzułmanie są gościnni tak samo jak chrześcijanie! A może nawet bardziej gościnni.

Następnego dnia w wielkiej sali pałacu gubernatora (spotkaliśmy tu wielu naszych nowych przyjaciół) filmujemy uroczystość zaprzysiężenia rządu. Sędzia, w ogromnej jasnej peruce na głowie, przyjmuje od premiera wolnego Bangladeszu, Mudżibura Rahmana, uroczystą przysięgę. Ale to nie sędzia w angielskiej peruce wzbudza powszechne zainteresowanie. Oczy zgromadzonych w tej sali zwrócone są na szejka Rahmana, który pokieruje państwem, zwanym do niedawna Pakistanem Wschodnim, a teraz Bangladeszem. Zebrani wiedzą, że jest to zadanie gigantyczne, zważywszy, że tylko 18 procent tego 75-milionowego społeczeństwa umie czytać i pisać! Ten pięćdziesięciodwuletni mężczyzna jest nie tylko przywódcą kraju, ale autentycznym bohaterem narodu, symbolem walki o niepodległość. To on uzmysłowił prawdę Bengalczykom mówiąc: „..., że dotychczas byliśmy traktowani [przez Pakistan przyp. M.Ch.] jak kolonia i rynek zbytu”. Szejk Rahman cieszy się pełnym zaufaniem większości Bengalczyków. Z dziecinną wiarą i miłością nadali mu przydomek „Bangabundhu” – ojciec narodu. Miłość do premiera jest tak widoczna i ogromna, że w duchu stawiam sobie pytanie: czy jeden człowiek sprosta pokładanym w nim nadziejom? Filmowaliśmy Bangladesz dosłownie w pierwszych dniach wolności. Udzielały się nam ich radość i uniesienie, jednocześnie przerażało to, co zapisywaliśmy na taśmie. Wojna z Pakistanem trwająca dziewięć miesięcy pograżyła ten najbiedniejszy kraj świata w niespotykanej nędzy. Za wolność kraju ludność Bangladeszu zapłaciła ośmioma tysiącami spalonych wsi, prawie trzema milionami ubitych sztuk bydła, siedmiuset pięćdziesięcioma zniszczonymi fabrykami, trzystoma zburzonymi mostami, trzydziestoma tysiącami spalonych szkół, i dziesięcioma tysiącami zamordowanych nauczycieli. Wszystkich zabitych nie zdołano jeszcze wtedy policzyć. Szacowano, że było ich około cztery miliony. Cztery miliony istnień ludzkich w ciągu dziewięciu miesięcy! I prawie dziesięć milionów uchodźców, którzy znaleźli schronienie w Indiach.

Na początku stycznia 1972 roku, na wiecu w Dhace, gdzie zgromadziło się ponad milion ludzi, Mudżibur Rahman mówił o zbrodni ludobójstwa, jakiego dopuściła się armia Jahyi Khana.

Harikarparę nazywają wsią grozy. Wody Burigangi, przez cały kwiecień 1971 roku, miały kolor czerwony od krwi. Żołnierze pakistańscy mordowali tu ludzi od świtu do zmierzchu. Początkowo strzelając z karabinów. Później dla oszczędności amunicji- wiązano przeznaczonych na śmierć sznurami z juty po ośmiu, po dziesięciu, z rękami wykręconymi do tyłu, potem rozcinano im brzuchy i wrzucano do rzeki. Naoczni świadkowie zbrodni, stara kobieta i jej mąż, mówią nam: nocami, kiedy zapadała cisza, słychać było jęki umierających. Żołnierze wymordowali niemal

wszystkich mieszkańców wsi. Zwozili tu Bengalczyków z innych miejscowości. W kwietniu ubiegłego roku, zamordowali w Harikarparze dwadzieścia tysięcy ludzi! Nie kopano grobów, wody rzeki pochłaniały ciała pomordowanych. Idziemy brzegiem Burigangi, co kilka kroków leżą szerniałe od mułu ludzkie czaszki i szkielety. Harikarpara nie jest wyjątkiem. Czaszki ludzi widziałem na brzegu rzeki w Narayanganj, na ryżowiskach Tangail i na łąkach w pobliżu Dhaki. Ludzie zobojętnieli tu na śmierć. Z twarzami przysłoniętymi białymi chustami zbierają szczątki pomordowanych. Mnie brzegi Gangesu, Burigangi i Jamuny długo się jeszcze śniły. Egzotyczne krajobrazy przesłaniały mi zgliszczą bengalskich wsi. Kwiaty, które oglądałem w Bengalii – wielobarwne, o baśniowych kształtach – nie cieszyły moich oczu. Do dziś, po tylu latach, nie mogę zapomnieć nędzy uchodźców, rozgnionych oczu dzieci umierających tak wprost na ziemi, w obozowiskach, pod gołym niebem.

W Comilli, mieście położonym nad granicą z Indiami, komendant policji wiezie nas do zacisznej doliny otoczonej niewielkimi wzniesieniami, nad którą unosi się mdlący zapach ekshumowanych zwłok. Ludzie odkopujący zbiorowe groby z ledwością wytrzymują upał i trupi zapach. Nie pomagają zawiązane na twarzy chusty, co pół godziny muszą się zmieniać. Przywołano nas tu na świadków ludobójstwa. Nikt nie potrafił, nawet w przybliżeniu, określić liczby zamordowanych w tej zacisznej dolinie. Nieopodal, w koszarach inne zbiorowe groby. Zachowały się jeszcze mundury, czapki, dystynkcje. Bez sądu, bez wyroku Pakistańczycy zabijali tu oficerów pochodzenia bengalskiego.

Styczeń w Dhace można nazwać miesiącem radości i nadziei, ale także miesiącem liczenia strat i żałoby. Oto zupełnie przypadkiem spotykamy pochod kobiet. W długiej kolumnie przemarszu ustawiły się matki z maleńkimi, nagimi dziećmi na rękach i młode piętnasto - szesnastoletnie dziewczyny. Co jakiś czas z magnetofonu zainstalowanego na rikszy rozlegają się hasła, kobiety podnoszą ręce w górę i skandują najgłośniej jak tylko można, ale nie radosne „Joy Bangla” tak popularne w tych dniach w całym kraju, lecz słowa twarde, słowa rozpacz. Kobiety oskarżają barbarzyńską armię pakistańską. Nad ich głowami powiewają czarne flagi, choć nie jest to pochod anarchistek, a słabych i bezbronnych kobiet, ofiar wojny.

Zdemoralizowana armia Jahyi Khana dopuściła się nie tylko zbrodni ludobójstwa. Żołnierze przysłani tu przez Islamabad plądrowali domy, grabili mieszkania. Urządzali łapanki, uprowadzali córki od ojców i żony od mężów, wywozili do koszar i tam gwałcili - w całym kraju spotkało to ponad dwieście tysięcy kobiet. Teraz, gdy inni cieszą się wolnym państwem, one nie mogą wrócić do swoich rodzin. Tradycja muzułmańska na to nie pozwala. Ojcowie nie wpuściliby do domów skalanych córek, mężowie - żon. Bez dachu nad głową, bez środków do życia przeklinają prześladowców i manifestują swoją rozpacz! Wiele dni później, na spotkaniu z bengalskimi działaczkami społecznymi, dowiemy się, że tysiące kobiet, nie chcąc żyć z piętnem hańby, popełniło samobójstwo.

Na spotkanie działaczek zaprosiła nas pani Murjahan Murshed. W czasie wojny schroniła się w Indiach. Jako deputowana do zgromadzenia narodowego Bangladeszu, z ramienia Ligi Awami, wystąpiła w indyjskim parlamencie w New Delhi, za co w Islamabadzie otrzymała wyrok.

Przyszły na to spotkanie kobiety ze wszystkich warstw społecznych. Swoją przedstawicielkę delegował także związek zawodowy żebraczek. Spotkanie odbywało się w ogrodzie Murjahan Murshed. Bengalki debatowały, jak się zorganizować, by uczestniczyć w tworzeniu demokratycznego państwa. W czasie bardzo ożywionej dyskusji, kiedy przemawiała pani Taslima Abed, z wieży pobliskiego meczetu rozległ się głos mułły, wzywający wiernych do modlitwy. Taslima Abed natychmiast zamilkła i kornie skłoniła głowę przed Allahem. Ręce zebranych tu kobiet przysłoniły twarze lśniącym jedwabiem... W rezolucji skierowanej do premiera Rahmana panie zażądały dla swojej przedstawicielki stanowiska w rządzie, zaproponowały- aby jak mężczyźni- mogły przechodzić przeszkolenie wojskowe.

Po spotkaniu zostaliśmy zaproszeni na herbatę, by w wąskim gronie wymienić poglądy. Organizatorki debaty zasypały nas pytaniami o pozycję kobiet w Polsce, o szkolnictwo, służbę zdrowia, pracę zawodową.

Nurunnessa Chowdury, poetka i dziennikarka, autorka zbiorów wierszy („Czekanie na gwiazdę”, „Płonący las” i „Echo”) gdy podzieliłem się z nią swoimi spostrzeżeniami na temat zachowania kobiet w czasie pieśni mułły, gorąco mnie przekonywała, że nie religia lecz warunki społeczne i analfabetyzm są największymi przeszkodami na drodze wyzwolenia kobiet.

Przed konsulatem polskim pewnego dnia zgromadziła się liczna grupa młodych mężczyzn, uzbrojonych w karabiny i granaty. Przyszli zademonstrować swoją sprawność i odwagę. Był to oddział Mukti Bahini – bojowników wolności. Formacje Mukti Bahini odegrały w walce z armią pakistańską ważną rolę. W szeregi bojowników wolności wstępowali ludzie młodzi, przede wszystkim studenci, młodzież robotnicza i chłopska. Prawdziwa partyzantka, licząca ponad sto tysięcy bojowników. Wysadzali pociągi, likwidowali posterunki policji, dezorganizowali sprawność pakistańskiej armii. Zwalczali przeciwników i kolaborantów. Nie byli jedyną formacją, ale najsilniejszą i najliczniejszą. Teraz, gdy ustały walki, stali się radykalną siłą polityczną. Ocalili nam życie, gdy w drodze do Jessore zostaliśmy ostrzelani, przez grupę zbłąkanych Pakistańczyków. Oddział Mukti Bahini szedł tropem niedobitków i odpowiedział ogniem.

Bangabundhu wezwał wszystkie uzbrojone formacje do złożenia broni. Wyzначył dziesięciodniowy termin. Część oddziałów Mukti Bahini postawiła warunki i zażądała gwarancji: dla studentów, członków Mukti Bahini - bezpłatnych studiów,

dla robotników - pracy, dla tych, którzy nadal zechcą nosić broń - służby w policji i wojsku. Premier musiał przedłużyć terminy.

Inauguracyjne, uroczyste składanie broni odbędzie się w Tangail, w mieście oddalonym od Dhaki o 75 kilometrów. Wybrano to miasto nieprzypadkowo. Oddziałami Mukti Bahini dowodził w tym rejonie sławny na cały kraj Kader Siddiki – „Tiger Tangail”. Zasłynął odwagą i nadzwyczajną szybkością działania podległych mu formacji, stąd ten przydomek. Ze stolicy wyjechaliśmy zaraz po wschodzie słońca. Na całej trasie stały już niezliczone tłumy. Bengalczyki przyszedli tu, by zobaczyć na własne oczy szejka Mudżibura Rahmana. Pierwszy raz w życiu widzę wzdłuż drogi, ciągnącej się przez siedemdziesiąt pięć kilometrów tysiące, mężczyzn i kobiet. Przyszli witać Bangabundhu już o wschodzie słońca, choć wiedzą, że pojedzie tędy dopiero po południu.

W Tangail, na polach za miastem, gromadzi się ludzkie mrowisko. Pytam Sławka i Bogdana, ile osób stoi na placu? Czteryście, może pięćset tysięcy, a wskazówki zegarka pokazują dopiero 9,30. Przed trybuną czeka szesnaście tysięcy walecznych ludzi. Równy, w długich szeregach ustawili karabiny i moździerze, leżą granaty. Tuż obok stoją Mukti Bahini. W zielonych mundurach, boso, z automatycznymi pistoletami przewieszonymi na piersiach. Na trybunie organizatorzy widowiska co pewien czas wznoszą okrzyki: „Joy Bangla – raduj się Bengalio” ! Wchodzimy na trybunę, by z podwyższenia zrobić zdjęcia w ogólnym planie. Sławek Sławkowski podchodzi do wznoszącego okrzyki, wyjmując mu z ręki mikrofon i woła z całych sił: „Joy Bangla!” Odpowiada mu to samo pięćset tysięcy gardeł. Aż trzęsie się trybuna. Kiedy Sławek mówi, że jesteśmy z Polski wybucha huragan oklasków! O Polsce wiedzą tu jedynie, że głosowała w ONZ za uznaniem Bangladeszu i że panuje u nas socjalizm.

Nieopodal trybuny zebrali się bengalscy harcerze. Ćwiczą właśnie musztrę pod rozkazami starszych braci z Mukti Bahini, tyle że zamiast karabinów używają bambusowych patyków. Wymowna jest symbolika tych dwóch scen. Gdy starsi oddają broń, najmłodszy uczy się nią władać. Nikt, żaden Pakistańczyk nie nazwie ich już „tchórzliwymi Bengalczykami.”

Służby porządkowe zaczynają usuwać z trybuny dziennikarzy bengalskich i zagranicznych. Zamierzamy opuścić podium jak inni, ale powstrzymuje nas szef całej uroczystości. Wy możecie zostać, jesteście naszymi gośćmi i przyjaciółmi. Zastanawiam się, czemu zawdzięczamy to wyróżnienie. Wicekonsul, który zna doskonale mentalność Bengalczyków, mówi: to proste, nie zdarzyło się jeszcze na żadnym wiecu, by przybysz z Europy czy Ameryki, słowem biały człowiek, wznosił okrzyki na cześć Bangladeszu.

Z prawej strony dobiega do nas narastający szum. Zebrany tłum zaczyna falować. Okrzyki „Joy Bangla” potężnieją. Nadjeżdża właśnie Mudżibur Rahman, towarzyszy mu najślawniejszy bojownik, Tiger Siddiki. Patrę na niego pierwszy raz w życiu, ale mam uczucie, że już go gdzieś widziałem. Ależ tak, gdyby zamiast kapelusza miał na głowie beret...sposobem poruszania się, fryzurą i sylwetką przypomina Che Guevarę. Widocznie wszyscy bojownicy – rewolucyoniści mają jakieś wspólne cechy.

Bangabundhu i Tiger przechodzą przed stojącymi na baczność oddziałami Mukti Bahini. Zaczyna się uroczystość zdawania broni. W stronę Mudżibura Rahmana i Kader Siddikiego sprężystym krokiem, z karabinem w obu rękach wyciągniętymi do przodu, zbliża się żołnierz z Mukti Bahini. Przekazuje karabin swojemu dowódcy, Kader Siddiki kłęka przed premierem Rahmanem i składa u jego stóp karabin – symbol. Bangabundhu schyla się po broń, podnosi ją z ziemi i w obu rękach unosi w górę, nad głowę. Potem obejmuje po kolei Siddikiiego i towarzyszących mu dowódców, przytula mocno do piersi i jak ojciec synów całuje każdego w czoło.

Jest w tej scenie coś, co ściska gardło i zmusza do refleksji, nie tylko przez swą uroczystą a niezwykłą oprawę, ale przede wszystkim przez swoją treść. Oto Bangladesz stawia pierwszy krok w kierunku stabilizacji i likwidacji chaosu.

Poruszamy się po Bangladeszu fiatem 125p, udostępnionym przez konsulat. Samochód nadspodziewanie dobrze zdaje w tym klimacie egzamin, przez cały czas pobytu ani razu się nie zepsuł. Na drogach obowiązuje ruch lewostronny, ale nie to stanowi niebezpieczeństwo, tylko kierowcy. Pakistańczycy uciekając w pośpiechu z Bangladeszu pozostawili samochody. Natychmiast przejęli je Bengalczyki, nie wszyscy mają prawa jazdy i oni stanowią pierwszy i największy problem. Drugim są przeprawy na rzekach. Mosty zburzyła armia pakistańska, do promów więc ustawiają się długie kolejki. Nie wszyscy kierowcy opanowali sztukę wjeżdżania na prom. Obserwujemy jak pewien Bengalczyk usiłuje pokonać podwyższony wjazd volkswagenem - garbusem i za każdym razem zjeżdża do tyłu. Ludzie zgromadzeni na brzegu rzeki obserwują te wysiłki ze stoickim spokojem. Tylko nasz Sławek nerwowo nie wytrzymuje. Kiedy niefortunny kierowca po raz kolejny zsuwa się ze stromego podjazdu, podchodzi zdecydowanym krokiem do volkswagena, prosi właściciela, by wysiadł, siada za kierownicą, dodaje gazu i niemal wskakuje na pokład. Ludzie czekający na przeprawę nagradzają go oklaskami i pozwalają, by poza kolejką, własnym pojazdem, wjechał na prom. Trudno odmówić, z takiej propozycji Sławek nie zrezygnuje, natychmiast dodaje gazu i już jest, wychodzi z fiata i klaszcząc w dłonie, dziękuje za uprzejmość i brawa, pozdrawia zebranych już swojskim: „Joy Bangla” !

Nasze zdziwienie sięgnie zenitu dopiero przy następnej przeprawie. Po dwudziestu kilometrach jazdy znowu ustawiamy się w kolejce oczekujących samochodów. I tu następuje niespodzianka. Po kilku minutach oczekiwania

podchodzi do nas Bengalczyk, z urzędową miną, proponuje opuszczenie kolejki i zaprasza na prom. Ustępuję mu miejsca, siadam z tyłu przy Bogdanie i ruszamy. Kiedy dojeżdżamy już do brzegu, Bengalczyk wysiada z fiata i pokazuje Sławkowi, aby ustawił się na pierwszym miejscu. Zadajemy sobie pytanie, co się stało? Przecież z poprzedniej przeprawy nie mogli zadzwonić i opowiedzieć kolegom, jak Sławek pokonał stromy wjazd. Łączność telefoniczna nie istnieje. Nie ma też na brzegu żadnego budynku, są tylko zwalone przęsła mostu. Tego dnia wszystkie przeprawy pokonywaliśmy poza kolejnością. Na brzegach rzek, przy promowych przeprawach natychmiast organizuje się życie. Chłopcy sprzedają w tym upale zimną coca – colę, a dziewczynki żebrzą. Można tu kupić posiłek, a nawet żywe ryby, trzymane przez rybaków na sznurkach przewleczonych przez skrzela.

W Dhace prawie codziennie odbywają się różnego rodzaju pochody. W miarę upływu czasu zmienia się ich charakter, już nie słychać radosnego: „Joy Bangla”! Manifestanci zgłaszają teraz postulaty pod adresem rządu: bezrobotni żądają pracy, żebracy - żywności, chorzy - lekarstw. Bangladesz jest zaliczany do najbiedniejszych krajów świata. Jak rząd Mudżibura Rahmana sprostą temu morzu potrzeb? Bez pomocy bogatych państw nie jest to możliwe. Na jednym ze skwerów miasta umierają ludzie chorzy na cholere. Na chodnikach ulic pełno żebraków z wylupionymi oczami, bez nóg, bez rąk. W tym najbiedniejszym kraju świata dzieciom, zaraz po urodzeniu, nędzarze łamią rączki bądź nóżki, by gdy podrosną wzbudzały większą litość, kiedy zaczną żebrać. Ich los przesądza się zaraz po urodzeniu. Nie dostają od życia żadnych szans, nawet tego złudzenia, iż są równi wobec prawa. Będą jak ich rodzice, żebrakami. Żebractwo w Bangladeszu jest społecznie akceptowane. Istnieje tu związek zawodowy żebraków. Przed siedzibą lokalnego komitetu partii komunistycznej na chodniku leżą ludzie okaleczeni i proszą o wsparcie. Działacze komitetu objaśniają, że są to członkowie partii, którzy dzielą się użebranymi pieniędzmi z partią właśnie. Partia komunistyczna, zdelegalizowana przez władze Pakistanu, teraz działa legalnie i zyskuje wpływy w najbiedniejszych warstwach społeczeństwa. Czerwone flagi z sierpem i młotem wiszące na budynkach czy niesione w manifestacjach nie należą w Bangladeszu do rzadkości. Wpływy partii w społeczeństwie zwykło tu się mierzyć liczbą ludzi zgromadzonych na wiecach. Na pierwszy wiec w Dhace, zwołany przez komunistów, przyszło ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Pierwsze samoloty z pomocą, jakie wylądowały na lotnisku w stolicy Bangladeszu, przyleciały ze Związku Radzieckiego. W styczniu 1972 roku istniała w tym kraju tylko jedna partia komunistyczna, można ją nazwać proradziecką. Czy powstanie prochińska?

W czasie robienia zdjęć na ulicach Dhaki podszedł do nas młody człowiek prosząc o wsparcie. Był schludnie ubrany, nie widać było na nim śladów zaniedbań, ani biedy. Dostrzegłszy nasze zdziwienie, szybko wyjaśnił, iż jest studentem miejscowego uniwersytetu i aby rozwiać do reszty nasze wątpliwości pokazał dokument, w którym napisano, że jest biednym studentem i władze miasta pozwalają mu żebrać. Gdy dowiaduje się, że przyjechaliśmy z Polski, informuje, że na jego

uczelnia, na wydziale fizyki, pracuje polski komputer i prowadzi nas na uniwersytet. W dużej sali stoi urządzenie o rozmiarach kilku szaf. Bogdan Saganowski pierwszy dostrzeżę napis: „Odra.” Jest to rzeczywiście komputer znad Odry, wyprodukowany we Wrocławiu. Nie ulega wątpliwości, że go sfilmujemy, by w ramach propagandy sukcesu, nakazanej nam przez partię, pokazać go nad Wisłą. Że to ciekawostka? Nie ma żadnych ciekawostek! Jest tylko propaganda. Szukamy kogoś, kto uruchomi tę szafę, bo migające światełka zawsze ubarwiają obraz. Uprzejmy student, który udał się na poszukiwania człowieka obsługującego komputer, po kilku minutach wraca ze smutną miną.

Okazuje się, że dwaj technicy, którzy przeszli przeszkolenie w Polsce, już tu nie pracują. Zostali zatrudnieni w warsztacie naprawy samochodów, bo tam więcej zarabiają. Sławek wyraża głośno swoje wątpliwości, przecież umiejętność obsługi komputera nie daje kwalifikacji potrzebnych przy naprawie samochodu. Student patrzy na Sławka zdumiony. Ty chyba żartujesz – mówi – człowiek, który potrafi naprawić tak skomplikowane urządzenie jak ten komputer, z łatwością poradzi sobie z każdym samochodem. Bengalczyki są ludźmi bardzo gościnnymi i uprzejmymi. Student żebrak okazał nam tyle życzliwości - nie przesadzę, gdy napiszę serdeczności - że nie wiedzieliśmy jak się z nim rozstać. Nie wypadało dać mu kilka rupii. Zbliżała się pora obiadu, więc zaprosiliśmy go do chińskiej restauracji prowadzonej przez pana Minga, w której się stołowaliśmy od samego początku pobytu w Dhace.

Poprosiliśmy naszego cicerone, aby wybrał jakieś bengalskie danie, które lubi najbardziej. Zamówił rosół z ryby, a na drugie duszonego węża z ryżem i sałatką z młodych pędów bambusa, kha-nun, i avocado, przybraną ananasem.

Sławek spostrzegł, że Bogdan nie ma rozradowanej miny, pocieszył więc swojego asystenta: bądź zadowolony, że nie zamówił jednego z tych piesków, które biegają po podwórku.

Pan Ming, człowiek nadzwyczaj uprzejmy, wiedząc że jesteśmy łaśmi na wszelkie wiadomości odpowiadał chętnie na wszystkie pytania. Zrozumiał, że najwięcej mówił o własnej firmie. Przed wojną dziewięciomiesięczną z Pakistanem, jego restauracja była zaliczana do piątki najlepszych w Dhace. Wojna doprowadziła go na krawędź ruiny, bo nie ma nic gorszego niż wojna połączona z rewolucją. Przed rokiem bywała w jego restauracji wytworna klientela, biznesmeni, dziennikarze, oficerowie i artyści, ma się rozumieć także wyżsi urzędnicy państwowi i prawnicy. W ciągu tych fatalnych dla pana Minga miesięcy ograbiono lokal prawie doszczętnie. Zabrano dwa telewizory, lodówkę, nawet fotele. Proszę spojrzeć, dodawał ze smutkiem pan Ming, na ścianach są widoczne jeszcze miejsca po obrazach, które tu wisiły. Nie były to żadne falsyfikaty a obrazy malowane przez znanych artystów w Chinach i tu



sprowadzone. Dalej gospodarz wyrażał nadzieję, że teraz, gdy Bangladesz ma już legalny rząd, a na jego czele stoi szejk Rahman, znowu wrócą normalne czasy.

Pan Ming nie jest wyjątkiem, podobnie jak większość Bengalczyków wiąże swoje nadzieje na przyszłość z Mudżiburem Rahmanem.

Tymczasem premier Rahman zdaje sobie sprawę z tego, w jak trudnym położeniu znajduje się jego kraj i nie obiecuje społeczeństwu zbyt wiele, w każdym razie nic konkretnego nic, czego nie mógłby wykonać. Gwarantuje rządy demokratyczne, pokój i świecki charakter państwa. Państwo świeckie to niezmiernie istotna zmiana, wszak Pakistan Wschodni był częścią Islamskiej Republiki Pakistanu. Brytyjczycy opuszczając Indie utworzyli nowe państwo - Pakistan, według kryteriów wyznaniowych. W swoich przemówieniach wspomina o demokratycznym socjalizmie, ale bliżej nie precyzuje, co przez to rozumie. Na pytania dziennikarzy dotyczące problemów kraju odpowiada: poczekajcie, wkrótce zobaczycie. Nie określa też dokładnie zasad, na jakich zostanie oparty model gospodarczy nowego państwa. Uruchomienie przemysłu i odbudowa kraju, uniknięcie klęski głodu są przedmiotem największej troski Rahmana.

Pierwsza konferencja prasowa premiera zgromadziła jeszcze więcej dziennikarzy z całego świata niż ceremonia zaprzysiężenia rządu. Wiele ekip filmowych i telewizyjnych dojechało tymczasem do Dhaki. Na tarasie, gdzie odbędzie się konferencja, robi się coraz tłoczniej. Stolik, przy którym za chwilę usiądzie premier Rahman, nie może pomieścić mikrofonów. Nie dla wszystkich dziennikarzy starcza krzeseł. Operatorzy instalują około czterdzieści kamer filmowych i telewizyjnych. Ledwo Mudżibur Rahman pojawił się w drzwiach, dziesiątki aparatów fotograficznych odezwało się trzaskiem migawek i błyskiem fleszów. Mudżibur Rahman odczytuje oświadczenie rozdane uprzednio dziennikarzom. Do tekstu drukowanego wprowadza tylko jedną zmianę. Po podziękowaniu Indiom, ZSRR, Polsce i innym krajom za poparcie walki Bengalczyków dziękuje tej części amerykańskiego społeczeństwa, która solidaryzowała się z ruchem narodowo-wyzwoleńczym jego kraju.

Z sali natychmiast pada pytanie, czy premier widzi różnice między postawami amerykańskiego rządu i społeczeństwa?

- A pan nie widzi? Pada odpowiedź.

Konferencję kończy Mudżibur Rahman oskarżeniem armii Pakistanu, która w ślepym obłędzie nienawiści mordowała bezbronną ludność, burzyła szkoły i paliła wsie. Niedziela, szesnastego stycznia, została ogłoszona Dniem Narodowej Pamięci. Na dziedzińcu uniwersytetu w Dhace odbył się wiec. W miastach i wsiach przeszły pochody z flagami Bangladeszu przybranymi krepą. W miejscach mordów ludzie

składali kwiaty i zawieszali tablice z nazwiskami pomordowanych. Dopiero tej niedzieli zobaczyliśmy, ile jest grobów na ulicach Dhaki. Jak w Warszawie !

Od paru dni Dhaka przygotowywała się do powitania proroka bengalskich chłopów, maulany Abdul Hamida Khana Bashaniego. Bashani wracał z wygnania do ojczyzny. Powstał nawet komitet, który zajął się organizacją powitania sędziwego przywódcy najbiedniejszych chłopów, a gazety opublikowały wiadomość, że rząd przygotował dla Bashaniego miejsce w szpitalu. Nie pojechaliliśmy na lotnisko, ze źródeł związanych z premierem dowiedzieliśmy się, że Bashani nie wylądował w Dhace. Wyruszyliśmy do Shantos, rodzinnej wsi maulany- nauczyciela. Zdążyliśmy w samą porę. Właśnie na plac wtaczała się ogromna ciężarówka z dobytkiem Bashaniego i podarkami, jakie w drodze powrotnej z Indii otrzymywał od chłopów. Bashaniego, sędziwego, osiemdziesięciodziewięcioletniego przywódcę z długą, białą brodą patriarchy otoczył tłum ludzi. W zgiełku orkiestr chłopskich trudno było usłyszeć jego głos, głos nauczyciela. Nie wyglądał na człowieka schorowanego, choć rzeczywiście cierpiał na cukrzycę i towarzyszył mu w podróży lekarz.

Do Shantos ściągnęły tysiące bezrolnych chłopów. To właśnie do nich maulana powiedział: „Allah nie pomoże temu, kto sobie sam nie pomoże”. W kilka dni po powrocie ogłosił, że przechodzi do opozycji i skrytykował rząd za sojusz z Indiami. Tylko on mógł sobie na to pozwolić, nikt bowiem nie równał się z nim w zasługach, jakie wniósł, budząc narodową świadomość wśród bengalskich chłopów.

Życie w Dhace wróciło do normalności, Air India wznowiła loty samolotów do Kalkuty, Karim, dwudziestoczteroletni służący wicekonsula, u którego mieszkalem, pewnego wieczoru poprosił swojego pracodawcę o tydzień urlopu, otrzymał bowiem radosną wiadomość, że żona urodziła mu syna. Zdumiony wicekonsul zapytał:

- Wybacz Karimie, o ile pamiętam od dwóch lat nie byłeś w domu?

- To prawda, panie, ale w domu jest przecież mój brat. Syn jest mój, bo żona należy do mnie.

Nie wiem, czy Karim okazywałby taką radość, gdyby jego żona powiła córkę? Córce, ojciec musi zapewnić posag! A to pod tą szerokością geograficzną stanowi poważny problem. Gdy pracownikowi polskiego konsulatu, Bengalczykowi, urodziła się piąta córka, przez kilka dni, ze zmartwienia, nie zamienił z nikim ani jednego słowa.

My też zaczęliśmy myśleć o powrocie do Indii, gdzie to na dwutygodniowy pobyt zaprosiła ekipę Polskiej Kroniki Filmowej pani premier Indira Gandhi.

W Bangladeszu czekało nas jeszcze spotkanie z premierem Mudżiburem Rahmanem.

Wywiad z premierem Bangladeszu Mudżiburem Rahmanem przeprowadzaliśmy pod gołym niebem. W ogrodzie przed jego domem zasiadła cała rodzina: syn i starsza córka, zięć, żona premiera i sędziwy ojciec. Nie pojawiła się tylko najmłodsza, niezamężna córka, przepiękna młoda dama, bowiem zwyczaj na to nie pozwalał. Spotkaliśmy ją wcześniej na bazarze kupującą owoce.

Premier podziękował Polsce za wsparcie i pomoc, zapewnił, że Bangladesz będzie korzystał z naszych doświadczeń w rozwiązywaniu własnych problemów.

Już po skończonym wywiadzie zapytał nas o wrażenia. Odpowiedzieliśmy, że mamy bogaty materiał filmowy o pierwszych dniach wolności Bangladeszu. Nie udało nam się zrobić jedynie zdjęć z lotu ptaka. Pożegnaliśmy się z premierem i jego rodziną.

W przeddzień odlotu do konsulatu nadeszła wiadomość, że samolot pasażerski bengalskiej armii czeka na nas na lotnisku w Dhace. Od pilota dowiedzieliśmy się, że jest to jedyny samolot, jakim dysponują siły lotnicze Bangladeszu. Mieliśmy szczęście, zrobiliśmy zdjęcia Bangladeszu z lotu ptaka!

Kiedy samolot Air India wzniósł się w powietrze, przypomniałem sobie słowa prezydenta Pakistanu, Jahyi Khana, które wypowiedział o swoim więźniu, Mudżiburze Rahmanie, opublikowane w „Newsweeku” w listopadzie 1971 roku: „Wiele osób – powiedział dziennikarzowi – może mi nie wierzyć, lecz sądzę, że gdyby Rahman powrócił do Wschodniego Pakistanu, zabiliby go jego własni ludzie. Uważają, że jest on odpowiedzialny za ich cierpienia...”

Oglądałem ten powrót! Triumfalny przejazd ulicami Dhaki i drogami kraju. Słyszałem jak miliony ludzi, aż do zachrypnięcia, skandowały: „Joy Bangla!” To prawda, Szejk Mudżibur Rahman, nie wracał do Pakistanu Wschodniego, a do wolnego Bangladeszu.

Widzowie Polskiej Kroniki Filmowej mieli możliwość obejrzeć na ekranach narodziny nowego państwa – Bangladeszu. Także w kolorowym filmie pt. „Bengalia.”

P S. W trzy dni po naszym powrocie do kraju w prasie ukazała się wiadomość PAP, że jedyny samolot, jakim dysponowała armia Bangladeszu, rozpadł się w czasie lotu.

## 6. WIZYTY PAŃSTWOWE

W czasie trzynastu lat pracy wielokrotnie wyjeżdżałem z oficjalnymi delegacjami państwowymi za granicę. Nie zamierzam opisywać wszystkich, bo miały one mniej więcej jednakowy przebieg. Wspomnę o kilku, moim zdaniem ciekawszych. Najczęściej wyjeżdżałem z Edwardem Gierkiem.

W 1977 roku obsługiwałem wizytę I Sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej we Włoszech i w Watykanie. Odwiedził on wtedy, jako pierwszy przywódca Polski Ludowej, cmentarz na Monte Casino, gdzie złożył wieniec i oddał hołd poległym tu polskim żołnierzom.

W Watykanie, na dziedzińcu San Damaso, gdzie odbywało się oficjalne powitanie, na gościa z Polski oczekiwała gwardia papieska, zwana także szwajcarską i najmniejszą armią świata, w barwnych strojach z halabardami, dostojnicy kurii i oczywiście obsługa prasowa. Watykańscy specjaliści od protokołu dyplomatycznego ustawili nas w określonym miejscu i stanowczo nakazali, by zachowywać się odpowiednio do miejsca, w którym się znajdujemy. Znaczyło to ni mniej ni więcej tyle, że nikt nie powinien ruszyć się z przydzielonego mu miejsca. Ryszardowi Golcowi, operatorowi PKF, przypadło miejsce, z którego nie był zadowolony. Bardzo ubolewał, że nie może stanąć metr czy dwa dalej, aby zrobić najlepsze ujęcie. Wpadł jednak na pomysł, że można o pół metra przesunąć w prawo gwardzistę z halabardą, a on zrobi wtedy najlepsze ujęcie w swoim życiu. Zaczął mocno na mnie nalegać, bym zajął się rozwiązaniem tej kwestii. Zwróciłem się z tym problemem do przedstawiciela naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prosząc o pomoc. Dyplomata Kronice gotów był nieba przychylić, a zwłaszcza Ryśkowi, którego wszyscy lubili i cenili. Udaliśmy się do jakiegoś monsignora z watykańskiego protokołu, którego pracownik MSZ poprosił o przesunięcie człowieka z halabardą o pół metra w prawo. Ten spojrział na nas z wyrozumiałą dezaprobatą i spokojnie odpowiedział:

- Nie mogę tego uczynić szanowny kolego, przecież gwardzista stoi w tym miejscu od ponad czterystu lat...

Przyjeliśmy werdykt z właściwą pokorą i zajęliśmy wyznaczone miejsca. Między Polską Kroniką Filmową a telewizją istniała ciągła rywalizacja, przeradzająca się często w jawną niechęć. Wspominam tu o tym nie bez kozery. W Rzymie ekipa PKF składała się tylko z dwóch osób, natomiast ekipa telewizji liczyła trzech operatorów. Nie pamiętam już dokładnie, ilu redaktorów, dźwiękowców i specjalistów z innych dziedzin towarzyszyło prezesowi, Maciejowi Szczepańskiemu. Złośliwi komentowali, że jest to odrębna delegacja wizytująca Italię.

Po oficjalnej wizycie w Watykanie, późnym popołudniem, w dniu odlotu Edward Gierek wydał koktajl, w którym uczestniczyli kardynał Agostino Casaroli, twórca nowej polityki Watykanu wobec krajów Europy Wschodniej, i kardynał Stefan Wyszyński, liczni biskupi, a także szefowie włoskich partii politycznych, wśród nich Enrico Berlinguer, sekretarz generalny Włoskiej Partii Komunistycznej, jeden z twórców eurokomunizmu, nurtu politycznoideowego nie uznającego dyktatury, a co zatem idzie - leninizmu. Już samo zestawienie nazwisk świadczyło, że nie było to spotkanie banalne.

Stałem w pobliżu, gdy Edward Gierek podszedł do Stefana Wyszyńskiego.

- Słyszałem - powiedział do kardynała- że pan chorował.

- To prawda, panie pierwszy sekretarzu - odpowiedział kardynał- ale dzięki Bogu, już się czuję dobrze. Kardynał o coś poprosił pierwszego sekretarza. Ten odpowiedział, że nie może spełnić jego prośby.

- Nic nie szkodzi - pocieszył kardynał pierwszego sekretarza - załatwię to z pana małżonką. Oddaliłem się w tym momencie od rozmawiających, nie wypadało przysłuchiwać się prywatnej rozmowie.

Operatorzy filmowi i telewizyjni na tego rodzaju spotkania wpuszczani są tylko na chwilę. Dostaliśmy znak, że możemy filmować. Ryszard Golc wykorzystał dany nam czas, co do sekundy. Polska Kronika Filmowa, była jedyną ekipą filmującą opisane spotkanie. Zdziwiła mnie nieobecność wyjątkowo licznej ekipy telewizji. W koktajlu nie uczestniczył także Maciej Szczepański. Później okazało się, że cała ekipa Telewizji Polskiej wyruszyła w tym czasie na zakupy!

W samolocie otrzymałem polecenie: po wywołaniu taśmy, udostępnić natychmiast materiał telewizji. Zsiniałem ze złości! To przecież nie było w porządku. Musiałem ustąpić przed potęgą Macieja Szczepańskiego. Przeżywałem jednak w duszy cichą satysfakcję, że Polska Kronika Filmowa okazała się lepsza i solidniejsza. Nie pierwszy i nie ostatni raz!

Wizyta w Szwecji też była pełna niespodzianek. Rząd szwedzki nie ma specjalnej kolumny samochodowej, wynajmuje eleganckie limuzyny w firmie prywatnej. Samochodów nie prowadzą oficerowie z biura ochrony rządu, bo taka jednostka nie istnieje. Nic więc dziwnego, że w czasie wizyty kawalkada samochodów wioząca polską delegację, wracającą do rezydencji w Sztokholmie, pomyliła drogę i musiała się zatrzymać, aby zapytać, jak dojechać do Pałacu Haga. Na szczęście, przez rynecek przechodziła pani niosąca w koszu bieliznę do pralni. Wskazała drogę, a na pożegnanie zapytała, czy to polska delegacja? A kiedy usłyszała potwierdzenie, rzekła:

- Bardzo mi miło, dziś wieczorem spotkamy się na kolacji.

Panią okazała się żona premiera Szwecji, Lisabet Palme. No cóż, co kraj to obyczaj!

4 czerwca 1975 roku Edward Gierek odleciał helikopterem do Harpsund, letniej rezydencji premiera Palme, położonej nad jeziorem w malowniczej okolicy. W przerwie między rozmowami obaj panowie wyszli na spacer, podeszli do dziennikarzy, przywitali się z nami i po krótkiej rozmowie udali się w stronę jeziora, oddalonego od rezydencji około sto metrów. Olaf Palme zaproponował gościowi przejażdżkę po jeziorze. Wsiedli do łódki, premier Szwecji przy wiosłach, pierwszy sekretarz, jako pasażer. Łódka wolno zaczęła oddalać się od brzegu. Wtedy zauważyliśmy, że adiutant Edwarda Gierka, płk. Zdzisław Chełmiński, zaczyna nerwowo biegać w tę i z powrotem przy brzegu jeziora. Tymczasem łódź z premierem i pierwszym sekretarzem oddalała się coraz dalej od brzegu. Płk. Chełmiński nerwowo próbował odczepić z uwięzi jakąś łódkę, a gdy mu się to udało, wskoczył do niej i z determinacją zaczął z całych sił wiosłować, by doścignąć łódkę obu panów. Zbliżył się do niej na odległość dziesięciu - piętnastu metrów i już nie odstąpił. Dziennikarze szwedzcy patrzyli na wyczyny pułkownika ze zdumieniem i chyba podziwem, bo po powrocie na brzeg zasypali dzielnego adiutanta pytaniami. Następnego dnia poświęcono temu zdarzeniu sporo miejsca na czołówkach gazet. Pułkownik miał swoje pięć minut.

W programie wizyty przewidziano pobyt w Göteborgu, a w nim zwiedzanie zakładów Volvo, wizytę w ratuszu i śniadanie w salonach recepcyjnych. Z ratusza delegacja przeszła pieszo, około 500 m. do przystani, skąd statkiem ratownictwa morskiego popłynęliśmy do stoczni Götaverken. Statki budowano tu w wielkich halach, co chroniło stoczniovców przed deszczem i chłodem w jesienne i zimowe miesiące, bo hale były ogrzewane. W zakładach Volvo wielkie wrażenie wywarł na zwiedzających pokaz bezpieczeństwa samochodu. Demonstracja polegała na tym, że samochód umieszczony na szynach z dwoma manekinami, przypiętymi pasami, nabiera szybkości i uderza w betonową zaporę. Przód pojazdu ulega zniszczeniu, ale nie w takim stopniu, by zagrozić życiu pasażerów, ponieważ samochody produkowane przez zakłady Volvo mają zainstalowane specjalne amortyzatory, które zmniejszają siłę uderzenia. Rysiek Golc jeszcze w samolocie nie ochłonął z wrażenia. Zniszczyć taki doskonały samochód - powtarzał.

W ostatnim dniu wizyty Rada Szwedzkich Eksporterów podejmowała Edwarda Gierka śniadaniem, w restauracji Stallmästagarden,. U wejścia do lokalu powitał polskiego gościa prezydent koncernu Alfa Lawal, Hans Stahle.

W zakładach Alfa Lawal robiliśmy, z Januszem Kuźniarskim, reportaż, bo są one znane nad Wisłą jeszcze sprzed wojny. Naszą uwagę zwróciła w fabryce nie tyle nowoczesna produkcja, co stołówka pracownicza. Wystrój tej stołówki nie ustępował renomowanej restauracji, w czasie obiadu występowały znane zespoły rozrywkowe -

wokalne i orkiestrowe. Poinformowano nas, w czasie obiadu, że personel kierowniczy jada posiłki w odrębnej stołówce. W naszej wyobraźni natychmiast zrodziło się pytanie: skoro stołówka robotnicza jest na tak wysokim poziomie, to jak wygląda stołówka dla dyrekcji? Przekonaliśmy się, o tym następnego dnia. Dania w karcie te same, co w stołówce pracowniczej. Różnica polegała tylko na tym, że wystrój sali dla personelu kierowniczego był bardzo skromny, nie przygrywała orkiestra i posiłku nie umilały występy piosenkarek. To, po co ta odrębność? Ano po to, by nie tracić cennego czasu. W czasie obiadu można przecież rozmawiać o sprawach zakładu czy wymieniać poglądy na tematy zawodowe! Nie mieliśmy więcej pytań.

Wizyta Edwarda Gierka we Francji wypadła imponująco. W Paryżu przyjmowano I sekretarza KC PZPR z najwyższymi honorami. Gazety na pierwszych stronach, a telewizje na pierwszych miejscach informowały o wizycie, podkreślając, że oto robotnik wydalony z Francji przyjmowany jest jak król.

Najbardziej lubiłem podróże z profesorem, Henrykiem Jabłońskim, przewodniczącym Rady Państwa. Chociaż obowiązywał ten sam protokół dyplomatyczny, nie wyczuwało się żadnej oficjalnej sztywności, Henryk Jabłoński był po prostu sobą - bardziej profesorem niż dostojnikiem. Z pierwszego wyjazdu do Iraku zapadł mi w pamięci pobyt w Mosulu i w owianej sławą starożytną Niniwie, położonej na lewym brzegu Tygrysu. Badacze historii odnotowują początki osadnictwa już w VI wieku p.n.e. Trzy wieki później władca, Sanherib, ustanowił Niniwę stolicą Asyrii. Za panowania Sanheriba i Aszurbanipala wybudowano tu imponujące pałace. Miasto, do którego prowadziło piętnaście bram, osiągnęło największy rozkwit w jego historii. Zniszczone przez Babilończyków, Medów i Persów w 612 roku p.n.e., już nigdy nie podźwignęło się z upadku. Mury obronne Niniwy i wykopaliska do dziś poruszają wyobraźnię współczesnych. W naszej świadomości Niniwa istnieje dzięki przekazom biblijnym.

W październiku 1975 roku prezydentem Iraku był Al - Bakr, ale już wtedy mówiło się nad Tygrysem o trzydziestoosmioletnim zastępcy przewodniczącego Rady Dowództwa Rewolucji, Saddampie Husajnie, jako o człowieku, którego czas szybko nadejdzie. Przyjął go na audiencji, po rozmowie w cztery oczy z prezydentem Al - Bakrem, przewodniczący Rady Państwa. Na taśmie utrwalił wizytę operator kroniki, Karol Szczeciński.

Cztery urocze dni spędziliśmy z Januszem Kreczmańskim, obsługując oficjalną wizytę prof. Henryka Jabłońskiego w Austrii. Do dziś pamiętam pobyt w Operze Wiedeńskiej. Dawano „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego, z udziałem Teresy Żylis-Gary w roli Tatiany.

Po raz trzeci miałem szczęście uczestniczyć w ekipie dziennikarskiej obsługującej oficjalną wizytę przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka

Jabłońskiego, w Meksyku i w Kostaryce. Była to podróż niesłychanie długa. Trzydzieści siedem i pół godziny przebywaliśmy w powietrzu, z międzylądowaniami w Santa Maria na Azorach i w Nassau na Bahamach, a w drodze powrotnej w Hawanie. Samolotem IŁ- 62 M pokonaliśmy, bagatela, dwadzieścia sześć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć kilometrów.

Wylądowaliśmy w Meridzie, stolicy stanu Jukatan, gdzie delegację polską powitali przedstawiciel prezydenta Meksyku i władze lokalne. Późnym popołudniem zwiedziliśmy Uxmal, dawne miasto-państwo Majów, które istniało zaledwie 450 lat (987 - 1441). Wielkie wrażenie wywarły na zwiedzających zabytki architektoniczne w Uxmal: Pałac Gubernatora, Dom Mniszek, Świątynia Czarownika, Wielka Piramida i Dom Żółwia oraz liczne płaskorzeźby i mozaiki zdobiące fasady zachowanych budynków. Wieczorem za sprawą światła i dźwięku przenieśliśmy się wśród tych ruin i ocalałych zabytków w świat duchów, dawnych mieszkańców miasta Majów, oglądając widowisko przygotowane dla turystów. Najmniej zadowolony był Sławek Sławkowski, operator kroniki, ciemności panujące w czasie spektaklu ograniczyły mu możliwości filmowania.

W stolicy - Ciudad de Mexico - profesora Jabłońskiego i jego małżonkę, powitał prezydent Meksyku, José López Portillo z małżonką. Od pierwszego dnia wizyty prof. Henryk Jabłoński zwrócił na siebie uwagę prasy meksykańskiej znajomością historii Meksyku. Andrzej Świecki z „Życia Warszawy”, który doskonale znał profesora, uchylił mi rąbka tajemnicy. Otóż, już rok przed wizytą, przewodniczący Rady Państwa sprowadził książki o Meksyku z biblioteki uniwersytetu w Oxfordzie i intensywnie je studiował. W Meksykańskiej Akademii Historii profesor Henryk Jabłoński wygłosił wykład (tekst, przetłumaczony na język hiszpański, rozdano przed pojawieniem się autora na mównicy) na temat „Tradycje i współczesność.” Został on bardzo dobrze przyjęty przez słuchaczy i był obszernie komentowany w prasie.

Niezapomnianą atrakcją dla uczestników polskiej delegacji pozostanie zwiedzanie rozległej strefy archeologicznej w Teotihuacan.

Teotihuacan ma wiele znaczeń: nazywane jest miastem bogów, miejscem, w którym ludzie poznali drogę bogów, miejscem, gdzie ludzie stają się bogami, miejscem, gdzie narodzili się bogowie. Jest z pewnością zabytkiem tajemniczym i magicznym. Początki miasta sięgają II wieku p.n.e. Teotihuacan z wieku na wiek stawało się centrum religijnym i administracyjnym ówczesnych ludów. Swoje ślady pozostawili tu Toltekowie i Aztekowie. Rozkwit Teotihuacan nastąpił w IV- VII wieku. Widok, jaki jawi się naszym oczom, gdy patrzymy na centralną arterię miasta, jest świadectwem wielkiej wyobraźni budowniczych, racjonalności i precyzji. Zbudowali oni Teotihuacan na planie prostokątnie przecinających się ulic, pomyśleli o zbiornikach wody deszczowej, tak cennej w tym klimacie, o targowiskach, teatrach, świątyniach. Imponują swoimi rozmiarami Piramidy Słońca i Księżyca. Aleja



Umarłych prowadzi do placu piętnastu świątyń. Zadziwia świątynia Quetzalootla - Pierzastego Węża. Współcześni muszą zadać sobie pytanie, jakie siły sprawiły, że to potężne i piękne miasto upadło i zostało zapomniane. Czyżby opuścił mieszkańców Tlaloca - bóg deszczów? A może Tlatocatecutli, który trwał siedem razy po pięćdziesiąt dwa lata, bóg piekieł, wyludnił miasto i skazał je na zapomnienie? Na wiele pytań uczeni nie znajdują jeszcze odpowiedzi. Ważne, że Teotihuacan skłania do zadawania pytań i refleksji nad przemijaniem i dolą człowieczą.

Z Meksyku poleciliśmy do Kostaryki. Kostarykę odkrył w 1502 roku Krzysztof Kolumb podczas czwartej i ostatniej wyprawy. Sądził, że odkrył legendarną krainę złota, więc nazwał ją „bogatym wybrzeżem” - Costa Rica. Wylądowaliśmy w stolicy kraju, San José. Miasto, położone na wysokości 1272 m. nad poziomem morza, liczy około 400.000 mieszkańców i jest największym w Kostaryce.

Delegacja przeprowadziła oficjalne rozmowy. Podpisano umowę o współpracy kulturalnej i naukowej. Koncert muzyki chopinowskiej, podobnie jak w Meksyku, dał Piotr Paleczny. Delegacja polska zwiedziła plantację kawy.

1 listopada odlecieliśmy do Hawany, gdzie powitał przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego, prezydent Kuby, Fidel Castro. Profesor wręczył comandante ptasie mleczko, sądząc, że Fidelowi Castro tylko tego brakuje.

A ja, z Romkiem Dobrzyńskim, dziennikarzem z TVP, wypiliśmy koktajl „Cuba libra”, żałując, że wizyta w Hawanie trwała zbyt krótko. Odlecieliśmy, po ośmiu dniach tułaczki, do ojczyzny.

## 7. FILMY O BREŻNIEWIE I JANIE PAWLE II

Polska Kronika Filmowa za mojej kadencji otrzymywała polecenia realizacji filmów z oficjalnych wizyt w Polsce ważnych osobistości, z różnych krajów. Realizowałem więc film z pobytu prezydenta Stanów Zjednoczonych Jmmy Cartera i Richarda Nixona, prezydenta Francji Valery'ego Giscard'a d'Estaing, Leonida Breżniewa...

Moja córka Ewa, gdy w letni wieczór na tarasie domu, w którym mieszka w Bernie, delektujemy się winem z Twann, podśmiewa się czasami ze mnie i pyta, czy mi nie wstyd, że zrealizowałem aż cztery filmy o Breżniewie?

Odpowiadam wtedy (żartobliwie), że jeden z tych filmów wyświetlany był nawet na siedmiu ekranach jednocześnie, a premiera odbyła się w Moskwie. I dodaję, że gdyby te cztery filmy połączyć w jeden, to i tak stanowiłby on zaledwie jedną trzecią

filmu pt. „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce”. Mam, więc niepłonną chyba nadzieję, że gdy po zakończeniu misji na ziemi stanę, przed obliczem Najwyższego, filmy o Breżniewie nie przeważą na szali niebieskiej tego jednego, najdłuższego, jaki zrealizowałem w swoim życiu. Przekomarzamy się tak, popijając wino o niepowtarzalnym smaku, pochodzące z winnic ze wzgórz Twann położonych nad Bieler See.

Polecenie zrobienia filmu wyświetlanego jednocześnie na siedmiu ekranach otrzymałem od Jana Grzelaka, z Wydziału Prasy w czasie, gdy Breżniew znajdował się już w Warszawie. Odpowiedziałem mu wtedy, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak się robi film na siedem ekranów. Pojedziesz do Moskwy, to zobaczysz - odrzekł. Następnego dnia poleciałem pierwszym samolotem do Moskwy, aby na wystawie prezentującej osiągnięcia z okazji trzydziestolecia Polski Ludowej zobaczyć aparaturę, na której wyświetlano film o Polsce, porozmawiać z inżynierami i dźwiękowcami, dowiedzieć się, jak to wszystko funkcjonuje. Wieczorem wróciłem do Warszawy i przystąpiłem do realizacji filmu pt. „Wizyta Towarzysza Breżniewa”. Montażu podjął się mistrz nad mistrze, pan Waclaw Kaźmierczak, a pomagały mu ofiarnie panie: Katarzyna Maciejko i Anna Zasacka. Wspomnę na marginesie, że był to jedyny film, którego nikt nie kolaudował i nie cenzurował, bo nie było w Warszawie aparatury umożliwiającej jego wyświetlenie równocześnie na siedmiu ekranach. Jeszcze przed przyjazdem Breżniewa na uroczystości trzydziestolecia do Warszawy dowiedziałem się, że zostanie on odznaczony orderem za zasługi dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Rada Państwa ustanowiła to odznaczenie z myślą o Breżniewie właśnie. To on - jako pierwszy z przywódców zagranicznych - miał być tym odznaczeniem uhonorowany. Zadzwoiłem do mojego kolegi Henryka Olszewskiego, w Kancelarii Rady Państwa, dyrektora Biura Odznaczeń i poprosiłem, aby pozwolił kronice sfilmować ten order - porobić zbliżenia itp. Na dwa dni przed wizytą Henryk zadzwonił do mnie i powiedział: przysyłaj operatora, Breżniew otrzyma inne odznaczenie. Pojechałem z operatorem na Wiejską i tam dowiedziałem się, że Leonid Breżniew nie zgodził się przyjąć specjalnie dla niego przygotowanego odznaczenia, ale zażyczył sobie Orderu Virtuti Militari ponieważ jako generał Armii Czerwonej wyzwał Polskę i uważał, że mu się słusznie najwyższe odznaczenie wojenne należy. Sfilmowaliśmy więc order Virtuti Militari. Już za czasów gen. Wojciecha Jaruzelskiego, gdy pracowałem w Krajowej Agencji Wydawniczej, a Janusz Rolicki zaproponował, abym wydał „Przerwaną dekadę”, opowiedziałem mu historię odznaczenia Breżniewa. Rolicki zapytał o to Edwarda Gierka, który - jak mi później zrelacjonował autor wywiadu rzeki- nie mógł sobie początkowo przypomnieć tego zdarzenia; gdy mu pamięć wróciła, w książce „Edward Gierek- Replika” udzielił następującego wyjaśnienia.

Janusz Rolicki: „Dzisiaj wiele osób ma Panu za złe, że swego czasu odznaczył Pan Breżniewa Orderem Virtuti Militari.”

Edward Gierek: „W Przerwanej dekadzie” mówiłem już o rosnącej z biegiem lat próżności Breżniewa. Wiąże się to zresztą z rozwojem jego choroby. Każdy polityk, jak w ogóle każdy mężczyzna, jest mniej lub bardziej próżny. Rzeczą ludzi inteligentnych jest kryć tego rodzaju słabości. Tymczasem z Breżniewem pod tym względem było odwrotnie. Będąc już sekretarzem generalnym i prezydentem, został jeszcze marszałkiem i pragnął być zwycięzcą Wojny Ojczyźnianej. Laury wojenne najzwyczajniej cenił najwyżej. Toteż gdy przybył po raz kolejny do naszego kraju, a było to związane z okrągłą rocznicą istnienia Polski Ludowej, postanowiliśmy go uhonorować Orderem Zasługi PRL. Był to nowy order przygotowany dla głów państw. Ja uważałem, że taka dekoracja przynosi znaczne korzyści krajowi. A dla Polski życzliwość Breżniewa, a tym samym Związku Radzieckiego, miała, nie muszę chyba o tym przekonywać, naprawdę bardzo ważne znaczenie. Poinformowaliśmy więc Breżniewa, zgodnie z protokołem dyplomatycznym, że chcemy go udekorować Medalem Zasługi numer jeden. Tymczasem z Moskwy nadeszła odpowiedź, że owszem, sekretarz generalny nie ma nic przeciwko temu medalowi, ale wołałby otrzymać najwyższe odznaczenie wojenne. I tak zrodziła się koncepcja odznaczenia Leonida Breżniewa krzyżem Virtuti Militari... Muszę też powiedzieć, że po odznaczeniu go, był bardzo ciekawy, kto przed nim otrzymał Virtuti Militari. Gdy usłyszał, że marszałek Foch i Piłsudski, bardzo się ucieszył i jeszcze raz z zadowoleniem obejrzał przyznany sobie krzyż.”. Tyle Edward Gierek.

Prawdopodobnie nikt nie odważył się poinformować Breżniewa o tym, że Order Virtuti Militari ustanowił król Stanisław August Poniatowski, 22 czerwca 1792 roku, dla upamiętnienia zwycięstwa polskich wojsk, dowodzonych przez księcia Józefa Poniatowskiego, nad wojskami rosyjskimi w bitwie pod Zieleńcami. I, że książę Józef Poniatowski jako pierwszy został tym orderem odznaczony. Warto dodać, że order został zniesiony przez cara Mikołaja I, a przywrócony w 1919 roku, w Polsce niepodległej. Żądanie Breżniewa, władcy ZSRR, odznaczenia zakazanego przez cara zabrzmiało chyba jak chichot historii. Tymczasem pan Waław w niespotykanym tempie montował siedmio ekranową wersję filmu. Środkowy ekran, oznaczyliśmy nr 7, uznaliśmy go za centralny i jemu podporządkowaliśmy po trzy ekrany z lewej i prawej strony. Niby wszystko wydawało się proste, w rzeczywistości było odwrotnie. Łatwo na tych siedmiu ekranach mógł powstać chaos. Wkrótce musieliśmy pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Okazało się, że Breżniew mówił bardzo niewyraźnie, niemal bełkotliwie. Na wszelki wypadek nagraliśmy wersję dodatkową, asekuracyjną. Breżniew wypowiedział tylko dwa zdania, a resztę jego wystąpienia przeczytał Czesław Seniuch, który znał doskonale język rosyjski. W Moskwie prosto z lotniska pojechałem do wytwórni filmowej, aby zasięgnąć rady Jurija Awietikowa, którą wersję dać na wystawę. Awietikow poradził autentyczną, bo Rosjanie przywykli do sposobu mówienia sekretarza generalnego. A zresztą i tak niewielu go słucha - dodał po projekcji, gdy zostaliśmy sami w sali projekcyjnej.

Teraz czekała mnie najważniejsza próba. Wieczorem po zamknięciu wystawy wystartowaliśmy! Pierwsza projekcja przebiegła bezbłędnie. Odprężyłem się całkowicie i z Jurkiem Strzałkowskim poszliśmy na wódkę. Zaprosiłem także Ludwika Perskiego, którego spotkaliśmy w hotelu „Ukraina”. Jak się później okazało ten wieczór był zaledwie wstępem do prawdziwej biesiady. Nie spodziewałem się, że ktokolwiek zwróci na ten film uwagę. Projekcja odbywała się w wielkim hallu pawilonu wystawowego, a ekrany, wielkości niemal dzisiejszych billboardów, zawieszane wysoko oglądało się na stojąco. Przez kilka seansów obserwowałem reakcję widowni, która przyjmowała film dość życzliwie. Usłyszałem nawet jak pewien weteran wojny stojący tuż przy mnie, gdy na centralnym ekranie pojawił się Breżniew w mundurze generała powiedział do swojej żony, że terytorium Polski przeszedł piechotę, ale o generale Breżniewie nic nie słyszał. Po jednej wszakże sekwencji, za każdym razem, rozlegały się oklaski. Działo się to wtedy, gdy na centralnym ekranie pojawiała się buzia ślicznej polskiej dziewczynki, z kręconymi jasnymi włosami, która zatkała sobie uszy palcami i obserwuje na sześciu ekranach z piekielnym łoskotem przetaczające się cielska czołgów. Ten fragment filmu robił na moskwianach olbrzymie wrażenie. Dodam, że to doskonale ujęcie buzi dziewczynki zrobiła Ewa Strzałka, młoda dziewczyna, absolwentka Łódzkiej Szkoły Filmowej. Rosyjscy widzowie natychmiast wychwycili ten obraz i za każdym razem nagradzali go oklaskami. Po południu odnaleźli mnie dziennikarze z prasy, z radia i telewizji. Udzieliłem kilka wywiadów, za które otrzymałem honorarium. Ludwik Perski okazał się niezawodny, gdy go poprosiłem o pomoc w wydaniu rubli. Zadzwoił do nowo otwartej restauracji ormiańskiej, na jakimś nowym osiedlu, i po dłuższej dyskusji z kierownikiem lokalu załatwił stolik. Ludwik znał Moskwę doskonale. W nowej restauracji był po raz pierwszy, skąd o niej wiedział, trudno odgadnąć. Początkowo z zaciekawieniem przyglądaliśmy się publiczności i obsłudze, która, o dziwo, tutaj nie pokrzykiwała na gości, nie nakazywała, przy jakim stoliku mają siadać, jak to czyniono w restauracji hotelu „Ukraina”, gdzie mieszkaliśmy. Odetchnęliśmy z ulgą, że nie będziemy musztrowani. W pewnym momencie pojawił się kierownik lokalu, polecił kilka ormiańskich potraw i oczywiście oryginalne ormiańskie wino, koniaki i napoje. Mogę śmiało napisać, że od pierwszego momentu nawiązała się między nami, a towarzyszem kierownikiem- sympatycznym Ormianinem- nić sympatii, która znacznie się rozwinęła i naprawdę rozkwitła dopiero po zamknięciu lokalu, kiedy staliśmy się jedynymi gośćmi. Opuszczaliśmy restaurację bladym świtem, pogodni i szczęśliwi. Na niepewnych nogach to prawda. Gospodarz zapewnił nas, że już nigdy nie musimy dzwonić, aby rezerwować stolik. O każdej porze dnia i nocy będziecie serdecznie widziani - powiedział na pożegnanie. Ludwik Perski okazał się cudownym człowiekiem i wspaniałym kompanem w zabawie!

W czasie pobytu na wystawie obserwowałem reakcję publiczności nie tylko na mój film, ale także na wystawione eksponaty. Największym zainteresowaniem płci pięknej cieszyło się stoisko „Mody Polskiej” i stoisko „Polleny.” Żałowałem, że nie ma ze mną operatora. W salonie, gdzie panie stawały się naprawdę piękne, polskie

kosmetyczki zapraszały moskwianki na fotele i za pomocą makijażu przemieniały je nie do poznania. Reakcje były niemal jednakowe. Po skończonych zabiegach upiększających delikwentki spoglądały w lustro i najpierw z wrażenia, zaszokowane swoim wyglądem, natychmiast zasłaniały twarze dłońmi, po chwili zaś znowu oglądały się w lustrze i zadowolone kupowały w stoiskach kosmetyki „Polleny.” Po zakończeniu wystawy, na której prezentowano trzydziestoletnie osiągnięcia gospodarcze Polski Ludowej w Moskwie, przez kilka dni film wyświetlano w auli Politechniki Warszawskiej, ale widownia nie była nazbyt liczna. Z Moskwy napisał do mnie mój znajomy dziennikarz z „Izwestij”, Wiktor Golcew: „Drogi Mirosławie, w niedzielę, w dzień zamknięcia wystawy obejrzałem twój film. Pierwsze słowo, jakie mi się nasuwa, to gratuluję! Zrobił on na mnie i widzach wielkie wrażenie. Jak ci wiadomo dużo w swoim życiu podróżowałem po świecie, ale takiego filmu, na siedmiu ekranach jeszcze nie widziałem. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy z moją żoną mieli okazję gościć ciebie i twoją żonę w naszym domu. Serdecznie zapraszamy. Wtedy z pewnością wrócimy do rozmowy o filmie.”

\* \* \*

Na początku 2007 roku pewien młody pracownik Filmoteki Polskiej złożył mi w domu wizytę. W czasie rozmowy ze zdumieniem dowiedziałem się od niego, że film „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce” powstał na zlecenie Komitetu Centralnego PZPR, aby stanowić przeciwwagę dla filmu „Pielgrzym” Andrzeja Trzosa – Rastawieckiego.

Boże wszechmogący! Czego to ludzie nie wymyślą? I w co zdolni są uwierzyć. To wprost niepojęte! Partia nie tylko nie zleciła realizacji tego filmu, ale według moich obserwacji wręcz bała się wizyty papieża. Prawdą jest natomiast, że Polska Kronika Filmowa otrzymała 3000 m. barwnej taśmy najwyższej jakości na całą wizytę. Długo naradzaliśmy się w redakcji z operatorami, co zrobić, jak filmować, aby taśmy starczyło na cały pobyt. Już w czasie pielgrzymowania Jana Pawła II po kraju, gdy samotnie zastanawiałem się w redakcji, czy taśmy wystarczy, do mojego pokoju wkroczył młody człowiek i przedstawił się: jestem Jarry Myssura, z Ameryki.

-Witam w Warszawie, co pana sprowadza w nasze skromne progi? - Panie Chrzanowski, czy kręci pan wizytę ojca świętego?

- Wszyscy operatorzy i dziennikarze są w terenie, jak pan z pewnością zauważył, prócz Basi Siwińskiej w sekretariacie i mnie w tym pokoju nie ma w redakcji żywej duszy.

- Przejdźmy, zatem do rzeczy, czy może mi pan zrobić film pełnometrażowy o ojcu świętym?

- Przykro mi, ale realizacją filmów zajmuje się redakcja dokumentu; jak pan wyjdzie z sekretariatu- trzecie drzwi po lewej stronie.

- Panie redaktorze, ja tam już byłem i odesłali mnie do kroniki. Przyznaję, oznajmił mój rozmówca, że nawet się ucieszyłem. W czasie studiów na Wydziale Prawa UW bez przerwy oglądałem PKF, dorabiałem sobie jako pomocnik operatora, w kabinie projekcyjnej w różnych kinach.

Popatrzyłem na pana Myssurę ubranego w skromną kurtkę, zwaną wiatrówką, i odpowiedziałem, że realizacja filmu to bardzo kosztowne przedsięwzięcie. - A ile taki film może kosztować? - Szczerze mówiąc nie wiem, proszę pana, bo ja nie zajmuję się finansami. Poradziłem mu, aby udał się do Naczelnego Zarządu Kinematografii. Jerry Myssura nie zwlekając opuścił redakcję. Miałem nadzieję, że więcej się nie pojawi, bo nie sądziłem, iż stać go na kupno pełnometrażowego filmu. Wrócił po dwóch godzinach z dowodem wpłaty 40000 dolarów na konto „Filmu Polskiego”. I tak się to zaczęło. Jerzy Myssura, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, w Stanach Zjednoczonych wydawał jakieś czasopismo dla Polonii, zajmował się handlem, wszystkim, co mogło przynieść pieniądze. Zależało mu na tym, aby film powstał szybko. Nasze obiekcje dotyczące tytułu filmu, który wymyślił, skwitował krótko i jednoznacznie. - Ja znam rynek - powiedział na odjeźdźnym. I postanowił, że film będzie nosił tytuł „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce”. O Boże...gorszego tytułu wymyślić nie sposób!

Po ustaleniu terminów odleciał do Nowego Jorku. Od tej pory porozumiewaliśmy się za pomocą faxu. Po wstępnym zmontowaniu filmu i kolaudacji, w czasie której wyrzucono niemal połowę materiału musieliśmy szybko „dokręcić” sporo zdjęć na Podhalu, w Wadowicach, w Myszyńcu... Bo Jerzy Myssura żądał, aby film miał określoną długość.

Pamiętam, wracaliśmy samochodem z Elą Zawistowską z „dokrętek”, była już noc, a nam przy wjeździe do Olkusza zepsuł się fiat 125p. Warsztaty naprawy samochodów pozamykane. Nie mogliśmy czekać do rana. Pierwszy odszukany warsztat zamknięty na siedem spustów, ale Ela się uparła i zapukała do drzwi domu stojącego obok. Właściciel nie ukrywał niezadowolenia, że wyrwaliśmy go z pierwszego snu. Ela nie dawała za wygraną, poinformowała rozeźlonego rzemieślnika, że jesteśmy z PKF i że wracamy z pilnymi zdjęciami do filmu o papieżu.

- Trzeba było od tego zacząć, to zmienia postać rzeczy. Właściciel warsztatu obudził syna, po godzinie ruszyliśmy w dalszą drogę. Za naprawę samochodu nie zapłaciliśmy ani grosza.

- Nie godzi się brać pieniędzy za drobną pomoc w tak zbożnej sprawie. Kiedy już dokrętkami wydłużyliśmy film do właściwych rozmiarów, z Nowego Jorku

otrzymałem fax: „mirku zamawiam druga kopie taka jak pierwsza proszę mi tylko dodac kilka klatek przed z duzym napisem „Myssura family presents" gdyż będę miał ogłoszenia". (Pozostawiam oryginalną pisownię.)

Montując film, nie sądziłem, że będzie on kiedykolwiek rozpowszechniany w kinach polskich, przeznaczony był wszakże dla USA i Kanady. A jego odbiorcą miała być Polonia. Wieść o tym, iż Polska Kronika Filmowa przygotowuje relację z wizyty papieża szybko rozeszła się w warszawskim środowisku dziennikarskim. Jeszcze nie ukończyliśmy montażu, a już rozdzwoniły się telefony od kolegów z radia, prasy, a nawet z telewizji. Pierwszym widzem, który obejrzał film jeszcze przed udźwiękowieniem, był Jan Grzelak z Wydziału Prasy. Po skończonej projekcji zadał mi tylko jedno pytanie.

- Dlaczego zaprosiłeś właśnie mnie?
- Chciałem poznać twoje zdanie.
- Specjalistą w tej dziedzinie jest Mietek Krajewski.

Mieczysław Krajewski, doktor nauk filozoficznych, zatrudniony w Wydziale Prasy, przyjechał bardzo chętnie. Film po „kolaudacjach" nawet mu się podobał... ocenił, iż „... jest utrzymany w stylu patriotycznym, o lekkim zabarwieniu nacjonalistyczno- odpustowym". A na takie dzieła nie ma w tej chwili w kraju zapotrzebowania. Pielgrzymki na Chełmską zaczęły się dopiero wtedy, gdy film ukończyliśmy, tzn. udźwiękowiliśmy i nagraliśmy komentarz. Zorganizowałem trzy zamknięte pokazy prywatne dla osób najbliższych i znajomych dziennikarzy. Koledzy nie ukrywali emocji. Zaszokowani nieprzebranymi tłumami wiernych, (mimo cięć po kolaudacji) zgromadzonymi na trasach przejazdu Jana Pawła II i na placach, gdzie odbywały się nabożeństwa, odruchowo porównywali ten film z relacjami w telewizji i szczerze mi gratulowali. Nie przewidziałem, że po półtora roku film wejdzie na ekrany kin w Polsce i niektórzy zmienią zdanie, zaprezentują diametralnie odmienne oceny niż po projekcji w sali „B". Premiera filmu „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce" odbyła się 22 lipca 1979 roku w Nowym Jorku. W kraju ani Polska Agencja Prasowa, ani żadna gazeta codzienna, ani tygodniki filmowe i społeczno polityczne, partyjne i katolickie, słowem o tym zdarzeniu (w 1979 r.) nie napomknęły.

W Nowym Jorku natomiast bilet na film o pobycie papieża w Polsce kosztował równo pięć dolarów, podczas gdy za wstęp do kina najwyższej kategorii płacono wówczas cztery i pół dolara. W dodatku projekcje filmu o pielgrzymce odbywały się w salach o wiele skromniejszych niż te na Manhattanie. Widziałem na własne oczy, jak Polacy wyklócali się przy kasach o cenę. Po seansie ci sami ludzie, z zapłakanymi oczami wracali do kasy po następny bilet. Gdy dowiadawali się, że jestem jednym z autorów filmu, gratulacjom nie było końca, skorzystałem z kilku zaproszeń na kolację,

ale szybko się wycofałem ze względu na stan mojej wątroby. W Nowym Jorku, a także w półtora roku później w kraju, gdy minister kultury, Józef Tejhma, dopuścił film na ekrany widzowie odbierali go bez podtekstów politycznych i nie przypisywali mu rzeczy, których w nim nie było. Recenzenci, natomiast zaczęli wytykać filmowi błędy i braki, z których i ja zdawałem sobie sprawę. Zarzucono też filmowi świadome zafałszowania, z którymi nigdy się nie godziłem. Wynikły one raczej z powodów technicznych i z samej historii powstania filmu. Polska Kronika Filmowa miała jedynie udokumentować pobyt papieża w ojczyźnie na trzech tysiącach metrów taśmy, zapisać tę wizytę dla potomnych, nic więcej. Nie pracowaliśmy wcale w luksusowych warunkach. Do dziś nie wiem, dlaczego na przykład nie wpuszczono operatora PKF, na Skalkę? Widać to w filmie, bo skorzystaliśmy z materiałów telewizyjnych. Wspomnę tylko, że sprzęt, jakim się posługiwaliśmy, w kilku przypadkach przestał działać. Ale, to recenzentów nie musi obchodzić, oceniają obraz i nie można mieć do nich o to pretensji.

Nie mogę pogodzić się jednak z twierdzeniem, że film, wyprodukowano na zlecenie KC PZPR, jako przeciwwagę dla „Pielgrzyma.” Bo jest to nieprawda, która mogła zrodzić się tylko w chorej głowie. Nieskromnie wspomnę, że nikt nie pytał nas o zgodę na rozpowszechnianie filmu w kraju. 15 stycznia 1981 roku dyrektor WFD przekazał mi pismo z „Filmu Polskiego” następującej treści: „Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów w miejscu” „ W związku z zainicjowanym przez Wasze Zjednoczenie rozpowszechnianiem w kinach filmu o wizycie Papieża Jana Pawła II w Polsce zrealizowanym przez WFD, Film Polski uprzejmie informuje, co następuje. Film ten został zrealizowany na zlecenie naszego Przedsiębiorstwa ( zachowuję oryg. pisownię M.Ch.) w czerwcu 1979r. Nie został on zrealizowany, jak mylnie informują masowe środki przekazu, jako usługę dla polonijnego kontrahenta z USA. Film Polski zamówił ten film jako propozycje handlową dla dystrybutorów na całym świecie, a nie jedynie z przeznaczeniem do Stanów Zjednoczonych /nota bene z kontrahentem amerykańskim zawarto normalnie stosowaną przez FP umowę licencyjną/. Tak więc film ten stanowi naszą własność i jego rozpowszechnianie w Polsce również wymaga naszej zgody i zawarcia odpowiedniego porozumienia.

Mając powyższe na uwadze ZRF rozpowszechnia ten film bez tytułu prawnego, narażając Film Polski na utratę należnego zysku. Gotowi jednak jesteśmy zawrzeć umowę, która sankcjonowałaby Wasze postępowanie. Zgadamy się na dystrybucję filmu o Papieżu w krajowej sieci kin pod warunkiem przekazywania 10% z wpływów brutto na nasze konto. Licencja zostanie udzielona na wieczność, z tym jednak zastrzeżeniem, że Film Polski powstrzyma się od wyrażenia zgody na pokazywanie filmu w TV przez okres dwu lat od dnia rozpoczęcia eksploatacji filmu przez ZRF. Prosimy o pilne zajęcie stanowiska, chcielibyśmy bowiem uniknąć sporu prawnego". Pismo to, zawierające same nieprawdy, bezwstydnie podpisał, I- SZY Z-CA  
DYREKTORA NACZELNEGO „Filmu Polskiego,” WŁADYSŁAW BRAUN.  
Wróć jeszcze do porównań poczynionych przez recenzentów i publicystów



„Ojca Świętego Jana Pawła II w Polsce" z „Pielgrzymem".

Już samo porównywanie tych dwóch filmów jest nieporozumieniem, albowiem „Pielgrzym" Andrzeja Trzosa - Rastawieckiego, to od początku do końca przemyślane dzieło autorskie, indywidualne spojrzenie wybitnego twórcy na postać papieża Polaka, nasz film zaś jest zaledwie relacją, która ukazała się na ekranach kilku kin w Nowym Jorku w 45 dni po zakończeniu wizyty.

Na ekrany kin polskich film wszedł po półtora roku od premiery w Nowym Jorku!

Mimo upływu tak długiego czasu, wywołał niespodziewaną dyskusję. W moim prywatnym archiwum odnalazłem (w sierpniu 2007 roku) ponad pięćdziesiąt prasowych notatek, informacji, recenzji i namiętnych ataków. Po dwudziestu ośmiu latach od premiery czytam tamte publikacje z rozbawieniem i zdziwieniem. Nonszalancja,, z jaką autorzy traktują fakty, jak te fakty przeinaczają, nie mówiąc już o tym, że większość piszących przemilcza warunki, w jakich ten film powstał jest zdumiewająca. Oto, co pisano w 1981 roku.

- Krzysztof Mętrak: „Kowalski przed laty zobaczył swój najgorszy film „Nóż w wodzie "i od tego czasu żyje szczęśliwie. Ja z kolei obejrzałem najgorszy film ostatnio: jest to relacja z pobytu Papieża Jana Pawła II w Polsce wykonana przez pp. Mirosława Chrzanowskiego i Janusza Kędzierzawskiego przy współudziale innych. To że operatorzy nie mają oka to pół biedy, tylko że najbardziej ślepy jest ten, kto nie chce widzieć. I na nic tu tłumaczenia, a to, że przedsięwzięcie kierowane było do Polonii, a to, że nie było czegoś tam wolno. Zapamiętajcie tę zasadę: jeżeli nie wolno, ale bardzo się chce, to można. Dziś bowiem relację „profilowaną na eksport" ogląda się ze zdumieniem. Wydaje się, że autorzy byli jedynymi ludźmi w Polsce, którzy myśleli, że mają do czynienia z patriotycznym piknikiem, folklorystyczną malowanką, widowiskiem rodzajowym, wreszcie z „oficjałką". Widownia rży ze śmiechu, bo przypomina jej się dawny DTV." („Ekran 1981 r.)

- Zbigniew Gluza: „ Istotę filmu dokumentalnego stanowią podane w nim fakty. I choć autorska interpretacja pozwala je wybrać i uporządkować, to przecież reżyseria nie jest w nim kreacyjna, lecz służebna. O materii filmu dokumentalnego (faktografii) zwykło się nie dyskutować, zgodnie z prostą dżentelmeńską zasadą. Film pary Chrzanowski Kędzierzawski jest jednak dokumentem tylko z pozoru. Na czoło wybija się w nim bowiem interpretacja, oparta - notabene - na faktach dobranych tendencyjnie, niezgodnie z ich oczywistą (pierwotnie) wymową. Wizycie nadano w filmie charakter sielankowy, co przyniosło - zamiast rzeczowej relacji - reporterski kicz." ( „ITD" nr 13.1981 r.).

- Jan F. Lewandowski: „Szkoda, że wspomniały temat został tak fatalnie zmarnowany, choć biorąc pod uwagę datę produkcji (1979) trzeba przyznać, że inaczej

może być nie mogło. Bo nawet ten oficjalny i pusty znaczeniowo dokument nie trafił wówczas na ekrany." („Panorama" 01.02. 81r.)

- TS: „ W państwowych środkach masowego przekazu nastąpiły lepsze dni dla Papieża. Na domiar dobrego, już nie na ekrany naszych kościołów lecz po prostu na ekrany kin wszedł pełnometrażowy film o papieskiej pielgrzymce do Ojczyzny. Niestety, na tym jednak dobre w zasadzie się kończy, gdyż dokument Mirosława Chrzanowskiego i Janusza Kędzierzawskiego jest - generalnie rzecz biorąc - niedobry. Stanowi typowy przykład konwencjonalnej reklamówki przeznaczonej pierwotnie tylko na eksport, która na fali odnowy zawróciła do ojczyźtych brzegów. Nad irytującymi ludźmi do dziś sławetnymi transmisjami telewizyjnymi z pobytu Ojca Świętego w Polsce film ten góruje większą swobodą kamery: pokazuje również milionowe rzesze witające Papieża - rodaka." („Tygodnik Powszechny").

-(ek): „ Realizatorzy opowiadali także o wyjątkowo skomplikowanych warunkach pracy nad filmem: działały tu dwa rodzaje służb porządkowych kościelna i państwowa - a każda chciała się jak najlepiej wywiązać ze swoich obowiązków, co dodatkowo utrudniało nam pracę. Ponadto potrzeby bezpieczeństwa ograniczały możliwość przebywania w bezpośrednim pobliżu papieża, zdobywanie wielu informacji, docieranie do samego centrum wydarzeń. Nie pozwolono nam montować kamer na dachach, niektóre z ujęć udało się skrócić przypadkiem. Np. Ela Zawistowska spotkała Andrzeja Wajdę, który akurat miał zarezerwowany pokój w „Victorii" - stamtąd właśnie robiliśmy plany dalekie." („Film").

- Rafał Jabłoński: „ Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce" jest zbiorem najważniejszych wydarzeń Papieskiej wizyty. Mamy w nim wszystko, czego można oczekiwać po dokumentalnym filmie traktującym o tym wydarzeniu. Jest to kronika wizyty zrealizowana... no właśnie, dla potrzeb Polonii amerykańskiej. Zarówno komentarze, jak i retrospektywne sekwencje ( z okresu gdy Karol Wojtyła był kardynałem, a także fotogramy z Oświęcimia) mają przybliżyć rzecz całą amerykańskiemu widzowi.

To taki wizerunek naszego kraju dla potrzeb rodaków, ale o to nie można mieć pretensji do realizatorów, bowiem montowali oni materiał z określoną myślą, a poza tym bardzo szybko. Wizyta odbyła się w czerwcu, zaś nowojorska premiera miała miejsce już 23 lipca 1979 roku. Jak na takie tempo, to film wypadł zupełnie dobrze. Ale czy nas może zadowolić?" ( „Słowo Powszechne").

- Maria Malatyńska: „ Nie chciałabym, aby wyrazy uznania pod adresem „Pielgrzymy" były odebrane jako zmniejszenie sympatii dla dokumentu Chrzanowskiego i Kędzierzawskiego. Chodzi mi raczej o to, że zrównanie szans tych dwóch tak różnych filmów w ich dotarciu do odbiorcy, w ich publicznym życiu po prostu, wnosiliby pełny ogląd sprawy. Tym bardziej, że cała „sprawa" znana nam jest

nie tylko z autopsji, ale również ze swojej wersji ekranowej. Któż nie pamięta codziennych sprawozdań telewizyjnych z czerwca 1979? Kiedy to niezwykłość sytuacji próbowały kamery tuszować rygorystycznym poddaniem się wyłącznie protokołowi dyplomatycznemu... Wobec takich właśnie momentów dokument Chrzanowskiego i Kędzierzawskiego wydawał się nie lada osiągnięciem. Bo chociaż nie redukuje dyplomatycznych uścisków i protokolarnych gestów, ale nie bał się też pokazać ludzi: licznych, różnych, pełnych entuzjazmu, w chwilach radości i religijnego skupienia." („Życie Literackie" nr 1530. 81)

- Tadeusz Robak: „ Powiedziało się: nie przesadzajmy z pretensjami. Bo rzeczywiście wracając do meritum, film przecież imponuje i porusza swoim spokojnym obiektywizmem. Teraz widzimy, że papież nie odprawiał jednak swoich mszy na pustkowiu, jak próbowano nam sugerować w czasie ówczesnych sprawozdań telewizyjnych, widzimy to wydarzenie w takiej skali, w jakiej rzeczywiście miało miejsce. Mowa o skali, nazwijmy to tak, fizycznej zjawiska, nie o natężeniu emocji, o napięciu psychicznym, jakie tej podróży z ziemi włoskiej do Polski towarzyszyło." („Życie Literackie")

- Aleksander Ledóchowski: „W kinach pełnometrażowy film dokumentalny pt. „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce". Jest to drugi wyświetlany w kraju film o wizycie papieża. Pierwszy zrealizował Andrzej Trzos - Rastawiecki pod auspicjami Episkopatu Polskiego i był pokazywany w kościołach. Ten drugi autorstwa Mirosława Chrzanowskiego i Janusza Kędzierzawskiego powstał w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i jest teraz powszechnie dostępny.

Dostępność obu tych filmów zmusza do porównań. Wyżej stawiam „Pielgrzyma" Andrzeja Trzosa - Rastawieckiego od „Ojca Świętego..."

Ale... Andrzej Trzos - Rastawiecki wiedział jeszcze przed wizytą papieża w Polsce, że będzie realizował film, mógł się więc lepiej przygotować, może nie tyle technicznie i organizacyjnie, co przede wszystkim duchowo. Stąd jego „Pielgrzym" jest bardziej autorski, silniej oddziałuje emocjonalnie, wreszcie wszechstronnie oddaje przebieg duszpasterskiej wizyty. Wyświetlany jakby „prywatnie", jakby w katakumbach, mimo złych warunków projekcji zyskiwał i przez szybsze pojawienie się, i przez tę szczególną atmosferę.

Mirosław Chrzanowski i Janusz Kędzierzawski nie mieli w planie pełnospektaklowego filmu o papieżu, po prostu kręcili materiały dla kroniki. Decyzja zrealizowania długometrażowego dokumentu zapadła już w czasie wizyty, co więcej, nie z myślą o widzu polskim, lecz amerykańskim. Jeśli jeszcze uwzględnimy fakt, że „Ojciec Święty" został zmontowany i opatrzony komentarzem w roku 1979, a więc w innej niż dziś sytuacji społecznej i w trochę innym systemie funkcjonowania środków

masowego przekazu, to wszystko, co może sprawiać niedosyt, daje się jakoś wytłumaczyć...

Film Chrzanowskiego i Kędzierzawskiego daje jeszcze inną satysfakcję. Pobyt papieża w Polsce był częściowo transmitowany w telewizji. Jednak telewizyjni specjaliści od kadrażu przeszli samych siebie w pomysłowości żeby na ekranie nie było widać nikogo poza Ojcem Świętym i duchownymi; tymi zabiegami telewizja chciała pomniejszyć społeczny rezonans wizyty, ale jak to zwykle bywa, zaszkodziła nie sprawie, lecz samej sobie. W filmie „Ojciec Święty” realizatorzy nie boją się pokazywać ogromnych tłumów, dzięki temu ich dokument jest nie tylko o papieżu, także o społeczeństwie. Tak więc kinematografia naprawia to, co zepsuła telewizja... Choć film „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce” może budzić różne zastrzeżenia, jest przecież wydarzeniem repertuarowym i świadectwem dobrej woli wobec widzów; niedostatki realizacji powinna wyrównać pamięć i emocjonalna wrażliwość odbiorców. Ten film jest także dowodem renesansu kina dokumentalnego, jego społecznej atrakcyjności i pożyteczności. Nie tylko zresztą ten.” („Film” 08.02.81). Przystępując do realizacji filmu dla Polaków mieszkających w Ameryce i Kanadzie miałem nadzieję, że przynajmniej w tym przypadku cenzura (używam tego słowa w szeroko rozumianym znaczeniu) będzie bardziej tolerancyjna niż bywała normalnie. Moje nadzieje nie sprawdziły się. Tym razem cenzura okazała się nadzwyczaj restrykcyjna, co odbiło się na filmie w bardzo widoczny sposób! Nie pomogły nawet dobre stosunki z osobami, które zazwyczaj mi w takich przypadkach pomagały. I moje tłumaczenie, że film będzie wyświetlany w Ameryce i Kanadzie. Dlaczego kolaudanci (cenzorzy) wykazali twardą nieustępliwość? Chyba, dlatego, że władze najwyższe, mojej partii, bały się wizyty papieża w Polsce. I to przesądziło o wszystkim. Na kolaudację przyszło siedem osób, reprezentujących władze najwyższe: Urząd do Spraw Wyznań, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Urząd Rady Ministrów, KC PZPR i GUKPRiT. (Zdzisław Marzec, Tadeusz Zaręba, Konrad Kaszewski, Jerzy Janic, Szafraniec, Andrzej Prochwicz, Turowicz).

Spodziewałem się cięć, dlatego ujęcia filmowe nadmiernie wydłużyłem, z nadzieją, że kolaudanci zadowolą się skróceniem ujęć. Niestety, moje nadzieje okazały się płonne. Kolaudanci dokonali na filmie prawdziwej rzezi (cytuje ich zalecenia według moich roboczych notatek):

- nadmiernie wyeksponowano masowość. Usunąć akcenty młodzieżowe, zwiększyć sekwencję oświęcimską.
- tłumy o 50% za długie. Dodać przebitki o pracy Polski współczesnej.
- usunąć komunię, dodać akcenty bałaganiarskie. Wyeksponować śmieszne sceny z Marcinkusem.

- usunąć rozdawanie komunii, kwiaty wyrzucić.
- w Oświęcimiu wyeksponować władze państwowe.

- materiał wymaga głębokich przeróbek. Za dużo tłumów, skrócić o połowę. Podnieść Polskę z kolan. Górnicy za bardzo wyeksponowani. Za dużo transparentów. Usunąć Węgrów i Słowaków. Wyrzucić dziewczyny z krzyżami. Trzeba dodać, koniecznie podziękowanie, dla SB i MO.

Po „kolaudacji” byłem bliski załamania i rezygnacji z realizacji tego filmu. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że nawet tak okaleczony film będzie dla Polaków w Ameryce i Kanadzie ważnym przeżyciem. A poza tym szczerze mówiąc żal mi było również Jerzego Mysury, który włożył w powstanie filmu dużo pieniędzy, w końcu dzięki niemu ten film miał szansę ukazać się na ekranach. Oto pełna prawda o warunkach, w jakich realizowaliśmy film o papieżu.

Dla mnie największą satysfakcją okazała się notatka zamieszczona w „Nowinach” rzeszowskich, 4 lutego 1981 roku zatytułowana „35 tys. widzów na filmie o papieżu”, w której przeczytałem: „Kolorowy film dokumentalny autorstwa M. Chrzanowskiego i J. Kędzierzawskiego o podróży - pielgrzymce po Polsce papieża Jana Pawła II obejrzało w rzeszowskim kinie „Zorza” blisko 35 tysięcy widzów. Na ekranie film jest dopiero od 17 stycznia, a bilety są już wykupione na wszystkie seanse do 20 lutego. - Do tej pory tak kasowego filmu dokumentalnego jeszcze w naszych kinach nie było - poinformował nas wicedyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Rzeszowie Tadeusz Gnyś”. Ostatni zamknięty pokaz filmu „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce” zorganizował dyrektor WFD Marian Kruczkowski, wspólnie z dyrektorem „Interpressu” Mirosławem Wojciechowskim... dla ks. prałata, Alojzego Orszulika, kierownika Biura Prasowego Episkopatu Polski, ks. prof. Janusza Pasierba i towarzyszących im kilku księży. Ten pokaz był dla mnie wielkim zaskoczeniem... nie tyle sam pokaz, co reakcje gości w czasie projekcji. Otóż uczestnicy seansu bardzo żywo reagowali, gdy na ekranie pojawiał się jakiś ksiądz, ich kolega.

- O, popatrz jak ten Janek przytył!
- Ooo, widzicie Tadek, nie wiele się zmienił, co on robi, że nie tyje?
- Patrzcie no, Bolek, jaki szczęśliwy, że go dostrzeżono!

Goście, poza kilkoma zdawkowymi zdaniem nie oceniali filmu. Odniosłem wrażenie, że im się nie podobał. To dziwne, film, chociaż prawdopodobnie z innych powodów, nie podobał się też przedstawicielom aparatu partii. A miał, proszę wybaczyć mi nieskromność, jako polski film dokumentalny największą widownię, gdy zsumuje się widzów w Polsce, w Ameryce i w Kanadzie.

Zadaję sobie czasami pytanie, dlaczego film nie podobał się przedstawicielom Kościoła katolickiego? Relacja z pobytu papieża w Polsce kończy się sekwencją złożoną ze zdjęć lotniczych. Kiedy samolot z papieżem odrywa się od ziemi w Balicach rozlega się bicie dzwonu Zygmunta, a na zdjęciach Tatr zaczyna się melodia „Góralu czy ci nie żal...” Taki prosty chwyt pod Polonię, na dalszych zdjęciach z lotu ptaka (Warszawa, Gniezno, Gdańsk) lektor czyta słowa depezy, jaką z godnie z protokołem dyplomatycznym - Jan Paweł II wysłał z pokładu samolotu do władz Polski Ludowej, dziękując za gościnne przyjęcie i wyrażając zadowolenie z rozwoju ojczyzny. I to chyba stało się powodem, że film nie podobał się także hierarchom. Przytoczenie depezy głowy państwa watykańskiego było dla mnie zabiegiem, który pozwolił spełnić zalecenia kolaudantów i w ten sposób ocalić wiele ujęć od usunięcia z filmu. Papież, składał wizytę w Polsce, jako głowa państwa watykańskiego. Państwa autorytarnego. Dziękował w tej depezy władzom państwa autorytarnego. Jego wizyta ośmielając rodaków zapoczątkowała rozpad autorytarnych rządów w Polsce. I jak tu nie wierzyć w cuda!

## 8. Awans

Pierwszego lutego 1973 roku, dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych -wydawca kroniki, podpisał ze mną umowę, „powierając” mi stanowisko redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej.

Dotychczasowy szef PKF, Michał Gardowski, przeszedł do pracy w Komitecie do Spraw Radia i Telewizji na stanowisko wiceprezesa, czyli na zastępcę Macieja Szczepańskiego, który w październiku 1972 roku objął kierownictwo Radiokomiteu i ściągał na Woronicza zdolnych ludzi.

Przepracowałem z Michałem Gardowskim trzy i pół roku, wspominam ten czas, jako bardzo dobry w moim życiu, kilka razy naraziłem szefa na kłopoty, wynagradzałem mu to lojalnością i ciężką pracą. Prawda, Michał kilka razy postąpił wobec mnie niezbyt elegancko, ale były to drobiazgi bez większego znaczenia. O dwóch z nich opowiem, bo są one charakterystyczne dla czasów, które tu opisuję. Podczas nieobecności Michała w redakcji, otrzymałem polecenie z KC PZPR szybkiej realizacji filmu pt. „Pomożemy.” W sprawach merytorycznych miałem kontaktować się z Józefem Bareckim, redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu”, a do napisania tekstu wyznaczono Jerzego Ambroziewicza. Film powstawał z materiałów archiwalnych PKF i był przeznaczony dla ambasad i polskich placówek kulturalnych za granicą. Można nawet powiedzieć, że było to monotematyczne wydanie PKF, tyle, że bez czołówki i zredukowane na taśmę 16 milimetrów, bo polskie placówki

dysponowały tylko takimi projektorami. Redukcję taśmy z 35 milimetrów miała wykonać Wytwórnia Filmowa „Czołówka”. Montaż filmu „Pomożemy” powierzyłem pani Agnieszce Bojanowskiej, cieszącej się opinią doskonałej i szybkiej montażystki. Kiedy wydanie zostało nagrane, a „Czołówka” kończyła redukcję taśmy, Jerzy Łukaszewicz, sekretarz KC PZPR, przyjechał na Chełmską obejrzeć film o poparciu Edwarda Gierka przez polskie społeczeństwo, a przede wszystkim „przez klasę robotniczą”. Michał Gardowski wrócił właśnie z zagranicy, zaprowadziliśmy więc Łukaszewicza na salę D, gdzie odbywała się projekcja. Po zakończeniu pokazu sekretarz oznajmił, że zamierza wprowadzić w filmie pewne zmiany.

Mając na myśli terminy i perturbacje z redukcją taśmy na 16 mm, zamiast postąpić jak swego czasu Jarosław Iwaszkiewicz, gdy Markow, przewodniczący literatów radzieckich zapytał go gdzie może zrobić siusiu, odpowiedział: pan może wszędzie; nie powiedziałem: towarzyszu sekretarzu, wam wolno zmienić wszystko tylko poinformowałem go, że żadnych zmian już wprowadzać nie można. Michał dostrzegł chyba zaskoczenie na twarzy Łukaszewicza, bo go natychmiast zaczął przeproszać i tłumaczyć, że braki filmu powstały, dlatego, iż nie było go w redakcji, gdyż musiał służbowo wyjechać. Reakcja Michała zdziwiła Łukaszewicza, chyba jeszcze bardziej niż moja szczerą odpowiedź, bo zakończył rozmowę stwierdzeniem: skoro towarzysz Chrzanowski mówi, że już nie mogę nic zmienić, to niech tak zostanie.

A oto inny przykład. Basia Sidorczuk, moja koleżanka ze studiów, szefowa „Kobiety i Życia”, zastępca członka KC PZPR, z którą bardzo się lubiliśmy, przy okazji jakiegoś spotkania zapytała mnie wprost: Mirku, co się z tobą dzieje, że tak nagle straciłeś samodzielność?

Nie wiedząc, co Basia ma na myśli, poprosiłem ją o bliższe wyjaśnienia. Wtedy opowiedziała mi o urlopie w Kazimierzu nad Wisłą, który spędzała razem z Gardowskimi.

Mój szef, Michał, przed wyjazdem na wczasy poprosił, abym po przyjęciu pierwszej kopii kroniki, dzwonił do niego, „najlepiej w porze obiadu” i informował „czy wszystko w porządku.” Dzwoniłem więc dwa razy w tygodniu i zapewniałem, że pracujemy normalnie, pozdrawiałem Basię, jego żonę, i życzyłem miłego wypoczynku.

Michał po rozmowie telefonicznej wracał do jadalni domu dziennikarza, rozkładał teatralnie ręce i zalił się: nawet na urlopie nie dają mi spokoju. Nie mówił wprost: teraz widzicie, z kim muszę pracować, ale otoczenie tak właśnie odbierało moje telefony. Do zachowań szefa nie przywiązywałem specjalnej wagi, wychodziłem, bowiem z przekonania, że każdy człowiek ma jakieś słabości. Drobnostki, śmieszności.

Gdy awansował, rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie. zaproponował mi nawet, że dwa razy w miesiącu napisze tekst do kroniki. Propozycję przyjąłem ze zrozumieniem. Nie pamiętam ile komentarzy zdołał spłodzić, bo szybko zrezygnował, wszak wiceprezes Radiokomitetu miał dostatecznie dużo pracy na Woronicza. Do pierwszych animozji między nami doszło w sierpniu 1973 roku. Michał chciał, bowiem reprezentować PKF na kongresie INA ( International Newsreel Association- Międzynarodowe Stowarzyszenie Kronik Filmowych), który odbywał się we wrześniu w Meksyku. Nie miałem nic przeciw jego wyjazdowi, pod jednym wszakże warunkiem, że Radiokomitet sfinansuje mu podróż i pobyt na kongresie. Sam, bowiem nie zamierzałem zrezygnować z wyjazdu, który umożliwiał mi poznanie władz INA i redaktorów naczelných kronik utrzymujących z nami wymianę materiałów filmowych. I chyba swoim zachowaniem naraziłem się byłemu szefowi. Okazał mi swoją niechęć i podkreślił własne znaczenie w czasie, gdy Gdynia przygotowywała się do „Operation Sail”- parady żaglowców z całego świata. Spotkanie największych i najpiękniejszych żaglowców jest imprezą niezwykle widowiskową, stąd do PKF napłynęły z wielu kronik zamówienia na materiały. I wtedy właśnie dowiedziałem się, że wyłączność na filmowanie parady morskiej żaglowców zastrzegła sobie telewizja! A po bliższym zbadaniu sprawy uzyskałem informacje, że autorem pomysłu jest właśnie wiceprezes, Michał Gardowski.

W tamtych czasach w Polsce Ludowej telewizja nie miała możliwości przyznawania sobie prawa wyłączności, choć prominenci z otoczenia Macieja Szczepańskiego wielokrotnie czynili próby wyeliminowania PKF z różnych imprez. Wybrałem się więc do Michała Gardowskiego, aby zapytać go na podstawie jakiego prawa przyznał sobie wyłączność. Wiceprezes na początku wizyty potraktował mnie jak petenta i dał mi do zrozumienia, że rozmawia ze mną tylko dlatego, że jest człowiekiem dobrze wychowanym. Nie spodziewał się, że mam asa ukrytego w rękawie.

Przykro mi Michale- powiedziałem wstając z fotela- iż będę musiał poinformować „Nowosti Dnia”, które proszą mnie o zdjęcia żaglowców „Kruzenszterna” i „Siedowa,” o twoim stanowisku w tej sprawie, i wyciągnąłem rękę, by się pożegnać.

- Chwileczkę- usłyszałem - to jakieś nieporozumienie. I Michał wycofał się z wyłączności. Nie zamierzał wszak narażać się „radzieckim”, a nie domyślił się, że blefuję. Kronika radziecka nie przysłała żadnego zamówienia! Miała na żaglowcach własnych operatorów.

Nie pamiętam dokładnej daty, jest to w końcu drobiazg bez znaczenia, ale podobnie jak mój były szef postąpił inny prominentny przedstawiciel telewizji. Przed przyjazdem do Polski Leonida Breżniewa na naradzie w Komitecie Centralnym



Stanisław Cześnin zażądał, aby nie wpuszczać Polskiej Kroniki Filmowej na płytę lotniska, bo operatorzy PKF tylko przeszkadzają.

- Uczyliście się od kroniki, a teraz usiłujecie się jej pozbyć, boicie się konkurencji – zapytałem.

- Uczyliśmy się od was i dlatego zdarzają się nam błędy - odparował - dyrektor generalny TVP. - Nie wystarczy uczyć się tylko na błędach, radzę uczyć się także na wyższych uczelniach.

Zebrani na sali redaktorzy wybuchnęli głośnym śmiechem. Osłupiałem, nie wiedziałem skąd ten wybuch śmiechu, co ja takiego powiedziałem? Po naradzie ktoś mi szepnął: Staszek nie ma wyższego wykształcenia. Nie mogłem uwierzyć. Taki inteligentny i przystojny mężczyzna!

Teraz, po latach otrzymuję często pytania od osób interesujących się Polską Ludową, kiedy usunięto PKF z telewizji i z jakich powodów? Dokładnej daty nie pamiętam, a przyczyny były z pewnością różne. Najprawdopodobniej od czasu, gdy powierzono Maciejowi Szczepańskiemu funkcję prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, kronika przestała przystawać do wizji propagandy sukcesu, której czołowym, najwybitniejszym twórcą był nie, kto inny, a właśnie Maciej Szczepański. Kronikę różniły od telewizji Szczepańskiego nie tylko sprawy warsztatowe, ale przede wszystkim sposób ukazywania Polski. To prawda, osiągnięcia Polski Ludowej zajmowały sporo miejsca w wydaniach PKF, wszak one istniały w rzeczywistości, ale nigdy Polska Kronika Filmowa nie przestała pokazywać również niedostatków realnego socjalizmu: kobiet wracających po pracy do domu obwieszonych siatkami, kolejek, złego gospodarowania państwowymi pieniędzmi, bubli, przywar społecznych i nieudolności władz... oczywiście niższych szczebli. Przy wszystkich ułomnościach kroniki nie pouczaliśmy w komentarzach naszych widzów, nie zrezygnowaliśmy z żartu, aluzji i kpiny. Kronika dość zręcznie posługiwała się spektaklami teatralnymi, występami kabaretów, piosenkami. Ten rodzaj „uprawiania propagandy” stanowczo nie mieścił się w kanonie propagandy sukcesu, panoszącej się na ekranie telewizyjnym. Przy wszystkich ograniczeniach i trudnościach nie utraciliśmy zdrowego rozsądku, co nas uwiarygodniało w oczach widzów i przysparzało sympatii. Można bez przesady powiedzieć, że kronika wypracowała własny styl.

Kiedy usiadłem na szefowskim fotelu, podjąłem trzy pierwsze decyzje.

- Wystąpiłem do władz administracyjnych o przyznanie kronice pieniędzy na honoraria dla dziennikarzy, którym dotąd nie płacono wierszówek. Zwróciłem się do władz politycznych i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z wnioskiem o zaliczenie PKF do redakcji pierwszej kategorii.

- Odwołałem z kolegium redakcji, (jak się później okazało, był to poważny błąd) Jana Grzelaka, pracownika Komitetu Warszawskiego PZPR, który nie przychodził na zebrania kolegium i na nagrania kroniki, a po pieniądze przysyłał kierowcę.

- Polska Kronika Filmowa wymieniała z wieloma kronikami całe wydania, językiem wymiany był angielski, tzn., że polski komentarz tłumaczyliśmy na język angielski. Wyjątek stanowiły „Nowosti Dnia”, którym wysyłaliśmy komentarze w języku rosyjskim, a oni przysyłali nam teksty też po rosyjsku. Poprosiłem redaktor Marię Dehn, która kierowała działem zagranicznym, aby ustaliła z redakcją w Moskwie, w jakim języku będzie odbywać się nasza wymiana: angielskim, czy rosyjskim i polskim. Jeśli koledzy rosyjscy będą przysyłać nam teksty „Nowosti Dnia” w języku polskim, my będziemy wysyłać im swoje wydania w języku rosyjskim.

Najmniej zadowolony z mojej decyzji był tłumacz, który stracił źródło zarobku. „Nowosti Dnia” przyjęły zmianę bez uwag. Mam nadzieję, że to, co napisałem nie zostanie odczytane w ten sposób, iż usiłowałem zademonstrować swoją niechęć w stosunku do radzieckich kronikarzy. Uznałem jedynie, że umowy zawarte na zasadach ustalonych przez INA obowiązują wszystkie umawiające się strony. Z kolegami z „Nowosti Dnia” współpraca układała mi się dobrze, a z Jurijem Awietikowem łączyły mnie przyjacielskie stosunki, przegadaliśmy nie jeden wieczór w Moskwie przy „Posolskoj”, a w Warszawie przy „Wyborowej.”

Tymczasem zacząłem przygotowania wyjazdu do Meksyku, było to moje pierwsze spotkanie z władzami INA i redaktorami kronik z różnych kontynentów i krajów świata. Nieocenionej pomocy udzielała mi redaktor, Maria Dehn, kierownik działu zagranicznego PKF, która znała prawie wszystkich redaktorów naczelnych, bywała na kongresach, była lubiana i ceniona przez wszystkich uczestników, o czym przekonałem się na kongresie. Z programu kongresu, jaki otrzymaliśmy wynikało, że w dzień będziemy obradować, a wieczory spędzać na balach i przyjęciach. I właśnie te wieczory stały się dla mnie pierwszym problemem. W zaproszeniu napisano, że strój wieczorowy jest dobrze widziany, czyli obowiązkowy. Maria opowiedziała mi, że na przyjęcia szefowie kronik zachodnich przychodzą w smokingach, a socjalistycznych - w garniturach, nie zawsze zresztą ciemnych, co miało podkreślać, iż reprezentują świat pracy i mają gdzieś burżuazyjne konwenanse.

Odbyłem w tej sprawie kilka narad z najbliższą rodziną i przyjaciółmi. I postanowiłem uszyć sobie na kongres INA w Meksyku smoking! A kiedy już ten przyodzieżek był gotowy, wyłonił się, jak widmo... nowy problem: nie mogłem kupić do tego burżuazyjnego stroju koszuli. Nawet redaktor Rajmund Ossowski, który mógł w Polsce Ludowej kupić (załatwić) wszystko, rozłożył bezradnie ręce i oświadczył najzwyczajniej w świecie: skoro zamierzasz zatrzymać się w Paryżu, to dam ci kilka adresów i bez kłopotu kupisz, co tylko zechcesz. I wtedy koszulami zajęła się moja nieoceniona żona - Renia. W okolicach Placu Zbawiciela znalazła krawca, który

jeszcze w II Rzeczypospolitej szył szlachetnie urodzonym koszule, i zaprowadziła mnie do tej pracowni, gdzie nabyłem potrzebne dodatki do smokingu!

Przedstawiciele europejskich kronik filmowych mieli zebrać się 11 września w Paryżu i stąd „Beoingiem 747”, zwanym też - „Jambo Jetem” - polecieć do Meksyku. Zjawiliśmy się Maria Dehn, Ryszard Golec i ja - nad Sekwaną dwa dni wcześniej, zamierzałem, bowiem poznać osobiście przedstawicieli władz INA, której siedzibą była stolica Francji. Przyjął nas pan, Marcel Colin - Reval, sekretarz generalny, w sposób dość niekonwencjonalny. Cieszę się, że wpadliście, powiedział, witając się z nami, pomożecie mi kupić samochód. Posadził nas przy stoliku, rozłożył katalog z pojazdami różnych marek i poprosił o wskazanie modelu, który każdemu z nas podoba się najbardziej. Zgodnie wskazaliśmy błękitnego peugeota, a pan Colin - Reval aż podskoczył z radości. Wybraliśmy, bowiem jego model! Skoro jesteśmy tak jednomyślni, to uczcijmy ten fakt kawą i francuskim koniakiem – zaproponował.

Wstępną rozmowę o pogodzie mamy już za sobą, to pozwoli pan - tu nasz rozmówca zwrócił się w moją stronę - że zapytam, co kolega sądzi o pani Helenie Lemańskiej? Nie, byłem przygotowany na takie pytanie. Zgodnie z prawdą, odpowiedziałem, że nie miałem okazji poznać jej osobiście, ale bardzo cenię dorobek pani Lemańskiej i staram się utrzymać model kroniki przez nią stworzony. Prawdopodobnie, gdybyśmy się spotkali i wymienili swoje poglądy polityczne, wystąpiłyby między nami pewne różnice, ale tego, co Lemańska wniosła do kroniki nikt jej nie odbierze, a już na pewno ja nie mam takich zamiarów. Kilka lat po tej rozmowie dowiedziałem się, że pytanie o Helenę Lemańską, było testem dla osób przyjeżdżających tu z Warszawy. Podczas rozmowy, do gabinetu Colin - Revala wszedł jakiś pan, z którym gospodarz wymienił parę zdań, podpisał podany mu dokument, wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu i wręczył przybyszowi, ten mu się zrewanżował, wręczając inne kluczyki. Pożegnał się i opuścił gabinet. Okazało się, że w ten niezbyt skomplikowany sposób Colin - Reval kupił nowy i pozbył się starego samochodu. Gdy opuszczaliśmy biuro INA, gospodarz przeprosił nas za kłopot związany z odnalezieniem nowego pojazdu, przedstawiciel firmy postawił go na tej ulicy, musimy, więc peugeota odnaleźć. Czuliśmy się usatysfakcjonowani, że jesteśmy pierwszymi pasażerami nowego „wozu” i robimy rundę wokół Paryża, aby sprawdzić jego zalety. Zamieszkaliśmy w tanim hoteliku, którego właścicielem był sympatyczny i gościnnie Chilijczyk. Żegnał nas ze łzami w oczach. To właśnie od niego dowiedzieliśmy się, że zamordowano prezydenta Chile, Salvatore Allende. Na ulice Paryża wyległy tłumy, aby zaprotestować przeciw zamachowi stanu w Chile. Po wylądowaniu, w Meksyku w czasie odprawy granicznej przekonaliśmy się, że podział świata na dwa obozy trwa tu jeszcze w najlepsze, osoby pochodzące z zachodniej Europy przepuszczono bez kontroli, natomiast nas - ze wschodniej sprawdzano długo i dość dokładnie. Koledzy z zachodniej części naszego kontynentu denerwowali się i niecierpliwili, nie szczędząc złośliwych uwag pod adresem władz Stanów Zjednoczonych Meksyku.

13 września 1973 roku, centralną ulicą stolicy Meksyku, na której mieścił się nasz hotel, przeciągnęła potężna manifestacja, protestując przeciw juncie i śmierci prezydenta Chile. Wyszliśmy przed hotel, Ryszard Golc zaczął filmować pochód, staliśmy na chodniku, obserwując demonstrantów. W pewnej chwili nie wiadomo, dlaczego jeden z protestujących rzucił się na Marię Dehn, na szczęście koledzy z kronik filmowych stojący najbliżej Marii odpędzili napastnika. Meksykańscy koledzy pobyt i kongres zorganizowali wprost cudownie! Obrady trwały każdego dnia krótko i tylko do pory obiadowej, po południu zwiedzaliśmy wspaniałe zabytki, a wieczorami uczestniczyliśmy w niekończących się bankietach i zabawach trwających do późnej nocy. Wspominam te wieczory do dziś, stały się one najlepszą formą nawiązywania koleżeńskich relacji ponad politycznymi podziałami.

Obrady Światowego Kongresu Kronik Filmowych („Congreso Mundial De Prensa Filmada”) otworzył gość honorowy, „Señor Presidente de la República, Luis Echeverría Alvarez”, życzył owocnych obrad i zaprosił na bankiet z okazji Święta Niepodległości do Palacio Nacional. Na przyjęciu u prezydenta napatrzyliśmy się na wytworny świat meksykańskich elit artystycznych, naukowych, przedstawicieli finansjery i biznesu. Wzrok mój przyciągały bez przerwy wytworne fryzury i toalety dam zgromadzonych w salach recepcyjnych pałacu prezydenckiego, swoboda, z jaką poruszały się wśród gości uśmiechnięte, bez troskie i szczęśliwe.

To właśnie w tym pałacu, wśród elity Meksyku, wystąpiłem w smokingu jeden jedyny raz w życiu. Koledzy z zachodniej Europy pewno tego nie zauważyli, przyjaciele z obozu socjalistycznego podobno komentowali ten fakt z przekąsem. Smoking moja żona, Renia, sprzedała w czasie stanu wojennego, gdy wyrzucono nas oboje z pracy...

Obrady kongresu przebiegały w dobrej atmosferze, a że dotyczyły spraw przeważnie zawodowych i technicznych oszczędzę czytelnikom ich opisu. Dla wszystkich uczestników kongresu bardziej interesującą stroną tego spotkania było zwiedzanie pięknego kraju.

Zaczeliliśmy od Xochimilco (czyt. Soczimilko), gdzie znajdują się „The lovely „floating gardens” ( bajeczne, pływające ogrody) czekały tu na nas łodzie przybrane kwiatami w narodowych barwach, z kwiatów też były zrobione napisy z nazwami kraju. Gospodarzom udało się nie pomylić flagi polskiej z indonezyjską, choć indonezyjska ma takie same kolory tylko odwrócone. Płynęliśmy łodziami przy dźwiękach ludowych melodii granych przez zespoły mariachies. Po skończonym rejsie obejrzeliliśmy występy zespołów folklorystycznych, wśród przepięknych tancerek poznaliśmy naszą rodaczkę. Do Xochimilco nie przyjechaliśmy autokarem, ale samochodem osobowym młodego aktora meksykańskiego, narzeczonego właśnie polskiej tancerki. Poznaliśmy go pierwszego dnia obrad. Przekonał nas, że z nim dojedziemy szybciej i Ryszard Golc będzie miał więcej czasu na robienie zdjęć.

Umówiliśmy się, że po występach wrócimy do domu jego rodziny, znajdującego się sto metrów od miejsca występów. Aby nie było wątpliwości, podwiózł nas pod sam dom, przedstawił rodzinie i piechotą udaliśmy się na brzeg, gdzie stały łodzie. Przywieźliśmy z sobą kilka butelek najlepszego wytworu polskiej myśli, daliśmy, więc w prezencie przemiłemu aktorowi butelkę żubrówki. Po imprezie późnym wieczorem wróciliśmy do domu rodziny aktora. Zastaliśmy wujka, ciocię i naszego cicerone, dosłownie ściętych z nóg po wypiciu pół litra polskiej żubrówki! Świat jest jednak piękny i pełen niespodzianek.

Następny wieczór spędziliśmy w eleganckiej restauracji hotelowej, w której podejmował nas szef kinematografii Meksyku, pan Hiram Garcia Borja. Największe wrażenie zrobił na mnie taniec ognistej blondynki połączony ze strip-teasem, która okazała się... mężczyzną. Dużą niespodziankę sprawiło mi oczywiście zachowanie moich znakomitych kolegów z kronik wolnego świata, ich żon i przyjaciółek. Po zakończonym bankiecie, kiedy opuszczaliśmy salę, na stołach pozostały słodycze, czekolady, papierosy, cygara. Elegancy panowie i towarzyszące im wytworne damy zbierali to wszystko garściami i upychali w kieszeniach, a panie łądowały do torebek co się tylko dało! No coment.

Nie mogę nie wspomnieć o Teotihuacan i sławnych piramidach Słońca i Księżycy, które uczestnicy kongresu zwiedzili z przyjemnością i podziwem. Tego wieczoru przyjęcie utrzymane było w stylu historycznym: piliśmy tequile z soku agawy i pulque, napój alkoholowy, z soku rośliny, o nazwie, maguey, uznawanej przez prekolumbijskich Indian Mezoameryki za świętą. Z jej soków wyrabiano właśnie pulque, napój oszalamiający, wprawiający w nastrój szczęśliwości i wywołujący kolorowe wizje. W salach recepcyjnych hotelu „Aristos” podejmowano uczestników kongresu trzema rodzajami tego starożytnego trunku: białym jak mleko, gęstawym płynem o smaku gorzko słodkawym, pachnącym miodem i kokosem, zimnym i orzeźwiającym. Podawano go w glinianych czarkach. Zielona pulqua smakowała wprost nadzwyczajnie i mocno rozweselała. Pulqui różowej barmanki nie chciały nam podać, tłumaczyły, że po skończonym przyjęciu, jak będziemy wychodzić z lokalu dostaniemy po czarce, bo nie wolno jej pić w zamkniętym pomieszczeniu. Ale Rysiek (już po kilku tequilach) uparł się i jedną czarkę opróżnił przy stoliku, ja natomiast posłuchałem i dopiero, gdy opuszczaliśmy salę, w której odbywało się przyjęcie, wypilem pod gołym niebem. Rysiek żartował sobie ze mnie, że stchórzyłem i wychodząc wypił jeszcze jedną czarkę, ale też w pomieszczeniu. Tymczasem goście różową pulque pili dopiero po wyjściu z restauracji. Jak działał napój różowy wypity w pomieszczeniu Ryszard przekonał się rano, gdy nie mógł wstać z łóżka, a głowa bolała go tak okropnie, że tego dnia nie wziął kamery do ręki, co zdarzyło mu się jeden, jedyny raz w życiu, tymczasem ja czułem się znakomicie, a sny miałem wprost niebiańskie!

W latach siedemdziesiątych, Acapulco było w szerokim świetle opromienione wielką sławą, nazywano je kurortem milionerów, cieszyliśmy się więc, że zobaczymy ten raj bogaczy na własne socjalistyczne oczy. Ze stolicy Meksyku wyjechaliśmy wcześniej rano autokarami, co pozwalało przybyszom z różnych części świata przyjrzeć się tamtejszym krajobrazom. W drodze do wytwornego kurortu zatrzymaliśmy się w Taxco, mieście położonym na malowniczej górze, pod którą kryły się bogate złoża srebra. Miasto słynie z wyrobów ze srebra, większość sklepów sprzedaje tu srebrne patery, kielichy i kieliszki, łańcuszki, kolczyki i różnego rodzaju wisioriki w ogromnym wyborze. Nawet na obiedzie wydanym z okazji kongresu INA w kolonialnej rezydencji austriackiego księcia Maksymiliana Ferdynanda Józefa, którego Francja uczyniła monarchą Meksyku, (1864 -1867), potrawy posypano sprasowanymi pasemkami srebra. Mnie na tym uroczystym obiedzie najbardziej smakowały przepyszne pierożki. Postanowiłem więc dowiedzieć się, z jakich komponentów je przyrządzono. Zakradłem się do części kuchennej rezydencji i tu dowiedziałem się od szefa kuchni, że w środku pierożków znajdują się jajeczka mrówek meksykańskich z odpowiednimi przyprawami.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Acapulco, gdzie wieczorem podejmował nas w hotelu Casablanka pan Israel Nogueta Otero, gubernator stanu Guerrero. Koledzy meksykańscy, którzy doskonale zorganizowali pobyt uczestników kongresu, dali nam dzień wolny i każdy mógł spędzać czas według własnego uznania. Rano, zaraz po śniadaniu, z zapasowymi kasetami z taśmą filmową wybraliśmy się nad morze, gnani chęcią sfilmowania prawdziwych milionerów w otoczeniu pięknych dziewczyc, na sławnej plaży w Acapulco. Spotkało nas tu największe rozczarowanie podczas całego pobytu w Meksyku. Dowiedzieliśmy się otóż, że milionerzy nie wychodzą na plażę dostępną, dla zwykłych śmiertelników, mają, bowiem swoje plaże we własnych rezydencjach, dokąd prawdziwą wodę morską doprowadza się odpowiednimi rurami. Z jakiego są one kruszcu nietrudno odgadnąć. Za to mogliśmy oglądać, a Golc sfilmował, mrozące krew w żyłach skoki chłopców z wysokiej skały do morza. Na tarasie widokowym, na wzgórzu La Quebrada, zbierają się co godzinę turyści, by po wykupieniu biletów, doświadczyć niezwykłych przeżyć. Na wysokiej skale usytuowanej naprzeciw tarasu, oddzielonej wąską szczeliną wzburzonej morskiej wody, zbierają się młodzi mężczyźni, aby skoczyć z wysokości około 40 metrów w dół! Skała ma taki kształt, że wydaje się, iż skaczący nie sięgnie wody, ale roztrzaska się o kamienisty brzeg.

Lot ze szczytu do wody, trwający zaledwie kilka sekund, sprawia wrażenie niesamowite, uczestnicy widowiska zaciskają dłonie, wstrzymują oddech, a kiedy skoczek zanurza się w wodzie z ust obserwujących bezwiednie wydobywa się okrzyk: ooh! Słyszało się w tym okrzyku ulgę i podziw. A kiedy młodzieniec wyłaniał się z morskiej głębin na powierzchnię wody rozlegały się burzliwe oklaski. Z Acapulco do stolicy Meksyku lecieliśmy samolotem. Wtedy dopiero zobaczyliśmy w rezydencjach

milionerów setki basenów najprzeróżniejszych kształtów, w kolorach seledynowym, niebieskim, zielonym...

Do Warszawy powróciłem bogatszy o nowe doświadczenia i znajomości z kronikarzami z całego świata.

Poznałem honorowego prezydenta i założyciela International Newsreel Association, pana Jean Jay, szefa kroniki realizowanej w Gaumont, pana Jean Pierre Leehardta redaktora naczelnego Pathe-Magazine, pana Marcela Hureta. W Republice Federalnej Niemiec w owym czasie ukazywały się trzy kroniki filmowe, zaraz po wojnie powstały one w trzech strefach okupacyjnych: amerykańskiej, angielskiej i francuskiej. Na czele kroniki Fox Toenende Wochenschau w Monachium stał Hans Lipp. Blick In Die Welt, we Frankfurcie nad Menem tworzył pan, Gerhard Holland, a Deutsche Wochenschau w Hamburgu redagował pan Klaus Lensch. Kroniki niemieckie zamieszczały najwięcej polskich materiałów, dlatego zależało mi na nawiązaniu bliskiej współpracy i osobistej znajomości. Z panem Wuste z Der Augenzeuge ukazującej się w Niemieckiej Republice Demokratycznej poznaliśmy się rok wcześniej na spotkaniu kronik państw socjalistycznych.

Kongresy INA odbywały się co roku i były poświęcone sprawom zawodowym, bezdewizowej wymianie materiałów filmowych między kronikami i sprawom warsztatowym. Na kongresach podejmowano decyzje o filmowaniu wielkich imprez sportowych: igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata w różnych dyscyplinach sportu, a także festiwali filmowych i imprez kulturalnych. Na kongresach INA powstawały tzw. "poole", aby zmniejszyć koszty pozyskiwania materiałów. Im więcej kronik zapisywało się do „poolu” filmującego np. olimpiadę, tym taniej pozyskiwało się materiał. Najważniejszym momentem każdego kongresu były pokazy kronik filmowych. Przeszto bowiem prezentować kroniki na festiwalach filmowych, więc projekcje kronik na kongresach INA stały się sprawdzianem sprawności i tematem żywych, koleżeńskich dyskusji. Nie przyznawano nagród ani dyplomów, ale wiadomo było, które kroniki uczestnicy kongresu oceniają najlepiej. Polska Kronika Filmowa utrzymywała się w ścisłej czołówce i niejednokrotnie w dyskusjach powoływano się na nasze wzory.

W 1974 roku kongres INA odbywał się w stolicy Kenii, w Nairobi. Kroniki europejskie leciały jak zwykle z Paryża, bo w ten sposób płaciliśmy mniej za bilety lotnicze. W drugim dniu obrad kongresu koledzy z Francji, ku mojemu zaskoczeniu, zgłosili moją kandydaturę na wiceprezydenta INA, a kongres wybrał mnie jednogłośnie. Do tej pory do władz tej organizacji wybierano tylko osoby z kronik zachodnich, byłem więc pierwszym przedstawicielem z obozu socjalistycznego, któremu powierzono funkcję w centralnych władzach International Newsreel Association. To był wyraźny zwrot w dotychczasowej polityce INA. Wybrano osobę z Polski, bowiem Polska Kronika Filmowa spośród wszystkich kronik socjalistycznych

była najbardziej zbliżona swoją formułą do kronik zachodnich i zdecydowanie najwięcej w swoich wydaniach zamieszczała tematów zza „żelaznej kurtyny.” Już po wyborze sekretarz generalny INA podzielił się ze mną swoim marzeniem, pragnął mianowicie, podobnie jak wielu kolegów z kronik państw zachodnich, aby jeden z kongresów zorganizować w Moskwie. Miał nadzieję, że mu pomogę w realizacji tego dążenia i stanę się w jakimś stopniu współorganizatorem tych zamiarów. Z Warszawy wszak bliżej do Moskwy niż z Paryża. Kilka razy wyjeżdżałem w tej sprawie do Moskwy. Przywoziłem do Paryża pomysły wieści: koledzy radzieccy byli przychylni tej idei, ale żeby zorganizować kongres, musieli pokonać, niezrozumiałe dla ludzi Zachodu bariery biurokracji. Rozmowy i przygotowania trwały równo pięć lat, na przełomie maja i czerwca 1979 roku kronikarze z całego świata spotkali się w Moskwie! Marzenie Colin-Reval'a wreszcie się spełniło. O spotkaniu w Moskwie napiszę nieco później. Kongres INA w Kenii po długiej dyskusji upoważnił władze wykonawcze do utworzenia „poolu”, który miał w 1976 roku zająć się filmowaniem olimpiady w Montrealu.

Moim wyborem do władz INA przejął się bardzo ambasador Polski Ludowej w Kenii, wydał nawet z tej okazji „dinner”, na który zaprosił władze INA, z honorowym prezydentem Jean Jay na czele. Ponieważ władze INA uwielbiały wszelkiego rodzaju rauty i biesiady, gest ambasadora PRL przyjęły z uznaniem. Na spotkaniu tylko w polskim gronie ambasador, Zdzisław Lesiak, uraczył nas dwoma opowieściami. Opowieść pierwsza. Jak przystało na przedstawiciela drugiego co do wielkości socjalistycznego państwa w Europie, ambasador mieszkał w rezydencji i zatrudnił ogrodnika, który utrzymywał park i ogród otaczający siedzibę dyplomaty na wysokim poziomie.

Z pracy ogrodnika-opowiadał gospodarz rezydencji-byłem bardzo zadowolony. Wyróżniał się on rzadko spotykaną sumiennością i znajomością sztuki ogrodniczej. Mówię sztuki- dodawał dyplomata-bo ogrodnik wyhodował tak piękne kwiaty, że mi ich zazdrościli przedstawiciele dwóch najważniejszych mocarstw. Mój ogrodnik nigdy nie spóźniał się do pracy, pragnę to w tym miejscu szczególnie podkreślić, dodawał ambasador. Ale oto pewnego dnia nie pojawił się w ogrodzie. Kiedy nie przyszedł i dnia następnego, zacząłem się niepokoić, a trzeciego dnia poleciłem, aby sprawdzono czy nie jest chory? Na szczęście pojawił się dnia czwartego, wtedy spadł mi kamień z serca. Zapytałem go jednak, dlaczego

był nieobecny? Odpowiedział mi najspokojniej w świecie, że spotkał przyjaciela, którego nie widział bardzo długo i przez trzy dni dzielili się opowieściami ze swoich przeżyć. Ogrodnik kilkudniową absencją uznał za rzecz naturalną. A kiedy zorientował się, że chlebobdawca ma kłopoty ze zrozumieniem jego zachowania, zapytał wprost: a pan przyszedłby do pracy, gdyby spotkał przyjaciela po kilku latach rozłąki?



- W Polsce praca jest najważniejsza.

- Proszę o wybaczenie, ale muszę to powiedzieć, żyje pan w jakimś dziwnym kraju-podsumował rozmowę ogrodnik.

Opowieść druga. Miłość jak wiadomo nie uznaje żadnych barier: narodowościowych, politycznych, religijnych i geograficznych. I dlatego jest najpiękniejszym ze wszystkich uczuć ludzkich.

Pewna mieszkanka Łodzi, która poznała Kenijczyka z plemienia Kikuju, kończącego właśnie w Polsce medycynę, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, a on odwzajemnił jej uczucia z równie wielką siłą. A jak wiadomo prawdziwa miłość nie uznaje żadnych barier, więc ona dała mu serce i nie tylko serce, wzięli ślub i wyjechali do słonecznej Kenii. I tu urodziło się piękne dzieciątko, które zostało ochrzczone według miejscowych zwyczajów: szaman odtańczył taniec radości, a członkowie plemienia przyście na świat maleństwa świętowali przez kilka dni. W czasie tych uroczystości okazało się, że w cieniu Kilimandżaro żyły dwie prawowite żony doktora, które swoją obecnością na chrzcinach podzielały radość męża z przyjścia na świat potomka płci męskiej.

Nasza rodaczka nie mogła się z tym jednak pogodzić i postanowiła wrócić do Polski. Była na tyle przezorna, że zachowała bilet powrotny, więc ambasada okazała jej bezinteresowną pomoc i ułatwiła odlot do ojczyzny. Po pewnym czasie napisała, do naszej placówki w Nairobi, że prosi o pomoc w uzyskaniu alimentów. Ambasada zwróciła się z tą sprawą do kenijskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Kenijczycy poprosili ambasadę o sprecyzowanie o co chodzi, albowiem po raz pierwszy w historii niepodległej Kenii inne państwo zwróciło się do nich z żądaniem alimentów. Polska ambasada opisała całą sprawę bardzo dokładnie i precyzyjnie sformułowała żądania. Upłynęło sporo czasu nim nadeszła kenijska odpowiedź. Kenijczycy napisali, że w ich prawie nie ma pojęcia alimentów, ponieważ dziecko przychodzące na świat należy do plemienia i plemię je wychowuje w razie utraty rodziców. Starszyzna plemienia Kikuju zaś odpowiedziała ministerstwu w Nairobi, że jest zdziwiona postawą Polki, którą plemię przyjęło z radością i przez cały czas jej pobytu okazywało jej życzliwość. Zdaniem starszyny, to Polka powinna zapłacić odszkodowanie, bo ukradła dziecko, należące do plemienia!

Z pobytu w Kenii zapamiętałem jeszcze dwa zdarzenia.

Kenijscy koledzy przygotowali kongres INA doskonale. Pokazali nam śniegi Kilimandżaro, jezioro Nakuru z różowymi wyspami flemingów, zorganizowali spotkanie z prawdziwym szamanem, przemiłym panem w regionalnym stroju z pomalowaną twarzą w afrykańskie wzory. Szaman okazał się człowiekiem oświeconym, pełniącym w wiosce i okolicy rolę kapłana, nauczyciela i lekarza. W

swojej pracy wykorzystywał tradycyjne formy kontaktu z ludźmi trwające tu od niepamiętnych czasów. Z czarownikami opisywanymi w literaturze nie miał nic wspólnego.

W rezerwacie Amboseli mieszkaliśmy w najdroższym hotelu w Kenii - w namiotach wyposażonych w bieżącą wodę, prysznic, światło elektryczne i klimatyzację. Największą atrakcją były tu małpy, które po wschodzie słońca buszowały po dachu namiotu z takim zapalem, iż wydawało się, że szaleje burza, albo trwa bombardowanie. Tu z bardzo bliska z mikrobusów oglądaliśmy lwy i słonie, oczywiście przez otwory w dachu, okien nie mogliśmy otwierać od czasu, kiedy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Niemiecka turystka odkręciła szybę i wychyliła się przez okno mikrobusu, chcąc zrobić zdjęcie, lew zaatakował błyskawicznie, wyciągnął ją i zabił. Obejrzelśmy też taniec Masajów - myśliwych wyruszających w busz z dzidami, by upolować lwa.

Z krainy Masajów wracaliśmy do stolicy tuż przed wieczorem. Kierowca mikrobusu, obok którego siedziałem, pędził jak szalony. Zapytałem go, dlaczego tak się śpieszy? Odpowiedział, że za chwilę zapadnie noc ( w Afryce noc zapada bardzo szybko, raptownie) a on boi się, aby jakieś plemię na nas nie napadło. Przyjąłem wyjaśnienie i uśmiechnąłem się do sympatycznego kierowcy. Po chwili zapytał: a ty się nie boisz?

- Nie

- Skąd pochodzisz?

- From Poland

- From Holland?

- No, from Poland.

Na to mój rozmówca: teraz mi wyjaśniłeś i już wiem, dlaczego jesteś odważny. Skoro macie taką wspaniałą drużynę piłki nożnej, to jasne, że się nie boisz! W drodze do Mombasy sekretarz ambasady pomylił drogi i pobłądził. Powrót na właściwą trasę okazał się trudniejszy niż można się było spodziewać. Kiedy zaczął się denerwować, na rowie pojawiła się iskierka nadziei. Dostrzegł półnagięgo człowieka rzeźbiącego w drewnie jakąś postać. Zatrzymał samochód i zapytał o drogę. Rozmowa trwała jakąś chwilę, sekretarz przysłuchiwał się uważnie wypowiedzi Kenijczyka i po chwili zapytał: gdzie nauczyłeś się tak pięknie mówić po angielsku?

- W Oxfordzie.

- To, co robisz na tym rowie?

- Rzeźbię postać ciężarnej kobiety, gdy ją ukończę pobiegnę do przyjaciela i dam mu ją w prezencie, co sprawi mu wielką radość, bo właśnie kilka dni temu wziął sobie żonę.

- To po to kończyłeś Oxford?

- Studiowałem, bo interesowała mnie europejska cywilizacja, a gdy ją poznałem wróciłem do siebie, wasza cywilizacja zniszczyła bowiem radość życia.

I na zakończenie. W czasie pobytu w Kenii poznałem, Pianinę, nauczycielkę pracującą w ministerstwie kultury. Urzekła mnie jej uroda, a przede wszystkim fryzura składająca się z kilkudziesięciu splecionych cienkich antenek z kruczoczarnych włosów. Wysłałem jej z Polski kilka pocztówek. Na Nowy Rok otrzymałem życzenia: „Mr. Mirosław Chrzanowski, Polska Kronika Filmowa, Warszawa. Sowiet Union.”

## 9. Premier Jaroszewicz redaguje

Były szef kinematografii polskiej, pierwszy zastępca ministra kultury, Mieczysław Wojtczak, w swoim imponującym dziele pt. „Kronika nie tylko filmowa” pisze: „...PKF przez lata była oczkiem w głowie, przedmiotem bezpośredniego zainteresowania, wysokich władz, a szczególnie Piotra Jaroszewicza, który nie żałował środków finansowych na zakup sprzętu i nowoczesnych kamer filmowych”. Słowem, PKF należała do pieśzochów premiera! Jak te pieśzochy wyglądały, opowiem. W czasach, kiedy generał Piotr Jaroszewicz pełnił funkcję wicepremiera w rządzie Józefa Cyrankiewicza, kronika dość często otrzymywała zaproszenie brzmiące mniej więcej tak: towarzysz premier Piotr Jaroszewicz przyjmuje delegację zagraniczną... i prosi PKF o zanotowanie tego faktu. Kronika wysyłała wtedy operatora z kamerą, z sześćdziesięcioma metrami taśmy w kasecie, aby uświetnić, zapisać dla potomnych i ... zapłacić operatorowi za trud, czego dowodem było owe 60 metrów naeksponowanej taśmy czarnobiałej. Wywołany materiał przekazywaliśmy do archiwum. Temat nigdy nie ukazywał się na ekranie...

Zapisuję w tym miejscu tylko fakty, nie będę się wdawał w spekulacje i dociekania, co skłoniło Piotra Jaroszewicza, gdy został premierem, do okazywania kronice „bezpośredniego zainteresowania” i... pomocy w redagowaniu kolejnych wydań. Każdego ranka w środę i w piątek jeszcze „gorące” pudło z nagraniem kroniką (pierwsza kopia) redaktor naczelny, Michał Gardowski brał pod pachę i jechaliśmy do Urzędu Rady Ministrów w Aleje Ujazdowskie, gdzie pracował Piotr Jaroszewicz. Tam w wielkiej sali narad, przy odsłoniętych olbrzymich oknach, prezes Rady Ministrów w otoczeniu wicepremierów i wyższych rangą urzędników oglądał, jako pierwszy widz w

ludowej ojczyźnie Polską Kronikę Filmową. Początkowo seanse przebiegały znośnie, Piotr Jaroszewicz zadawał pytania, redaktor naczelny odpowiadał. A gdy po pewnym seansie skrytykował dorodne konie pokazane w kronice na wystawie rolniczej w Opolu, zorganizowanej z okazji Centralnych Dożynek, no i oczywiście nas, że propagujemy „darmozjadów”. Wtedy w sukurs przyszedł nam wicepremier Mieczysław Jagielski, odzywając się do zwierzchnika w te słowa: ależ generale, konie to wielka tradycja naszej armii, pozwolę sobie wspomnieć bitwę pod Grunwaldem i naszą husarię pod Wiedniem. Wypowiedź wicepremiera powstrzymała złość Jaroszewicza. Zauważyłem, że słowo „generał” wyraźnie mu się podobało. Tym razem wracaliśmy z tarczą. Innym razem, premier skrytykował nas za to, że robimy widzom „wodę z mózgu”, zamieściliśmy, bowiem temat z kroniki rumuńskiej- o połowie jesiotrów w delcie Dunaju. Pierwsze ujęcie: jesiotr w sieci, następne: ryba na pokładzie, i w reszcie trzecie: ryba wypatroszona, wisząca na haku, a kawior w misce. Chcecie wmówić ludziom, że łowi się wypatroszone jesiotry - pytał - premier podniesionym głosem. Dopiero wyjaśnienie Gardowskiego, że to skrót montażowy, zastosowany przez filmowców rumuńskich, udobruchał zdenerwowanego premiera. Prawdę powiedziawszy cały zespół PKF czekał zwykle naszego powrotu z zapasowymi tematami, przygotowanymi na wypadek, gdyby premier wyrzucił z kroniki jakiś „kawalek.”

Taki dzień nadszedł nieuchronnie. Podczas nieobecności redaktora naczelnego PKF zgłosił się do mnie młody filmowiec z propozycjami różnych tematów. Szkopuł tkwił w tym, że owe propozycje dotyczyły województwa krakowskiego. A w Krakowie PKF miała swój oddział i niezmiernie zasłużonego operatora Henryka Makarewicza. Zgodziłem się na wyjazd młodego filmowca w krakowskie, żywiąc cichą nadzieję, że pan Henryk się na mnie nie obrazi, a szef nie skrytykuje za rozrzutność. Nekanda -Trepka Garstecki, bo o nim mowa, przywiózł opowieść o zaniedbanej wiejskiej szkole w powiecie limanowskim, samotnej i bezradnej, zapomnianej przez Boga i władze nauczycielce. Słowem temat „na czasie”, zbliżał się, bowiem pierwszy września, czyli inauguracja nowego roku szkolnego. Aby nikt nie dostał zawrotu głowy od sukcesów, bo sukcesy zaczęły się już przebijać dziarsko na mały ekran, zamieściłem go w kronice nr 35B/71. Michał Gardowski zdążył właśnie wrócić z wojaży, pojechaliśmy więc razem do Urzędu Rady Ministrów...

Nie byliśmy przygotowani na wybuch gniewu premiera. Tymczasem Piotr Jaroszewicz wpadł w furję! Zaczął na nas wrzeszczeć, że szkalujemy socjalizm, że jesteśmy złośliwymi, nieodpowiedzialnymi dziennikarzami.

- Ja jestem nauczycielem i wiem, że takich szkół w Polsce Ludowej nie ma- krzyczał premier rozgniewany do białości. Kazał natychmiast usunąć z kroniki „kawalek o szkole”, grożąc, że jak nie wykonamy polecenia, to on nas wyrzuci na zbite pyski! Wracaliśmy na Chełmską wzburzeni i podłamani. Temat natychmiast

usunęliśmy z kroniki. Wstawiliśmy na jego miejsce nowy, co oznaczało, przy ówczesnej technice, że musieliśmy całą kronikę nagrywać od początku. Michał Gardowski nie powiedział mi ani jednego przykrego słowa, jestem mu za to do dziś wdzięczny... Poradził jedynie, bym natychmiast wziął delegację i pojechał gdzie mnie oczy poniosą. I tę decyzję także rozumiałem, chciał prawdopodobnie, abym mu zniknął na kilka dni z oczu. Pojechałem oczywiście do Krakowa. Zamierzałem dotrzeć do tej nieszczęsnej szkoły, zrobić zdjęcia i zobaczyć ją w całej krasie. Nie zobaczyłem. Przyjechałem do Krakowa późnym wieczorem. W nocy zadzwoniła do hotelu moja żona, Renia. Wracaj natychmiast. Awantura o szkołę wcale się nie skończyła...

Zdecydowałem polecieć pierwszym porannym samolotem. Na lotnisku w Balicach spotkałem Władysława Machejka, redaktora naczelnego „Życia Literackiego.” Odgadł natychmiast z mojego zachowania, że coś nie w porządku, bo zapytał, co się stało? Opowiedziałem mu historię szkoły... Nie przejmuj się - poradził - wyciągnął piersiówkę i poczęstował mnie nalewką. Pomogła nadzwyczajnie. Przez całą drogę rozmawialiśmy na inne tematy. Po powrocie do redakcji wyjaśniło się, dlaczego awantura znowu wybuchła... Otóż, zdruzgotani złością premiera, usunęliśmy temat z kroniki, ale zapomnieliśmy o tym, że wydanie B emituje telewizja! A z tej kopii tematu o szkole nie wycięliśmy. Premier zobaczył kronikę w telewizji i wszystko zaczęło się od nowa. Nawet nie usiłuję sobie wyobrazić, jak Piotr Jaroszewicz się zdenerwował. Ile mu sprawiliśmy przykrości i na jaki stres go naraziliśmy, burząc mu wizję szczęśliwej Polski. Wyjaśnienie sprawy premier powierzył Janowi Czapczyńskiemu. Było to dla mnie jakąś pociechą, przyjaźniłem się z nim od pierwszego dnia studiów. Poznaliśmy się biorąc udział w czynie studenckim na budowie Trasy W- Z. Obaj nie dostaliśmy akademika, co nas zbliżyło i stało się początkiem przyjaźni. Wspólnie z Julkiem Bartoszem, który też mieszkał w akademiku „na waleta”, postanowiliśmy walczyć o swoje. Udaliśmy się do ministerstwa i zajęliśmy gabinet pełnomocnika do spraw studenckich w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego w Warszawie. Podczas nieobecności urzędnika wkroczyliśmy do jego gabinetu, rozłożyliśmy skrypty, rozsiedliśmy się w wygodnych fotelach i oddaliśmy się zdobywaniu wiedzy. Z okupowanego gabinetu usunięto naszą trójkę siłą. Na szczęście zastępca pełnomocnika, człowiek o dobrym sercu, przyjął nas życzliwie i zapewnił, że jeśli znajdziemy jakiś wolny pokój w którymkolwiek akademiku w stolicy, przydzielą nam go natychmiast. Znaleźliśmy na ulicy Grenadierów...

Janek Czapczyński obejrzał kronikę i pojechał sprawdzić, czy „taka” szkoła rzeczywiście istnieje. Zanim napisał sprawozdanie dla premiera, w „Życiu Literackim” (19 września 1971 r. nr 38) ukazał się artykuł Władysława Machejka pt. „Przeciw dreptaniu w miejscu”, a w nim następujący fragment: „Towarzysz Gustek, I sekretarz KP PZPR w Limanowej opowiadał o obrazie w TV (o PKF 35B/71, uwaga M.Ch.) wykonanym przez młodych żarliwych filmowców, w którym to obrazie przedstawili dno materialne i umysłowe jednej ze szkół podstawowych we wsi limanowskiej. To

wszystko prawda, stwierdził sekretarz Gustek. Rzeczywiście panuje ubóstwo...ale nie tylko w jednej sfilmowanej szkole. Takich szkół wmontowanych w prywatne obejścia, domy, chaty, spichlerze i chlewy często urągających elementarnym warunkom higieny i bezpieczeństwa jest w powiecie dwanaście; lekcje odbywają w dwustu wynajętych prywatnych izbach i wiejska dzieciarnia oraz nauczyciele muszą ganiać z krańca wsi na drugi kraniec, żeby odbębnić lekcje. Nic dziwnego, że w takich okolicach ironicznie dyskutuje się o lotach na Księżyc i ludzie mało przejmują się kłopotami „miejskimi.” Albowiem istnieje tylko zrozumienie dla własnych krzywd i zapaści. Zbyt powolne wyrównywanie dysproporcji rodzi prądy przedrzeźniające i negujące ogólny postęp". Wypowiedź sekretarza komitetu powiatowego partii w Limanowej, któremu premier nie mógł zarzucić, że „szkaluje socjalizm" dowodzi, że istniały dwie Polski: Polska sekretarza z Limanowej i ta w głowie premiera, Piotra Jaroszewicza. Prosiłem Janka, by dołączył artykuł Machejka do swojego sprawozdania. Janek Czapczyński poinformował mnie, że premier wysłuchawszy jego relacji powiedział: „wiedziałem, że winien będzie kierowca." Oczywiście miał na myśli tego kierowcę, który z Chełmskiej zawiózł pudełko z taśmą do telewizji. Zanedbana szkoła została zburzona, a na jej miejscu z polecenia premiera, Piotra Jaroszewicza, wzniesiono nowoczesny budynek. Pokazaliśmy go z wielką przyjemnością w ramach „propagandy sukcesu," używając do tego „manipulacji ideologicznej". Na marginesie dodam, że nie zniszczyliśmy usuniętego tematu, można go znaleźć w archiwum w tak zwanych „odrzutach", poz. 15 - 16. Realizator Nekanda -Trepka Garstecki . Kiedy indziej prezes Rady Ministrów nakrzyczał na nas, gdy zobaczył na ekranie temat „Trudne żniwa". Kosy w Polsce już nikt nie używa - oznajmił kategorycznie. Skąd on czerpał taką wiedzę, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Tłumaczyliśmy, że to tereny podmokłe, po długotrwałych opadach. Skończyło się na krzyku. Ale w następnym wydaniu pokazaliśmy przewspaniałe kombajny w PGR w Wielkopolsce i premier był usatysfakcjonowany.

Jego „pomoc" w redagowaniu kroniki stawała się kłopotliwa i kosztowna, chwile wytchnienia mieliśmy wtedy, gdy Piotr Jaroszewicz wyjeżdżał „w Polskę" albo był niezmiernie zajęty ważnymi sprawami państwa. Byłem już wtedy redaktorem naczelnym PKF, Michał Gardowski został wiceprezesem Radiokomitetu. Premier dawał mi wytyczne, jak mam redagować Kronikę: żadnej rozrywki, piosenki mogą być, ale tylko w wykonaniu Ireny Santor. Piotr Jaroszewicz był jej wielbicielem. Upodobania premiera potwierdził Karol Małcużyński. Opowiedział mi, jak będąc na kolacji u państwa Jaroszewiczów, wysłuchał całego wywodu premiera o talentach pani Ireny. Ale najważniejsze- pouczał mnie premier- to pokazywać ogrom osiągnięć Polski, przemysł przede wszystkim, bo tu mamy największe sukcesy. Zgodziłem się z moim „nauczycielem", ale powiedziałem, że pokazywanie fabryk to żadna sztuka, osiągnięcia- moim zdaniem- należy przedstawiać w taki sposób, aby ludzie chcieli je oglądać.

- Co stoi na przeszkodzie - zapytał zdziwiony premier?

- Cenzura. I opowiedziałem premierowi, jak to cenzura zdjęła temat o meleksach - wózkach akumulatorowych służących do transportu w dużych zakładach pracy, eksportowanych do krajów „strefy dolarowej.” Kronika pojechała, do zakładu produkującego owe wózki z modelkami z „Mody Polskiej.” Wsadziła je na meleksy i zrealizowała temat pokazując nie tylko nowoczesny zakład, ale piękne Polki w gustownych strojach. Premier wysłuchał mojej relacji z zainteresowaniem. I powiedział: dajcie ten kawałek w następnej kronice.

Na nagraniu kolejnej kroniki cenzor aż podskoczył do góry, gdy na ekranie pojawiły się meleksy (tekstu do tego tematu nie wysłaliśmy na Mysią). - Przecież usunąłem ten temat z poprzedniego wydania. - Szkoda mi takiego pięknego tematu – tłumaczyłem.

- Nic na to nie poradzę -odpowiedział cenzor - jest zapis w księdze, a ja nie mogę go zmienić.

- A premier może?

- Może.

- No to Piotr Jaroszewicz zapis zmienił.

Józek zaniemówił. Pobiegł do telefonu, by sprawdzić, czy zapis usunięto. Po chwili wrócił i oznajmił, iż dyrektor cenzury chce ze mną rozmawiać. Poinformowałem dyrektora, że mam zezwolenie premiera. Nie dowierzał.

Zaproponowałem, by zadzwonił do Urzędu Rady Ministrów. Od tej pory cenzor wyraźnie złagodniał. Choć muszę przyznać, że to nie cenzorzy byli dla kroniki największym problemem.

Po dwudziestu pięciu latach służby rudowęglowiec „Sołdek”, pierwszy statek pełnomorski, zbudowany po wojnie (listopad 1948 roku) w polskiej stoczni, pokazywany w kronice, noszący imię od nazwiska trasera Stanisława Sołdka, miał popłynąć w swój ostatni rejs. Polska Kronika Filmowa, która towarzyszyła narodziłom, nie mogła nie uczestniczyć w ostatniej, sentymentalnej podróży statku. Wraz z operatorem Sławkiem Sławkowskim, przyjechaliśmy do Szczecina w przeddzień ostatniego rejsu. Armator poinformował, że mamy jeszcze dwa dni czasu, ponieważ statek jest dopiero w połowie załadowany węglem.

Nie zamierzaliśmy czekać beczynnie, ruszyliśmy popatrzeć, co dzieje się na trasach turystycznych. W Pobierowie trafiliśmy na camping zaniedbany i brudny. Pomyślałem, że szczęście się do nas uśmiechnęło. Premier na te wakacje rzucił hasło: „czystość, ład, porządek”.

Nie ukrywam, sądziłem naiwnie, iż temat o tym campingu przypadnie do gustu premierowi. Oto krytykujemy brudasów, którzy nie podjęli apelu rządu naszego ludowego. Natychmiast, pocztą dworcową, wysłaliśmy taśmę do redakcji z prośbą, by jak najszybciej umieścili „camping” w jednym z wydań kroniki. Po powrocie z Kopenhagi wybrałem się z żoną i córką na urlop, nad morze, do Świnoujścia. Po kilku dniach wypoczynku otrzymałem w ciągu paru godzin aż trzy depecze: wracaj natychmiast - alarmował Janusz Kędzierzawski, mój zastępca. Przerwałem urlop. W Warszawie dowiedziałem się od Janusza, że jestem zwolniony z pracy przez samego prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej za zamieszczenie w kronice tematu o zaniedbanym campingu. Janusz Kędzierzawski nie mógł ochłonąć po wizycie u premiera, a właściwie po tym, co tam usłyszał. Prezes Rady Ministrów po obejrzeniu kroniki wpadł w furję. - Macie mieszkanie?- pytał Janusza.

- Mam - A łazienkę macie w tym mieszkaniu? - Mam.

- To dzięki takim jak wy pół Polski sra za stodołą - zakończył premier - i kazał mnie wyrzucić z pracy.

Wiedziałem, że w czasie urlopu nikt nie może mnie z pracy usunąć, nawet premier. Nie pokazywałem się na Chełmskiej, można powiedzieć, że się ukrywałem. Zawiadomiłem żonę, że wrócę za tydzień, a przez ten czas naradzałem się - co robić? No i mocno tłumilem lęk, popijając z przyjaciółmi. Koledzy nie szczędzili mi dobrych rad, czas płynął, a moje położenie nie poprawiało się ani o jotę, urlop musiał się przecież kiedyś skończyć. I co wtedy?

Zdecydowałem odwołać się do Komitetu Centralnego, a ściślej biorąc, do członka Biura Politycznego, Jana Szydłaka, któremu podlegały „środki masowego przekazu”. Zadzwoiłem do szefa jego gabinetu i poprosiłem o przyjęcie. Po piętnastu minutach otrzymałem telefon, że towarzysz Jan Szydłak przyjmie mnie za godzinę. Pojechaliśmy do KC, nie ukrywam na mocnym kacu, z Januszem Kędzierzawskim, bo to on wysłuchał reprimendy premiera i on zrelacjonował sekretarzowi i członkowi Biura Politycznego KC przebieg wizyty w Urzędzie Rady Ministrów. Jan Szydłak wysłuchał relacji i ku naszemu zdziwieniu zapytał, jak zareagowała na kronikę z tematem o campingu Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie? Doprawdy nie wiedzieliśmy.

Z pomocą przyszedł uczestniczący w rozmowie Wiesław Klimczak, który poinformował Jana Szydłaka, że egzekutywa szczecińska uznała temat za pożyteczny. Kamień spadł mi z serca. Towarzysz Szydłak poprosił Wiesława Klimczaka, aby zadzwonił do premiera i poinformował go, iż o losie kadr zatrudnionych w środkach masowego przekazu decydują odpowiednie instancje partyjne. Dostać się do członka Biura Politycznego wcale nie było łatwo postanowiłem, zatem wykorzystać pobyt u



Jana Szydłaka i poinformowałem go, że z okazji trzydziestej rocznicy Polski Ludowej zamierzamy pokazać w specjalnym cyklu dorobek i osiągnięcia trzydziestolecia.

- Sądźcie, że tak dużo mamy tych osiągnięć - zapytał Jan Szydłak. Odpowiedziałem, że na szesnaście kronik ich wystarczy, ale potrzebna jest kolorowa taśma, i to najwyższej jakości. Przedstawiłem zarys cyklu, wsparł mnie Janusz Kędzierzawski. Towarzysz Szydłak zaakceptował nasz pomysł. Znaczyło to, że będziemy mieli barwną taśmę! A operatorzy i dziennikarze pole do popisu, nie mówiąc już o zarobkach. Kroniki monotematyczne wymagały nie tylko zgłoszenia tematu i dokumentacji, ale także scenariusza, scenopisu, za co redakcja płaciła dodatkowo.

Stwarzały redaktorom i operatorom większe możliwości wykazania się inwencją i twórczą wyobraźnią. Barwna taśma zestawiona z czarnobiałym materiałem archiwalnym Polskiej Kroniki Filmowej pobudzała wyobraźnię nie tylko autorów kronik poświęconych trzydziestolecu Polski Ludowej, ale uzmysławiała milionom widzów, jaką drogę cywilizacyjną przeszło polskie społeczeństwo. Dziś właśnie te kroniki stały się dla „krytyków na zawołanie” świadectwem tego, że PKF uprawiała propagandę sukcesu. A przecież nowe osiedla, szkoły, szpitale, domy kultury i fabryki pokazane wówczas, nie są budowłami wirtualnymi. Dekada Edwarda Gierka wyprowadzała kraj z polskiego zaścianka na szerokie drogi europejskie. „Sukces gospodarki-pisze prof. Kazimierz Z. Poznański w „Wielkim przekręcie”- należy mierzyć jednak nie tyle zdolnością pomnażania zasobów kapitału, co zdolnością tworzenia miejsc pracy, których w okresie Gierka powstało 2,1 miliona. To był niesamowity przyrost, prawie o jedną piątą w trakcie jednego dziesięciolecia, tak że rozładowano tzw. wyż demograficzny. Dla porównania, w okresie 1990 -1997, czyli w epoce Balcerowicza, zlikwidowano 2,1 miliona miejsc pracy, czyli jedną piątą.” Mieliliśmy więc, co pokazywać i z czego się cieszyć. W pamięci społeczeństwa tkwiły jeszcze mocno bieda i bezrobocie II Rzeczypospolitej nie mówiąc o analfabetyzmie, zacofaniu cywilizacyjnym i kulturalnym Polski. Gdyby nie dorobek Polski Ludowej, tak wściekle dziś poniewieranej i atakowanej, co byśmy dziś prywatyzowali i sprzedawali? Profesor Poznański twierdzi, że majątek narodowy stworzony w PRL sprzedano za 10 procent jego rzeczywistej wartości!

Wracając do spotkań z Piotrem Jaroszewiczem, wspomnę jeszcze o trzech. Premier wybrał się z oficjalną wizytą do Indii. Towarzyszyła mu w tej podróży nie ekipa PKF, złożona z trzech osób, a jedynie Ryszard Golc - operator, ulubieniec żony premiera, pani Alicji Solskiej ( walczyła w Armii Ludowej, w czasie Powstania Warszawskiego przepłynęła z meldunkiem na drugi brzeg Wisły) dziennikarki „Trybuny Ludu.” Była to zapewne osobista decyzja Piotra Jaroszewicza. Współczułem Ryszardowi z całego serca. Wyobrażałem sobie jego katorżniczą pracę w niesamowitym upale, dźwigającego nie tylko ciężką kamerę, ale kilka zapasowych kaset z taśmą. Wrócił straszliwie zmęczony, poprosił mnie, aby nie wysyłać go już

nigdy w pojedynkę, bo będzie musiał stanowczo odmówić. Montaż tematu sprawił nam ogromne kłopoty. Rysiek nie wiedział, kogo filmował i kto jest w kadrze. Musiałem prosić o pomoc osoby z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które towarzyszyły premierowi. Każde wydanie Kroniki mieściło się na trzystu metrach taśmy. Temat z wizyty Piotra Jaroszewicza w Indiach miał sto metrów- jedna trzecia wydania. Na więcej nie starczyło materiału. Z Biura Rzecznika Prasowego Rządu poinformowano mnie, że premier obejrzy kronikę osobiście. W wielkiej sali konferencyjnej zastałem premiera, jego żonę Alicję Solską i ministra Włodzimierza Janiurka. Kiedy skończył się stumetrowy temat z wizyty, premier zapytał: tylko tyle? Dlaczego nie pokazaliście tłumów na trasie przejazdu, co wy sobie wyobrażacie? Sabotujecie oficjalną wizytę prezesa Rady Ministrów? Natychmiast przygotujcie pełne wydanie kroniki. Nie czekając na koniec projekcji, wstał z fotela i wyszedł.

Nie chciał mnie nawet wysłuchać. Zdążyłem jedynie Alicji Solskiej powiedzieć, że nawet tak utalentowany operator jak Ryszard Golc w pojedynkę nie był w stanie nic więcej sfilmować. Spojrzała na mnie ze zrozumieniem, ale nie powiedziała ani słowa. Była chyba nie mniej ode mnie zaszokowana zachowaniem premiera! Wróciłem do redakcji tak zbulwersowany, że pudełko z kroniką wziąłem do swojego pokoju zamiast zostawić je w sekretariacie. Usiadłem za biurkiem i napisałem rezygnację z funkcji redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej. Poprosiłem Basię Siwińską, aby szybko przepisała pismo w dwóch egzemplarzach. Zamiast Basi Siwińskiej z przepisany tekstem w ręce, weszła do pokoju Basia Dudkiewicz - sekretarz redakcji.

- Chyba nie traktujesz tego pisma poważnie – zapytała.

- Mam już dość premiera, ty postąpiłabyś inaczej? Premier żąda, abym jego wizycie poświęcił całe wydanie, skąd wezmę materiał? I opowiedziałem jej, co się działo w Urzędzie Rady Ministrów.

- Nie martw się, mamy materiału pod dostatkiem. Tłumy z pewnością znajdziemy bez większego trudu, musimy sięgnąć po materiały z wizyty Józefa Cyrankiewicza na Cejlonie i w Indiach. Zaraz zadzwonię do archiwum. Za dziesięć minut zapraszam na projekcję do sali B.

Wiedziałem z własnego doświadczenia, że w miastach Indii ulice i place od świtu do nocy są zatłoczone, a poruszanie się po nich wymaga nie lada umiejętności. Skąd mogłem wiedzieć, że premier Jaroszewicz był przekonany, iż mieszkańcy New Delhi wylegli tak tłumnie właśnie na jego powitanie. Tak jest do dziś. Gdy w 2004 roku moja wnuczka, Agata, wylądowała w stolicy Indii i połączyła się ze mną za pomocą Internetu, na pytanie, co wywarło na niej największe wrażenie, odpowiedziała bez wahania: tłumy ludzi na ulicach, dziadku!

Obejrzelismy materiał z podróży Cyrankiewicza, tłumów nie brakowało. Mnie jednak ogarnęły wątpliwości i obawy. Zwołałem posiedzenie kolegium redakcyjnego. Moje wahania przyjęto z rozbawieniem.

Podjąłem decyzję. Następnego dnia kronika była gotowa. Powiadomiłem o tym ministra Włodzimierza Janiurka. Po kilku minutach otrzymałem wiadomość, że za dwie godziny odbędzie się projekcja. Na pokaz przyszli tylko premier i minister Janiurek. Pani Alicja Solska nie przybyła...

Premier z zadowoleniem obejrzał kronikę w całości poświęconą jego wizycie. Wstał z fotela i rozkładając ręce powiedział:

- No, widzicie, jak was opieprzyłem, to się postaraliście!

No comment.

Wiadomość, iż będę towarzyszył oficjalnej wizycie premiera do Iranu przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Mogłem się wszak spodziewać najgorszego. Polska Kronika Filmowa swoją popularność zawdzięczała w dużej mierze operatorom, ich kunsztowi robienia zdjęć i zaangażowaniu w pracy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że operatorzy rywalizowali ze sobą, że poza „oficjalkami” (tak nazywaliśmy zdjęcia dla uświetnienia uroczystości) dokładali największych starań, aby nie popaść w sztampę. Konkurowali z sobą w atmosferze koleżeńskiej życzliwości. Mimo że używali starych kamer osiągnęli znakomite wyniki. Sprzęt, którym się posługiwali pracował głośno, co oczywiście przeszkadzało telewizji. Dlatego, dla wyciszenia starych arriflexów zakładano na kasety tzw. koszulki wytłumiające szum, niestety, zabieg skutkował tylko częściowo.

Na spotkanie premiera Polski w wytwornym gabinecie szachinszacha Iranu wpuszczono dziennikarzy tylko na chwilę, na kilka ujęć: uścisk dłoni obu dostojników, uśmiech i fragment rozmowy, minuta, najwyżej dwie i koniec. Rozmowa w cztery oczy odbywa się zazwyczaj bez dziennikarzy. Tak było i tym razem.

Afera wybuchła po wyjściu Piotra Jaroszewicza z pałacu. Jak zwykle dziennikarze czekali na premiera z osobami towarzyszącymi przed wyjściem z pałacu. Piotr Jaroszewicz podszedł do nas i zaczął mi w prosty sposób wymyślać za to, że kamera pracowała zbyt głośno. Osoby towarzyszące patrzyły na jego zachowanie z zażenowaniem. Dla mnie ten wybuch złości był niezrozumiały. Wszak ten sam Piotr Jaroszewicz najczęściej ze wszystkich dostojników „zapraszał” kronikę i jakoś głośno pracujące kamery mu nie przeszkadzały. Co mogłem zrobić poza wzruszeniem ramion?

W drodze powrotnej, gdy samolot osiągnął pułap wysokości i wyrównał lot, z salonki premiera wyszła pani Alicja Solska i przysiadła się do mnie. Siedziałem

osamotniony, albowiem żaden z kolegów dziennikarzy po tym, co się stało nie miał odwagi sięść przy mnie. Rozmowa, dotyczyła sprzętu, jakim posługuje się Polska Kronika Filmowa. W pewnym momencie, gdy zacząłem mówić o kłopotach, zapytała czy chciałbym na ten temat porozmawiać z premierem? Zgodziłem się bez wahania, choć przyznaję, że nie wiązałem z tym spotkaniem zbyt wielkich nadziei. Premier zapytał, czy napije się koniaku? Przeprosił za to, że mnie skrzyczał.

- Nie wstyd wam, że kamery wasze są takie głośne? - Nie mamy innych. A te głośno pracujące, to kamery „zdobyczne”, jeszcze z czasów wojny. Na to premier:

- To, dlaczego kamery telewizyjne pracują cicho?

- Są nowe i nowoczesne.

- A czy można kupić dla PKF kamery ciche?

- Można, ale są bardzo drogie.

Takiego premiera widziałem po raz pierwszy; spokojny, pogodny, w jego głosie wyczuwało się nawet pewną życzliwość. Słuchał moich wywodów z zainteresowaniem. Nie chciałem nadużywać uprzejmości, kończąc stwierdziłem, że w tej chwili dla PKF są najważniejsze dwa problemy: kamery i transport. Ekipy PKF poruszają się wolno, bo mają do dyspozycji tylko nysy i robury. Gdy skończyłem, Piotr Jaroszewicz poprosił do salonki wicedyrektora od spraw gospodarczych URM i polecił mu, by kupił dla PKF kamerę przeze mnie wskazaną i dał przydział na zakup pięciu fiatów 125p. Nie wierzyłem własnym uszom. Podziękowałem premierowi i szczęśliwy wyszedłem z salonki. Jestem do dziś przekonany, że ta życzliwość i hojność premiera była zasługą pani Alicji Solskiej. Podziękowałem jej serdecznie, gdy odwiedziła redakcję PKF. Na marginesie dodam jeszcze, że poznałem w tym locie krewnego. Wicedyrektor, któremu premier zlecił zakup kamery, okazał się moim kuzynem. Polska Kronika Filmowa otrzymała najnowocześniejszą na owe czasy kamerę firmy Arriflex, tzw. beelkę. Jest używana do dziś, widziałem na własne oczy jak pan Stanisław Plewa, filmował panią Hannę Gronkiewicz-Waltz podczas otwarcia stacji metra na Bielanach. Była to kamera bezszmerowa, nagrywająca jednocześnie dźwięk synchronicznie z obrazem. Niestety, ważyła około siedem kilogramów, ale nasi operatorzy robili nią zdjęcia z ręki! Przysporzyła mi ona nie lada kłopotów. Po beelkę ustawiła się kolejka reżyserów filmów fabularnych i dokumentalnych. Korzystał z niej Andrzej Wajda, a znany reżyser dokumentalista, Roman Wionczek, złożył na mnie skargę do Komitetu Centralnego PZPR! W dniu bowiem, w którym zaplanował realizację zdjęć, tą właśnie kamerą, PKF musiała uświetnić, jakieś wydarzenie na szczytach władzy.

Nie ukrywam, że dzięki beelce krąg ludzi niechętnych mojej osobie na Chełmskiej znacznie się powiększył. Została zakupiona dla potrzeb Polskiej Kroniki Filmowej i nikt by mnie nie usprawiedliwił, gdybym wiedział np., że w czwartek będziemy filmować jakieś ważne wydarzenie na najwyższym partyjnym czy rządowym szczeblu, a ja udostępniłbym w tym terminie ową kamerę, nawet, najślawniejszemu reżyserowi. Przecież to nie najślawniejszy twórca filmów zbierałby ciągi od premiera za głośną kamerę, tylko ja. Nie wypożyczałem beelki na kilkudniowe realizacje poza Warszawą. Zdarzyło się bowiem, że zabieraliśmy ją z planu filmu fabularnego, gdy PKF musiała uświetnić jakąś ważną imprezę, o czym dowiadywaliśmy się często w ostatniej chwili.

Konflikt, jaki istniał między „kronikarzami” i „dokumentalistami”, nie był polską osobliwością. Wielokrotnie, przy okazji kongresów międzynarodowych, rozmawiałem na ten temat z kolegami. To zjawisko miało charakter uniwersalny i ponadustrojowy, występowało we Francji i na Węgrzech, w ZSSR i w RFN.

Ostatnia moja wizyta u premiera miała przebieg wyjątkowo nieprzyjemny. Po skończonej projekcji Piotr Jaroszewicz poprosił mnie do swojego gabinetu. Gdy wchodziliśmy szerokimi schodami na pierwsze piętro, spytał czy jestem żonaty i czy mam dzieci? Kiedy odpowiedziałem, że mam żonę i córkę, zapytał: to jak je wyżywić, gdy was zwolnię z pracy? Uznałem, że jest to pytanie retoryczne i milczałem. Po wejściu do gabinetu objaśnił, że jego właściwy gabinet mieści się obok (niski jednopiętrowy budynek sąsiadujący z wysokim gmachem rządowym), tu przyjmuję tylko gości, a tam pracuję.

Dwa tematy nie podobały się premierowi. Żart dotyczący cen nowości i występ Tadeusza Rossa z zespołem dość pulchnych dziewcząt. Pominę wykład premiera dotyczący ekonomii i oskarżenie, że mimo krytycznych uwag ciągle „podgryzam wysiłki rządu”, bo o tym już pisałem. Premier zapytał mnie, przechodząc do krytyki T. Rossa, z którą z występujących dziewcząt sypiam? Prostota pytania wprawiła mnie w osłupienie! Odpowiedziałem, że żadnej z tych pań nie widziałem na oczy, nie znam też pana Rossa.

- To, po co takie kawałki pokazujecie w kronice? Marnujecie tylko państwowe pieniądze. Wysłuchałem długiego wywodu premiera na temat, jak ma wyglądać kronika. Napisałem „wywodu”, ale były to w rzeczywistości polecenia dotyczące treści. Nie zamierzałem podporządkować się zaleceniom prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jeszcze tego samego dnia (14.04.1975 r.) napisałem pismo do Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, w którym informowałem m.in., że: „Po ostatnim pokazie...Polskiej Kroniki Filmowej w Urzędzie Rady Ministrów zostałem poproszony przez towarzysza Piotra Jaroszewicza na rozmowę, w której prezes Rady Ministrów wyraził swą dezaprobatę w związku z zamieszczonym w kronice tematem o Targach Poznańskich, a następnie przedstawił swój krytyczny stosunek do tematów

rozrywkowych, konkretnie do prezentowanych ...piosenek. Towarzysz premier nakazał mi, aby PKF nie zamieszczała w ogóle tematów krytycznych, publicystycznych, rozrywkowych, piosenek i tematów z dziedziny kultury (z wyjątkiem wielkich wydarzeń kulturalnych, jak np. Dni Kultury ZSRR). Towarzysz premier Jaroszewicz przedstawił własną koncepcję. Polecił mi mianowicie zawężenie tematyczne PKF do najważniejszych wydarzeń w życiu kraju, bowiem - jak stwierdził - Polska Kronika Filmowa, jak sama nazwa wskazuje, jest kroniką rządową." Cytat ten pochodzi z wersji pisma poprawionego w Wydziale Prasy moja, bowiem wersja brzmiała zbyt ostro i emocjonalnie. Po przeczytaniu skargi przyjaciele w Wydziale Prasy zapytali, czy zdaję sobie sprawę z tego, na co się porywam? Czy dostatecznie uświadomiłem sobie, że występuję przeciw premierowi Polski i członkowi Biura Politycznego KC PZPR?

Odpowiedziałem bez najmniejszych wahań, iż jestem zdecydowany i nikt mnie od tego postanowienia nie odwiedzie.

- Pamiętaj, że cię ostrzegaliśmy, brzmiały ostatnie słowa, jakie usłyszałem... Od tego momentu dni mijały wolno, zbyt wolno. Wokół sprawy zapadła cisza, która trwała ponad dwa tygodnie. Nie ukrywam, że denerwowałem się okropnie, nie opuszczały mnie wątpliwości i obawy. Niepewność stała się dla mnie udręką. Także, dlatego że nie rozmawiałem o tym nawet z przyjaciółmi, nie chcąc nadawać zdarzeniu zbyt dużego rozgłosu.

Dziś już dokładnie nie pamiętam, czy to była jakaś narada, czy spotkanie zespołu prasowego, dość, że po zakończeniu zebrania podszedł do mnie Jerzy Łukaszewicz, sekretarz KC, i poinformował mnie: sekretariat zapoznał się z twoim pismem, redaguj kronikę tak jak do tej pory. Kamień spadł mi z serca także, dlatego, że PKF od tej pory przestała być „oczkiem w głowie" Piotra Jaroszewicza. Premier Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przestał oglądać PKF!

## 10. Cenzura

Ilekoć opowiadam o pracy w Polskiej Kronice Filmowej, zawsze pada pytanie o cenzurę. Kiedy rozpocząłem pracę na Chełmskiej, cenzorem był starszy pan przed emeryturą... może, dlatego miał sporo zastrzeżeń, niepotrzebnych i drobiazgowych, bez większego znaczenia. Nadmierna czujność, jaką wykazywał, irytowała redakcję, która odpłacała mu nieukrywaną niechęcią. Ku oburzeniu zespołu wyrzucił z wydania temat o głośnym wówczas musicalu „Hair" wystawianym w Paryżu i przysłany przez francuskich kolegów w ramach wymiany. Michał Gardowski nie dał za wygraną, zaprosił na projekcję Wincentego Kraśkę, ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC PZPR i temat ukazał się w następnym wydaniu PKF.

Jego następca, czterdziestolatek, absolwent Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, zachowywał się racjonalnie, nie wykazywał nadmiernej czujności, nie czepiał się „drobiazgów.” Kierował się bardziej motywacją prawniczą niż ideologiczną. Jeśli temat czy tekst nie naruszał w sposób wyraźny i jednoznaczny zapisów z „księgi zakazów”, nie ingerował. Żeby ułożyć sobie poprawne stosunki z nowym pracownikiem Głównego Urzędu z Mysiej, poprosiłem osoby biorące udział w nagraniu, aby nie okazywały cenzorowi swojej niechęci. Wydawało mi się, że zyskamy w ten sposób jego przychyłność i zrozumienie skoro nie mieliśmy szans na zniesienie cenzury, należało ją przynajmniej w ten sposób złagodzić. Józek, tak go nazywaliśmy, odczytał nasze zachowanie właściwie i nie utrudniał nam życia. Pierwszy zakwestionowany przez niego temat, (modelki na meleksach), ukazał się na ekranach kin dzięki premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi, co z pewnością osłabiło skłonność Józka do ingerencji. (Patrz rozdział: Premier – redaktor).

Mieczysław Róg- Świostek, redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi”, opowiedział mi przy jakiejś okazji o wiejskim proboszczu, który zmienił swoją parafię nie do poznania. Z inicjatywy i zachęty księdza założono w kilku wsiach wodociągi, wyremontowano drogi, pobudowano chodniki... -Warto pokazać takiego społecznika- zaproponował Mieczysław.

Wybraliśmy się do proboszcza wraz z ekipą PKF, któregoś dnia. Do dziś wspominam duchownego z rozrzewnieniem, a smaku jego doskonałych nalewek nigdy nie zapomnę. Ksiądz okazał się prawdziwym mistrzem w ich tworzeniu. Nie miał sobie równych. Mógł z nim współzawodniczyć jedynie ojciec Jurka Redlicha, u którego spotykaliśmy się przez wiele lat w Wielki Piątek na śledziku i ziemniakach w mundurkach. W mieszkaniu seniora Redlicha stał ogromny kredens, jakich teraz już się nie produkuje, a w jego wnętrzu na kilku półkach „dojrzewały” butelki z wybornymi nalewkami. Żadne modne trunki importowane nie mogły się z nimi równać. Rozmarzyłem się pod wpływem wspomnień, zamiast opowiedzieć o perypetiach związanych z tematem poświęconym proboszczowi. Przypomnę, że tekst do kroniki po rozstawieniu i przepisaniu wysyłaliśmy do cenzury. Miało to swoje zalety. Gdy w głowie cenzora zrodziły się wątpliwości, mógł je skonsultować z przełożonymi i przed nagraniem, telefonicznie, zasygnalizować redakcji swoje zastrzeżenia. Tak właśnie stało się z tematem o proboszczu. Józek poinformował mnie, że tego tematu nie puści, bo w księdze zakazów jest napisane, że księży pokazywać nie wolno. Kto stworzył cenzurę i w jakiej księdze ją opisano? Natychmiast zadzwoniłem do Mieczysława. Spotkaliśmy się w KC i tam zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR, Róg -Świostek, temat „odwojował”. Józek na nagraniu został pozytywnie zaskoczony, gdy go poinformowałem o decyzji Wydziału Prasy. Nie przypominam sobie innych jego ingerencji. Doszło do tego, że często wspólnie zastanawialiśmy się, jak obejść zapis z księgi zakazów.

Po Józku przysłała do kroniki, Basia, magister filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Miła i urodziwa blondynka szybko pozyskała sympatię większości zespołu. Pracę zaczynała od kawy, którą częstowały ją koleżanki pracujące w pokoju, gdzie mieścił się sekretariat. Wielokrotnie korzystałem z porad Basi jeszcze przed podjęciem decyzji o zaplanowaniu tematu do wydania kroniki.

Warto chyba wspomnieć, że wszystkie tematy krytyczne, jakie ukazywały się na ekranach kin w kraju, Basia i Józek puszczali. W rozdziale „Premier-redaktor” opisałem tematy krytyczne, które burzyły obraz Polski istniejący w głowie Piotra Jaroszewicza, a dopuszczone na ekran przez cenzorów. Premier nie był jedynym przedstawicielem władz, który ingerował w redagowanie kroniki i wyrzucał z niej tematy.

Oto pewnego dnia złożyli mi wizytę dwaj panowie: przedstawiciel Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej i przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie owijając w bawełnę, zażądali usunięcia z kroniki (24B/79) tematu pod tytułem „Kup pan flaszkę”, w którym pokazaliśmy nielegalny, nocny handel alkoholem w centrum stolicy. Na zdjęciu widać milicjanta kupującego „flaszkę”, albo pobierającego należny mu haracz. Moi rozmówcy ( nazwiska znane redakcji) zaczęli od ostrego ataku, zarzucając Kronice szkalowanie Milicji Obywatelskiej i obrazę prawa! Miałem już bogate doświadczenie z tego typu rozmówcami, więc zapytałem ich, czy mają upoważnienie Komendy Głównej MO i Ministerstwa Sprawiedliwości do prowadzenia rozmów w tej sprawie. Pytanie zachwiało pewność siebie obu panów, co dało się natychmiast zauważyć. Stracili impet i o to mi właśnie chodziło. Następnie zapytałem przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości ( za czasów demokracji sędziego, którego nazwisko często gości w prasie), co to znaczy obraza prawa? Kronika prawa nie obraża, bo Główny Urząd Kontroli Prasy temat zaakceptował, wszak w żadnej ustawie nie napisano, że nie wolno pokazać milicjanta w godzinach nocnych z flaszką wyborowej. Jednocześnie poprosiłem sekretariat, aby przyniesiono mi tekst komentarza i głośno odczytałem go interwentom: „O dziesiątej wieczorem „Delikatesy” w Warszawie przy Placu Zbawiciela zamykają swoje stoisko alkoholowe. Aby ukrócić pijaństwo, usunięto wódkę ze sklepów nocnych, ale takie papierowe decyzje często przynoszą odwrotny skutek. Popyt kształtuje podaż, w różnych ciemnych zakamarkach działają bezkarnie nocne nielegalne „Delikatesy”. Za fatywę-odpowiednie ceny. Handlarze zarabiają podobno w kilka godzin po parę tysięcy. Nieprzemyślane posunięcia administracyjne, bezkarność wobec tego nocnego jarmarku w centrum stolicy. Chyba nie tak powinna przebiegać walka z pijaństwem”. Czy komentarz obraża prawo albo szkaluje milicję? Proszę to udowodnić! Pretensje, jakie panowie przedstawiliście, nie znajdują uzasadnienia. Kronika może usunąć temat tylko po decyzji sądu albo na polecenie Wydziału Prasy Komitetu Centralnego. Macie panowie pełne prawo odwołać się do tych instytucji.



Inny temat krytyczny zamieszczony w Kronice okazał się o wiele groźniejszy. Powstał on z inicjatywy redaktora Rajmunda Ossowskiego, człowieka nadzwyczajnie inteligentnego, ale niezbyt pracowitego. Podkreślam te dwie cechy, Rajmund, bowiem był ulubieńcem nie tylko większości zespołu, ale także mojej żony i córki. Przyznaję nie bez wstydu, że chyba dwa razy zamierzałem go zwolnić z pracy. Daremnie. Za każdym razem żona i córka groziły daleko posuniętymi sankcjami rodzinnymi, musiałem, więc wycofywać się i ustępować. Rajmund nie tylko dał się lubić, był też wielkim oryginałem. Wysłałem go raz do Wrocławia, aby przygotował grunt do realizacji spotkania Edwarda Gierka z młodzieżą, tzn. załatwił akredytację, lokalizację kamer na stadionie i napisał scenariusz wydania monotematycznego imprezy. Na kilka dni przed realizacją zdjęć Rajmund zadzwonił do redakcji i oznajmił, że Komitet Wojewódzki PZPR odmówił kronice akredytacji! W pierwszej chwili pomyślałem, że może telewizja zażądała wyłączności. Na pytanie, dlaczego nie chcą dać nam w komitecie zgody na filmowanie, Rajmund odpowiedział z wrodzoną mu szczerością: wiesz w tej firmie pracują jacyś dziwni ludzie i ja nie potrafię się z nimi porozumieć. Pojechałem natychmiast do Wrocławia. W komitecie powiedziano mi, że przysyłam na tak poważną imprezę jakichś dziwaków. Czy towarzyszy redaktor Ossowski w redakcji też chodzi z takim wielkim krzyżem? Nosi krzyżyk, ale nam to nie przeszkadza. To nie krzyżyk, ale dużych rozmiarów krzyż - oznajmił zgorszony towarzyszy. Akredytację załatwiłem i pojechałem do hotelu, by spotkać się z Rajmundem. Zostałem go jeszcze w łóżku, mimo że było późne popołudnie. Poczekalem, aż się ubrał i poprosiłem o pokazanie tego krzyża, który zawiesił sobie na szyi, gdy szedł do komitetu.

- Tobie też odbiło?

- Rajmund, bądź poważny, to sprawa niezmiernej wagi, a ty sobie żartujesz. Rajmund Ossowski pokazał mi wtedy krzyż bardzo dużych rozmiarów, którego nigdy nie nosił w redakcji.

- Sądziłem Rajmundzie, że jesteś poważnym dziennikarzem, a ty wyprawiasz jakieś dziwactwa.

- No, wiesz chciałem sprawdzić, jak mnie potraktują w tej jaskini lwa.

- Zachowujesz się jak święty Franciszek, a chyba zgodzisz się ze mną, że odszedłeś od jego ideałów bardzo daleko.

- Zapraszam na obiad - odparł - jakby się nic nie stało. Taki był redaktor Ossowski.

Niedługo potem przygotowany przez niego temat o radioodbiornikach fabryki „Diora” w Dzierżoniowie wzbudził moje zdziwienie i uznanie za doskonałe

skomponowanie, dokumentację, która nie budziła najmniejszych zastrzeżeń i logikę argumentacji. Ukazał się w wydaniu Kroniki 9B/76. Basia, cenzorka nie miała żadnych zastrzeżeń.

Nie przewidzieliśmy jednak następstw, jakie wywoła. Najpierw zaprotestowały organizacja partyjna i rada zakładowa, potem dyrekcja i lokalne władze, następnie zjednoczenie. Oskarżono kronikę o sabotaż i o to, że zagraniczni kontrahenci zerwali umowy, a więc zmniejszy się napływ cennych dla kraju dewiz. Kronika działa zatem na szkodę socjalistycznego państwa. W listach indywidualnych i zbiorowych pytano, kto stoi za działalnością Polskiej Kroniki Filmowej? Takie pytanie zawierało już sugestię odpowiedzi: oczywiście, wraz siły imperialistyczne. Nie identyfikowano na razie tych sił. Ale lada dzień patriotyczna załoga miała je wskazać to oczywiste. Stanowczo żądano usunięcia szkodliwego tematu z kroniki i przeproszenia załogi, której dobre imię zszargaliśmy. Przyznaję, że po raz pierwszy przestraszyłem się „stanowczych żądań”. Obawiałem się, że gdy załoga dotrze do premiera, będzie oznaczać to dla mnie koniec. Tematu jednak nie wycofałem. Wystraszony udałem się do Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, choć nikogo tam nie znałem. Przedstawiłem sytuację i poprosiłem o konsultację. Poprosiłem, by ktoś z Wydziału ten krytyczny temat obejrzał. Przyjechały dwie osoby. Po obejrzeniu tematu padło pytanie: to wszystko? Szkoda, że tak delikatnie ich skrytykowaliście, zasługują na więcej. Byłem spokojny. Zaproponowałem zjednoczeniu i załodze z Dzierżoniowa spotkanie na Chełmskiej. Propozycję przyjęto. Nikt nie wiedział o stanowisku pracowników Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, nawet moi najbliżsi współpracownicy. Poleciałem, aby w sali „B” ustawiono kamery dźwiękowe, zainstalowano odpowiednie oświetlenie i przygotowano odpowiednią liczbę mikrofonów. Mieliśmy dyskutować. Autor tematu, zaproszeni goście i ja. Przybysze nie byli przygotowani na „wystrój” sali. Poinformowałem zebranych, że będziemy filmować dyskutantów, nagrywać dźwięk i opublikujemy przebieg spotkania w specjalnym wydaniu PKF.

Na sali zapanowała grobowa cisza. Zawsze tak bywa, wszyscy czekają na pierwszego odważnego. Tym razem wśród przedstawicieli załogi, władz lokalnych i dostojników zjednoczenia nikt taki się nie ujawnił. Kronika mogła się cieszyć zwycięstwem nad biurokracją, autor tematu przeżywał satysfakcję, ja znalazłem się na dwa tygodnie w szpitalu. Musiałem leczyć zszarpane nerwy. Opisane tu przypadki nie były odosobnione. Najbardziej bałem się protestów weteranów- wszakże to ludzie zasłużeni dla kraju. Niejednokrotnie nie znaczyło to wcale, że ich protesty czy krytyka miały jakiegokolwiek uzasadnienie. Oto jeden z przykładów. Wiesław Gołas, znany i lubiany aktor, śpiewał swego czasu zabawną piosenkę „W Polskę idziemy...”. Ledwie umieściliśmy go wykonującego tę piosenkę w kronice napłynęły protesty. „Będąc w kinie- pisał oburzony weteran - w przeddzień rocznicy wybuchu wojny z Niemcami (pisownia oryginalna- M.Ch.) zostałem „uraczony” przez PKF widowiskiem, które w zestawieniu z nadchodzącą rocznicą nabiera wprost specyficznej wymowy i posmaku, świadczących, na jakie manowce

zeszła nasza wrażliwość patriotyczna i jakie postępy osiągnęła znieczulica społeczna na fakty obrażające naszą godność narodową i bohaterską przeszłość... Domagam się pełnej satysfakcji i zadośćuczynienia w drodze naprawienia krzywdy, jaka została wyrządzona dobremu imieniu polskiego kombatanta walki z faszyzmem".

Weterani to z pewnością ludzie zasługujący na szacunek, ale tacy patrioci chyba nie zawsze.

Inny temat wzbudził nie tylko śmiech w salach kinowych, ale protest kilku doktorów nauk. Jerzy Modro, dyrektor do spraw ekonomicznych WFD, zapytał mnie kiedyś na korytarzu, czy może nas zainteresować praca doktorska napisana na podstawie nieprawdziwych dokumentów. Już wtedy wśród rządzących doktoraty zaczynały być modne, (na własne oczy widziałem wydaną w formie książki pracę doktorską partyjnego dostojnika, który miał zaledwie maturę).

Natychmiast wysłałem ekipę w teren. Ela Zawistowska, pierwsza kobieta w Polsce, umiejąca posługiwać się kamerą, osoba o cudownym poczuciu humoru, przywiozła temat, który tu krótko zrelacjonuję. Gdzieś we włodawskim powiecie żył sobie rolnik w wieku emerytalnym. Gospodarstwo przekazał synowi, a sam, aby zabić nudę, siadał nad sadzawką przydomową, ale nie po to, by słuchać rechotu żab, tylko żeby rzeźbić w kamieniach różne postacie, wywodzące się z klecht opowiadanych w długie zimowe wieczory przy darciu pierza, a tkwiące w jego głowie. Rzeźby nie miały wysublimowanych kształtów, lecz były proste jak narzędzia, którymi ów rolnik się posługiwał, można nawet powiedzieć pierwotne. Dzieła swoje ustawiał nad sadzawką, tuż przy lustrze wody, aby refleksy słoneczne ożywiały postacie z martwego kamienia. Zdarzyło się, że kilka figurek wpadło, i to nie raz, do sadzawki popchnięte nogą krowy w czasie pojenia. Artysta wydobywał je ze szlamu i pracowicie ustawiał z powrotem na brzegu.

Razu pewnego przejeżdżał tędy młody magister z Lublina i dostrzegł owe ludziki, zwierzaki i kwiaty kamienne nad sadzawką. Zapytał rolnika, skąd się tu wzięły?

- Jak my pogłębiali sadzawkę, to wydobyłem je ze szlamu - odpowiedział ludowy artysta. To wzmogło zainteresowanie przyjezdnego, który zaczął rzeźbom przyglądać się uważnie, kilka wziął nawet do ręki i obejrzał bardzo dokładnie. Podziękował rolnikowi i zapewnił, że wróci tu jeszcze. Przyjechał w dniu Matki Boskiej Zielnej z samego rana, w czas odpustu. Ale zamiast iść na procesję, zaczął figurki fotografować zbiorowo i każdą oddzielnie, w słońcu i w cieniu. Dziadek powziął nawet podejrzenia, że miastowego człowieka, nie figurki tu sprowadziły, a jakieś nieczyste zamiary. Nie poszedł na mszę z rodziną, postanowił popilnować przyjezdnego. Kiedy młody człowiek zakończył fotografowanie, zasypał dziadka pytaniami. Jednocześnie zachęcił go, by spróbował poszukać na dnie sadzawki jeszcze więcej wykopalisk. Na odjezdnym dał dziadkowi na piwo i zapowiedział, że wróci. Uradowany artysta ze

wzmocnionym natchnieniem tworzył nowe mini rzeźby i wrzucał do sadzawki. Gdy magister pojawił się ponownie, poinformował rolnika, że będzie pisał pracę doktorską, bo tędy prowadził szlak rzymskich kupców, którzy jeszcze przed narodzeniem Pana Jezusa najprawdopodobniej tu biwakowali albo nawet w tych okolicach prowadzili handel wymienny ze Słowianami, którym za bursztyn płacili figurkami dziadka znad sadzawki.

Chłop przestraszył się nie na żarty, bo nie mógł pojąć, dlaczego taki uczony człowiek Chrystusa Pana, wmieszał do jego rzeźb? Bał się przyznać do swojego żartu, nie poszedł do spowiedzi, bo proboszcz słynął z surowości. Gdyby nie Chrystus, przyznałby się do grzechu. Młody uczony przyjeżdżał jeszcze kilka razy. Dziadek wrzucał swoje rzeźby do sadzawki, potem je wydobywał i przekazywał „uczonemu z Lublina." A gdy młody człowiek przestał przyjeżdżać po wykopaliska, odetchnął z ulgą, rzeźbić jednak nie zaprzestał. Aż tu po roku, a może nawet po dłuższym okresie pojawił się nad sadzawką, już teraz doktor nauk..., i wręczył dziadkowi książkę o rzymskim szlaku handlowym, który wiódł przez ziemię włodawską, w czasach, gdy siedzieliśmy jeszcze na drzewach. Lekturę tej pracy doktorskiej polecam panu doktorowi Markowi Cieślińskiemu i zachęcam go, gdy będzie na Chełmskiej, aby obejrzał kronikę 40B/71, bo chyba ją przeoczył, gdy zbierał materiały o kronice do swojej pracy doktorskiej, która potwierdza (praca dr Cieślińskiego), że rzymskie szlaki handlowe, jak się autor postara, można odnaleźć także na Chełmskiej, co prawda nie ma tu sadzawki, ale jest archiwum.

Temat o dziadku wzbudzał w kinach życzliwy śmiech widzowi. Niektórych doktorów nauk zbulwersował jednak do tego stopnia, że zaczęli słać do redakcji protesty przeciw obniżaniu rangi nauki polskiej, a pozycji doktorów w szczególności. Jeden uczony doktor wysłał nawet na Mysią pytanie, dlaczego cenzura pozwala ośmieszać ludzi nauki? Był to z pewnością doktor marcowy.

Czy cenzura w socjalizmie była potrzebna? Zadawaliśmy sobie to pytanie nie na naradach oficjalnych, a na spotkaniach towarzyskich, gdy po kilku kieliszkach wypitej wódki stawaliśmy się bardziej otwarci. Posługiwaliśmy się, odpowiadając na to pytanie wiedzą zaczerpniętą z książek. I tu dochodziliśmy do konstatacji, że to nie ojcowie myśli socjalistycznej są twórcami cenzury, że powstała ona znacznie wcześniej i do dziś jest z powodzeniem stosowana przez najstarszą i najpotężniejszą organizację świata. Czerpaliśmy też przykłady z wiedzy współczesnej i własnych doświadczeń. W ZSRR i NRD na przykład instytucja cenzury prewencyjnej nie istniała. A przecież różnice w otwartości „środków masowego przekazu", jak wówczas nazywano media, były widoczne dla każdego, kto czytał prasę krajów socjalistycznych czy mógł oglądać kroniki, filmy i telewizję w tzw. obozie socjalistycznym. Wielu moich kolegów twierdziło, że im cenzura nie przeszkadza, wręcz przeciwnie w pewnym sensie chroni dziennikarza, bo zawsze można powiedzieć: przecież cenzura to puściła. Skorzystałem z tego argumentu w rozmowie z przedstawicielami Komendy Głównej MO i

Ministerstwa Sprawiedliwości. Ale tak naprawdę za „błędny” artykuł, materiał w telewizji czy w kronice wyrzucano cenzora i redaktora.

Było, więc dla nas oczywiste, że wszelkie kagańce ograniczające różnorodność myśli i poglądów są niekorzystne dla społeczeństwa. To prawda, nie starczyło nam sił i odwagi, by mówić o tym głośno.

Demonizowanie obecnie cenzury przez pravicę jest śmieszne, w kraju, w którym ona nadal istnieje, tyle tylko, że w zawołowanej formie. Spróbujcie pośmiać się z przywódców tej organizacji, która przez wieki, cenzurowała swobodę myślenia, a nad Wisłą skutecznie robi to nadal, tłumiała niezależność badań naukowych, a w ograniczaniu innych idei ma niebywale osiągnięcia. Spróbujcie pozartować z człowieka, który przez ponad dwadzieścia lat stał na czele tej organizacji, choć ulepiono go z tej samej, co nas gliny. Spróbujcie. Nie lękajcie się! „Trybuna” spróbowała. Kolejni redaktorzy naczelni dziennika przeprasza...

## 11. OLIMPIADA

W Paryżu najważniejszą sprawą dla władz INA stała się obsługa Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. Rozważano różne warianty, utworzono nawet zespół, któremu przewodniczył Colin-Reval, w jego skład weszli najbardziej doświadczeni szefowie kronik: Hans Lipp z „Fox Toenende Wochenschau” z RFN, Pieter M. Buis z „Polygoon Journal” z Holandii i Peter Hampton z „Fox Movietone” z Wielkiej Brytanii. Po długich badaniach i dyskusjach postanowili, że aby obniżyć koszty, INA nie wyśle do Kanady własnych operatorów, ale przyjmie ofertę O.R.T.O - telewizji kanadyjskiej, która będzie codziennie przysyłać do „Fox Movietone” w Londynie 20 minutowy serwis filmowy na taśmie 16 milimetrów, Movietone poszerzy materiał na taśmę 35 milimetrów i wyśle do piętnastu kronik, które przystąpiły do „pool'u.” Nam to rozwiązanie nie odpowiadało, postanowiliśmy filmować sami.

Zaproponowałem wspólny wyjazd Januszowi Kreczmańskiemu, operatorowi, który chrzest bojowy przeszedł w 1972 roku w Monachium i jak nikt w kronice znał się na sporcie. Do Montrealu przylecieliśmy samolotem razem z polskimi sportowcami. Na lotnisku czekał na nas ksiądz! Byliśmy z Januszem zaskoczeni, by nie powiedzieć zaszokowani. Widocznie wielebny dostrzegł nasze zdziwienie, bo wyjaśnił na wstępie, że tak zdecydował minister pełnomocny i konsul generalny PRL w Montrealu, Marian Kruczkowski. Informacja księdza całkowicie nas uspokoiła, ale mimo wszystko w drodze z lotniska rozmowa się nie kleiła. Janusz Kreczmański chcąc przerwać krępującą ciszę, zapytał księdza, czy był w Rzymie na jakiejś imprezie zorganizowanej przez Watykan? Pewno pana rozczaruję, ale w tak nabożnych imprezach watykańskich nigdy nie biorę udziału - oznajmił - tajemniczo się uśmiechając.

Odpowiedź zbiła nas z pantałyku do reszty. I może właśnie, dlatego Janusz wypalił bez ogródek: pragnę księdza poinformować, że jesteśmy członkami partii.

- Wie pan, powiedział ksiądz łagodnym głosem, mnie to nie przeszkadza, polski komunista jest jak rzodkiewka z wierzchu czerwony, w środku biały, wiem o tym coś niecoś, bo pracując w radiu Wolna Europa, wielokrotnie się o tym przekonywałem.

- Tego nam tylko brakowało - pomyślałem - i zapytałem, kiedy będziemy mogli spotkać się z moim przyjacielem, Marianem Kruczkowskim, konsulem generalnym i ministrem pełnomocnym PRL w Kanadzie.

- Obawiam się, że dopiero po powrocie do Warszawy, albowiem wczoraj pan konsul wraz z małżonką powrócili do Polski.

Grom z jasnego nieba nie wywarłby większego wrażenia. Ksiądz raczy sobie z nas żartować, powiedziałem dość oschle.

- Bardzo panów proszę, nie denerwujcie się, opowiem wszystko na plebanii. Nasz gospodarz, Andrzej Ćwikliński, był księdzem Kościoła polskokatolickiego, piszę o tym z kronikarskiego obowiązku, bo jak zdażyłem się później przekonać, wierni przychodzili do świątyni księdza Ćwiklińskiego i modlili się równie gorliwie, jak w Kościele rzymskokatolickim, bowiem liturgia była w obu Kościołach podobna, a w drobiazgi nikt tu nie wnikał, tym bardziej, że najbliższa polskojęzyczna parafia Kościoła rzymskokatolickiego, zbankrutowała, gdyż nieudolny proboszcz nie zdobył odpowiednich środków na opłacenie podatków i utrzymanie świątyni. Kościół księdza Andrzeja prosperował doskonale, bo miał hojnych sponsorów, a wśród nich wyróżniał się Edward (Eddy) Wrzesiński, milioner polskiego pochodzenia, uznający rząd Polski Ludowej, miał, bowiem w warszawskim rządzie przyjaciół, z którymi przeszedł szlak od Lenino do Berlina. „Uciekł”, tak się kiedyś określało wyjazd za granicę, bez zgody władz, z Polski i w Kanadzie zrobił błyskotliwą karierę, czym zyskał sobie uznanie wielu odłamów skłóconej Polonii.

Po przyjeździe na plebanie, gościnnie ksiądz Andrzej, posadził nas za stołem, włączył telewizor i poszedł do kuchni sprawdzić czy panie przygotowały kolację? Z drugiej wiadomości dziennika telewizyjnego dowiedzieliśmy się, że policja Quebecu zabrała ministrowi kultury prawo jazdy, już po raz trzeci, bowiem przekroczył dozwoloną szybkość na autostradzie. Wysłuchaliśmy tej informacji z dużym zaciekawieniem. W naszej ojczyźnie Milicja Obywatelska takich uprawnień nie miała, z pewnością, dlatego, że na polskich drogach kierowcy nie rozwijali, nadmiernej szybkości a poza tym żaden minister nigdy nie prowadził samochodu, bo miał osobistego kierowcę.

Kolacja, wyśmienita, przebiegała w doskonałym nastroju, parafianki dały z siebie wszystko, aby goście księdza Andrzeja poczuli się jak u siebie w domu i jeszcze trochę lepiej. Ksiądz nie miał stałej gospodyni, panie, jak przystało na dobrze zorganizowaną parafię, same ustalały dyżury opieki nad pasterzem!

Tego wieczoru czas upłynął nam na wznoszeniu toastów i opowiadaniu o tym, co dzieje się w ojczyźnie i w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie mieszkała mama księdza Andrzeja. Dopiero następnego dnia ksiądz opowiedział nam o nagłym i niecodziennym wyjeździe konsula generalnego z placówki. Konsul generalny, w poprzednim wcieleniu, był kierownikiem Wydziału Prasy KC PZPR. Wyjazd na placówkę w tamtych czasach nie był, więc nagrodą, a raczej zesłaniem. Po Warszawie, w środowisku dziennikarskim, krążyły różne plotki związane z wyjazdem Mariana do Kanady. Jako kronikarzowi nie wypada mi pisać o plotkach, więc ich tu nie powtórzę, kronikarz powinien zajmować się jedynie faktami? Dowiedzieliśmy się, że konsul generalny opuścił Montreal w „białym kaftanie.” Nie miałem podstaw, by nie wierzyć słudze bożemu, ale przypadek zrządził, że osobiście przekonałem się, iż wielbny Andrzej mówił prawdę. Będąc w konsulacie, pomyliłem drzwi i wszedłem do dużej sali wypełnionej niemal pod sufit jakimś czasopismem. Z ciekawości wziąłem jeden egzemplarz, jak się okazało „folderu” o Polsce wydanego przez konsulat z okazji Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. W rozmowie z pracownikiem konsulatu pochwaliłem nawet okładkę, barwną, ze smakiem zaprojektowaną. Mój rozmówca przyjął tę ocenę z obojętnością, jak to dyplomata, pomyślałem. Dopiero wieczorem po przeczytaniu artykułu napisanego przez Tadeusza Brzezińskiego, ostatniego konsula generalnego Polski przed II wojną światową w Kanadzie, ojca profesora Zbigniewa Brzezińskiego, zrozumiałem, co się stało i dlaczego Marian tak nagle wyjechał, niemal w przeddzień inauguracji Igrzysk. Artykuł napisany według wzorców amerykańskich zaczynał się od konstatacji, że Polska pod rządami Edwarda Gierka rozwija się lepiej i szybciej niż za Władysława Gomułki, wychodzi z zaścianka, otwiera się na Europę i świat. Autor przytoczył kilka pozytywnych przykładów osiągnięć PRL-u. Opis pozytywów ciągnął się do połowy artykułu, a może nawet zajmował więcej tekstu. A potem, nagle Tadeusz Brzeziński zaczynał w artykule zastanawiać się, co by było, gdyby w Polsce zamiast komunistów rządili demokraci, a nad Polską nie panowali sowieci...

Nie mogłem uwierzyć, że Marian Kruczkowski, człowiek inteligentny, z ogromnym doświadczeniem dziennikarskim, znawca amerykańskiego dziennikarstwa, mógł przeoczyć tak ewidentne, delikatnie mówiąc, nieprzychylnie Edwardowi Gierkowi zakończenie artykułu. Nie mogłem uwierzyć, ale potrafię sobie wyobrazić, jak to się stało. Po objęciu stanowiska konsula generalnego Marian z pewnością spotkał Tadeusza Brzezińskiego na jakimś dyplomatycznym przyjęciu i nawiązał z nim znajomość. Jako człowiek otwarty, świetnie władający językiem angielskim, prawdopodobnie przy okazji spotkań ze „starszym kolegą”, prowadził z nim interesujące dyskusje, także na temat Polski Ludowej. Tadeusz Brzeziński

prawdopodobnie w rozmowach nie kwestionował osiągnięć Polski Ludowej, oczywistych i widocznych. To tylko zapyziali antykomuniści nie widzieli w Polsce zjawisk pozytywnych. Ludzie o szerokich horyzontach intelektualnych, a do takich osób należał Tadeusz Brzeziński, nie popadali w zaciętrzewienie. Spotkałem za granicą wielu Polaków, a także cudzoziemców, którzy realnie, bez uprzedzeń oceniali sytuację w Polsce, choć nie akceptowali formy rządów.

Wyobrażam sobie, że kiedy Tadeusz Brzeziński wręczył artykuł Marianowi, ten „rzucił okiem” na pierwszą, drugą i trzecią stronę, nie doczytał do końca i skierował go, z jemu tylko właściwą nonszalancją do druku. Pracownik, nie czytając wykonał polecenie albo przeczytał, uśmiechnął się w skrytości ducha i wydrukował. Dopiero po ukazaniu się „folderu”, Marian uzmysłowił sobie swój błąd, odwieźli go z lotniska w Warszawie prosto do szpitala.

Przeżyłem dramat Mariana bardzo mocno, jak nieszczęście kogoś bliskiego. Darzyłem go szacunkiem, zawsze ilekroć potrzebowałem pomocy okazywał mi ją jak koledze. Będąc kierownikiem Wydziału Prasy nigdy nie wynosił się nad dziennikarzy. Z jego bratem, Tolkiem, studiowałem na dziennikarce, a przez kilka miesięcy uczyliśmy się nawet w Kaliszu w tym samym liceum, znałem ich ojca, który okazał mi wiele pomocy, gdy w kaliskim starostwie zbierałem materiały do pracy magisterskiej. Postanowiłem, że zaraz po powrocie do kraju spotkam się z nim, tak szybko jak to będzie możliwe.

A tymczasem zająłem się przygotowaniem do realizacji wydania PKF z Igrzysk Olimpijskich.

Przyznaję się bez bicia, że to, co zobaczyłem w Montrealu przerosło moją wyobraźnię: dziesiątki kamer telewizyjnych na stadionie, w halach i na basenach. To sprawiło, że musiałem zmienić koncepcję wydania kroniki. Uznałem, że nie możemy konkurować z telewizją, ale możemy pokazać na ekranach to, czego telewizja nawet nie zauważy. Moja propozycja początkowo nie spotkała się z uznaniem Janusza Kreczmańskiego, ale w końcu po burzliwych dyskusjach osiągnęliśmy kompromis... Dodam tu jeszcze, że mając akredytację prasową, mogliśmy filmować określone dyscypliny sportu tylko z miejsc przeznaczonych dla publiczności. Dzięki ogromnej wiedzy Janusza o sporcie i zawodnikach, którą zadziwił dziennikarzy w Centrum Prasowym, a także służby porządkowe i hostessy na stadionie i w halach sportowych, bezbłędnie filmowaliśmy polskich i zagranicznych zwycięzców. Miłośnicy sportu, po tragicznych zajściach w Monachium, nie mieli wstępu do wioski olimpijskiej, my mogliśmy tam filmować bez przeszkód, rychło się okazało, że staliśmy się łącznikami między Polonią a reprezentantami kraju. Do księdza Andrzeja zgłaszali się Polacy zamieszkali w Kanadzie i przesyłali za naszym pośrednictwem „drobne prezenty” sportowcom polskim.



W sposób zamierzony i przemyślany filmowaliśmy całą otoczkę związaną z Olimpiadą. Na obrzeżach stadionu spotkaliśmy polską doktorantkę Uniwersytetu McGill, która sprzedawała różne drobiazgi - pamiątki związane z Olimpiadą. To od niej dowiedzieliśmy się, że młodzież ze wszystkich placówek dyplomatycznych, ucząca się i studiująca, zarabia pracując na Igrzyskach, organizatorzy Olimpiady zwrócili się bowiem do wszystkich ambasad i konsulatów z prośbą o pomoc.

Placówki dyplomatyczne krajów socjalistycznych zabroniły swojej młodzieży zarabiania dolarów. Ideologia wzięła górę nad rozumem. W Ottawie, gdzie wraz z księdzem Andrzejem uczestniczyliśmy w przyjęciu, w polskiej ambasadzie z okazji święta 22 lipca poznaliśmy polskiego milionera, który opowiedział nam, jak to z pobudek nie tylko merkantylnych zainwestował w Polsce na początek 100 tysięcy dolarów. Otóż postanowił zamówić w fabryce w Łodzi partię dywanów i sprzedać ją w Kanadzie. Sprowadził nawet do kraju klonowego liścia polskiego artystę, umieścił go w rezerwacie Indian, aby przez miesiąc studiował wzornictwo, po to, by później przygotować projekty z indiańskimi motywami.

Artysta wywiązał się z zadania nadzwyczaj szybko. Ale fabryka nie mogła rozpocząć produkcji, bo indiańskiego wzoru nie umieszczono w planach produkcyjnych. Po roku oczekiwania milioner postanowił więc wycofać swoje pieniądze, niestety nie chciano mu ich zwrócić, bo zwrotu wcześniej nie zaplanowano. Czy była to tępota biurokratów, czy celowa polityka zniechęcenia inwestorów polskiego pochodzenia? Trudno powiedzieć. Syn owego milionera studiował w Ottawie, a ponieważ uzyskiwał same celujące oceny, mógł korzystać ze zwrotnego, ale nie oprocentowanego stypendium. I korzystał, przez cały okres studiów wpłacał stypendium na lokatę i uzyskiwał odsetki. Pracował oczywiście na Olimpiadzie. Syn innego polskiego milionera w czasie wakacji pracował w przedsiębiorstwie swojego ojca jako robotnik za 7,5 dolara za godzinę, anonimowo oczywiście, aby zarobić pieniądze na wyjazd do Europy.

- Nie stać cię na to, by zafundować synowi wakacje w Paryżu? - zapytał Janusz.

- Oczywiście, że mnie stać, ale mój syn musi poznać ciężką pracę, aby szanował robotników, gdy mu przekażę firmę.

Eddy Wrześniński, który utrzymywał dobre stosunki z ojczyzną chciał zakupić dla swojej firmy budowlanej kilka polskich dźwigów, bo jego zdaniem dorównywały one jakością zachodnim, ale transakcja nie doszła do skutku, polski producent nie mógł dostarczyć części zamiennych w odpowiednim terminie co gwarantowały firmy zachodnie.

Te i tym podobne opowieści dawały nam dużo do myślenia. Wróćmy jeszcze na chwilę do Ottawy, na spotkaniu w polskiej ambasadzie,

poznaliśmy wielu interesujących Polaków, niestety, czas nam nie pozwalał nakręcić o nich tematów dla PKF.

Po uroczystościach w ambasadzie pojechaliśmy do prywatnego mieszkania radcy handlowego (BRH). Spotkanie przebiegało w bardzo polskiej atmosferze i bez dyplomatycznego protokołu. Zamrożona wyborowa smakowała znakomicie, nie dziwiło mnie, że ksiądz Andrzej nie opuszcza kolejek, sądziłem więc, że w drodze powrotnej samochód poprowadzi jakiś abstynent. Tymczasem za kierownicą siadł ksiądz i ruszyliśmy do Montrealu. Autostrada, pusta zresztą, biegła przez lasy i nasz kierowca nie zdejmował nogi z gazu. Kiedy tak pędziliśmy, usłyszeliśmy głos policyjnej syreny. Ksiądz natychmiast zwolnił, a kiedy policjant nakazał, by zjechał na pobocze i zatrzymał się, posłusznie wykonał polecenie.

Policjant zasalutował, powiedział dzień dobry i poprosił o dokumenty, uważnie je przeczytał, przyjrzał się nam i prowadzącemu samochód, a wreszcie zwracając się do księdza powiedział: ty pileś.

Ksiądz przyznał policjantowi rację i dodał, że wracamy z ambasady, z przyjęcia z okazji narodowego święta Polski.

No, dobrze, rozumiem cię doskonale, ale proszę jedź ostrożnie i nie przekraczaj dozwolonej szybkości.

Cała nasza trójka odetchnęła z ulgą, a ksiądz przyrzekł policjantowi, że szybkości nie przekroczy.

Innym razem, gdy w upalny lipcowy dzień ksiądz Andrzej wiozł nas na stadion, a spieszyliśmy się ogromnie, przejechaliśmy puste, boczne skrzyżowanie na czerwonych światłach. Nie wiadomo skąd wyrósł przed nami samochód policyjny. Andrzej (byliśmy już po bruderszafcie) nie miał przy sobie dokumentów, był bowiem tylko w koszuli. Policjant natychmiast połączył się z centralą sprawdził dane i powiedział, iż ksiądz mówi prawdę. Mandatu nie wręczył, gdyż uznał, że zagrożenie spowodowane przez kierowcę było znikome.

Ksiądz Andrzej pomagał nam w realizacji zdjęć, ułatwiał poruszanie się po mieście, dzięki niemu zobaczyliśmy wodospad Niagara, byliśmy w rezerwacie Indian. Do centrum rezerwatu po przekroczeniu bramy prowadziła szeroka aleja, po obu jej stronach stały wigwamy, w których Indianie sprzedawali swoje wyroby i pamiątki nazywane u nas wyrobami ludowymi. Zatrzymaliśmy się przy jednym z takich wigwamów i Janusz zaczął filmować Indianina w pióropuszu na głowie z pięknym orlim nosem. W pewnej chwili Indianin odezwał się do nas: o widzę i słyszę, że panowie z Polski.

- Gdzie się pan nauczył mówić po polsku?

- W Białymstoku, bo ja jestem Żydem urodzonym w Polsce, tylko moja żona to rodowita Indianka.

Ucieszyliśmy się, że nawet tu spotkaliśmy rodaka.

Ksiądz należał do ludzi nadzwyczaj gościnnych, poświęcał nam dużo wolnego czasu, pewnego popołudnia zaprosił nas do kina na film erotyczny, kiedy indziej zaś zaprowadził do lokalu „go, go girls”, gdzie bawiliśmy się doskonale. Na plebanii często bywali polscy dziennikarze obsługujący Olimpiadę. Ksiądz lubił biesiadować. Często prowadziliśmy z nim długie dyskusje, w których udowadniał nam, że żyjemy w państwie policyjnym. Mawiał: w Polsce paszporty wydaje władza tylko tym osobom, które są lojalne. Tu, w Kanadzie paszport jest prawem obywatela, to władza musi tłumaczyć się przed sądem, gdyby nie wydała Kanadyjczykowi paszportu. Gdy przekraczacie bramę plebanii widzicie napis, że to teren prywatny i każdy to szanuje, nawet policja. Bez nakazu służby porządkowe i policja nie mają prawa tej bramy przekroczyć, a w Polsce? Czy istnieje w Polsce wolna prasa?

Któregoś wieczoru, gdy dyskutowaliśmy o tym, jak świat powinien być urządzony, do salonu wszedł wysoki bardzo dobrze zbudowany mężczyzna z wielkim kartonowym pudłem w ręce. Przywitał się tylko z Andrzejem, wymienili kilka zdań, zostawił karton na stole i szybko się pożegnał. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, ksiądz wyciągnął z kartonu ogromną butelkę z uchem, pełną whisky. Wikarego, natychmiast posłał po lód i opowiedział, dlaczego ten wysoki, przystojny mężczyzna, Niemiec, przyniósł mu aż pięciolitrową butelkę whisky.

Otóż moi panowie - zaczął opowieść Andrzej- ten pan uczynił to z wdzięczności. Dwa lata temu rozwiódł się z żoną, ale po dwudziestu dwóch miesiącach doszli do wniosku, że są sobie przeznaczeni i postanowili pobrać się ponownie. Przyszli do mnie i związałem ich po raz drugi węzłem małżeńskim (ksiądz jest w Kanadzie urzędnikiem stanu cywilnego), wszystko odbyło się według woli Bożej i zainteresowanych. Ale po miodowym miesiącu ów pan, którego przed pół godziną widzieliście, przyszedł do mnie z rozpaczliwym pytaniem: „poradź mi wielebny, co mam robić, abym mógł się kochać ze swoją żoną tak jak Bóg przykazał. Mimo że żyjemy dobrze, pomagamy sobie, rozumiemy się, a sporów nie prowadzimy, gdy kładziemy się w łóżku, a ja pytam żonę czy chce kochać się ze mną, ona odpowiada, że nie ma ochoty. Co mam robić?

- Nie pytać, tylko żonę popieścić, a potem postąpić jak mężczyzna - poradziłem. Ta butla jest świadectwem, że rada poskutkowała. Ksiądz Andrzej nalał do szklanek szkockiego trunku, ksiądz Mieczysław Klekot dosypał lodu, a wszyscy ochoczo wypiliśmy zdrowie szczęśliwych małżonków.

Pewnej soboty ksiądz Andrzej zaprosił mnie na mszę i ślub młodego Polaka, zapewniał, że ceremonia zaślubin z pewnością okaże się dla mnie, dziennikarza, interesująca. Wybrałem się na mszę i oczekiwałem na młodą parę. Na ślubnym kobiercu stanął przystojny, młody, dwudziesto paroletni mężczyzna, którego do ołtarza przywiodła starsza pani- z pewnością matka pomyślałem- szybko jednak przekonałem się, że jest to panna młoda, Włoszka po pięćdziesiątce. Na zakończenie, już po założeniu obrączek, ksiądz zwrócił się do pana młodego: pocałuj żonę. Młody mężczyzna na ułamek sekundy zawahał się i pocałował ją... w policzek. Na plebanii Andrzej opowiedział resztę historii. Młodzieniec przyjechał do rodziny tylko na trzy miesiące, ale zdobył pracę i szybko zaczął dobrze zarabiać, żał było wracać nad Wisłę. Rodzina znalazła „starą pannę”, Włoszkę, która za pięć tysięcy dolarów kanadyjskich zgodziła się poślubić młodzieńca, z zastrzeżeniem, że koszty rozwodu poniesie małżonek.

Drugi ślub, w jakim uczestniczyliśmy, odbywał się w Toronto. Biskup Kościoła polskokatolickiego wydawał za mąż córkę. Było to wydarzenie na tyle ważne wśród Polonii kanadyjskiej, że na wesele wybrał się osobiście Eddy Wrzesiński. Podjechał pod plebanię białym lincolnem- to nie był samochód, ale „amerykańskie dzieło sztuki”, tak długie, iż się wydawało, że gdy przód skręca w lewo, to tył jaszczuje jedzie prosto! A wewnątrz- luksusowe, budziło podziw jak komnata w pałacu szejka: czerwone skórzane fotele, lodówka, telewizor, a deska rozdzielcza z tymi wszystkimi zegarami i czujnikami sama w sobie była oddzielnym zjawiskiem. Taki samochód w Warszawie jeszcze dziś przyprowadziłby wielu o zawrót głowy, a my jechaliśmy do Toronto w roku 1976!

Po drodze wielebny Andrzej i Eddy omawiali bieżące sprawy biznesowe wymieniając poglądy i podejmując decyzje. Very reverence Andrzej poinformował Eddy'ego, że w najbliższą niedzielę pojawi się w kościele prezydent Polski na uchodźctwie. Właściciel lincolna powiedział, że tej decyzji nie może zaakceptować, gdyż nie uznaje rządu londyńskiego. I ksiądz Andrzej zapewnił sponsora, że naturalnie powiadomi o tym prezydenta na uchodźctwie.

Gdy panowie zakończyli rozmowę na bieżące tematy, Eddy zapytał jak nam się podoba pojazd? Odpowiedzieliśmy, że nadzwyczajnie i w ogóle, że jeszcze takim samochodem nigdy nie jechaliśmy.

Właściciel lincolna poinformował nas, że jesienią musi się pozbyć samochodu i kupić inny. Dlaczego? - zapytaliśmy z Januszem niemal jednocześnie. To, kwestia konkurencji i prestiżu - odpowiedział Eddy. Gdybym w przyszłym roku jeździł tym samym samochodem, konkurencja rozpuszczałaby wieści, że moja firma niezbyt dobrze się rozwija i straciłbym klientów.

Gdzieś w połowie drogi Eddy zatrzymał samochód na placu specjalnie do tego przygotowanym i zapytał, czy mamy ochotę na piwo? A kiedy usłyszał pozytywną odpowiedź, otworzył lodówkę i wyjął cztery butelki prawdziwego, schłodzonego „Żywca"! W Kanadzie pachnącej żywicą zapachniało oddaloną o tysiące kilometrów ojczyzną, naszą ludową.

W Toronto przyjęto nas z polską gościnnością, a następnego dnia uczestniczyliśmy w uroczystości zaślubin i przyjęciu weselnym. Samo wesele przygotowano w stylu polskim, z akcentem na zwyczaje ludowe. Trudno powiedzieć, ilu gości przewinęło się przez sale recepcyjne siedziby biskupa, ale bez przesady można stwierdzić, że mnóstwo. Mieliśmy przegląd całej Polonii w Toronto, tu nikt się nie krępował, więc podziały polityczne i obyczajowe ujawniły się z całą jaskrawością. Kanadyjczycy rosyjskiego i ukraińskiego pochodzenia trzymali się razem i stąd czerpali siłę. Polacy, skłócen, rozwichrzeni dostarczali tematów do polish jokes. Było nam doprawdy przykro. Janusz Kreczmański o mało się nie rozchorował z irytacji, bowiem „weselnicy" jak tylko dowiadywali się, że przyjechaliśmy prosto z Polski z całą szczerością sięgali do portmonetek i wkładali nam do butonierek zielonego „dulara"...

W czasie trwania Olimpiady Kanada przeżywała dramatyczne zdarzenia. Oto szermierz z reprezentacji Związku Radzieckiego zakochał się w pięknej Ukraince i postanowił zostać w kraju klonowego liścia. Zaprotestowało kierownictwo radzieckiej reprezentacji i wtedy prasa, radio i telewizja wyolbrzymiły problem do niebywałych rozmiarów. Na pierwszych stronach gazet, w informacjach telewizyjnych na pierwszym miejscu pojawiała się pytanie: czy rząd Kanady udzieli azylu zakochanemu chłopakowi? Sportowcy spod znaku pięcioramiennej gwiazdy, sierpa i młota na znak protestu nie wchodzili na podium, gdy zdobywali medale olimpijskie. Ksiądz Andrzej nie dał ponieść się emocjom i ze stoickim spokojem twierdził, że chłopak nie dostanie azylu i wróci nad Wołgę. Związek Radziecki kupuje zbyt dużo pszenicy- wyjaśniał- i Kanada nie zaryzykuje utraty kontraktu przynoszącego gospodarce miliony dolarów. Szermierz radziecki powrócił do ojczyzny Lenina, co się z nim stało prasa kanadyjska nie poinformowała, choć Janusz Kreczmański nie miał najmniejszych wątpliwości, jaką cenę ów młodzieniec zapłaci.

Drugim wydarzeniem, które trzymało w napięciu sportową publiczność Kanady, był finałowy mecz siatkówki między drużyną polską i radziecką. Prasa kanadyjska, nie tylko zresztą sportowa, radio i telewizja nagłośniły finał do granic wytrzymałości. Trener, Jan Wagner, stał się bohaterem mediów, publikowano jego życiorys i wypowiedzi. Podobnie przedstawiano trenera naszych rywali. I choć prasa i telewizja na ogół prezentowały obie drużyny obiektywnie, wyczuwało się, że nieco większą sympatią darzą drużynę naszych rywali. Czyżby znowu zadziałała pszenica?

Dla Janusza Kreczmańskiego i dla mnie wielkim wydarzeniem był także finał piłki nożnej. Nasza drużyna „grała o złoto" z drużyną NRD, mieliśmy w tym meczu

olbrzymie szanse...Finałowym spotkaniem ekscytowała się nie tylko kanadyjska Polonia, ale także polscy dziennikarze obecni w Montrealu. Nic więc dziwnego, że w dniu meczu polska jedenastka była oblegana przez dziennikarzy z całego świata. Tuż przed meczem, już w pomieszczeniu na stadionie, polscy dziennikarze otrzymali od trenera, Kazimierza Górskiego, pięć minut na rozmowę z reprezentacją. Najbardziej oblegano Jana Tomaszewskiego, sławnego bramkarza, który „powstrzymał Anglię...” Jeden z kolegów zapytał go wprost: panie Janku, iloma golami wygrywamy? Jeszcze nie wiemy, za ile gramy odpowiedział pan Janek. W Montrealu zdobyliśmy srebrny medal!

Panu Janowi Tomaszewskiemu przypomniałem tę rozmowę dwa lata później w Rosario, w Argentynie, gdy w hotelowej kawiarni siedzieliśmy przy jednym stoliku z nim i Zbigniewem Bońkiem. Ale o tym nieco później.

Wyjeżdżaliśmy z Montrealu pełni wrażeń, bogatsi o nowych przyjaciół. Spakowani, siedzieliśmy przed plebanią, czekając na księdza Andrzeja, który pisał list do swojej mamy mieszkającej w Piotrkowie Trybunalskim. Wtedy na placyk przed budynkiem wjechał samochód policyjny, zaparkował, a siedzący w nim policjanci zaczęli nas uważnie obserwować. Gdy tylko pojawił się gospodarz, wskazałem na samochód i zapytałem, przypominając sobie dyskusje z Andrzejem, ciekawe czy mają nakaz, aby nas obserwować? Ksiądz Andrzej wstał z krzesła i ruszył w kierunku samochodu, chwilę rozmawiał z policjantem, po czym wrócił i powiedział: nakazu, aby was śledzić nie mają, dostali jednak rozkaz, by bezpiecznie dowieźć was na lotnisko... Olimpiadzie w Montrealu poświęciliśmy całe wydanie kroniki. Zawsze, gdy już zmontowaną oglądaliśmy ją po raz pierwszy na dużym ekranie w sali „B”, jeszcze bez muzyki i komentarza, uważnie przysłuchiwałem się reakcji osób pracujących w kabinie projekcyjnej, ich zachowanie było dla mnie czułym barometrem. Tym razem nie miałem wątpliwości. „Kabiniarze” przyjęli wydanie olimpijskie spontanicznymi oklaskami. Potwierdził to kongres INA w Tunisie, na który jesienią 1976 roku pojechali Maria Dehn i dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych Edward Burba. Miałem w pamięci radę Michała Gardowskiego, że z dyrektorem trzeba żyć dobrze, skorzystałem z okazji i zaproponowałem mu wyjazd. Postąpiłem jak mi się wydaje rozsądnie.

Pokaz kronik w Tunisie podzielono tym razem na dwie części: pokaz normalny i specjalny poświęcony Olimpiadzie. Według relacji Marii Dehn i Edwarda Burby, nasze wydanie wyświetlono jako ostatnie. Okazało się, że była to jedyna kronika, którą uczestnicy kongresu przyjęli burzliwymi oklaskami.

Tyle relacje osób reprezentujących Polską Kronikę Filmową na kongresie INA w Tunisie. Sięgam do protokołu z tego kongresu, w którym czytamy: „Przed przystąpieniem do dyskusji (na temat „pool'ów” - M.Ch.) przewodniczący zaprosił zebranych do obejrzenia następujących filmów:

1/ dwóch fragmentów filmowych zrealizowanych w ramach pool'u olimpijskiego w Montrealu. Jeden w kolorze wyprodukowany przez British News, a drugi czarno - biały zrealizowany przez Pathe Cinema.

2/ kroniki filmowej zrealizowanej w kolorze przez jednego operatora filmowego Polskiej Kroniki Filmowej w Warszawie z Igrzysk Olimpijskich w Montrealu."

Po projekcji materiałów z Montrealu rozgorzała ożywiona dyskusja. Hans Lipp, który zgłaszał wątpliwości czy korzystanie z materiałów O.R.T.O okaże się dobrym rozwiązaniem powiedział: „Dziś zobaczyliśmy rezultat: jakość koloru bardzo słaba, a jakość filmu czarnobiałego jeszcze gorsza. Polacy pokazali, co można było zrobić. INA cofnęła się o 50 lat. Polacy dali nam lekcję i pokazali jak powinniśmy postępować w przyszłości. Jeżeli chodzi na przykład o piłkarskie mistrzostwa świata, nie będziemy mogli wystąpić na ekrany z kiepskim jakościowo filmem, w tydzień po telewizji. Musimy wziąć przykład z Polaków.

W dalszym ciągu dyskusji także przedstawiciel Holandii, p. Buis, stwierdził, iż „...powinniśmy pracować tak jak Polacy."

Janusz Kreczmański miał wielką satysfakcję, gdy chodziło o zdjęcia, ja zaś cieszyłem się, iż moja koncepcja sprawdziła się całkowicie. Z silniejszym (TV) przeważnie się nie wygrywa, można mu stawić czoła tylko w ten sposób, iż ukaże się na ekranie to samo wydarzenie, ale ciekawiej i lepiej.

Sprawa pool'u stała się teraz dla INA najważniejszym problemem, przygotowanie do mistrzostw świata w piłce nożnej nie schodziło z porządku dnia. Rozmawialiśmy o tym z Colin-Revałem, gdy wraz z żoną na zaproszenie PKF przebywał w Polsce.

## **12. PKF- INA – FTW**

Na początku maja 1975 roku, na zaproszenie Polskiej Kroniki Filmowej przyjechali z Monachium do Warszawy Hans Lipp i Olga Drumm, z Fox Toenende Wochenschau. Hans Lipp nie ukrywał rozdrażnienia. Zapytałem go, jakie są przyczyny jego nastroju, czy źle się czuje w Warszawie?

- Wyobraź sobie, że przyczyną mojego samopoczucia jest Czechosłowacja, która nie dała nam wizy i musieliśmy jechać do Polski przez NRD i do tej pory nie mogę ochłonąć ze złych przeżyć związanych z przejazdem przez brunatne terytorium. Spróbowałem poprawić nastrój gościowi kroniki. Zadzwoiłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w Departamencie Prasy przedstawiłem problem. Po pół godzinie usłyszałem w słuchawce: dostarcz szybko te paszporty. Na drugi dzień szef

Fox Toenende Wochenschau i jego przyjaciółka mieli już czechosłowacką wizę w paszportach! Zyskałem w ten sposób wdzięczność i niemal dozgonną przyjaźń Hansa!

Hans Lipp przyjechał do Polski najnowocześniejszym modelem BMW, z wieloma urządzeniami elektronicznymi, o których nad Wisłą wiedzieli zaledwie profesjonaliści. Hans miał w sobie coś z aktora, pozera i Prusaka! Toteż wcale mnie nie zdziwiła tablica rejestracyjna samochodu z indywidualnym numerem: „Monachium 1”.

Takim to pojazdem, wraz z Marią Dehn i gośćmi wyruszyliśmy w Polskę. Przedtem jednak rozłożyłem w redakcji przed Hansem i Olgą wielką mapę Polski i poprosiłem, aby wybrali trasę podróży. Nie chciałem im nic narzucać. W drodze do Poznania, w okolicy Wrześni, wstąpiliśmy do Państwowego Gospodarstwa Rolnego, gdzie nasi goście mogli zobaczyć nowoczesną, postawioną na wysokim poziomie hodowlę. Ubrano nas tu w specjalne odkażone buty, założono białe fartuchy, białe czapki i ruszyliśmy na zwiedzanie obór i chlewni. Hans nie należał do ludzi okazujących swoje uczucia. Obserwowałem go uważnie i zauważyłem, że nie zdołał ukryć zaskoczenia poziomem hodowli. Zdziwiło go też, że dyrektor gospodarstwa i główny zootechnik swobodnie posługiwali się językiem niemieckim. Mnie zaś Lipp zadziwił znajomością problemów związanych z rolnictwem. Dyskutował i porównywał, zadawał mnóstwo pytań. W Poznaniu odpoczywaliśmy, zaprosiliśmy Olgę i Hansa na najlepszą w Wielkopolsce golonkę po bawarsku. Wcześniej rano wyruszyliśmy do Gniezna, żartowaliśmy, że szlakiem Ottona.

W Gdańsku zwiedzaliśmy świątynie i świeckie zabytki, w kościele Najświętszej Marii Panny Hans zwrócił uwagę na niemieckie napisy, wyraził zdumienie, że ich nie usunęliśmy. Skwitowaliśmy jego zdziwienie krótko, te napisy należą do polskiej i niemieckiej historii. W katedrze oliwskiej Olga i Hans wykryli w gablocie spis filmów polecanych wiernym przez Kościół katolicki. Najwięcej na liście było tytułów filmów radzieckich.

W drodze do Malborka, Hans wskazał na zabudowania oddalone od głównej drogi o jakieś osiemset metrów i zapytał, czy możemy tam zająć. W starym pałacu mieściły się biura PGR i przedszkole, budynki mieszkalne pochodziły już z czasów socjalistycznych, stajnie natomiast i obory były chyba rówieśnikami pałacu. Nasz gość chodził po rozległym podwórku swobodnie, wydawało się, że je zna doskonale. Nie zadawał pytań i my też o nic nie pytaliśmy.

Przed zamkiem w Malborku stanęliśmy 9 maja 1975 roku. Piszę o tym, bo zaraz po zwiedzeniu muzeum wyruszyliśmy do Warszawy, miałem zamiar zaprosić Olgę i Hansa na uroczystości na Placu Zwycięstwa. Niestety, gdy opuszczaliśmy Malbork, ten wspaniały samochód najzwyczajniej w świecie stanął na środku ulicy.



Sprowadzony mechanik podniósł maskę pojazdu, pokręcił głową i powiedział, że taki silnik widzi pierwszy raz w życiu i nie podejmuje się w nim grzebać. Na szczęście w Malborku znaleźliśmy litościwego taksówkarza, który za godziwą opłatą zgodził się nas doholować do stolicy. Ale pod hotel Europejski dotarliśmy po 22-ej. Nasi goście nie zobaczyli apelu poległych i święta zwycięstwa.

Może dlatego, że przez cały dzień rozmawialiśmy o wojnie. Olga Drumm bardzo interesowała się życiem w Warszawie w czasie wojny, powstaniem w getcie i powstaniem warszawskim. Zapytałem w tedy, czy chcieliby obejrzeć film dokumentalny, „A jednak Warszawa,” zrealizowany przez Francuzów? Wyrazili zainteresowanie. W czasie projekcji, Olga Drumm zemdlą! A Hans Lipp, po zakończeniu krzyczał na cały głos, że w Niemczech film jest zupełnie nieznan!

Zapytał, czy mogę mu udostępnić fragmenty tego filmu?

Nasi goście byli wzburzeni tym, co zobaczyli na ekranie, a najbardziej zdjęciami zrealizowanymi przez operatorów wermachtu.

Z Monachium Hans Lipp przysłał do mnie list: „Drogi Mirosławie, Po powrocie z naszej niezwykle interesującej podróży po Polskiej Republice Ludowej, którą mogliśmy odbyć dzięki Pańskiemu zaproszeniu, chciałbym tą drogą wyrazić Panu nasze najgłębsze podziękowania.

Dzięki Pańskiej uprzejmości mieliśmy okazję poznać kraj i ludzi, o których myślimy z najgłębszym szacunkiem. Odbudowa pięknych polskich miast oraz uroda polskiego pejzażu wywarły na nas głębokie wrażenie.

Pańska przyjaźń i pomoc, które przypadły nam w udziale w czasie naszej podróży, były dla nas wyrazem osobistej przyjaźni.

Sądzymy, że podróż ta zbliżyła nas bardzo zarówno w sprawach służbowych, jak i prywatnych i chciałbym wyrazić nadzieję, że wielu moich rodaków będzie miało okazję, aby poznać Pańską Ojczyznę i jej mieszkańców.

Prosimy Pana i niestrudzoną Marię Dehn o przyjęcie naszych najserdeczniejszych podziękowań. Mam nadzieję, że w niedługim czasie znów się zobaczymy - być może w Republice Federalnej. Szczerze oddani. Hans Lipp i Olga

Drumm".

List potraktowałem jak zwykły gest grzecznościowy, miły, ale do niczego niezobowiązujący. Z Hansem Lippem wymienialiśmy całe wydania kronik, w związku z tym, raz w tygodniu oglądaliśmy na Chełmskiej Fox Toenende Wochenschau. W tydzień czy dwa po liście przysłał nam kronikę monotematyczną, całą poświęconą Polsce. Pokazał w tym wydaniu z prawdziwą drastycznością jak Niemcy palili Warszawę i najpiękniejsze zdjęcia Polski pochodzące z naszych wydań. Fox Toenende Wochenschau kończy się zdjęciami z podpisania 7 grudnia 1970 roku przez premiera Józefa Cyrankiewicza i kanclerza Willi Brandta układu o normalizacji stosunków między Polską i RFN.

Na zdjęciu jest także Władysław Gomułka. Na tych oficjalnych zdjęciach-słowa komentarza- Polacy są dobrymi i niesłychanie gościnnymi ludźmi. Ale jeśli zdarzy się, iż w czasie odwiedzin w Polsce jakiś Polak nie poda Niemcowi ręki nie miejcie o to żalu. Po tym, co w tym kraju zrobiliśmy, będzie to gest zrozumiały.

Byłem przejęty wydaniem Fox Toenende Wochenschau zrealizowanym przez Hansa Lippa, tym bardziej, że nie zawsze kroniki ukazujące się w RFN przedstawiały Polskę obiektywnie. Z dr. Gerhardem Hollandem z Blick In Die Welt toczyłem na przykład spory o interpretację wydarzeń historycznych. Byłem przejęty uczciwym, aż do bólu, przedstawieniem przez Lippa czasów panowania faszystowskich Niemiec w Polsce. Opowiadałem o „niemieckiej kronice” w Wydziale Prasy i o tym, że zamierzam bez żadnych zmian pokazać ją w Polsce. Wtedy Jan Grzelak zapragnął osobiście wydanie niemieckie obejrzeć. Po projekcji oznajmił, że może ukazać się na polskich ekranach, ale trzeba usunąć ujęcia z Władysławem Gomułką. Początkowo nie chciałem uwierzyć w słowa, które usłyszałem. Kto dał prawo pracownikowi KC wymazywania z historii Polski człowieka, który w zagospodarowanie Ziemi Zachodnich włożył tyle wysiłku i wniósł ogromny wkład w podpisanie układu o normalizacji stosunków Polski i Republiki Federalnej Niemiec? Widzowie polskich kin nie obejrzeli wydania Fox Toenende Wochenschau poświęconego Polsce, nie zamierzałem fałszować historii.

Polska Kronika Filmowa w opisywanych latach bardzo się umocniła w INA, sprawiła to nasza otwartość, kroniki, które wymienialiśmy z partnerami, a także wydania prezentowane w czasie kongresów. Wzrosła liczba tematów polskich, zamieszczanych przez kroniki zagraniczne. Do umocnienia się naszej pozycji w międzynarodowej rodzinie kronik przyczyniły się także wizyty w Warszawie Colin-Revala, sekretarza generalnego INA, i Hansa Lippa, szefa FTW w Monachium, cieszącego się dużym autorytetem wśród kronikarzy świata. O tym, że traktowano nas jak pełnoprawnych partnerów, może świadczyć także fakt, że po upływie mojej

kadencji jako wiceprezydenta INA, wybierano mnie przez kilka kadencji na przewodniczącego komisji rewizyjnej tej organizacji. W związku z tym wyjeżdżałem dość często do Paryża, moi przyjaciele żartowali sobie ze mnie, że wyjeżdżam do stolicy Francji częściej niż do Moskwy, a to się może dla mnie źle skończyć.

W czasie jednego z moich pobytów w Paryżu, Colin-Reval, zaprosił nas Marię Dehn i dr Laszko Bokora, szefa Magyar Filmhirado, do Moulin Rouge na kolację i oczywiście rewię. W pewnej chwili rozsunęła się kurtyna, odsłaniając wielkich rozmiarów telewizor, na którego ekranie ukazała się po kilku sekundach, twarz prezydenta Francji, Valery'ego Giscard d'Estaing, który witał publiczność w Moulin Rouge, zapowiadając, że właśnie tu zobaczymy najpiękniejsze dziewczyny świata i najdłuższe nogi Paryża. Paryż jest najmiłszą stolicą świata, a Francja największą potęgą miłości - zachwalał. Podobieństwo ucharakteryzowanego aktora do prezydenta było wyprost nie do wykrycia. Twarz prezydenta miałem świeżo w pamięci, bo zaledwie dwa tygodnie wcześniej skończyłem realizację filmu z pobytu Valery'ego Giscard d'Estaing w Polsce.

Colin-Reval zapytał czy coś takiego jest możliwe u nas?

Odpowiedziałem, że z pewnością tak, gdyby nie trudności ze znalezieniem aktora. Edward Gierek jest wszak nie do podrobienia. Po spektaklu, w drodze powrotnej do hotelu, Colin-Reval, zapytał czy interesowałaby mnie praca w Pathe, przy realizacji kronik dla krajów afrykańskich?

Praca w Polskiej Kronice Filmowej dawała mi dostatecznie dużo satysfakcji. Odpowiedziałem, więc że nie widzę się w takiej roli.

W kwietniu 1977 roku odbyło się w Paryżu spotkanie władz INA, uczestniczyli w nim przedstawiciele kronik: Belgavox- Belgia; NO-DO-Hiszpania; PKF- Polska; SATPEC- Tunezja; Magyar Filmhirado-Węgry; przedstawiciele kronik francuskich i Sekretarz Generalny INA.

Spotkanie spowodowała informacja kolegów z Moskwy, iż Związek Radziecki zrezygnował z organizacji kongresu INA. Postanowiono, że najbliższe spotkanie odbędzie się jesienią w Paryżu, w gmachu UNESCO, z udziałem czołowych przedstawicieli tej organizacji. W roku 1978 kongres zorganizuje kronika austriacka. Zwrócono się do PKF z prośbą o rozpatrzenie możliwości zorganizowania Zgromadzenia Generalnego INA w Polsce w 1979 roku.

Plany jednak zmieniły się, w Paryżu kongres odbył się dopiero w 1978 roku, a w roku 1979, na przełomie maja i czerwca, kronikarze z całego świata przylecieli do Moskwy. Uczestniczyłem w kongresie w Moskwie tylko przez pierwsze trzy dni, potem wróciłem do Warszawy, w związku z pierwszą wizytą Jana Pawła II. Moi koledzy z

Francji nie ukrywali zdziwienia, że opuszczam kongres w Moskwie dla wizyty papieża. Przez te trzy dni mieliśmy z Marią Dehn w Moskwie sporo pracy: operatorom z kilku zachodnich kronik zatrzymano na lotnisku kamery, więc ich szefowie przychodzili do nas z prośbą o pomoc. Ludzie z krajów zachodnich przyzwyczajeni do uprzejmości i życzliwości byli delikatnie mówiąc zaskoczeni służbowym tonem rozmów na lotnisku, w hotelowej recepcji i restauracji, gdzie kelner wyznacza stolik i nie ma dyskusji. Po powrocie od Marii Dehn dowiedziałem się, że w Moskwie znowu wybrano mnie do komisji rewizyjnej INA.

## 13. Mundial 78

W Paryżu władze INA długo debatowały nad stworzeniem pool'u (wspólnego zespołu i funduszy) dla obsługi mistrzostw świata w piłce nożnej, które miały się odbyć w Argentynie. Po pokazie Polskiej Kroniki Filmowej poświęconej Olimpiadzie w Montrealu zamiast decyzji rodziły się same wątpliwości, dotyczące kosztów, a przede wszystkim sposobu pokazywania mistrzostw. Kroniki, nawet zachodnie, nie mogły się mierzyć z telewizją, ani pod względem zasobów finansowych, a tym bardziej pod względem szybkości przekazu. W czasie pobytu w Polsce Colin-Revala, sekretarza generalnego INA dałem mu się namówić do stworzenia polskiego pool'u. Zaraz po ogłoszeniu przez INA naszej propozycji zgłosiło się osiem kronik filmowych, gotowych zakupić nasz barwny materiał filmowy. Na liście chętnych, ku mojemu zaskoczeniu, znalazła się kronika filmowa z Bombaju reflektująca na materiał czarnobiały. Nie oferowaliśmy relacji z mistrzostw, zamierzaliśmy bowiem filmować te zdarzenia, których żadna telewizja nie pokazywała, mecze miały być tylko łącznikiem w ukazywaniu otoczki Mundialu. Udział ośmiu kronik w finansowaniu pobytu ekipy PKF w Argentynie zwracał nie tylko koszty, ale dawał nawet pewien zysk.

Po uzyskaniu zgody władz krajowych na wyjazd do Buenos Aires przystąpiliśmy z Ryszardem Golcem i Januszem Kreczmańskim do przygotowań. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych wpłaciła kaucję na akredytację i zaczęło się oczekiwanie. Kiedy nadeszła wiadomość, że ją nam przyznano, udałem się do prezesa PZPN, pana Edwarda Sznajdra, którego znałem jeszcze z czasów, gdy szefował Ministerstwu Handlu Wewnętrznego. Na marginesie wspomnę, że pomógł mi wówczas odzyskać przydział na mieszkanie cofnięty przez premiera Piotra Jaroszewicza. Z własnej nieposzyczonej woli zadzwonił do szefa Urzędu Rady Ministrów, Janusza Wieczorka, i wytłumaczył mu, że dzięki mnie (Polskiej Kronice Filmowej) pan minister Wieczorek przechodzi do historii i decyzję anulowano! Prezes PZPN ucieszył się z tego, że znowu będziemy ze sobą współpracować i obiecał pomoc. Słowa dotrzymał, otrzymaliśmy od niego bilety wstępu na wszystkie mecze polskiej reprezentacji. W tym miejscu wyjaśnienie: dziennikarze akredytowani na mistrzostwach musieli za bilety płacić. Komitet organizacyjny mistrzostw akredytował

pool PKF z jednym wszakże zastrzeżeniem: nie mogliśmy filmować z płyty boiska tylko z miejsc przeznaczonych dla widzów. Nie wykupiliśmy prawa do filmowania, ani Polska Kronika Filmowa ani osiem innych kronik, które weszły do pool'u nie dysponowały wystarczającymi pieniędzmi na kupno owego prawa filmowania. Mundiale - to wielkie widowisko i wielki biznes! Wyłączne prawo do filmowania z każdego miejsca stadionu wykupiła firma brazylijska i pilnowała, aby nikt go nie naruszał. Zanim rozpoczęły się rozgrywki, załatwiliśmy sporo spraw, które zwykle należą do kierownika produkcji. Musieliśmy przede wszystkim znaleźć linię lotniczą, bezpieczną i solidną. Zamierzaliśmy wysłać do kraju naeksponowaną (naświetloną) taśmę, by czekała gotowa na nasz powrót, bo choć nie zamierzaliśmy przygotowywać relacji z piłkarskich zmagania czas się jednak liczył. Wybraliśmy „Lufthansę” jako najbardziej bezpieczną i odpowiedzialną.

Tuż przed inauguracją Mundialu spotkała nas niespodzianka, zostaliśmy zaproszeni przez miłą i piękną panią dyrektor biura prasowego na kawę do luksusowej i modnej kawiarni w Buenos Aires. Żeby nie było niedopowiedzeń zaproszenie zawdzięczaliśmy jedynie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Otóż pracownice działu finansowego z WFD, wpłaciły pieniądze za akredytację zamiast na konto komitetu organizacyjnego mistrzostw, na prywatne konto uroczej przedstawicielki komitetu organizacyjnego mistrzostw. Pani dyrektor wyjaśniła nam rzeczowo, że zanim odkryła pomyłkę pieniądze przeleżały na jej koncie ponad trzy miesiące. Narosły, więc odsetki. Jednogłośnie i z entuzjazmem postanowiliśmy je przehulać! Odsetki, oczywiście, a nie pieniądze zwrócone za akredytację. Byliśmy wdzięczni paniom z WFD za pomyłkę - a pani dyrektor, za miły wieczór spędzony przy kawie i koniaku. Komitet organizacyjny Mundialu przed inauguracją rozgrywek przygotował dla dziennikarzy sporo ciekawych wycieczek, w których chętnie uczestniczyliśmy.

Od samego początku w Buenos Aires towarzyszył nam i pomagał ksiądz Wróbel, tym razem z Kościoła rzymskokatolickiego, absolwent KUL-u, który o Polsce Ludowej mówił jak o rajach utraconym, co wydało mi się w pewnym momencie trochę podejrzane. Zgrzeszyłem tymi parszywymi myślami, biję się w piersi, mea culpa, przepraszam i proszę o przebaczenie. Ksiądz bowiem udzielił nam bardzo ważnej rady, ostrzegł, aby nikt z nas nie filmował tego, co dla służb specjalnych generała, Jorge Rafaela Videli Redondo, dyktatora Argentyny może uchodzić za kompromitujące bądź stawiające reżim w złym świetle. Żadnego więc filmowania slumsów, protestów matek i żon aresztowanych opozycjonistów. W trzecim dniu pobytu - poinformował nas duchowny - ekipa telewizji szwedzkiej za filmowanie zakazanych zjawisk została z Argentyny wydalona. Ksiądz ostrzegał przed fałszywymi przyjaciółmi, którzy zaproponują „atrakcyjne” tematy. Do ostatniego dnia pobytu, pamiętaliśmy o radach sługi Kościoła i nie daliśmy się skusić.

W tym miejscu wyprzedzę relację zdarzeń. Po powrocie z Rosario i Mendozy do stolicy ksiądz zaprosił nas do swojej parafii, gdzie pełnił misję. Poprosił tylko: nie zabierajcie ze sobą kamer, tak będzie bezpieczniej dla was i dla mnie. Ledwo znaleźliśmy się u gościnnego rodaka, natychmiast wszystko zrozumieliśmy, mieszkał on bowiem w najuboższej dzielnicy Buenos Aires. Jak okiem sięgnąć slumsy i slumsy.

Nadszedł oto najbardziej oczekiwany dzień Mundialu. W przeddzień inauguracji mistrzostw, wieczorem, czekaliśmy z Januszem Kreczmańskim w hotelowym holu na bilety obiecane przez prezesa Sznajdra. Czekaliśmy dość długo, co było denerwujące, ale i zrozumiałe. Wreszcie na szerokich schodach ukazali się dwaj panowie, po czerwonym dywanie schodzili trenerzy, Polski – Jacek Gmoch i Republiki Federalnej Niemiec – Helmut Schön, nieco podochoceni, przyjaźnie objęci ramionami. Wyrwało mi się: schodzi właśnie remis. Janusz, wytrawny znawca sportu, spojrzął na mnie z politowaniem. Pewno by mnie zganiał za wygłaszanie opinii zdradzających dyletanctwo, ale pojawił się właśnie prezes Sznajder z trzema biletami w ręku. Odetchnęliśmy z ulgą.

Na stadion przyjechaliśmy kilka godzin przed meczem, aby wybrać miejsca dla kamer i zorientować się w środowisku. Janusz i Ryszard natychmiast dostrzegli arifleksy brazylijskiej ekipy filmowej, ustawione na statywach, było ich sporo. Poszli do kolegów brazylijskich, aby się z nimi poznać, wrócili smutni i zamyśleni. Pytam, co się stało? Zabronili nam filmować? Możemy robić zdjęcia-odrzekli. Nie jesteśmy dla nich żadną konkurencją, w przygnębienie wpędziły nas ich arifleksy-ciągnęli- jeszcze takich kamer nie widzieliśmy, choć przecież przez całe zawodowe życie posługujemy się tylko arifleksami. Brazylijska firma zakupiła na Mundial 78 najnowocześniejsze kamery, wyposażone w urządzenia elektroniczne. Polski operator, posługując się obiektywem ze zmienną ogniskową, musiał dla przybliżenia filmowanego obiektu bądź jego oddalenia, używać metalowego drążka, przypominającego długi gwóźdź, i własną ręką z jego pomocą przybliżyć bądź oddalić filmowany obiekt. Każde drgnienie ręki, zwolnienie lub przyspieszenie stawało się widoczne na ekranie. Brazylijski operator natomiast naciskał tylko włącznik i wszystko odbywało się samo, a w dodatku -z wielką precyzją. Oto różnica między ręczną a elektroniczną transwokacją.

Mecz z drużyną Republiki Federalnej Niemiec, rozegrany na reprezentacyjnym stadionie „River Plate” w stolicy Argentyny, zakończył się remisem, co pesymiści nazwali porażką, optymiści zaś - sukcesem. Następnego dnia wybrałem się do Centrum Prasowego, aby zobaczyć, co o meczu piszą światowe agencje prasowe. I tak:

Agencja DPA (RFN) napisała: „...Polacy stworzyli znacznie więcej szans strzeleckich, prezentowali futbol dojrzały, mądry taktycznie. Przykro było patrzeć, jak momentami bezradnie grali mistrzowie świata.”

REUTER (Anglia): „...Piłkarze RFN napracowali się bardzo, aby zapewnić sobie remis. Mieli przy tym dużo szczęścia, bo inicjatywa należała do polskich zawodników, którzy jednak nie potrafili wykończyć wielu błyskotliwych akcji.”

AFP (Francja): „...Obie drużyny grały bardzo ostrożnie. Starły się unikać ryzyka. Z biegiem czasu jednak inicjatywę przejmowali Polacy. Drużyna polska, choć nie błyszczała, prezentowała grę bardziej dojrzałą, urozmaiconą i szybszą.”

Oceny napawały optymizmem, polska reprezentacja otrzymała, bowiem lepsze recenzje. Toteż nikogo z polskich dziennikarzy nie zdziwiła depesza gratulacyjna, przysłana drużynie przez Edwarda Gierka, co miało podnieść ją na duchu i dodać sił w meczach następnych.

Piłkarze przyjęli telegram ze stoickim spokojem, by nie powiedzieć- obojętnie. Jeden z zawodników pytany, czy się cieszy z gratulacji, odpowiedział lakonicznie: czekamy na pieniądze, a nie na telegramy - czy jakoś tak podobnie.

Temat pieniędzy pojawił się ponownie w Rosario. W hotelowej kawiarni do naszego stolika dosiedli się Jan Tomaszewski i Zbigniew Boniek. Opowiedziałem sławnemu bramkarzowi o zdarzeniu w kenijskim buszu. Powtórzyłem wypowiedź kierowcy z plemienia Kikuju o polskiej drużynie i o nim, polskim bramkarzu, usłyszaną w Kenii. Przyjął opowieść z zadowoleniem. Przypomniałem mu też jego słowa usłyszane na Olimpiadzie w Montrealu, przed meczem z piłkarzami z NRD.

- Panie Janku, zapytał dziennikarz, jakim stosunkiem bramek wygrywamy?

- Odpowiedź: „jeszcze nie wiemy, za ile gramy”.

Pan Jan popatrzył na mnie przenikliwie i powiedział:” panu płacą co miesiąc pensję, mam nadzieję wysoką, zrealizuje pan z Mundialu jakiś film, za który też otrzyma wysokie honorarium. Zarabia pan wykonując swój zawód i z pewnością będzie pan w ten sposób zarabiał aż do emerytury. Natomiast ja, gdy przestanę łapać piłkę, do wyuczonego zawodu inżyniera już nie wrócę, więc muszę w czasie łapania piłki zarobić tyle, bym miał z czego żyć na emeryturze właśnie”. Z wyjaśnieniami sławnego bramkarza całkowicie się zgodziłem. Zbigniew Boniek dodał zaś: „kopanie piłki to ciężka praca, bo treningi są niezmiernie wyczerpujące, wszystkie mięśnie muszą pracować intensywnie i nadzwyczajnie, a nam w czasie imprez piłkarskich jednego mięśnia używać nie wolno, więc może on zaniknąć. Chłopcy z drużyny szwedzkiej tej zasady nie przestrzegali, pakują już swoje worki i wracają do domu”.

Piłkarze nasi tryskali optymizmem aż do spotkania z Tunezją, które odbyło się w Rosario. Po meczu twarze mieli zasępione, a koledzy z prasy okrzyknęli ten mecz „cudem nad Paraną!”

Organizatorzy Mundialu w Rosario umieścili wszystkich dziennikarzy w jednym hotelu, co znakomicie ułatwiało dowóz żurnalistów na stadion. Mieszkał więc razem z nami sławny Brazylijczyk Edson Arantes do Nascimento, zwany Pelé, zatrudniony tym razem jako sprawozdawca telewizyjny. Poznałem go osobiście, bo zaraz po przyjeździe do Rosario wydał przyjęcie, na które zaprosił wszystkich dziennikarzy zamieszkałych w hotelu. Zapytałem go „jak kolega kolegę”, jakie daje szanse naszej drużynie.

- Będziecie na podium, Tomaszewski- to znakomity bramkarz, powstrzymał Anglię, a w polskiej drużynie jest kilku utalentowanych piłkarzy.

Pelé pomylił się o dwa, trzy miejsca, nie był przecież wróżbitą tylko piłkarzem, który w swoim życiu rozegrał-bagatela - 1363 mecze i strzelił 1281 goli! Przyjęcie udało się nadzwyczajnie, zabawa trwała prawie do świtu. Przyznaję, że tego rodzaju imprezy, w których uczestniczyłem w Argentynie dostarczały mi więcej emocji niż rozgrywki na stadionach. Teraz, gdy piszę te wspomnienia, sięgam do notatek i artykułów z tamtych czasów, bo pamięć po tylu latach jest przecież zawodna. Jest jeden wyjątek. Nie muszę niczego sprawdzać, gdy myślę o „asado”, nie szperam w zapiskach, wystarczy przymknąć powieki, a przed oczami jawią się wrażenia tamtego wieczoru.

Na asado zaprosił nas Komitet Organizacyjny Mundial 78 w Rosario. Asado to nie tylko potrawa, to także, a może przede wszystkim biesiada, spotkanie przyjaciół, pracowników firmy czy pasterzy krów na rozległych pastwiskach argentyńskiej Pampy. Istotą asado jest wołowina właśnie, przyrządzona w odpowiedni sposób. Bukata lub młodą jałówkę po ubiciu patroszy się i bardzo dokładnie myje. Do wnętrza wkłada się zioła i przyprawy, wlewa wino, potem zaszywa i tak spreparowaną sztukę w skórze umieszcza się na wielkim ruszcie wpuszczonym w ziemię, pod którym żarzy się węgiel drzewny, z wierzchu zaś krowę nakrywa się czymś w rodzaju daszka z falistej blachy. Co pewien czas kilku mężczyzn przewraca krowę na drugi bok. Pieczenie trwa ponad dwadzieścia godzin. Żar nie może być ani za duży, ani za mały. Skóry nie wolno przypalić, dlatego całym długim procesem „dochodzenia” zajmują się nie lada znawcy. A kiedy już zaczyna się ucztą nacinają skórę i zdejmują małymi płatami, potem wykrawają porcje mięsa i podają na glinianych talerzach, do tego czerwone wytrawne wino; nie ma smaczniej przyrządzonej wołowiny pod słońcem. Jedzeniu mięsa towarzyszą muzyka, pieśni i tańce, pod gołym, roziskrzonym gwiazdami argentyńskim niebem. Argentyńczycy są mistrzami w piłce nożnej, równie dobrze przyrządzają asado i organizują wielkie imprezy sportowe.

Stadion w Rosario odgradza od widowni nie tylko siatka z grubego drutu, ale także głęboka fosa, która uniemożliwia krewkim kibicom wtargnięcie na płytę boiska. Piłka posłana na aut wpada często do fosy, skąd wydobywają ją młodzi mężczyźni za



pomocą siatki osadzonej na długim stylisku. Jak ktoś obliczył wyciąganie piłek z fosy skraca mecz aż o całe pięć minut!

Po wygranej trzy do jednego z Meksykiem, drużyna polska zajęła pierwsze miejsce w grupie, ożyły nadzieje na dalsze sukcesy naszych piłkarzy. Do meczu z reprezentacją Argentyny Polacy przygotowywali się bez kompleksów i z wielkimi nadziejami. Tuż przed meczem na płycie stadionu zorganizowano nawet uroczystość. Kazimierzowi Deynie wręczono dyplom z okazji setnego meczu, który za chwilę miał rozegrać. Była to uroczystość nieco na wyrost, chciano chyba w ten sposób powiedzieć rywalom, że nasi piłkarze sroce spod ogona nie wypadli i pokażą co potrafią!

Wzruszony Deyna nie strzelił, niestety, karnego, a my dopiero w Mendozie musieliśmy ponieść koszty, za to że Janusz Kreczmański zszedł na płytę boiska i filmował uroczystość wręczenia Deynie dyplomu. Staliśmy się „bohaterami” jednego dnia! Pisała o nas prasa argentyńska i polska! Kolega z „Przeglądu Sportowego” informował czytelników w notatce pt. „Ścigani”: „ Tak nazwano 3-osobową ekipę Polskiej Kroniki Filmowej przebywającą tutaj w Argentynie, która uwikłała się w różnego rodzaju perypetie. Otóż Mirosław Chrzanowski ( szef ekipy) oraz operatorzy Janusz Kreczmański i Ryszard Golc otrzymali normalne akredytacje wydane przez Komitet Organizacyjny, ale ... bez prawa wstępu z kamerami filmowymi na płytę boiska...

Nasi filmowcy jednak nie zrezygnowali i filmowali z trybun... Jednakże na tak ważny dla nas mecz z Argentyną, Janusz Kreczmański, przedostał się na boisko dzięki pomocy naszej telewizji. Brazylijczycy wywołali ogromną awanturę, gdy zobaczyli Kreczmańskiego z kamerą w ręku. Na skutek ich interwencji naszym filmowcom odebrano nawet akredytację, bez której praktycznie nie można poruszać się ani po Biurach Prasowych, ani po żadnych innych obiektach mistrzostw świata. Akredytację zwrócono im po licznych interwencjach, ale cały sztab służby porządkowej czuwa teraz nad tym, aby przypadkiem polscy filmowcy nie przedostali się na stadion z kamerami.

Do każdego autokaru z dziennikarzami, który zajeżdżał na mecz Polska – Peru w Mendozie wchodził porządkowi i sprawdzali wszystkie torby czy przypadkiem już nie tylko Polacy, ale również i inni (podobny manewr stosowali Francuzi) nie udają się na stadion ze sprzętem do filmowania.

Polakom wymieniono nawet bilety, tak żeby na trybunach prasowych siedzieli obok siebie, aby łatwiej było mieć ich na oku.

... wkrótce wszyscy będą mogli zobaczyć w naszych kinach specjalne wydanie kroniki filmowej Mundial 78. Sfilmowane zostały przecież 4 mecze, a poza tym nakręcono kilometry taśmy z codziennego życia tak naszych piłkarzy, jak i

argentyńskich Gauchito. Poza tym naszych filmowców należy tylko podziwiać. Nie mieli takiego zabezpieczenia w środki techniczne jak inni, ciężki sprzęt musieli dźwigać na własnych plecach, pracowali niczym tragarze. M.S.” („Przegląd Sportowy” 20. 06. 1978 r.)

Stefan Sieniarski z „Życia Warszawy” (24.07.1978 r.) pisał: „Serial mundialowych wspomnień rozpoczęli w 2 miesiące (podkreślenie M. Ch.) po wyjeździe naszych piłkarzy do Argentyny „ścigani”, czyli Polska Kronika Filmowa. „Ścigani”, bo w Argentynie – jak słynny bohater telewizyjnego serialu pod wspomnianym tytułem – odpowiadać mieli za czyny, których nie popełnili. Po ostatnim polskim meczu w Rosario odebrano przedstawicielom PKF akredytację ( robili wtedy zdjęcia dla naszej telewizji), a oddano je im dopiero wtedy, gdy dali słowo, że do końca mistrzostw nie wezmą kamery na stadion. Każdego też z polskich dziennikarzy rewidowano, czy nie przemycają kolegom z PKF aparatury.

Filmowali, więc koleżkowie z PKF wszystko, co tylko się dało, ale poza boiskiem. Pewny jestem, że to bardzo interesujące sprawy, ale zostawiłem sobie obejrzenie ich na ekranie kinowym, a nie podczas pokazu, jaki odbył się w ub. piątek”.

Mimo iż naraziliśmy naszych kolegów z prasy na niewygody (kontrole, rewizje) pisali o nas sympatycznie, z fantazją i ... małymi nieścisłościami. W rzeczywistości było tak: Kazimierzowi Deynie na stadionie w Rosario wręczano uroczyste dyplom...

Wersja Janusza Kreczmańskiego: „Kamerzyści z telewizji nie zdążyli dojechać na wręczenie Deynie dyplomu, może nawet o tym nie wiedzieli, bo decyzję podjęto jak to u nas w ostatniej chwili. Ktoś z redaktorów poprosił mnie o sfilmowanie. Pragnąc uchronić kolegów z telewizji od blamażu, założyłem kamizelkę TV i zrobiłem kilka ujęć. Wróciłem na trybuny i z Ryszardem Golcem filmowaliśmy mecz Polska – Argentyna aż do samego końca. Na płycie nie przebywałem dłużej niż dwie minuty... Kto mógł się spodziewać, że Brazylijczycy...

Tyle Kreczmański. Ktoś obeznany ze sprawami technicznymi zadał mi pytanie: po co wchodził na płytę operator PKF? Przecież telewizja pracowała kamerami 16 milimetrów, a taśmę z waszej kamery, 35 milimetrów, wywołaliście dopiero w Warszawie. Przyjąłem tłumaczenie Janusza Kreczmańskiego za dobrą monetę, bo nie miałem innego wyjścia.

Dopiero, gdy autokar wiozący dziennikarzy z Rosario zatrzymał się przed hotelem w Mendozie, pojawili się policjanci. Jeden z nich odczytał z kartki nasze nazwiska i poprosił, abyśmy za nim poszli. Przesłuchanie trwało krótko, zabrali nam kamery i akredytacje, które przed meczem zwrócili, gdy daliśmy słowo, że nie będziemy filmować. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wina leżała po naszej stronie, to Janusz Kreczmański, bowiem naruszył obowiązujące zasady. Został

ukarany - przez cały czas pobytu w Mendozie nie miał prawa wziąć kamery do ręki. Mecze oglądał, jako widz i to była dla niego najokrutniejsza kara!

W Mendozie nie próżnowaliśmy. Szybko nawiązaliśmy kontakt z miejscową rozgłośnią radiową, dostarczyliśmy jej polskie melodie i nagraliśmy okrzyk: „Polska gola”! W ten sposób radio przygotowywało kibiców do dopingu naszej drużyny przed meczem z Brazylią, bowiem między Argentyną a Brazylią panowały wówczas takie mniej więcej stosunki, jak między Polską braci Kaczyńskich a Rosją Putina.

Sfilmowaliśmy jednak nie cztery, a pięć meczy. Przed finałowym meczem między Holandią a Argentyną, który miał się odbyć w Buenos Aires, zaprosił mnie komendant policji odpowiedzialny za Mundial’ 78 i wręczył dwa bilety, poradził rozkręcić kamerę i zagwarantował, że dostaniemy się na stadion, ale ściśle wyznaczonym wejściem. Do dziś nie wiem, dlaczego tak postąpił? Może był miłośnikiem piłki nożnej i zdawał sobie sprawę z naszego dramatu, może przekonał się, że dotrzyaliśmy danego słowa i nie usiłowaliśmy przemyścić kamery na stadion w Mendozie? Może, dlatego że nie filmowaliśmy zjawisk zakazanych? Doprawdy nie wiem. Wspominam jednak komendanta policji z sympatią i wdzięcznością. Janusz Kreczmański filmował mecz finałowy z trybuny, w pozycji siedzącej, bał się wstać, aby nie dostrzegli go Brazylijczycy. Strzału do bramki Holendrów nie uwiecznił, ale sfilmował moment, gdy kibice podrywają się z krzeseł po strzeleniu gola!

Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że część taśmy, wysłanej z Argentyny, nie została przez WFD odebrana z lotniska, w związku z czym jeszcze jej nie wywołano, a przywieziona przez nas taśma też napotkała na niezrozumiałe przeszkody w wydziale obróbki taśmy, (laboratorium) choć wiadano, kiedy wracamy, a także to, że na materiał czekają kroniki zagraniczne. Dodam, że w Wytwórni Filmów Dokumentalnych od początku jej istnienia, obowiązywało niepisane prawo: materiały kroniki są wywoływane w pierwszej kolejności. I nie zdarzyło się do tej pory, aby ktoś je zakwestionował.

Nie pomagały wysiłki Marii Dehn, jej osobiste znajomości i przyjaźnie z osobami pracującymi w laboratorium. Oboje zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, że opóźnienie wysłania materiałów kronikom zagranicznym będzie dla nas osobistą porażką, wszak Polska Kronika Filmowa do tej pory cieszyła się opinią solidnej firmy w światowej rodzinie kronikarzy. Gdy nie pomogły układy koleżeńskie Marii Dehn i moje, zdecydowałem się wykorzystać drogę służbową i napisałem oficjalne pismo do dyrektora WFD Mariana Kruczkowskiego, w którym informowałem go o niespotykanym dotąd zachowaniu laboratorium. Zamiast odpowiedzi, otrzymałem telefon z sekretariatu Zdzisława Marca, zastępcy kierownika Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, z pytaniem, jak przebiega realizacja zobowiązań PKF wobec zagranicznych kontrahentów? To pytanie rozwiązało wszystkie

moje wątpliwości i złudzenia. Do tej pory Wydział Prasy nie interesował się problemami technicznymi...

W piśmie do Zdzisława Marca, jako zastępcy kierownika wydziału prasy... i jako dziennikarza, wyjaśniłem dokładnie perypetie związane z wywołaniem taśmy. Pisałem m.in.: „Wydanie kroniki z Olimpiady ukazało się na ekranach w 14 dni po naszym powrocie z Kanady, a np. film, również barwny, pt. „Kwiecień w Portugalii” - w 51 godzin od chwili wywołania taśmy. Wydanie PKF z Mundialu ukaże się na ekranach kin dopiero 9-10 sierpnia 1978 r. tzn. w 40 dni od chwili przekazania taśmy do wywołania... Załączam telegramy i pisma od kronik zagranicznych oraz nasze wstępne założenia i kalkulacje przed wyjazdem do Argentyny.” List kończyłem słowami: „Jeżeli towarzysz kierownik uzna, że zwłoka w wysyłce materiałów jest wyłącznie moją winą, proszę o odwołanie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej”.

Nie odwołał, zawsze pomagał dziennikarzom. Pamiętam jak w czasie wizyty prezydenta Indii w Polsce operator PKF, Janusz Kreczmański, wybrał się do Belwederu w brązowej sztruksowej marynarce i równie modnych spodniach! Biuro Ochrony Rządu zażądało usunięcia Janusza z pracy! Zdzisław Marzec, wtedy dyrektor gabinetu przewodniczącego Rady Państwa, wyjaśnił borowcom, że nie są arbitrami w sprawach mody, a już na pewno nie powinni rościć sobie pretensji do prowadzenia polityki kadrowej w redakcji PKF. Janusz nadal robił zdjęcia z imprez oficjalnych i spotkań ważnych osób.

Nie ukrywam, że Mundial' 78 był dla PKF porażką przede wszystkim prestiżową i częściowo finansową; planowaliśmy, że zarobimy kilka tysięcy dolarów, a tymczasem wpływy ze sprzedaży mocno spóźnionych materiałów pokryły zaledwie w połowie koszty wyjazdu ekipy. A spodziewaliśmy się zarobić na czysto 8000 dolarów! Dlaczego tak się stało, wyjaśnię w następnym rozdziale...

## **14. Dyrektor, Marian Kruczkowski**

Przyznaję, że przystępuję do opisu wydarzeń związanych z realizacją wydania z Mundialu' 78 bez entuzjazmu, wręcz z niechęcią. Wszystko co tu napiszę jest dla mnie bardzo nieprzyjemne i bolesne. Postanowiłem jednak przedstawić prawdę. więc nie mogę sprzeniewierzyć się własnym zobowiązaniom.

Powrócę tedy na chwilę do Montrealu i przypomnę, że w przeddzień naszego przylotu na Olimpiadę konsul generalny i minister pełnomocny PRL w Kanadzie, Marian Kruczkowski, odleciał ze stolicy igrzysk, ściślej został odwołany i odesłany do

kraju. Po powrocie do Warszawy natychmiast odwiedziłem go w lecznicy Ministerstwa Zdrowia, gdzie przechodził rekonwalescencję po wielkim wstrząsie psychicznym. Potem, gdy opuścił szpital, służyłem mu pomocą, woziłem go i jego żonę własnym samochodem po Warszawie, wyjeżdżaliśmy za miasto. Na moje zachowanie zwrócił uwagę, Waław Barszczewski, z Biura Prasy KC PZPR, pytając mnie wprost, dlaczego tak ostentacyjnie demonstruję swoją przyjaźń do Mariana? Odpowiedziałem mu pytaniem: czy statut partii zabrania utrzymywania kontaktów z osobami chorymi bądź przyjaciółmi, którym się nie powiodło? Piszę o tym dość szczegółowo, bo moje zachowanie wobec Mariana miało w przyszłości skomplikować mi życie. Dodam jeszcze, że najbliższa jego rodzina nie wiedziała, dlaczego został odwołany z placówki. Zadzwoił bowiem do mnie jego brat, Tolek, z pytaniem, co wiem o odwołaniu Mariana z Montrealu? Przekazałem mu wtedy jedyny, jaki posiadałem, egzemplarz folderu z artykułem pana Brzezińskiego.

Po rekonwalescencji Marian Kruczkowski podjął pracę w Zarządzie Głównym „RSW Prasa, Książka, Ruch”. Pracowała tam moja żona, więc miałem każdego dnia najświeższe wiadomości o jego samopoczuciu. Renia przekonywała mnie, że Marian w RSW po prostu się męczy. Cierpienie polegało m.in. na tym, że musiał sobie sam ze wszystkim radzić, nie miał bowiem ani jednej sekretarki, podczas gdy w Wydziale Prasy KC w jego sekretariacie pracowały aż trzy panie, na zmianę oczywiście. W konsultacji telefony odbierała i łączyła także sekretarka. Zdarzało się więc, że Marian prosił często, Renię, moją żonę, aby go z kimś połączyła. Bardzo przeżywał fakt, że do swojego pokoju musiał przechodzić przez pokój, w którym pracowało kilka osób. Problem ten został rozwiązany, bo po pewnym czasie przebito drzwi do jego pokoju prosto z korytarza. Ale cierpienia byłego kierownika wydziału KC nie ustawały, choć prawdę mówiąc w większości wynikały z dygnitarskich nawyków. Oto pewnego wieczoru moja żona i Marian wybrali się do teatru. W czasie przerwy przechadzał się po foyer - jak Lenin w filmach - z rękami złożonymi do tyłu i bardzo głośno opowiadał o tym, jakie podejmował decyzje, gdy był kierownikiem, a po spektaklu po taksówkę posłał Renię. Pocieszałem ją, że z czasem przystosuje się do życia normalnego człowieka... a nawet je polubi.

I wtedy nadarzyła się okazja. W Wytwórni Filmów Dokumentalnych miała nastąpić zmiana dyrektora. Wprawdzie nominacja dyrektora wytwórni musiała być uzgodniona z Wydziałem Kultury KC PZPR, ale ze względu na kronikę Wydział Prasy, tak sądziłem, miał też coś do powiedzenia. Przeprowadziłem na ten temat rozmowę z kierownikiem kancelarii Jerzego Łukaszewicza, Józefem Trzecińskim, i zasugerowałem, że Marian nadaje się na to stanowisko jak nikt inny. Po kilku dniach sekretarz KC, Jerzy Łukaszewicz, zapytał mnie czy pomogę Marianowi, jeśli zostanie powołany na dyrektora WFD?

Odpowiedziałem, że gdyby zaszła taka potrzeba, to pomogę mu bardzo chętnie, ale sądzę, iż poradzi sobie doskonale na tym stanowisku beze mnie.

Nie przypuszczałem, że w kilka dni po nominacji dojdzie do pierwszego spięcia. W dzień po objęciu funkcji dyrektora WFD przez Mariana Kruczkowskiego wyjechałem na prośbę FSO i za pieniądze zakładu do Bułgarii na festiwal filmów reklamowych, który odbywał się w Warnie i trwał trzy dni. Po powrocie na Chełmską zadzwonił do mnie Maciej Cieśliński, z Wydziału Prasy, wówczas aktualny opiekun Polskiej Kroniki Filmowej i zaproponował: jeśli masz czas, wpadnij do mnie na kilka minut. Kiedy zjawiłem się w jego pokoju, oświadczył ze śmiertelną powagą, że wpłynęła na mnie skarga. Byłem do tego przyzwyczajony, bowiem choćby tylko z WFD, pisali na mnie skargi, pani Jadwiga Zaiczek, Roman Wionczek i kilku reżyserów, których nazwiska, aż wstyd się przyznać, uleciały mi z pamięci.

- Skarży się na ciebie - mówił Maciek Cieśliński - dyrektor Marian Kruczkowski. Pojechałeś do Bułgarii bez jego zezwolenia! Widząc moje zaskoczenie dodał: narobiłeś sobie nie lada kłopotu, obawiam się, że to dopiero początek - znał on wszak swojego byłego szefa.

Kiedy po powrocie z KC, pojawiłem się w sekretariacie dyrektora Kruczkowskiego, pani Jaga powiedziała, że muszę poczekać.

- Ktoś jest u dyrektora?

- Nie ma nikogo, gdy dyrektor zechce pana przyjąć, zadzwonię natychmiast. W rozmowie, w gabinecie dyrektora, w cztery oczy, wyjaśniliśmy sobie, po przyjacielsku, co było do wyjaśnienia.

Po kilku dniach dyrektor poprosił mnie do siebie, wyciągnął z szuflady rachunek przysłany z wytwórni filmowej z Moskwy, położył go przede mną i powiedział: podpisz. Znałem ten papier na pamięć, już poprzednik Mariana Kruczkowskiego zachęcał mnie do podpisania rachunku. Odmówiłem. Swego czasu ekipa Polskiej Kroniki Filmowej z Piotrem Halbersztatem, wyjechała do ZSRR, aby sfilmować pięć fabryk kwasu siarkowego, które tam zbudowała Polska. PKF na zlecenie Polimexu CEKOP-u miała zrealizować reklamówkę. Sfilmowaliśmy trzy fabryki, a rachunek opiewał na pięć obiektów.

Dlatego powiedziałem Marianowi, że nie podpiszę.

- Jak to, radzieckim nie podpiszesz - zapytał Kruczkowski i nie czekając na moją odpowiedź demonstracyjnie, własnoręcznie złożył na rachunku swój dyrektorski podpis. Prawdopodobnie postąpił tak, bo mu bardzo zależało na wizycie w Moskwie. Nie tylko jemu, wielu w owych czasach po nominacjach pielgrzymowało do Moskwy. Oczywiście, dyrektor prosił mnie o załatwienie tego wyjazdu. Tak się dziwnie złożyło, że w trzy, a może w cztery tygodnie po podpisaniu rachunku, Maria Dehn, poinformowała, że dyrektora Kruczkowskiego i mnie oczekują w Moskwie. I tu podała

dokładną datę i godzinę spotkania. Wylecieliśmy pierwszy porannym samolotem. Spotkanie w wytwórni moskiewskiej przebiegało wedle ustalonego schematu: rozmowy oficjalne, potem obiad, a wieczorem kolacja w „Dom Kino”, na którą zaprosił nas Jurij Awietikow.

Już po kilku toastach Jurij zwracając się do mnie zapytał: wytłumacz mi Mirosław, dlaczego po tylu miesiącach podpisałeś ten nieszczęsny rachunek? Przecież my wyrzuciliśmy z pracy nieuczciwego kierownika produkcji kiedy tylko zorientowaliśmy się, że wystawił go niezgodnie z prawdą?

- Nie powiadomiliśmy nas o tym i nie ja rachunek podpisałem. Skoro nieuczciwego wyrzuciliście, proponuję wypijmy za uczciwych i nie wracajmy więcej do tego tematu.

Pobyt w Moskwie upłynął nam na spotkaniach i toastach, w wolnych chwilach obejrzelśmy kilka doskonałych filmów dokumentalnych. W teatrze „Na Tagance” wysłuchaliśmy koncertu Władimira Wysockiego. A prywatnie jeden wieczór spędziliśmy w „Aragwi”, gruzińskiej restauracji cieszącej się renomą nie tylko w Moskwie.

Wracaliśmy do Warszawy zadowoleni, Marian dlatego, że zaliczył Moskwę, ja, bo sądziłem, iż wszelkie nieporozumienia mamy już za sobą! Myliłem się okrutnie. W kilka dni po powrocie dyrektor poprosił mnie do siebie i zakomunikował, że do działu zagranicznego przyjmuje nową pracownicę.

- Utworzyłeś nowy dział – zapytałem.
- Musimy wzmocnić dział zagraniczny w kronice.
- Jest już dostatecznie mocny. Żadnego wniosku nie podpiszę.

Marian uwielbiał wydawać polecenia. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Zrób obrady zjazdu spółdzielczości mieszkaniowej.
- Chciałbyś to oglądać w kinie?
- Zrób, Kukuryka to nasz człowiek.

W „Adrii” występował kabaret Józefa Prutkowskiego.

- Skręć cały występ.
- Marianie, czy wiesz, ile trzeba zużyć taśmy na cały spektakl?

- Taśma się nie liczy.

- Daj polecenie na piśmie.

Nie dał. Aż pewnego dnia stanęła przede mną pani redaktor Janina Motylińska.

- Panie redaktorze, jak się nazywa ten zespół pieśni i tańca, który mam filmować.

- Jaki zespół, pani Janko?

- Dyrektor Kruczkowski spotkał mnie na korytarzu i powiedział, że na polecenie ministra mam sfilmować zespół pieśni i tańca.

- Proszę zatem zapytać pana dyrektora.

Długa jest lista, takich i tym podobnych poleceń...

Oto pewnego dnia pojawiła się w redakcji pani z działu kadr z dwoma listami obecności, jedną dla dziennikarzy, drugą dla operatorów. Proszę od jutra podpisywać listy i, aby nikt nie miał wątpliwości, dodała: to polecenie pana dyrektora! Niedziela, z Maćkiem Cieślińskim jedziemy na ryby. Nad rzeką, między braniem, opowiadam mu o pomysłach dyrektora.

Maciek śmieje się w głos: sam tego chciałeś Grzegorzu Dyndało.

Poniedziałek. Do mojego pokoju wkracza Ela Zawistowska, a z nią dziennikarze i operatorzy. Ela jest delegatem redakcji w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

- Nie będziemy podpisywać żadnej listy obecności! Pracujemy tu dłużej niż ty i pan dyrektor. Mamy nienormowany czas pracy, nikt nam za nadgodziny nie płaci. Kilka burzliwych wypowiedzi. Odwołujemy się do SDP. Redakcja solidarnie, jak jeden mąż, podpisuje protest. Ze stowarzyszenia po trzech dniach otrzymujemy odpowiedź: „dyrektor narusza prawo.” Listy obecności do kosza!

W jakimś sensie, to zdarzenie umocniło i zespoliło redakcję, co miało okazać się w nadchodzących czasach wartością nie do przecenienia.

Tymczasem mój przyjaciel, Marian Kruczkowski, zamierzał mnie zwolnić z pracy. Dowiedziałem się o tym od mojej córki Ewy, a ona od swojej koleżanki Małgosi, która uczestniczyła w kolacji u państwa Kruczkowskich, gdzie Marian poinformował swoich gości o tym, że zamierza mnie wyrzucić z Kroniki. Ewa poinformowała mnie, że Małgosia, która u nas często bywała opowie mi przebieg kolacji w szczegółach. Nie skorzystałem z propozycji. Nie zamierzałem urządzać magła, ale miałem się już od tej



pory na baczności. Postanowiłem unikać otwartych starć, z dwóch powodów, to przecież ja przyczyniłem się do tego, że Kruczkowski został dyrektorem, sądziłem, że uda się przeczekać, miałem bowiem nadzieję, że w końcu dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Drugi powód wynikał z tego, że nie wypadało, aby dwóch członków partii prowadziło ze sobą „wojnę.”

Toteż zgodziłem się, gdy zaproponował, aby Janusz Otamara został moim zastępcą, choć redaktor Janusz Kędzierzawski nie potrzebował pomocnika. Przyjąłem propozycję dyrektora bez oporów, bo mogłem w ten sposób podwyższyć pensję swojemu koledze ze studiów. Janusz Otamara na studiach nazywał się Nowak i uchodził na Wydziale Dziennikarskim za dziwaka. Nazywano go „Kanapa”, chyba dlatego, że w owych siermiężnych i surowych czasach nosił kurtkę pochodzenia zagranicznego w wielką kratę. Po wielu latach od zakończenia studiów zjawiał się kiedyś redakcji PKF i powiedział: przyjacielu, nie mam z czego żyć, proszę cię bardzo przyjmij mnie do pracy. Był to drugi przypadek, gdy zatrudniłem w redakcji kolegę ze studiów. Pierwszym kolegą, który poprosił mnie o pracę był Jurek Maczkowski, zwolniony z Polskiego Radia. Studiowaliśmy przez cztery lata w jednej grupie, słuchałem często jego audycji w Polskim Radiu, nie zapytałem go nawet o przyczyny zwolnienia. Później okazało się, że Jurek ciężko chorował już w chwili, gdy zmuszono go, by pożegnał się z mikrofonem. Pracując w PKF przeszedł bardzo ciężką operację i gdy się zdawało, że wygrał z chorobą wtedy dopadła go śmierć.

Janusz Otamara, gdy go zapytałem, dlaczego teraz nazywa się inaczej niż na studiach, powiedział mi, że powrócił do nazwiska rodzowego, które w czasie naszych studiów było źle notowane, z tego powodu, iż miało znaczenie wśród Tatarów, gdzie tkwiły jego korzenie. Awans zaskoczył go niezmiernie i ucieszył, to oczywiste. Odnosiłem wrażenie, że od chwili awansu poprawiły się relacje z Marianem Kruczkowskim. Chociaż nigdy nie wróciły już do stanu z lat wcześniejszych. Dyrektor nabierał rozmachu, powołał radę programową wytwórni, w której także znalazło się dla mnie miejsce. Rada na swym pierwszym posiedzeniu miała zatwierdzić program WFD i z pewnością uczyniłaby to bez większych ceregieli gdyby nie Włodzimierz Sokorski, którego do Rady Programowej Wytwórni Filmów Dokumentalnych zaprosił Marian Kruczkowski. Znany z błyskotliwej inteligencji Sokorski poddał krytyce założenia programowe, a punkt mówiący o „umocnieniu rodziny socjalistycznej” bezlitośnie wyśmiał, czym sprawił zapewne przykrość autorom programu i uchronił naszych znakomitych artystów dokumentu od odrabiania zadanej, a niewdzięcznej lekcji. Nie pamiętam, czy rada zbierała się jeszcze po falstarcie, w każdym bądź razie nie brałem w niej już nigdy udziału.

Relacje z dyrektorem zaczęły układać się w miarę normalnie aż do powrotu z Argentyny. Od tego momentu straciłem złudzenia, że możemy współpracować. Nie pogodziłem się z tym, co się stało, z niespotykanym dotąd opóźnieniem w realizacji wydania z Mundialu 78, z poderwaniem autorytetu Polskiej Kroniki Filmowej, jakim

cieszyła się nie tylko w Europie. Na kongresie INA w Moskwie wyświetlono wydanie kroniki 32/ 78 A/B, „Mundial 78”. Spotkało się ono z bardzo dobrym przyjęciem kronikarzy z całego świata. Była to dla mnie gorzka satysfakcja. Działalność programowa dyrektora zaczynała wzbudzać, we wrażliwym i co tu ukrywać niechętnym władzy środowisku dokumentalistów początkowo niezyczliwe komentarze, potem otwartą krytykę, zakończoną ostrym konfliktem.

Tymczasem nadszedł rok 1979. W lutym pojawił się w redakcji PKF zespół w składzie: M. Starczewski, A. Gilewski, M. Sobieska i Z. Piątkowska, wspierany przez konsultantów: dr A. Szczyrka i red. T. Miłkowskiego. Gremium to przystąpiło do oceny Polskiej Kroniki Filmowej. W przygotowanym elaboracie na 22 stronach wyliczyło wady i potknięcia zespołu kroniki, zauważyło także „osiągnięcia i dorobek”, których zespół wolałby nie mieć. Słowem, gdyby redakcja usiłowała zrealizować wskazania zawarte w ocenie, z pewnością straciłaby dużą część widzów i swoją popularność. Co się urzędowym recenzentom w kronice nie podobało?

Główny zarzut brzmiał następująco: „...nie udało się Kronice wypracować modelu filmowania i prezentowania problematyki stricte politycznej - zwłaszcza trudnej, ale nie niemożliwej przecież do atrakcyjnego pokazania, działalności partii, jej podstawowych gremiów, nie w trakcie uroczystych obrad, lecz w czasie codziennej pracy i działania; problematyki demokracji socjalistycznej realizującej się w praktyce dnia...”

Groźnie brzmiał zarzut o: „...istotnej deformacji świata przedstawianego widzom przez PKF. Z jednej strony- pisali autorzy - mamy sztucznie idylliczny obraz innych krajów socjalistycznych, z którego w konfrontacji z problematyką krajową wynika, iż to tylko Polska ma rozliczne problemy i trudności. Z drugiej zasygnalizowany jedynie i, przez ową niezauważalną wręcz ilość, nieprzekonywujący obraz kryzysu społeczno - gospodarczego krajów burżuazyjnych, przytłumiony jeszcze natłokiem materiałów, z których wynika, iż świat wokół nas to świat bawiący się, beztroski, używający życia, ekstrawagancji, świat bezproblemowy”. Na zakończenie tych wywodów przywołano nam z grubej rury: „W okresie, gdy problem konfrontacji ideologicznej jest jednym z węzłowych zagadnień naszego życia społeczno - politycznego, w tym także stanowi wytyczną dla publicystyki międzynarodowej wszystkich środków masowego przekazu, przyjęta przez redakcję PKF formuła nie powinna być dalej realizowana w tej postaci. Mimo wszystkich trudności niezbędne jest znaczne rozszerzenie serwisu międzynarodowego ( z kronik obcych) obnażającego okiem kamery fakty, zjawiska i problemy wskazujące na kryzys polityczny, gospodarczy, kulturalny społeczeństw burżuazyjnych. Niezbędna jest również bardziej wnikliwa selekcja materiałów ciekawostkowych. Nawet, jeżeli widz łaknie tego typu rozrywki i oczekuje jej od Kroniki...” (podkr. M.Ch). Przydługie fragmenty tej oceny przytoczyłem po to, aby osobom interesującym się okresem PRL ułatwić

rozumienie, w jakich warunkach Kronika wówczas pracowała i czego od niej oczekiwała administracja państwowa.

Zespół Polskiej Kroniki Filmowej polemizował z niektórymi tezami zawartymi w ocenie. Wypowiedzi redaktorów i operatorów cytuję za protokołem.

Piotr Halbersztat powiedział: „...Korzystamy w naszym magazynie z tych ciekawostek, bo zdajemy sobie sprawę, że widz przychodzi do kina, żeby się rozerwać. Wieloletnia praktyka nauczyła nas, że ważne i ważne treści należy podawać w takiej formie, żeby wśród spraw mniej istotnych, często właśnie „michałków”, zawierać treści poważne, które chcemy widzom przekazać. Widzowie lubią te ciekawostki, domagają się ich pokazywania i wydaje mi się, że nie ma w tym nic zdroźnego. Trzeba przecież liczyć się z tym, że widownia kin to najbardziej masowy odbiorca, któremu w ramach filmowej gazety także trzeba dać coś relaksowego. Wnioski wyciągnięte z tego, że pokazujemy ciekawostki są moim zdaniem przesadne i krzywdzące zespół”.  
Elżbieta Zawistowska: „Widz nie jest zmuszany do oglądania kroniki. Niektórzy zniechęceni nudnymi tematami przychodzą po kronice do kina. Nie należy, więc zniechęcać widzów. To narzuca pewien sposób pokazywania tematów”.

Statyczność tematów teatralnych wynika m.in. z tego, że reportaże te robimy po spektaklu. Musimy się, więc spieszyć, bo wszyscy są zmęczeni. Ekipie technicznej mamy prawo płacić za obsługę tylko 57 zł. Za te pieniądze nikt nie chce dłużej pracować, często do późnych godzin nocnych. Nie można, więc przestawić sprzętu, żeby urozmaicić zdjęcia. Jakość sprzętu narzuca sposób pracy. Przy filmowaniu spektaklu należy brać pod uwagę jego wartość archiwalną. Lepiej, więc pokazywać dobre rzeczy, niż złe - i je krytykować. Dodatkowo pracę w teatrze utrudnia fakt, że TV płaci wszystkim wykonawcom spektaklu odpowiednie stawki, natomiast PKF może płacić jedynie ekipie technicznej”.

Witold Jabłoński: „Większość ekip PKF wyjeżdża tylko przy okazji, jak np. wizyta rządowa, lub tzw. wyjazdy fundowane przez LOT, ORBIS lub inne instytucje... Przy wyjazdach tych ekipa nie ma możliwości samodzielnego poruszania się (brak transportu).

Zbigniew Skoczek powiedział, że z delegacjami rządowymi wysyła się najczęściej operatora, „...odbija się to na poziomie pracy. Ciężki sprzęt, ważący ok. 20 kg. Zwłaszcza w warunkach tropikalnych nie pozwala na szybkie tempo pracy i często bywa przyczyną wypadków... Pracę swoją wykonuje się mechanicznie i z wysiłkiem.”  
Janina Motylińska: „...odbiór sztuki jest rzeczą gustu i nie można narzucać własnego zdania. Jako przykład podała krytyczny temat o wystawie sztuki współczesnej... ( w PKF podkr. M.Ch), prasa dała pozytywne recenzje”.

Maryla Góralczyk: „Jeśli chodzi o sylwetkę człowieka pracy jest to szalenie trudna sprawa. Trzeba pokonać najpierw szereg barier nim się do niego dotrze”.  
Barbara Dudkiewicz: „Musimy mieć możliwości techniczne, a nie borykać się ustawicznie z brakiem sprzętu, taśmy, transportu. Doskonalenie kroniki, to sprawa lepszego sprzętu”.

Krystyna Targosz: „...sylwetki, tematy krytyczne, felietony. Rzetelne opracowanie tego typu tematu wymaga od redaktora PKF przeciętnie 2 tygodnie pracy, pracy trudniejszej, niż przy pozostałym typie tematów. Większego skupienia, pomysłu, inteligencji. Szef PKF nie ma możliwości uhonorowania finansowego wysiłku redaktora..., tak jak to mają redaktorzy naczelni innych redakcji. Górny pułap możliwości wyceny tematu wynosi 600 zł. czyli redaktor podejmujący ambitne tematy - po prostu nie zarabia. Druga sprawa - limity hoteli. Redaktorzy PKF dostają polecenia wyjazdu w teren bez względu na to, czy hotele mieszczące się w limicie - dysponują miejscami”.

Stanisław Fiuk: „...stawki dziennikarskie ustalone kilka lat temu jak dotąd nie zostały objęte żadną regulacją płac. Nie zawsze potrafimy pokazać partię w działaniu...najlepiej wychodzi to na wsi”.

Marta Broczkowska: „Ilustracja muzyczna kronik jest sprawą ważną - podnosi ich atrakcyjność. Trudności fonoteki polegają na b. ograniczonych i skąpych zasobach fonetycznych. Trzeba przestrzegać ściśle praw autorskich i wykonawczych. Koszty nagrania muzyki b. droższą i wobec tego ilość zakupywanych nagrań jest niewspółmiernie niska w stosunku do potrzeb”.

Oto jak postulaty i rady autorów oceny zderzyły się z mizérią realiów. Jeszcze tylko kilka zdań z wystąpień przedstawicieli Wydziału Prasy. Aby nie było wątpliwości, po co się spotkaliśmy już na początku zebrania przedstawiciel Wydziału Prasy powiedział jasno i dobitnie. Sięgam do protokołu: „ Zebranie zagaił redaktor naczelny PKF - Mirosław Chrzanowski, po czym oddał głos tow. Kaszewskiemu, który stwierdził, że w naradzie tej nie będzie chodziło o globalną ocenę PKF, ale o wynalezienie metod doskonalenia modelu ideowego i estetycznego PKF.”

Tadeusz Zaręba (wydział Prasy KC PZPR) zaś, zabierając głos w dyskusji, zauważył, że w kronice: „...należy widzieć...siłę a nie słabość. Problem kultury jest jednym z najsilniejszych punktów kroniki. Silnym punktem jest problematyka społeczno - polityczna. Do mocnych punktów zalicza się kronikę monotematyczną, gdzie widać myśl, koncepcję. Zwrócił uwagę -czytamy w protokóle- na celny zestaw tematów wywołujący dodatkowy podtekst, np. dobre zderzenie tematów: Polak w kosmosie i przeciekający dach”.

„Głos zabrał tow. Gruszecki, (Wydział Prasy KC PZPR) oznajmiając, że żadne decyzje w sprawie częstotliwości wychodzenia PKF nie zapadły”.

W ten sposób przedstawiciele Wydziału Prasy powstrzymali zamierzenia administracji.

Dziwne, ale zupełnie nie pamiętałem tej oceny. Przypomniała mi ją, (na początku 2007 roku) pani, Inga Leśniewska, doktorantka z Wydziału Historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Materiały znalazła w Archiwum Akt Nowych, w dziale Naczelnego Zarządu Kinematografii. W spotkaniu poświęconym ocenie PKF 3 maja 1979 roku, jak wynika z protokołu udział wzięli: A. Juniewicz - wiceminister kultury i sztuki, K. Gruszecki, J. Kaszewski i T. Zaręba z Wydziału Prasy KC, zespół oceniający, kolegium PKF, dyrektor naczelny WFD - M. Kruczkowski oraz redakcja Polskiej Kroniki Filmowej. Ten skład, (aż trzech przedstawicieli Wydziału Prasy) wskazuje na to, iż inspiracja oceny PKF wyszła z administracji rządowej, gdzie przyjaciół kroniki można było policzyć na palcach jednej dłoni. Wiceminister A. Juniewicz po tej ocenie odrzucił wnioski redakcji o odznaczenia państwowe, z którymi wystąpiłem do Ministra Kultury i Sztuki, aby z okazji 35-lecia PRL i 35 rocznicy ukazania się Polskiej Kroniki Filmowej odznaczyć najbardziej zasłużonych pracowników. Na szczęście Staszek Romanowski z Wydziału Prasy wybrał się ze mną w tej sprawie do Zygmunta Najdowskiego, ministra kultury i sztuki. Minister podjął nas kawą, ciasteczkami i koniakiem. Poleciał pani z sekretariatu, aby poprosiła dyrektora departamentu kadr wraz z wnioskami kroniki o odznaczenie pracowników. Po kilku minutach dyrektor pojawił się w gabinecie. Minister spojrział na teczki i zapytał, czy to aby wszystkie. Dyrektor potwierdził, a minister na jego oczach podpisał wnioski. Jeszcze większe zdziwienie przeżył, ów dyrektor, gdy po kilku dniach Biuro Odznaczeń Rady Państwa poinformowało go, że odznaczenia dla PKF są już do odebrania.

Marian Kruczkowski wyraźnie podupadał na zdrowiu. Zaczęły się burzliwe lata, w których przestał sobie radzić. Wykorzystali ten fakt ludzie niechętni członkom partii, a tym bardziej osobie pełniącej w przeszłości wysoką funkcję w aparacie KC PZPR. Zaatakowano dyrektora pod pretekstem, że wykonanie planu produkcyjnego jest poważnie zagrożone i jemu przypisano całą winę. „Solidarność” i nowo powstały samorząd artystyczny błędy realnego socjalizmu przypisały Kruczkowskiemu właśnie. Organizacja partyjna w Wytwórni Filmów Dokumentalnych nie mogła przejść wobec tego obojętnie, na zebraniu 14 listopada 1981 roku powołała zespół do zbadania sprawy.

Mimo moich tłumaczeń i próśb, powierzyła mi przewodnictwo tego zespołu. Znalazłem się w bardzo niezręcznej sytuacji, miałem zająć stanowisko w sprawie człowieka, z którym w przeszłości łączyły mnie bliskie związki przyjacielskie, a gdy został dyrektorem WFD różniliśmy się często między sobą i dochodziło między nami do ostrej wymiany zdań. W skład zespołu weszli: J. Kreczmański, Z. Raplewski, S.

Sitkowski, S. Urbański. Przeprowadziliśmy rozmowy z przedstawicielami Komitetu Założycielskiego Samorządu Pracowniczego WFD - J. Balaszczukiem i ST. Guskowskim; Rady Zakładowej NSZZ Pracowników Kultury i Sztuki - E. Marciszewskim i L. Janeczek; K.Z. NSZZ „Solidarność” - R. Krawtzem i Z. Suskim; Stowarzyszeniem Filmowców Polskich - A. Zajączkowskim, K. Gryczałowską i A. Brzozowskim; dyrektorami - L. Nowakową i D. Bielawskim; szefową produkcji WFD - M. Biedrzyką i dyrektorem naczelnym WFD - M. Kruczkowskim.

Oto fragment ustaleń zespołu. Cytuję za dokumentem przedstawionym na zebraniu organizacji partyjnej. „Zespół ustalił, co następuje: „Zaniepokojenie załogi wywołała notatka M. Biedrzyckiej dotycząca zagrożenia wykonania planu na rok bieżący, napisana dla celów roboczych i udostępniona dyr. D. Bielawskiemu i A. Brzozowskiemu. (M. Biedrzycka złożyła pisemne oświadczenie w tej sprawie)”. „Zdaniem zespołu nie zdejmuje to absolutnie odpowiedzialności za wykonanie planu z szefa produkcji oraz dyrektora do spraw produkcji, dyrektora naczelnego i redakcji”.

Marian Kruczkowski został zaatakowany za to, że nie chciał dopuścić do „dwuwładzy” w WFD. Taką dwuwładzę dopuszczał podsekretarz stanu z Ministerstwa Kultury i Sztuki, Eugeniusz Mielcarek, który przysłał do Kruczkowskiego pismo dotyczące „dostosowania struktur organizacyjnych i składu osobowego WFD, a związanych z powołaniem Samorządu Artystycznego”. Mówiąc zwykłym językiem, dyrektor miał przekazać część swoich uprawnień panom A. Brzozowskiemu i A. Piekutowskiemu, których podsekretarz powołał na kierownika i zastępcę kierownika Samorządu Artystycznego. Marian Kruczkowski nie zamierzał się władzą podzielić, bo nie był do tego mentalnie i duchowo przygotowany, i stąd na niego taki atak. Inne zarzuty stawiane dyrektorowi miały charakter raczej drugorzędny. Sięgam do dokumentu: „Zarzut świadomego przewlekania lub unikania podejmowania decyzji przez tow. M. Kruczkowskiego wiąże się ze sprawą zlecenia na wykonanie filmu z festiwalu „Piosenki prawdziwej.” Zamówienie NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, z dnia 13 sierpnia br. na ten film zostało wręczone tow. M. Kruczkowskiemu do akceptacji przez szefa produkcji w przeddzień rozpoczęcia się festiwalu tj. 18 sierpnia. Tow. M. Kruczkowski przekazał zainteresowanym decyzję negatywną ze względów politycznych, telefonicznie przez swą sekretarkę.”

Przytoczony tu fragment naszej opinii jest klasycznym przykładem tego, w jaki sposób tworzy się napięcie zmierzające do konfrontacji. Szef produkcji przedstawia dyrektorowi do akceptacji propozycję filmu dosłownie „w ostatniej chwili,” dyrektor odmawia i to przez sekretarkę!!! I mamy gotową wojnę.

W listopadzie 1981 roku atmosfera w wytwórni gęstniała, rosło z dnia na dzień napięcie. Koledzy, którzy przez wiele lat razem pracowali, teraz stawali po różnych stronach barykady i koso na siebie patrzyli. Najbardziej znienawidzonym człowiekiem przez reżyserów dokumentu (patrz „Kto tu wpuścił dziennikarzy”) był Witalis

Jankowski, ale artyści go nie atakowali. Najbardziej nadawał się do tego Marian Kruczkowski, były kierownik Wydziału Prasy...KC PZPR. Działo się to wszystko na niecały miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego.

## 15. „Oczko w głowie”

Mniej więcej w okresie intensywnego zainteresowania Piotra Jaroszewicza Polską Kroniką Filmową zadzwoniła do mnie Teresa Andrzejewska, wiceminister Handlu Wewnętrznego, i poinformowała mnie, że pani Stanisławie Gierkowej bardzo się podobał temat o jej synu, profesorze Adamie Gierku. Polska Kronika Filmowa miała swój oddział w Katowicach, którego szefem był operator Roman Trzeszewski, i to on właśnie ten temat zrealizował. Informacja Teresy była dla mnie jeszcze jednym dowodem na to, że kronikę oglądają także osoby z najwyższych kręgów władzy. Listy i telefony od widzów sprawiały nam nie tylko przyjemność, ale utwierdzały w przeświadczeniu, że kronika porusza problemy ważne i ciekawe, budzące zainteresowanie widzów. Ich listy inspirowały redaktorów i operatorów.

W kilka dni po rozmowie z Teresą Andrzejewską zadzwonił do mnie porucznik z Biura Ochrony Rządu, z prośbą o spotkanie. Kontakty z przedstawicielami BOR- u nie były niczym nadzwyczajnym, bowiem składy ekip (nazwiska, miejsce zamieszkania, a także daty urodzenia) obsługujących wszystkie imprezy na najwyższych szczeblach władzy redakcja za każdym razem, wysyłała właśnie do Biura Ochrony Rządu. Ale porucznik, młody, elegancki mężczyzna, na co zwróciły uwagę koleżanki redakcyjne, poinformował mnie, że pracuje w osobistej grupie chroniącej I Sekretarza KC PZPR i pragnie ze mną ustalić terminy, kiedy będzie mógł przyjeżdżać po kronikę, którą towarzysz Gierek obejrzy w domu wraz z rodziną.

Nie powiem, że byłem zachwycony ową wiadomością. Pomyślałem, że pierwszy sekretarz zechce, podobnie jak premier, dawać mi wskazówki i polecenia w sprawie redagowania kroniki. Ale cóż mogłem na to poradzić? Zwykli ludzie nie miewają wszak wpływu na decyzję władz najwyższych, no, chyba, że się zbuntują i masowo tej władzy przeciwstawiają. Wojna z władzą kończy się, niestety, jak wskazuje historia, dla buntowników nie najlepiej, bo albo są strącani w piekielne czeluście (zbuntowani aniołowie) albo tracą pracę, albo bywają internowani lub osadzani w więzieniu, zdarza się niekiedy, że tracą życie. W każdym razie, nie popełnię wielkiego błędu, jeśli napiszę, że owoce buntu konsumuje zupełnie kto inny niż zbuntowane masy. Powiedziałem więc porucznikowi, iż jest mi bardzo miło, ba, czuję się zaszczycony, że towarzysz Edward Gierek znajdzie czas na oglądanie Polskiej Kroniki Filmowej! Zapytałem porucznika, czy będzie tak uprzejmy, aby przekazać mi informacje, jak pierwszy sekretarz reaguje na kronikę. Porucznik zgodził się i od tej pory dwa razy w tygodniu wymienialiśmy poglądy. Dowiedziałem się od niego, między innymi, że

telewizja każdego dnia dostarcza "Pierwszemu" kasetę z „Dziennikiem,” gdzie Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się z każdym wydaniem lepiej. Ta cenna wiadomość spowodowała, że zwiększyłem liczbę tematów krytycznych, do tego stopnia, iż zauważyli ten fakt moi przyjaciele w Wydziale Prasy, pytając czy nie przesadzam z krytyką? Wtedy odpowiedziałem, że towarzysz Gierek ogląda każde wydanie i nic nie mówi, to znaczy, że akceptuje. Mieli nawet do mnie pretensje, że ich nie poinformowałem o tym we właściwym czasie, iż „Pierwszy” ogląda kronikę u siebie w domu.

Porucznik przez pół roku przyjeżdżał regularnie dwa razy w tygodniu na Chełmską. Pewnego dnia nie pojawił się w redakcji. Sądziłem, że zachorował albo wyjechał na urlop. Zadzwoiłem do niego do BOR-u i dowiedziałem się, że nie będzie przyjeżdżał po kronikę, bo „Pierwszy” nie chce już jej oglądać. Do dziś nie wiem, dlaczego Edward Gierek zniechęcił się do kroniki. Pocieszałem się, że czyni to najprawdopodobniej z braku czasu. Przyznam, że decyzja zmartwiła mnie niepomernie, przez pół roku, ani razu nie interweniował, nie wydał polecenia, że za dużo w kronice tematów krytycznych. Ale o PKF nie zapomniał. Na początku 1974 roku otrzymałem od Edwarda Gierka list, który kończył się słowami: „Z okazji Nowego Roku życzę Wam dalszych sukcesów w pracy dziennikarskiej i działalności społecznej, wiele pomyślności dla Was i Waszych najbliższych”. Mimo iż znałem mechanizm wysyłania życzeń, nie ukrywam, że sprawił mi wiele przyjemności. Stał się swego rodzaju glejtem, raz jeden powołałem się na ten list, aby powstrzymać wybuch złości premiera.

Drugi list napisał do mnie I Sekretarz KC PZPR 10 lipca 1975 roku. Przytaczam go w całości.

„Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

Za kilka miesięcy odbędzie się VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Oceni on postęp, jakiego dokonał nasz naród w okresie, który minął od poprzedniego Zjazdu i wytyczy główne kierunki socjalistycznego rozwoju Polski w latach następnych... Mając na uwadze Wasze osiągnięcia w twórczej pracy dziennikarskiej i zaangażowanie polityczne zwracam się z prośbą o przedstawienie przemyśleń i propozycji w sprawach, którymi Waszym zdaniem powinien zająć się Zjazd. Będę Wam wdzięczny za każdy wniosek, którego realizacja może przyczynić się do przyśpieszenia rozwoju kraju i pomyślności naszego narodu. Jestem głęboko przekonany, że pomożecie swą radą w przygotowaniu programu, z którym nasza partia przyjdzie na VII Zjazd”.

W Wytwórni Filmów Dokumentalnych podobny list otrzymał Roman Wionczek, reżyser bezpartyjny, znany twórca filmów dokumentalnych. Henryk Jantos, szef dokumentalistów, zorganizował w redakcji dokumentu kilka spotkań, na których



artyści - filmowcy zastanawiali się nad odpowiedzią. W redakcji PKF nie odbyło się ani jedno zebranie. Edward Gierek bowiem list skierował do mnie, a ja nie miałem zwyczaju odpowiadać na prywatne listy zespołowo.

W swojej odpowiedzi poinformowałem Edwarda Gierka o wzroście zainteresowania Polską na świecie. Czterdzieści osiem kronik filmowych, z którymi utrzymujemy stałą bezpośrednią wymianę materiałów, zamieściło w 1974 roku 342 polskie tematy. To rekord. W dalszej części listu wspomniałem o kłopotach Polskiej Kroniki Filmowej związanych z zachowawczym stanowiskiem Naczelnego Zarządu Kinematografii, co utrudnia PKF propagowanie Polski na świecie. Poruszyłem też w liście problem organizacji pracy w polskiej gospodarce, któremu poświęca się zbyt mało uwagi. Zobowiązania produkcyjne z okazji różnych rocznic określiłem jako anachronizm w nowoczesnej gospodarce. Wreszcie napisałem o tym, co mnie najbardziej interesowało. „Środowisko dziennikarskie - pisałem - nurtują problemy, które moim zdaniem powinny znaleźć właściwe miejsce w dokumentach Zjazdu. Mam na myśli zagadnienia krytyki w środkach masowego przekazu. Chodzi o to, że ...krytyka ujemnych zjawisk naszego życia nie zawsze spotyka się z aprobatą towarzyszy zajmujących różne odpowiedzialne stanowiska. Często nam, dziennikarzom partyjnym, zarzuca się, że krytykując osłabiamy decyzje podjęte przez rząd i administrację...W świadomości społecznej utrwaliło się przekonanie, że środki masowego przekazu wyrażają i propagują politykę Partii. Poglądy prezentowane przez prasę i telewizję są utożsamiane ze stanowiskiem władzy. Brak zatem, rzeczowej krytyki negatywnych zjawisk jest przyjmowany przez obywateli jako próba ukrycia niedociągnięć i braków”.

Wreszcie napisałem o zupełnie nowym zjawisku- wolnych sobót. Młodzież szkolna nie korzystała z wolnych sobót, co pozbawia ją dobrodziejstwa wypoczynku i spędzania wolnego czasu z rodziną.

Dwa listy Edwarda Gierka skierowane do mnie, stały się tarczą, za którą chroniłem się wielokrotnie, pomagały mi przetrwać ataki, często brutalne, i wychodzić obronną ręką w wojnach podjazdowych, jakie toczyli ze mną różni urzędnicy. A co najważniejsze - pozwalały mi pokazywać kraj i jego problemy, krytykować biurokrację i nonsensy występujące w codzienności realnego socjalizmu. Teraz, gdy patrzę jak rosną szeregi bohaterów zwalczających „komunizm”, nie mogę zrozumieć, dlaczego tak długo trwał on nad Wisłą. Nie należałem do tych bohaterów. Nie byłem przeciwnikiem socjalizmu, sądziłem, że można go zreformować. Ale jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich uproszczeń w ocenie przeszłości. Chodzę z podniesioną głową, gdy patrzę, jak współcześni niezależni dziennikarze bez skrupułów manipulują opinią publiczną.

Dlatego z taką drobiazgowością opisuję czasy, w których przyszło mi kierować Polską Kroniką Filmową.

Pokazałem dość dokładnie relacje między redakcją PKF, a Wydziałem Prasy KC PZPR. Nie zamierzam niczego tuszować.

A oto przykład z nieco innej łączki. Swego czasu wygrzebali mnie z zakamarków niepamięci i zaproponowali rozmowę w TVP. Przed audycją młody dziennikarz, Radosław Brzózka, zapytał mnie, jak układała się współpraca z reżyserami filmów dokumentalnych? Poprosiłem go, aby nie zadawał mi owego pytania przed kamerą, bo to temat bardzo rozległy i nie zdołam odpowiedzieć w ciągu sześciu minut, które otrzymałem na cały występ; nie starczyłoby mi czasu na inne pytania. Mogę tylko stwierdzić, że wyglądała nie najlepiej, zapewne z winy obu stron. Nie przedstawiała się jednak beznadziejnie, skoro wielu reżyserów korzystało z pomocy kroniki w sytuacjach podbramkowych, czyli w sytuacjach tzw. zdjęć uciekających. Aby reżyser filmu dokumentalnego mógł rozpocząć zdjęcia, musiał mieć zatwierdzony scenariusz i oczywiście budżet. Oto reżyser X złożył wszystkie potrzebne dokumenty do filmu o katastrofach. Scenariusz musiała zatwierdzić komisja, wydatki- inna komisja. Ponadto, film musiał mieć kierownika produkcji, bo tak jest w każdej szanującej się kinematografii.

Pokonanie tych wszystkich biurokratycznych procedur wymagało sporo czasu. I właśnie w czasie zatwierdzania scenariusza i kosztorysu wydarzyła się prawdziwa katastrofa. Wtedy twórcy filmów dokumentalnych zwracali się do PKF i nasza ekipa pod ich świątym kierownictwem zdjęcia realizowała. Mniej więcej w taki sposób opisałem redaktorowi Brzózce zdarzenie hipotetyczne. A teraz posłużę się przykładem jak najbardziej prawdziwym.

Wraz z dojściem do władzy Edwarda Gierka wiele zmieniło się w polityce wyjazdowej za granicę. Polscy artyści coraz częściej udawali się na Zachód, niektórzy z nich spędzali nawet urlopy na francuskich, hiszpańskich i włoskich słonecznych plażach. A na tym zgniłym Zachodzie wyemancypowane panie na przykład, opalały się bez staników, widziałem to na własne oczy, choć nie jestem artystą. Ba, w tych „zepsutych” krajach istniały wydzielone plaże dla nudystów, a mówiąc językiem pana Leppera: dla golasów. He, he, he ! Nasi artyści, nie licząc się z obowiązującą nad Bałtykiem moralnością z pod znaku dwa razy K - Kościół i komuna - przenieśli zachodnie zwyczaje do Chałup! Pamiętacie piosenkę „Chałupy welcome to?” No i zaczęli (artystki i artyści) opalać się jak ich Wszechmogący stworzył. Tymczasem nasza czujna milicja socjalistyczna, (o moherowych beretach nikt jeszcze wówczas nie słyszał śpiewano, owszem o „rudym rydzu”, bo oj-dyr Rydzyk pobierał chyba dopiero nauki moralne i finansowe w seminarium), zaczęła się za wydrami i pojmała polskich „golasów” obrażających „K-k” moralność! I o tym zamierzał zrealizować film utalentowany reżyser, największy prześmiewca PRL-u, sam Marek Piwowski! Zwrócił się do redaktora Piotra Halbersztata o pomoc. Piotr przekazał mi prośbę reżysera, wyraziłem zgodę na wyjazd ekipy zdjęciowej, ale na wszelki wypadek poleciłem red. Halbersztatowi, by zapytał władze regionalne, czy nie mają zastrzeżeń, że będziemy

przebieg kolegium karno - orzekającego w Pucku filmować. Piotr zadzwonił do przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pucku i Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN w Gdańsku i zgodę otrzymał. Sławny reżyser wyjechał z ekipą PKF do Pucka... Jeszcze nie zdążył wrócić na Chełmską, gdy zadzwonił do mnie towarzysz Manfred Gorywoda z KC PZPR i zadał mi proste pytanie:dlaczego wysłaliśmy ekipę filmową do Pucka i co tam robił Marek Piwowski?

Wyjaśniłem, że pan Piwowski nie podszywa się pod kronikę, bo to ja wyraziłem zgodę na jego wyjazd, ponieważ reżyser zamierza realizować film na ten temat, a o rozprawie kolegium dowiedział się w ostatniej chwili (zdjęcia uciekające) więc mu pomogłem. Manfred Gorywoda należał do ludzi światłych, przyjął ze zrozumieniem wyjaśnienie. Intuicja i doświadczenie podpowiedziały mi abym napisał notatkę wyjaśniającą. Poleciałem wysłać wyjaśnienia towarzyszowi Gorywodzie. I całą sprawę uznałem za zamkniętą. Jak się okazało przedwcześnie. Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów zażyczyło sobie obejrzenie materiału z Pucka. Poinformowałem przedstawiciela biura, że materiał jest już wywołany, ale jeszcze nie ułożony. Ustaliłem termin projekcji i natychmiast zadzwoniłem do pana Marka Piwowskiego do domu, opowiedziałem, jakie mam kłopoty i poprosiłem, aby pomógł wybrać odpowiednie fragmenty, które pokażę przedstawicielom Biura Kontroli URM.

Odpowiedź, jaką usłyszałem dosłownie mnie sparaliżowała. Marek Piwowski oznajmił, że kłopoty związane z materiałem z Pucka to mój problem, a nie jego. Nie wierzyłem własnym uszom. Wielki reżyser, a człowiek... Gdyby przebieg kolegium karno - orzekającego w Pucku filmowała normalna ekipa Polskiej Kroniki Filmowej, sądzę, że nie wywołałoby to takiego zainteresowania władz najwyższych, ale osoba największego szyderycy w kraju wzbudziła czujność i podejrzenia. Stosunkowo najłatwiej poszło z Manfredem Gorywodą, moje wyjaśnienia i notatka wystarczyły. Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów po obejrzeniu materiału (zaznaczam części materiału) nie miało żadnych zastrzeżeń, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (bo i ten resort oglądał skrócony materiał) nie dopatrzył się naruszenia przepisów, nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa dla kraju i socjalizmu. Mieliśmy bowiem na filmowanie zgodę Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN, przewodniczącego prezydium PRN, no i samego przewodniczącego kolegium karno- orzekającego. Kiedy myślałem, że sprawa jest definitywnie zakończona, musiałem pisać nową notatkę, tym razem dla premiera. Napisałem w niej: „Pragnę zaznaczyć, że realizacja tematu nie jest równoznaczna z jego opublikowaniem. Polska Kronika Filmowa realizuje około 100 tematów miesięcznie - publikuje natomiast 60-70. Materiały, które nie wchodzą do wydań są przeznaczone do archiwum.

Koszty realizacji dwóch tematów w Pucku wyniosły:

- Delegacje i noclegi - 2.055, 42 zł;
- Transport 875 km. x 4,75 zł. - 4.156, 25 zł;
- Taśma filmowa 1.260 M. x 4,39 - 5.531 zł;
- Razem koszt dwóch tematów -11.742 zł.
- Koszt jednego tematu - 5.871 zł.

Zawsze, bowiem przy realizacji zdjęć dźwiękowych synchronicznych oprócz operatora obrazu, jego asystenta i oświetlacza bierze udział operator dźwięku i jego asystent.

W sprawie materiału realizowanego w Pucku prowadziło dochodzenie Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów. Pragnę zaznaczyć, że nie dopatrzyło się naruszenia przez naszą redakcję normalnego toku postępowania.

Składaliśmy też w tej sprawie wyjaśnienia dla tow. Manfreda Gorywody z KC PZPR...

Kierownictwo Polskiej Kroniki Filmowej nie zostało do tej pory poinformowane o tym, że nasza ekipa źle się zachowała w Pucku... Prosimy, zatem o bliższe dane, które ułatwią nam wnikliwe i sumienne potraktowanie zarzutów."

Opisane kontrole trwały do października 1972 roku. Byłem wówczas jeszcze zastępcą redaktora naczelnego PKF. Wyjaśnienia pisałem ja, bo to ja, podczas nieobecności redaktora naczelnego kroniki, wyraziłem zgodę na wyjazd ekipy do Pucka. Można powiedzieć, że był to mój pech, choć nie tylko.

Minęła rocznica Rewolucji Październikowej, obchodzona w listopadzie, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Zdążyłem awansować na szefa PKF, zapomniałem o Pucku, aż tu pewnego majowego dnia zjawił się w moim pokoju kierownik archiwum WFD i złożył pismo następującej treści: „W sierpniu ub. r. został przekazany do Archiwum niewykorzystany temat PKF p.t. PROCES NUDYSTÓW I HOMOSEKSUALISTÓW /nr. Poz. 28767 - bez dokumentacji/.

Zawiera on 9 pudełek kopii magnetycznej 35 mm., 5 pudełek kopii obrazu i 5 pudełek negatywu. Łącznie stanowi to 19 pudełek.

Treścią tematu są dwie rozprawy przed Kolegium Orzekającym. W czasie opracowania tematu w naszym Wydziale stwierdzono, iż nie posiada on wartości archiwalnych i wydaje się wątpliwe, aby był kiedykolwiek wykorzystany w PKF lub filmie dokumentalnym.

Z uwagi na ograniczone możliwości przechowywania materiałów filmowych w magazynach i stosunkowo krótki czas żywotności taśmy magnetycznej - proponujemy zniszczenie materiału pozytywowego i negatywowego i skasowanie taśmy magnetycznej. Kierownik Wydziału Archiwum. E. Muszka".

Propozycja E. Muszki była dla mnie niezrozumiała. Wiedziałem, że nie jest on z zawodu archiwistą i dlatego nie poprosiłem go, by jak najszybciej opuścił mój pokój. Uzasadnienie E. Muszki, że w archiwum nie ma miejsca dla 19 pudełek zakrawało na ponury żart. Przez ten temat miałem bardzo dużo kłopotów, nie wiele brakowało, abym stracił pracę. A ponadto po tylu kontrolach i napisanych wyjaśnieniach zdążyłem się do materiału przywiązać, choć nigdy nie obejrzałem go w całości.

Nie odmówiłem E. Muszce natychmiast. Znałem już na tyle środowisko, w którym pracowałem, że moja odmowa zapoczątkowałaby następne starania i naciski. Dlatego powiedziałem, że nie mogę podjąć decyzji, bo archiwum mi nie podlega; wyjazd Marka Piwowskiego do tego stopnia zbulwersował przedstawicieli najwyższych władz, iż muszę zapytać o zgodę, to znaczy uzyskać aprobatę Wydziału Prasy. Oczywiście, nie pytałem nikogo, wiedziałem jaką uzyskam odpowiedź. Po kilku dniach poinformowałem E. Muszkę, że Wydział Prasy nie akceptuje jego propozycji i zwróciłem mu pismo. W mojej obecności kierownik wydziału archiwum dokonał osobistej adnotacji na dokumencie. Ale temat ten nie przestał mnie prześladować. Od 1973 roku upłynęło dużo czasu, po wprowadzeniu stanu wojennego straciłem pracę, zmienił się ustrój w Polsce, przeszedłem na emeryturę i los sprawił, że poznałem człowieka - legendę opozycji, Mirosława Chojeckiego, który wysłuchawszy moich opowieści, zainteresował się nimi i był skłonny (jako producent filmowy) wyprodukować kilka dziesięciominutowych odcinków o PRL.

Wspólnie z Ewą Bielską, która pracowała w PKF „za moich czasów,” złożyliśmy trzy próbne scenariusze, a wśród nich ten o rozprawie kolegium w Pucku, pt. „Chałupy welcome to.” Miał to być dziesięciominutowy odcinek o obyczajach, w którym znalazłaby się śmieszna sekwencja z rozprawy w Pucku, zdjęcia współczesne z plaż zagranicznych i tych w Chałupach, oczywiście. W archiwum WFD materiał z kolegium karno - orzekającego opatrzone adnotacją, że jest chroniony ustawą o ochronie danych osobowych. Nie wierzyłem własnym oczom! Od 1972 roku, kiedy temat zrealizował Marek Piwowski, do 2004 roku upłynęły 32 lata.

W czasie panowania „komuny” manipulatorzy, indoktrynerzy, propagandyści i Bóg wie, jaka jeszcze czerwona swołocz nie wpadli na pomysł wykorzystania taśm filmowych z Pucka w niecnym celu. Cóż takiego zapisano na celuloidzie, że nie można w demokracji go wykorzystać? Wyrzucam sobie, że przez leniwość, w 1972 roku, nie obejrzałem go w całości. Ale o Marku Piwowskim, który już wówczas cieszył się sławą czołowego prześmiewcy, zapamiętałem krążącą na Chełmskiej anegdotę. W Warszawie gościła delegacja węgierskich filmowców, po suto zakrapianej kolacji na drugi dzień rano na roboczych obradach nie pojawił się tłumacz. Poszukiwania nie dały żadnego rezultatu, postanowiono, więc, że spotkanie zostanie przełożone.

Wówczas Marek Piwowski oznajmił, że zna węgierski i może tłumaczyć, jeśli dyskutanci, oczywiście, nie będą używali zbyt skomplikowanego języka. Gdy na

mównicy pojawił się przewodniczący węgierskiej delegacji, Marek Piwowski stanął obok niego. Po kilku zdaniach wypowiedzianych przez Węgra zaczął tłumaczyć, co brzmiało mniej więcej tak: przewodniczący węgierskiej delegacji pragnie gorąco podziękować polskim kolegom za serdeczne przyjęcie i znaną na całym świecie gościnność...skinieniem głowy dał znać węgierskiemu koledze, by mówił dalej...wczorajsza kolacja - tłumaczył - dowiodła, że słynne powiedzenie, iż Polak Węgier dwa bratanki...jest ciągle aktualne, żywotne i twórczo rozwijane...

Polscy filmowcy byli zaskoczeni płynnością tłumaczenia Marka Piwowskiego, oto ujawnił jeszcze jeden talent! Gdy Węgier skończył przemówienie i zamierzał zejść z podium, Marek Piwowski powstrzymał go na chwilę i dodał: węgierski kolega pragnie na zakończenie zapytać, czy wśród polskich filmowców jest przedstawiciel służb specjalnych? W węgierskiej delegacji jest przedstawiciel tych służb i chciałby z polskim kolegą wymienić doświadczenia i pamiątkowe znaczki...

Przypadki interwencji władz partyjnych i państwowych przed ukazaniem się materiału w kronice zdarzały się bardzo rzadko. W mojej pamięci przechowały się dwa o mniejszym znaczeniu. W okolicy Sandomierza sfilmowaliśmy, jak sadownicy wysypują do rowów jabłka, których nie przyjęły punkty skupu. Ekipa nie zdążyła wrócić do Warszawy, a już zakazano nam go publikować.

Andrzej Wajda poprosił mnie, by kronika odnotowała, jakieś lecie firmy Blikle. Wysłałem ekipę na Nowy Świat z przyjemnością, albowiem ciasta i pączki Bliklego smakują wybornie, a moja rodzina zalicza się do wiernych klientów firmy. Do dziś, ilekroć żona wybiera się do Szwajcarii, nasza wnuczka Gucia, urodzona w Bernie, zawsze prosi o przepyszne serniki i pączki. Wtedy sprawa przybrała niespodziewany obrót. Operator po zakończeniu zdjęć wkroczył do redakcji z dwoma kartonami pączków, które ze smakiem spałaszowaliśmy. Po zaplanowaniu tematu do wydania, kiedy materiał znajdował się już w montażowni, zadzwonił Mieczysław Wojtczak i poinformował mnie, że Komitet Warszawski PZPR nie życzy sobie tematu o Bliklem w Polskiej Kronice Filmowej. Znałem Mietka Wojtczaka osobiście, jeszcze z Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, nie sądziłem ani wtedy ani teraz, że był to jego pomysł. Widocznie sekretarzowi Komitetu Warszawskiego nie smakowały pączki od Bliklego - pomyślałem. Mietek zadzwonił, bo dostał polecenie. No, cóż centralizm demokratyczny! Nie pobiegłem jednak z tą informacją do Andrzeja Wajdy, nie wypadało skarżyć się na instancję partyjną, byłem wszak tej partii członkiem. Jak z tego wynika z „oczka w głowie” władze przeróżnych szczebli oka nie spuszczały.

## 16. SŁONECZNE STOLICE

Przed setną rocznicą urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina zakłady pracy w Polsce noszące jego imię (Huta im. Lenina, Kopalnia im. Lenina i Stocznia im. Lenina) postanowiły uczcić to doniosłe wydarzenie i wysłały do Uljanowska, (do 1924 r. Symbirsk, od 1992 r. znowu Symbirsk) delegacje załóg, aby pobrały z tego „świętego” miejsca ziemię i przywiozły ją do Polski. Ponieważ owe zakłady zwróciły się do redakcji z prośbą, aby delegacjom towarzyszyła ekipa PKF, Michał Gardowski wysłał tam mnie i Ryszarda Golca. W mieście trwały ostatnie prace przed ogólnoradzieckimi przygotowaniem do uczczenia rocznicy. W Leninskim Centrumie, czyli dopiero w co wybudowanym gmachu, Muzeum Lenina, myto szyby w oknach, a na wysoki cokół pomnika wodza rewolucji wciągano za pomocą dźwigu zawieszoną na stalowej linie głowę Iljicza. Ryszard właśnie filmował ten historyczny moment, gdy podeszło do nas dwóch milicjantów i przerwali pracę, zabrali kamerę i zaprowadzili do komisariatu, tu zostaliśmy przesłuchani, a nasze zeznania zapisane. Potem pozostawiono nas w pokoju, gdzie czekaliśmy około pół godziny. Gdy pojawił się znowu milicjant, zażądałem rozmowy z komendantem. Nie jestem w stu procentach pewny, czy przyjął mnie wtedy komendant, w każdym bądź razie zaprowadzono mnie do kogoś ważnego. Poprosiłem go, by zadzwonił do sekretarza komitetu partyjnego, podałem jego nazwisko, znałem je, bo dnia poprzedniego podejmował delegację zakładów z Polski kawą i koniakiem. Milicjant zadzwonił i w oka mgnieniu zmienił się nastrój. Nie tylko nas wypuścili z kozy, ale odwieźli do hotelu czarną wołgą.

Robiliśmy zdjęcia w drewnianym domu- muzeum- w którym urodził się Lenin. Tu też o mało nas nie zamknięto. Do wnętrza muzeum weszliśmy bez przeszkód, obejrzelśmy eksponaty, ustaliliśmy z dyrekcją, co sfilmujemy, znaleźliśmy kontakt, podłączyliśmy lampy i zapaliliśmy światło. W tym momencie rzucili się na nas strażacy. Szamotanina trwała kilkanaście sekund, w końcu porozumieliśmy się z nimi i Ryszard zrobił zdjęcia. Strażacy obawiali się, że włączenie lampy spowoduje spięcie i drewniany dom może się zapalić. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze dla nas i strażaków, pożaru nie wywołaliśmy. Wróciliśmy do hotelu, gdzie trwało już pożegnalne przyjęcie!

W kilka dni po naszym powrocie Michał Gardowski musiał się tłumaczyć z tego, że wysłał do Wielkiego Brata ekipę, pomijając oficjalną drogę.

**Taszkient - Samarkanda**

Następny mój wyjazd był już zaplanowany. Razem z Januszem Kreczmańskim udawaliśmy się do republik południowych Związku Radzieckiego. W Moskwie czekaliśmy kilka dni na wylot do Taszkientu, więc poznawaliśmy, stolicę imperium jako turyści, bo filmować nie mogliśmy, ponieważ nie przysłaliśmy planu, które obiekty nas interesują, nie został ten plan zatwierdzony, a propozycja, że chcemy pojechać do miasta i sfilmować po prostu życie ludzi, ciekawostki, pomniki, szachistów w parkach i młodych poetów deklamujących wiersze pod pomnikiem Puszkina nie znalazła zrozumienia. Wałęsaliśmy się przeto po Moskwie jak turyści indywidualni-bez przewodnika i opiekuna, miało to tę zaletę, że w księgarni na ulicy Gorkiego kupiliśmy kilka ilustrowanych broszurek o miastach, w których zamierzaliśmy robić zdjęcia.

Po trzech dniach, tak spędzonych w Moskwie w towarzystwie dwóch miłych opiekunów, odlecieliśmy do stolicy Uzbekistanu, Taszkientu, gdzie po wylądowaniu przeżyliśmy pierwszą niespodziankę. Kreczmańskiego powitał na lotnisku bardzo serdecznie Uzbek - operator, który studiował z Januszem w Łódzkiej Szkole Filmowej. Opiekunów poinformował, że zabiera nas na resztę dnia do własnego domu, aby przedstawić polskich przyjaciół własnej rodzinie.

Prosto z hotelu pojechaliśmy do meczetu wypełnionego po brzegi modlącymi się muzułmanami. Pokazał nam także mniej oficjalne dzielnice Taszkientu i zachęcał do robienia zdjęć.

- Takiego Taszkientu wasi opiekunowie nie pozwolą filmować. Tu zobaczycie, jak naprawdę żyją Uzbekcy.

Z Taszkientu mieliśmy lecieć do Samarkandy, ale nasi opiekunowie napotkali na trudności z kupieniem biletów na samolot. Pojechaliśmy więc do wytwórni filmów dokumentalnych, sądząc, że dyrektor załatwi bilety. Zastaliśmy zastępcę dyrektora - Uzbeka, bo dyrektor-Rosjanin bawił właśnie w Moskwie. Sympatyczny Uzbek nie chciał słyszeć o żadnym samolocie!

- Skoro nasi polscy przyjaciele przylecieli aż tak daleko, by filmować Uzbekistan, to pojedą jutro rano samochodem, będą mogli po drodze robić zdjęcia naszej ojczyzny.

Na to Rusłan, jeden z opiekunów, oświadczył, że podróż samochodem nie wchodzi w rachubę, nie ma jej w planie i nie została zatwierdzona.

Zapominasz, usłyszał od dyrektora, że tu jest Republika Uzbekistanu, a nie Republika Rosyjska, i o tym, czym pojedą nasi polscy goście decydujemy w Taszkencie.



Podróż zajęła nam cały dzień, po drodze bowiem filmowaliśmy krajobrazy, zbiór bawełny i co ciekawsze miejscowości. Nasi opiekunowie nie byli tym zachwyceni, ale nie mogli nic zrobić, bo kierownikiem wyprawy okazał się uzbecki kierowca i to jemu mówiliśmy, gdzie, się zatrzymać.

Po pracowitym dniu znaleźliśmy się w Samarkandzie – mieście muzeum, którego początki sięgają czwartego wieku p.n.e. W wiekach średnich była to stolica państwa Tamerlana. Nazywanego także Timurem, potężnego wodza i krwawego wojownika. Pod jego rządami Samarkanda stała się ośrodkiem nauki i kultury promieniującym na całą Azję Centralną. Miasto nas urzekło, gdy następnego ranka zobaczyliśmy baśniowe budowle w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. To właśnie tu od miejscowej przewodniczki, komsomołki Zoji, usłyszeliśmy legendę o żonie Tamerlana, która na jego cześć zapragnęła zbudować meczet nazywany „Bibi Chanum.”

Gdy Tamerlan wyruszył na podbój Indii, rychło do Samarkandy dotarły wieści o jego zwycięstwach. Piękna i kochająca żona postanowiła uczcić jego powrót wspaniałym meczetem. Wezwała na dwór najslawniejszych architektów, przedstawiła im ideę budowy świątyni, ale po jej wystąpieniu w komnacie zapanowało milczenie. Najslawniejszy i najstarszy zarazem architekt poprosił, aby najjaśniejsza pani dała zebrany choćby tylko trzy dni do namysłu, zadanie jest tak ogromne, że muszą połączyć siły, bo jeden człowiek nie zdoła podjąć się realizacji tak wielkiego dzieła, w tak krótkim czasie. Po trzech dniach piękna małżonka usłyszała, że zadanie przerasta siły wszystkich architektów.

Wtedy zjawił się młody, piękny i odważny architekt i oświadczył, że on podejmuje się zbudować meczet, pod jednym wszakże warunkiem, że piękna monarchini pozwoli mu się po ukończeniu dzieła pocałować. Kochał bowiem piękną żonę Tamerlana tak mocno, że wierzył, iż myśl o nagrodzie ustokrotni jego siły.

Jak wiadomo piękne kobiety znają tysiące sposobów, by danego słowa nie dotrzymać. Przepiękna Bibi Chanum miała nadzieję, że zdoła odwieść zuchwałego architekta od spełnienia obietnicy. Kiedy budowa meczetu zbliżała się do końca, a Tamerlan do granic swojego państwa, zaprosiła architekta na śniadanie i postanowiła odwieść go od spełnienia obietnicy. Na stole w srebrnej misie podała zuchwałemu śmiałkowi tylko jajka pomalowane na różne kolory i poprosiła, aby spróbował je zjeść. Kiedy architekt zjadł już kilka jajek, zapytała, czy dostrzegł jakąś różnicę w smaku między jajkami o różnych kolorach.

- Nie, najjaśniejsza pani, mimo różnych kolorów jajka smakują jednakowo.
- Podobnie jest z kobietami- odrzekła - wyglądają różnie, a smakują tak samo.

Niezbity z tropu zuchwały architekt wezwał swojego sługę i polecił mu przynieść dwa dzbanki wypełnione jednobarwnym płynem. Nalał do kieliszków i poprosił, aby władczyni wypila płyn z pierwszego kieliszka napełnionego źródlaną wodą, a potem z drugiego, w którym był alkohol i zapytał, czy dostrzegła różnice w smaku.

- Napój z pierwszego kieliszka schłodził moje wnętrze, a z drugiego rozgrzał, odpowiedziała władczyni. (Zatrudnieni w głośnym instytucie dwaj agenci, przebrani za historyków twierdzą, że w teczkach jest zapisane, iż płyn rozgrzewający, przypominający kolorem wodę, to nic innego jak aqua vita pochodząca z Lechistanu).

- To dowodzi, że podobnie jest z niewiastami- odrzekł architekt- jedna schładza zmysły, a druga je rozgrzewa. Nie ma bowiem pod słońcem dwóch jednakowych kobiet.

Władczyni uległa argumentacji architekta i pozwoliła pocałować się jedynie w policzek.

Architekt pałał do swej władczyni tak żarliwą miłością, że na jej policzku pozostał ślad pocałunku.

Srogi i zazdrosny Tamerlan osadził żonę w wieży meczetu zbudowanego na jego cześć, gdzie dokończyła swojego żywota.

Nasza przewodniczka Zoja była urodziwą komsomołką, studentką drugiego roku historii i żarliwą wyznawczynią Lenina, musiałem łagodzić spory, jakie wybuchały między nią a Januszem, który drażniąc się zgłaszał wątpliwości, co do niektórych myśli i poczynań wodza rewolucji. Zoja twierdziła, że tu, w Samarkandzie, wszyscy kochają Włodzimierza Iljicza, a jej babcia zamiast ikony ma na stoliku jego podobiznę, przybraną kwiatami i do niego się modli. Nie wnikałem, czy opowieści Zoji są udawane, na pokaz, czy rzeczywiste. Zadziwiła mnie jej żarliwość, raziły natomiast -zęby, wszystkie w górnej szczęce ze złota. Zadawałem sobie pytanie, czy w owym czasie wśród tutejszej młodzieży panowała taka właśnie moda, czy był to relikw przeszcłości?

Samarkanda nie szczędziła nam różnorakich zaskoczeń. Wybraliśmy się oto z Januszem na kolację do hotelowej restauracji, gdzie spotkaliśmy grupę francuskich turystów-komunistów. Jak to ludzie z zachodu zachowywali się swobodnie i dobrze się bawili. Panie miały nadzwyczajne powodzenie, nie schodziły z parkietu. Dwaj młodzi Rosjanie po kilku tańcach, mimo protestu kelnera, opuścili swój stolik i przysiedli się do stołu zaproszeni przez Francuzów, ściślej mówiąc, piękniejszą część delegacji. Zwłaszcza jeden z młodzieńców tańczył z przepiękną Francuzką tak wspaniale, że dostali od całej sali spontaniczne brawa! W pewnym momencie

młodzieniec opuścił salę, by po kilku minutach powrócić z bukietem czerwonych goździków. Wręczył kwiaty swojej partnerce, co spotkało się z pełnym aplauzem biesiadników. Francuska wspięła się na palce, objęła rękami szyję młodzieńca i nagrodziła go pocałunkiem. Wtedy Rosjanin przywołał kelnera powiedział mu coś niezbyt głośno, a po chwili poprosił Francuzkę do tańca. Orkiestra zagrała „Oczi czornyje”, młodzi przytuleni do siebie, samotnie, bo inne pary nie pojawiły się na parkiecie, przenieśli się w świat romantycznych marzeń. Ledwo tylko orkiestra przestała grać, trzech kelnerów ze srebrnymi wiaderkami i butelkami szampana wkroczyło na salę i całą zawartość postawili na stole francuskich turystów. Zaczynał się szampański wieczór. Janusz zaczął się zastanawiać, czy nie pójść po kamerę, ale odwołałem go od tego zamiaru, bo przecież musielibyśmy uzyskać zgodę, co najmniej kierownika Sali, na filmowanie, a może nawet straży pożarnej i jeszcze jakichś innych czynników, nie mówiąc już o naszym opiekunie, który nie wiadomo gdzie w tej chwili przebywał, bo gdy schodziliśmy na kolację nie było go w pokoju. Piszę w liczbie pojedynczej, bo Ruslan (jeden z opiekunów) odleciał do Moskwy. Aby złagodzić cierpienia mojego przyjaciela, zamówiłem butelkę wina, Janusz nie przepadał za alkoholem, ale wiedziałem, że mi nie odmówi i wypije choćby tylko jeden symboliczny kieliszek. W taki wieczór w Samarkandzie...

Tymczasem w lokalu narastała braterska atmosfera, gdy orkiestra przestawała grać Francuzi, śpiewali swoje pieśni, potem Rosjanie i Uzbecy się rewanzowali, zsunęli nawet kilka stolików, aby stworzyć chór. Kelnerzy przynosili nowe butelki. Po jakimś tańcu, gdy opisana tu para francuskorosyjska wracała do stolika, Rosjanin poślizgnął się albo o coś zahaczył nogą, a upadając zbił łokciem szybę w drzwiach. Natychmiast obstąpiło go kilku pracowników restauracji i zaczęła się dość głośna wymiana zdań. Francuzka nie opuszczała swojego partnera, ale nie rozumiejąc, o czym rozmawiają miała dość żalospną minę.

W pewnym momencie Rosjanin wyciągnął portfel z kieszeni i usiłował za stłuczoną szybę zapłacić, ale nikt nie chciał przyjąć od niego pieniędzy. W tej patowej sytuacji do sali wkroczyło dwóch milicjantów, którzy usiłowali wyprowadzić chłopaka. Wtedy ruszyli z pomocą Francuzi, poderwali się od stołu i wzięli Rosjanina w obronę. Wyjaśniali milicjantom, że są grupą francuskich komunistów, jeden z nich wyciągnął nawet legitymację FPK. Tłumaczyli, że chłopak nie jest winien, że usiłuje za szybę zapłacić, ale nikt nie chce od niego przyjąć pieniędzy. Milicjanci wycofali się, ale atmosfera sprzed incydentu już nie powróciła. Francuzka i Rosjanin zaczęli nawet tańczyć, w ich ruchach nie było już radości i fascynacji. Poprosiłem kelnera o rachunek i zaproponowałem Januszowi powrót do hotelu.

- Nie możemy wracać - powiedział Janusz-musisz zobaczyć finał. Założę się z tobą o wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie, że po zamknięciu lokalu chłopak zostanie zatrzymany. Zakładu nie przyjąłem, Janusz znał doskonale Związek Radziecki, nie zamierzałem ryzykować. Kiedy Francuzi wstali od stołu i udali się do

windy, wyszliśmy przed hotel. W parę minut później pojawił się Rosjanin w towarzystwie kolegi. Natychmiast otoczyli ich milicjanci, którzy na naszych oczach założyli chłopakowi kajdanki i wepchnęli do gazika. Aby się nie guzdrał, pomogli mu pałką. Przypomniałem sobie wtedy słowa Lenina, który mawiał, że państwo to „dubinka.”

W Samarkandzie zastała nas rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, sfilmowaliśmy uroczystości, a ponieważ pochód zapowiadał się na dwie godziny, wróciliśmy do hotelu, wjechaliśmy windą na najwyższe piętro, wyszliśmy na taras, z którego Janusz zrobił kilka ogólnych ujęć pochodu i miasta. Jeszcze nie skończył filmować, gdy na tarasie pojawiło się dwóch panów, podeszli do Janusza i urzędowym głosem zapytali, kto nas tu wpuścił i co tu robimy?

Na to Janusz stanowczym głosem powiedział im coś, czego nie dosłyszałem.

Dwaj mężczyźni stanęli jakby skamienieli. Przeprosili, poczekali aż Janusz skończy filmować, pomogli znieść statyw i kamerę do windy, grzecznie się pożegnali i zniknęli bezszelestnie w przepastnym korytarzu.

- Co ty im powiedziałaś – zapytałem po powrocie do pokoju.

- Użyłem magicznych słów, których nauczyłem się na Syberii, od milicjanta przebranego za kierowcę. Nie da się tej lekcji opowiedzieć w dwóch zdaniach, więc jeśli chcesz poznać całą prawdę musisz uzbroić się w cierpliwość.

Realizowaliśmy zdjęcia w Nowosybirsku, zaczął Janusz swoją opowieść, ustawiłem statyw, założyłem kamerę i skierowałem obiektyw na drewniany dom ozdobiony ludowymi motywami i miniaturowymi rzeźbami. Już miałem uruchomić kamerę, gdy ktoś, później się okazało, że radziecki patriota, dotknął mojego ramienia, a gdy na niego spojrzałem, wskazał mi nowy blok i kazał go filmować. Odpowiedziałem, że blok z wielkiej płyty mnie nie interesuje, bo jest brzydki, natomiast dom drewniany jest piękny i będę go filmował. Wtedy Rosjanin popchnął statyw, całe szczęście, że kamera upadła w zaspę śniegu i nic się nie stało. Nie zdążyłem jeszcze wyciągnąć jej z zasy, gdy rozległ się głośny huk i radziecki patriota zwałił się na ziemię obok statywu. Kierowca widząc co się dzieje, wyskoczył z samochodu i zwyczajną pałką milicyjną tak uderzył człowieka, że ten zwałił się w śnieg. A po incydencie udzielił mi rady: jeśli ktokolwiek, babuszka, zwykły przechodeń czy generał nawet będzie ci przeszkadzał w robieniu zdjęć nie wdawaj się w dyskusję, powiedz tylko stanowczym głosem – „uchadi, job twoju mać, nie mieszaj w rabotie.” To wystarczy, każdy obywatel Związku Radzieckiego doskonale rozumie te słowa. Wypróbowałem je na Syberii kilkakrotnie, za każdym razem poskutkowały. W Samarkandzie też wiedzą, co one znaczą, przekonałem się o tym osobiście, obserwując zachowanie tych dwóch osiłków. Zdarzyło się to 7 listopada 1972 roku.

Ten dzień miał się jednak zakończyć dopiero późnym wieczorem. Wziąłem prysznic i zamierzałem położyć się do łóżka, gdy usłyszałem, że ktoś wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi do mojego pokoju. Nie zdążyłem nawet wyjść do przedpokoju, gdy przede mną stanęła w groźnej postawie „dyżurna po etażu” i wrzasnęła: „zobacz, jak ten Poliaczek się spił i leży jak świnia”. Nie mogłem uwierzyć, po kolacji Janusz poszedł do swojego pokoju trzeźwy jak skowronek! A od tego czasu nie upłynęło więcej niż dwadzieścia minut. Szybko się jednak wyjaśniło, że to nie Janusz, a nasz opiekun spił się do tego stopnia, że idąc do toalety przewrócił się w przedpokoju, zrobił siusiu i leżał, nie mogąc się podnieść. Pobiegłem po Janusza, wspólnie wciągnęliśmy Aloszę do łóżka, które zastawiliśmy dwoma fotelami i stolikiem. Dyżurnej po etażu wytłumaczyłem, że to nie Poliak, a prawdziwy radziecki „grażdanin.”

Na drugi dzień rano poprosiłem Aloszę do pokoju i zapytałem, czy mam dzwonić do Moskwy, aby przysłali innego opiekuna?

Przerażony Alosza zaczął przeproszać, obiecał nawet, że w sprawozdaniu napisze o nas same dobre rzeczy! I to mnie zirytowało. Zażądałem, aby natychmiast powiedział nam prosto w oczy, co w czasie naszej podróży zrobiliśmy nagannego, upiliśmy się może tak jak ty? Zaczął się chaotycznie tłumaczyć, a z tej mowy wynikało, że przez cały czas jesteśmy niezadowoleni. I tu wpadł w pułapkę.

- Nie jesteśmy niezadowoleni z pobytu w Wielkim Związku Radzieckim, a z twojej pracy, bo nam ciągle mówisz: „nie, nie, nie,” Tego nie wolno filmować! Są to słowa, które wypowiedasz najczęściej, utrudniasz nam w ten sposób pokazanie wielkiego dorobku ZSRR i jego piękna!

Alosza przyrzekł, że jeśli nie zadzwonię do Moskwy, będziemy mogli wszystko filmować, a on nam w tym pomoże.

- Udowodnij to – powiedziałem.

Opuściliśmy Samarkandę, dzięki Aloszy, straż na rogatkach miasta przepuściła samochód, którym udaliśmy się do najbliższego kolchozu. Wiedzieliśmy, że zdjęć nie opublikujemy w kraju, przedstawiały bowiem kolchoz biedny, wieś zaniedbaną, ale w ten sposób Alosza udowodnił, że ma wielką władzę.. Wykorzystywaliśmy jego uprzejmość przez dalszy czas pobytu.

**Alma-Ata**

Ałma-Ata ( po kazachsku znaczy: ojciec jabłek) powitała nas złością jesienną pogodą, a koledzy w wytwórni filmowej dokumentem o schwytaniu tygrysa i kumysem. Film urzekł nas cudownymi krajobrazami i myśliwymi, którzy pojмали groźnego zwierza, założyli mu miniaturowy aparat wysyłający sygnały i zwrócili wolność. A następnego dnia wywieźli w góry i pokazali miejsca, gdzie film realizowano. Było oczywiście ognisko, pieczony baran-kazachska specjalność- kumys, wino i koniak. Doprawdy Kazachowie są nadzwyczaj gościnni, przekonaliśmy się o tym na wysokości 2400 metrów i przez cały czas pobytu. Wracaliśmy z gór tuż przed zachodem słońca, naszym oczom ukazała się ówczesna stolica republiki w całej gamie barw, otoczona aż po horyzont żółto-różowymi pasmami. Zapytaliśmy kolegów, czy to jesienne kwiaty? Za pół godziny przekonacie się, co to jest w rzeczywistości, teraz możemy powiedzieć, że nie są to kwiaty. Rychło się okazało, że miasto jest otoczone sadami, a te żółto-różowe plamy to jabłka opadłe na ziemię, których tu nikt nie zbiera. I to, jakie jabłka! Przywiozłem jedno do Warszawy ważące 1,15 kg (słownie: kilogram i piętnaście dekagramów!). Gdy wokół Ałma-Aty jabłka gniły na ziemi, w Moskwie kilogram marnych jabłek kosztował ponad dwa ruble. Tajników socjalistycznej ekonomii nie zgłębialiśmy na szczęście, ale kolorystykę zanotowaliśmy na taśmie.

Restauracja hotelowa w Ałma-Acie nie różniła się niczym od restauracji w Moskwie czy w stolicach innych republik radzieckich. Różnica polegała jedynie na tym, że spotkaliśmy tu bardzo miłą kelnerkę, która przyznawała się do swojego polskiego pochodzenia. Językiem dziadków mówiła słabo, ale jej życzliwość nie znała granic. Zapytaliśmy, czy są w tym mieście jakieś restauracje, w których można poznać prawdziwe życie i miejscowy folklor? Poradziła jeden lokal słynący z oryginalności, ale natychmiast dodała, że nie może z nami pójść, ponieważ zbierają się w nim wyłącznie mężczyźni. Wybraliśmy się tam następnego wieczoru. Nie żalowaliśmy. Mężczyźni, wszyscy w czarnych oryginalnych kaukaskich strojach, siedzieli przy stolikach, pili wino i śpiewali pieśni. A gdy zagrała orkiestra, tańczyli z kaukaskimi nożami w zębach, z szeroko rozłożonymi, jak skrzydłami ptaków w locie, ramionami. Wtedy przypomniałem sobie, że w przedwojennej prasie rysowano bolszewików właśnie z nożami w zębach, bałem się tych rysunków straszliwie i może, dlatego tak długo gnieździły się w mojej pamięci.

Janusz był niepokieszony, kierownik nie zgodził się na filmowanie.

W ówczesnej stolicy Kazachstanu spotkaliśmy kilku Polaków, jeden z nich pracujący w zakładach porcelany zapytał, czy możemy jego mamie mieszkającej w Warszawie zawieźć pieniądze. Rozmawialiśmy w miejscu jego pracy, więc umówiliśmy się, że następnego dnia o siódmej rano przywiezie pieniądze do hotelu. Minęło pół godziny, a on się nie pojawił. Czekał na nas w holu. Na pytanie, dlaczego nie przyszedł do pokoju odpowiedział, że go nie chcieli wpuścić.

W czwartek rano koledzy z wytwórni zapytali, czy chcielibyśmy wziąć udział w kazachskiej biesiadzie? Zgodziliśmy się natychmiast, pytając czy będziemy mogli robić zdjęcia i kto nas zaprasza? Odpowiedzieli, że pewien rosyjski pisarz, który mieszka w Alma-Acie.

W piątek po południu wyruszyliśmy na biesiadę. Przyjechaliśmy punktualnie o godzinie piętnastej. Przed bramą olbrzymiej, drewnianej dachy czekał już gospodarz, po powitaniu przeprosił, że nie może nas teraz gościć, bo przed chwilą złożyli mu wizytę przedstawiciele z KGB i właśnie ich podejmuje, nas zaprasza na osiemnastą i ma nadzieję, że się nie obraziliśmy. Zastanawialiśmy się z Januszem, co to znaczy i czy powinniśmy przyjeżdżać później? Koledzy z wytwórni wytłumaczyli, że w Kazachstanie to normalne, ci z KGB też lubią pobiesiadować, wpadli więc na chwilę, a uprzejmy gospodarz nie chciał ich nie ugościć. Janusz, który na Syberii spędził ponad rok, uznał, że w przełożeniu terminu wizyty nie kryje się nic nadzwyczajnego, więc o osiemnastej stanęliśmy ponownie przed dachą. Bez Aloszy, którego kazachscy koledzy z wytwórni nie zaprosili.

Tym razem już bez kłopotów rozgościliśmy się, nie wiedząc, że aż na trzy noce i dwa dni! Gospodarz nie zwlekając nalał po szklanicy wina i wznosił toast za gości z dalekiej Polski! Tu, w Kazachstanie, toasty wznoszono krótko, ale za to często. W obawie, że do wieczora nie utrzymamy się na nogach zapytaliśmy gospodarza, czy możemy zrobić zdjęcia?

- Nie ma żadnych przeszkód-odparł-ale właściwa biesiada zacznie się dopiero po teatralnych spektaklach, teraz za stołem jest zaledwie garstka ludzi. Sami literaci i kilku malarzy, nie przyszły jeszcze ich muzy, tancerki i modelki. Zjawią się po spektaklach. Przy okazji zapytał, czy przypadkiem nie przeszkadzają nam dwa portrety na ścianie, czy będziecie mogli w Polsce pokazać Indirę Gandhi i Stalina?

Po dwudziestej drugiej, czyli po spektaklach, zaroilo się od gości. Kogo tam nie było: sławne aktorki i aktorzy, muzycy, baletnicy i tancerze i najwspanialsze głosy Kazachskiej Republiki Radzieckiej, zasłużeni artyści i najpiękniejsze primabaleriny. Zabawa trwała do sobotniego poranka, potem salon opustoszał, położono nas do łóżek i wczesnym popołudniem przywrócono do życia.

Jadłem tam szaszłyki i baranie oczy, piłem kumys, wino i nalewki na spirytusie. Tyłu artystek i artystów w jednym pomieszczeniu nie widziałem nigdy dotąd. Pewne fragmenty biesiady znalazły się w filmie „Słoneczne Stolicy” wyświetlanym na ekranach kin w Polsce.

Kiedy w poniedziałek rano, opuszczając gościnny dom, dziękując gospodarzowi za cudowne trzy noce i dwa dni, poprosiłem go o nazwisko odpowiedział mi pytaniem.

- Powiedz Mirosław, czy dobrze się wśród nas czujesz? Mówisz, że znakomicie, to po co ci moje nazwisko? Żegnaj polski przyjacielu, zachowaj nas we wspomnieniach jak najdłużej... Daliśmy ci nasze serca, nazwisko jest bez znaczenia.

## **Tbilisi**

Głos kapitana samolotu wyrwał nas z drzemki, zostaliśmy właśnie poinformowani, że przekroczyliśmy granicę Gruzjińskiej Republiki Socjalistycznej. Była to nowość, nie informowano nas, gdy przekraczaliśmy granice innych republik.

Spotkanie z gruzińskimi kronikarzami zaczęliśmy dość niefortunnie, zwróciliśmy się z prośbą do kolegów w wytwórni, aby pożyczili nam 200 metrów taśmy, bowiem przywieziona z Polski właśnie się kończy.

- Dwieście metrów na Gruzję? Drodzy polscy przyjaciele chyba się pomyliliście, dwieście metrów nie wystarczy wam nawet na naszą piękną stolicę!

- Jesteście naszymi gośćmi- oświadczył dyrektor – pragniemy, abyście czuli się w Gruzji jak u siebie w domu i każdego dnia pobierali tyle taśmy, ile wam potrzeba. Kolega, który będzie się wami opiekował, wie doskonale jak się u nas taśmę pobiera, zapewniam, że nie napotkacie na żadne trudności!

Dyrektor wytwórni życzył nam miłego i owocnego pobytu w Gruzji i oddał pod opiekę reżysera, a ten poprosił Aloszę, aby swój pobyt w Tbilisi potraktował wypoczynkowo, nie martwił się o polskich przyjaciół, obiecując mu, że odlecimy do Moskwy cali i zdrowi.

- Skoro sprawy protokolarne załatwiliśmy szybko i sprawnie- podsumował reżyser, gruziński opiekun- proponuję, abyście zapoznali się z naszą twórczością, pokażę wam tylko jeden film, nasz najnowszy, który właśnie wczoraj wszedł na ekrany stołecznych kin. Film nosił tytuł „Balkony”, przedstawiał w sposób dość przekonujący i dowcipny historię Gruzji od czasów starożytnych, aż po czasy, gdy Gruzja stała się republiką socjalistyczną, co spowodowało oczywiście, że cały naród jest z tego powodu szczęśliwy. „Balkony” to historia podbojów Gruzji przez różnych najeźdźców, bliższych i dalszych sąsiadów. Ani razu na ekranie nie pokazano żołnierza, karabinu, armaty, czołgu. W zależności od napastnika zmieniał się wygląd balkonów i osoby na nich przebywające. Morał płynął stąd taki, że zmieniają się tylko najeźdźcy, a „Matka Gruzja” jest wciąż ta sama. Powszechna szczęśliwość Gruzinów w socjalizmie pokazana na końcu filmu jest jedynie zabiegiem formalnym, albo jak wolisz kwiatkiem przy kożuchu, bo w to szczęście mało, kto wierzy.



Nie wierzyłem, że film jest wyświetlany w kinach. Jego wymowa antyrosyjska aż biła w oczy. Publiczność przyjmowała „Balkony” oklaskami, przekonałem się o tym osobiście. Gruziński opiekun rozumiał moje wątpliwości, poczuł się zobowiązany wyjaśnić mi, że film jest wyświetlany tylko w Gruzji, a nie w ZSRR. Gruzini wszak mają prawo przedstawiać zgodnie z prawdą swoją historię.

Zbliżała się pora obiadu, gruziński przyjaciel zaproponował więc przerwę w robieniu zdjęć i zaprosił nas na obiad do baru najniższej kategorii, gdzie posiłki jada się tylko na stojąco, a potrawy nie są wyszukane, przychodzą tu bowiem ludzie najbiedniejsi. Mamy przed sobą siedem dni, więc każdego dnia poznać inną restaurację. Gruzini przywiązują bardzo dużą wagę do jedzenia. Biesiady trwają u nas długo, każdej przewodzi „tabada”, mistrz ceremonii, on wznosi toasty i udziela głosu biesiadnikom.

Toasty gruzińskie są minipoematami, w zależności od sytuacji dowcipnymi, wywołującymi śmiech, romantycznymi, wzbudzającymi wyższe uczucia, są też ludowymi i ludzkimi przypowieściami kończącymi się morałami. Każdy Gruzin jest w jakimś sensie poetą, a już na pewno każdy potrafi wznieść toast. A wszyscy uwielbiają wino i zabawę.

Rano reżyser powitał nas słowami: wczoraj poznaliście bar, w którym jadają najbiedniejsi Gruzini, ludzie, którzy są fundamentem naszej ojczyzny, dziś, jeśli zaakceptujecie moją propozycję, pojedziemy do źródeł, do pierwszej stolicy naszego państwa, Mcchety początki miasta sięgają III wieku p.n.e. Oddalona od współczesnej stolicy o dziesięć kilometrów, leży u ujścia Aragwi do Mtkwali (Kury) przy Wojennej Gruzińskiej Drodze, łączącej miasta znad Morza Czarnego z miastami położonymi nad Morzem Kaspijskim. Mccheta to miasto-muzeum, pełne zabytków zniszczonych nie tylko przez czas. Nasz przewodnik pokazywał te zniszczenia i sprawców, Rosjan.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w zajeździe, swoim stylem przypominającym podobne lokale w Prowansji, z okien zajazdu widzieliśmy wzgórze z klasztorem Dźwari z VI wieku. Jeszcze nie zdążyliśmy złożyć zamówienia, a już kelnerka postawiła na stole dzbanek z winem i trzy kieliszki. Gdy gospodarz je napełnił, Janusz Kreczmański głosem stanowczym niedopuszczającym sprzeciwu, oświadczył, że ma zamiar jeszcze filmować i nie wypije nawet kropelki.

Gruzja, zaczął nasz przyjaciel, uchodzi za ojczyznę wina, uczeni odkryli tu najstarsze urządzenia do tłoczenia tego napoju, który od niepamiętnych czasów wprawia ludzi w dobry nastrój, łagodzi smutek i cierpienie, pobudza wyobraźnię i rozwesela serce.

- Wypijmy za to, abyście z Gruzji wywieźli nie tylko smak tego trunku, ale uczucia, jakimi was darzymy-powiedział reżyser.

- Janusz nie mógł nie spełnić toastu...

Ledwo opróżniliśmy kieliszki, gospodarz napełnił je ponownie. Tym razem Janusz niemal przysiągł, że ani kropli więcej... Pogoda była wspaniała, świeciło słońce, na wysokim wzgórzu w błękit bezchmurnego nieba wpisywała się sylwetka klasztoru Dźwari. Widok urzekał swoim pięknem i majestatem trwania. W pewnej chwili Janusz powiedział: spójrzcie tylko na tę budowlę, podziwiam architekta i jego poczucie piękna!

Chyba na tę chwilę czekał gospodarz. Podniósł kieliszek i rzekł: podzielam twój podziw, przyjacielu. Ten budowniczy miał takie wyczucie piękna, bo był Gruzinem, kochał Matkę Gruzję i ta miłość dodała mu sił i odwagi. Minęło już czternaście wieków od wzniesienia klasztoru, przez nasze ziemie przechodziły hordy różnych najeźdźców, a klasztor stoi na chwałę Matki Gruzji.

- Wypijmy za synów Polski i Gruzji, którzy kochają swoje ojczyzny. I Janusz wypił.

O tej porze dnia lokal był jeszcze pusty, barman czyścił kieliszki, trzy kelnerki prowadziły ściszoną rozmowę, a zdun za pomocą jakiegoś metalowego narzędzia nadawał ostateczny kształt ozdobom pieca.

- Reżyser przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu zdunowi, a potem zwracając się do Janusza powiedział: popatrz na tego człowieka, nie jest on takim wielkim artystą jak budowniczy Dźwari, ale wygląda te płaskorzeźby przy piecu z gorliwością i skrupulatnością, bo pragnie, by ludziom zatrzymującym się tu w chłodne i słotne dni było nie tylko ciepło, ale i przyjemnie. Gdyby nie było zdunów, czyż mogliby istnieć wielcy artyści? Wypijmy za zdrowie gruzińskiego zduna!

Toast po toście, kieliszek po kieliszku i ani się spostrzeżliśmy jak przy stole pojawiła się kelnerka z nowym dzbankiem wina. W tym momencie reżyser zapytał o imiona naszych matek. I dodał, że może w tej chwili myślą one o nas właśnie. Wzniósł toast za ich zdrowie. Czas płynął coraz wolniej, zjedliśmy obiad, wypiliśmy jeszcze kilka kieliszków, a kiedy słońce skryło się za wysoką górę wyruszyliśmy do Tbilisi. Janusz Kreczmański nie zrobił już ani jednego ujęcia, ale wrócił szczęśliwy.

Od Ikony Gubernatorskiej Janusz zaczął zdjęcia w muzeum w Tbilisi. Nazwa wzięła się stąd, że ikona wisiała w pałacu carskiego gubernatora, a ten, gdy się upił, odrywał po małym kawałku złotej koszulki i rozdawał (taki szczodry) swoim gościom. Kiedy czasy gubernatorów odeszły w niepamięć, Gruzini przenieśli ikonę do muzeum i stała się ona dowodem tego, jak carscy urzędnicy niszczyli gruzińską kulturę.

Przysłuchiwałem się przewodniczącej szkolną wycieczkę, która otwartym tekstem opowiadała o niszczonej przez Rosjan gruzińskiej kulturze. Zapytałem reżysera czy taka otwarta krytyka Rosji jest u nich dozwolona?

- Pamiętasz pobyt w Mcchecie? Przez cały czas pokazywałem wam spustoszenia poczynione przez Rosjan w naszych zabytkach. Miałem na myśli czasy caratu, to oczywiste. U was Rosji carskiej krytykować nie wolno?

Wizyta w pracowni Oczauriego-zasłużonego artysty ZSSR, który miał licencję na portrety Lenina, nie każdy artysta mógł tworzyć, wedle własnego uznania podobizny wodza rewolucji- przerodziła się w wieczór przyjaźni, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Oczauri, artysta - czekańszczyk, rzeźbił nie dłutem a młotkiem w blasze ze specjalnego stopu. Czekańka cieszy się w Gruzji wielkim uznaniem, jest niezmiernie popularna we wszystkich warstwach społecznych. Gdy Janusz zakończył zdjęcia, zaczęło się przyjęcie, ze sławnymi toastami i pieśniami gruzińskimi. Nie wiadomo kiedy pracownia wypełniła się przyjaciółmi. Po latach z mojej pamięci uleciały toasty. Jeden wszakże w zakamarkach pozostał: przez wiele dni osioł pokonywał dzielnie szlak pustyni. Ale i on się zmęczył, na szczęście dotarł do oazy, gdzie stały dwie konwie wypełnione płynem, w pierwszej była woda, w drugiej wino. Spragniony osioł zaczął chciwie pić. Jak sądzicie, z którego naczynia? Wypełnionego wodą, oczywiście!

Nie naśladowujmy osłów, napijmy się wina.

Świtało, gdy opuszczaliśmy dom artysty, był to nasz ostatni dzień w Tbilisi. Wieczór spędziliśmy w najlepszej restauracji miasta. Do dwudziestej drugiej kolacja miała charakter oficjalny, po zamknięciu lokalu zaczęło się spotkanie przyjaciół. Na stole pojawiły się butelki wina bez etykiet, bo nie ważne, jaka jest butelka, ważne, z jakiej pochodzi winnica, a najważniejsze, z kim się wino pije.

Do dziś słyszę melodie gruzińskich pieśni śpiewanych na pożegnalnym wieczorze. Nie obeszło się bez „Suliko”. W końcu nadszedł najtrudniejszy moment. Poproszono nas o zaśpiewanie polskiej piosenki. Naradzaliśmy się z Januszem przez dłuższą chwilę, jaką piosenkę zaśpiewać. Kłopot polegał na tym, że natura nie obdarzyła żadnego z nas dobrym słuchem. W końcu zaśpiewaliśmy „Legiony tożołnierska nuta”. Po wykonaniu dwóch zwrotek zakończyliśmy występ. Nie usłyszeliśmy żadnych gratulacji, ani grzecznościowych oklasków. Mieliśmy wszyscy mocno w czubie, więc zapytałem: nie podobało się?

- Prosiłmy o polską piosenkę, a wy zaśpiewaliście rosyjską –padła odpowiedź... Następnego dnia, żegnani przez gruzińskich przyjaciół,

odlecieliśmy do Moskwy. Po kilkunastu minutach lotu, kapitan samolotu poinformował pasażerów, że opuszczamy granice Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

W Moskwie, Alosza zostawił nas w hotelu „Ukraina”, zapewniając, że za kilka minut otrzymamy pokój. Po godzinie oczekiwania, Janusz, zapytał recepcjonistkę, czy pokój już gotowy? Po upływie pół godziny ponowił pytanie. I znowu: nie biespakojtie, padażditie.

W końcu wyciągnął legitymację dziennikarską, pokazał w recepcji, pytając: czy wolą „Prawdę” czy „Izwestie”, bo jemu wszystko jedno gdzie zadzwonić. Pokój znalazł się natychmiast. Pomogli nam nawet wnieść bagaże.

Nie wspominał o pobycie w Aszchabadzie, gdzie również parę dni spędziliśmy. We wszystkich wytwórniach oglądaliśmy republikańskie kroniki filmowe, które bardzo nam się podobały. Gdy zostałem redaktorem naczelnym PKF usiłowałem zorganizować wymianę z wytwórniami w Taszkencie, Ałma-Acie i Tbilisi, jeśli już nie całych kronik, to przynajmniej tematów. Moskwa się jednak nie zgodziła.

## 17. „Świat socjalizmu”

O stworzeniu filmowego periodyku pt. „Świat Socjalizmu” Rosjanie, wspomnieli po raz pierwszy na spotkaniu redaktorów naczelnych kronik filmowych z krajów socjalistycznych w Poczdamie. Ich inicjatywa o powołaniu kroniki filmowej pod wspomnianą nazwą nie wywołała wówczas dyskusji, wszak nie wystąpili z żadnymi konkretnymi propozycjami. Po prostu „rzucili myśl”, a my mieliśmy ją złapać. Odnieśliśmy się do pomysłu bez entuzjazmu, przecież każdy z nas znał doskonale radziecką kronikę filmową.. Na Chełmskiej, oglądaliśmy ją raz w tygodniu w sali „B”. Przed projekcją kronik i materiałów zagranicznych zawierano nawet zakłady, jak zaczną się „Nowosti Dnia.” A zaczynały się zawsze tak samo - ujęcie Kremla przez rzekę Moskwę i tekst: - wczoraj na Kremlu...tu wymieniano się nazwisko aktualnie panującego sekretarza... przyjął delegację państwową z...

Kronika radziecka miała charakter oficjalny, rzec można utrwałała dla potomności oficjalną stronę z życia najwyższych warstw partii i rządu. Dlatego sugestia radzieckich kolegów nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem zebranych redaktorów w Poczdamie. Kroniki filmowe z krajów tzw. obozu socjalistycznego miały różny charakter, Polska Kronika Filmowa, mimo ograniczeń, była najbardziej zbliżona do kronik z krajów zachodnich, nie ustępowała im pomysłowością i lekkością stylu.

Zapomniałem już o propozycji kolegów radzieckich, aż tu pewnego dnia Naczelny Zarząd Kinematografii przysłał do redakcji odpis pisma, które tu przytaczam w całości:

„Szanowny Towarzyszu Wojtczak!

Z zadowoleniem przyjęliśmy Waszą zgodę na udział w wydaniu kroniki filmowej „Świat socjalizmu” Proponujemy przeprowadzenie pierwszej narady komitetu redakcyjnego 7 i 8. I. 1975 r. w Moskwie. Liczymy na to, że Wasz przedstawiciel będzie miał ze sobą propozycje do planu tematów 1-ego i 2-ego numeru kroniki, Wasz projekt regulaminu utworzenia kroniki i propozycje innych tematów, które Wy uważacie za konieczne omówić w czasie Rady Redakcyjnej.

Jednocześnie przesyłamy do rozpatrzenia nasz projekt regulaminu utworzenia kroniki „Świat socjalizmu.” Prosimy o powiadomienie o przybyciu Waszego przedstawiciela.

Z serdecznymi życzeniami noworocznymi.

Gołownia”

W swojej książce pt. „Kronika nie tylko filmowa” Mieczysław Wojtczak pisze (na str. 372), że „...Kronika pozostawała pod bezpośrednim nadzorem KC PZPR...” i tak było w rzeczywistości. Udałem się tedy z listem Gołowni do Wydziału Prasy z pytaniem, czy pod tym „nadzorem” PKF jeszcze pozostaje. Wiadomość o powstaniu „Świata socjalizmu” była dla moich rozmówców sporym zaskoczeniem. Ale nikt nie odważył się zmienić decyzji, którą podjęli na wniosek szefa kinematografii radzieckiej, Gołowni - szefowie kinematografii krajów obozu socjalistycznego. Redaktorzy naczelni kronik przyjechali, więc do Moskwy z własnymi propozycjami i projektami regulaminu. Dyskusja trwała dwa dni, nim zdołano opracować ostateczną wersję. Podjęliśmy też decyzję, że pierwsze wydanie „Świata socjalizmu” zrealizują wnioskodawcy.

W czerwcu 1975 roku, wraz z pierwszym wydaniem „Świata socjalizmu”, otrzymałem list od Jurija Awietikowa, redaktora naczelnego „Nowosti Dnia,” pisał w nim: „Z pewnym opóźnieniem (w tym również z powodów technicznych) zakończyliśmy pracę nad pierwszą edycją kroniki „Świat socjalizmu.” Wobec tego, że jest to pierwsza edycja, chcieliśmy poznać opinię o niej szeregu kompetentnych towarzyszy. Kronika ta została zaprezentowana radcom kulturalnym odpowiednich ambasad w Moskwie i uzyskała oceny pozytywne”.

Regulamin nic takiego nie przewidywał, ale zastosowana metoda uniemożliwiała zmiany, skoro przedstawiciele ambasad ocenili ją pozytywnie, to już nic zmienić nie

można... Sama kronika budziła wiele zastrzeżeń i na ekranach polskich kin nigdy się nie ukazała. W liście wysłanym do Jurija Awietikowa napisałem: „Co się tyczy strony formalnej, nasuwają się pewne uwagi. Wydaje mi się mianowicie, że walory wizualne kroniki zyskałyby znacznie, gdyby zamieszczono w niej bardziej różnorodne tematy.

Ponadto w komentarzu nie mówi się, że jest to pierwsze wspólne wydanie, realizowane przez kroniki państw socjalistycznych. Przy następnych wydaniach będziemy musieli rozstrzygnąć także kwestię napisów. Sądzę, że- oprócz wielojęzycznych napisów w czołówce - powinny być one również w języku kraju, w którym wchodzi na ekrany... Jestem całkowicie przekonany, że udałoby się nam wspólnie uzgodnić wiele kwestii gdybyśmy spotkali się ponownie w Moskwie - tak jak to przewiduje regulamin, który sami przecież uchwaliliśmy".

Następne wydanie „Świata socjalizmu" przygotował zespół Polskiej Kroniki Filmowej.

Zgodnie z regulaminem w Warszawie odbyło się spotkanie redaktorów naczelnych z krajów socjalistycznych, na którym dyskutowaliśmy o wadach i zaletach wydania poświęconego dzieciom. Przez cały czas spotkania powoływałem się wielokrotnie na regulamin. Redaktorzy naczelni kronik zgłosili swoje uwagi. Uwzględniliśmy je i błyskawicznie wprowadziliśmy poprawki. Następnego dnia „Świat socjalizmu" przygotowany przez nas został zatwierdzony przez szefów zaprzyjaźnionych kronik. I było to jedyne wydanie „Świata socjalizmu", jakie ukazało się na ekranach kin polskich.

W trakcie spotkania w Warszawie koledzy radzieccy zwrócili się z prośbą, aby kolejne wydanie znowu im powierzyć, a to ze względu na Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) mającą się odbyć w Helsinkach. Kronikę zrealizowali dość szybko i sprawnie, od strony formalnej autorom nie można było nic zarzucić, ale i to wydanie nie ukazało się w Polskich kinach, albowiem inicjatorem i głównym twórcą (OBWE), wedle tego wydania, był Leonid Breżniew! Kolegium PKF, któremu przedstawiłem kronikę przygotowaną przez Rosjan uznało, że polscy widzowie nie przyjęliby tak uproszczonej relacji z Helsinek, odbiegającej od tego, co na ten temat pisała prasa polska, pokazywała telewizja i kronika. „Świat socjalizmu" poświęcony spotkaniu przywódców Europy, Stanów Zjednoczonych i Kanady w Helsinkach nie ukazał się także w Czechosłowacji i na Węgrzech.

Rosjanie dość swobodnie traktowali regulamin, opracowany i uchwalony przez redaktorów naczelnych kronik państw socjalistycznych. Na jedno ze spotkań, zorganizowanych w Moskwie, nie pojechałem. Jurij Awietikow przysłał mi w związku z tym list, którego fragment pozwałam sobie zacytować: „Drogi Mirosławie. Przesyłam Ci protokół z naszej konferencji, w którym jak sam zobaczysz uwzględnione zostały

Twoje życzenia, stąd z przyjemnością możemy uważać, iż byłeś uczestnikiem tej konferencji".

Po przeczytaniu tego zdania przypomniałem sobie zdarzenie o którym opowiedział mi Edward Osóbka-Morawski. W Moskwie odbywało się spotkanie pierwszych sekretarzy partii i premierów państw demokracji ludowych. Po skończonych obradach robiono pamiątkowe wspólne zdjęcie uczestników, następnego dnia miało ono ukazać na pierwszej stronie „Prawdy” i wszystkich dzienników ukazujących się w ZSRR. Uczestniczący w spotkaniu Władysław Gomułka nie chciał się sfotografować, udał więc, że go rozboleł brzuch i zamknął się w ustronnym miejscu. Osóbka - Morawski, ówczesny premier Polski, opowiadał mi, że przez kilka minut czekano na Gomułkę, a gdy się nie pojawił, zrobiono pamiątkową fotografię. Gomułka, zadowolony z fortelu uczestniczył w przyjęciu i nie miał wcale cierpiętniczej miny człowieka obolałego. Dopiero następnego dnia mina mu nieco zrzędła. Na zdjęciu opublikowanym na pierwszej stronie „Prawdy”, stał pośród wszystkich uczestników konferencji!

Koledzy radzieccy ciągle zgłaszali nowe pomysły. Ponownie zwrócili się do nas z propozycją, żeby powierzyć im realizację specjalnego wydania „Świata socjalizmu” z okazji zbliżającej się 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Nie ulegało wątpliwości, że dążą do tego, by to oni byli twórcami wszystkich kronik. Prawdopodobnie nie mielibyśmy nic przeciw temu, gdyby kroniki realizowane przez nich były atrakcyjne dla widzów także w Polsce, czy na przykład, na Węgrzech. Apetyty Rosjan rosły w sposób lawinowy. Po uzyskaniu zgody wszystkich partnerów na realizację wydania poświęconego rocznicy rewolucji natychmiast zażądali, że ich reżyser przyjedzie do naszych krajów, my zagwarantujemy mu pełną obsługę: operatora, transport, hotel itp., a on za nasze pieniądze zrobi zdjęcia i uczci w ten sposób radzieckie święto. Przedstawiłem tę sprawę w Wydziale Prasy, ale nie znalazłem zrozumienia. Poradzono mi, bym nie robił problemu z drobiazgów, które na to nie zasługują. Jechałem więc do Moskwy, w czerwcu 1977 roku, w nie najlepszym nastroju. W czasie obrad nie wytrzymałem, zabrałem głos i punkt po punkcie, z regulaminem w ręku, - powołując się na nauki Lenina, a także na wypowiedzi Leonida Breżniewa, poddałem krytyce dotychczasowy przebieg współpracy. Po mnie zabrał głos Werner Rose, redaktor naczelny kroniki NRD. Spodziewałem się polemiki, tymczasem, najbardziej zdyscyplinowany sojusznik radziecki wystąpił z druzgocącą krytyką dotychczasowej współpracy. Zaskoczenie było tak wielkie, że po jego przemówieniu Awietikow ogłosił przerwę. Gospodarze wybrnęli z sytuacji w sposób elegancki. Po wznowieniu obrad zaproponowali, aby zakończyć spotkanie, ponownie przemyśleć wszystkie poruszone problemy, spotkać się po pewnym czasie, opracować nowy regulamin i podjąć dalszą współpracę na nowych zasadach. Nigdy już w tym gronie się nie spotkaliśmy.

## 18. Zespół

Młodzi Polacy czytając różnych publicystów, niektórych profesorów i świeżo upieczonych doktorów nauk mogą odnieść wrażenie, że Polska Ludowa była jednym wielkim obozem, w którym funkcję nadzorców stanowili członkowie partii wyposażeni w knuty, kańczugi i pałki. Ten uproszczony obraz można odnaleźć również w publikacjach o Polskiej Kronice Filmowej.

W tej sytuacji uznałem za uzasadnione przedstawić sylwetki ludzi, którzy Polską Kronikę Filmową tworzyli. Poznałem ich w lipcu 1969 roku, gdy rozpoczynałem pracę w redakcji. Zacznę od operatorów-weteranów.

Operatorzy:

- Karol Szczeciński. „Pan Karol,” cieszył się wówczas największą sławą, a to między innymi dzięki Wyścigowi Pokoju, który filmował z helikoptera, a jego niemal akrobatyczne wyczyny utrwalili koledzy. Pan Karol, tak go nazywano w redakcji, był polskim operatorem, który filmował proces zbrodniarzy hitlerowskich w Norymberdze. Swoją sylwetką bardziej przypominał oficera niż operatora. Może, dlatego polubił go generał Wojciech Jaruzelski. Zawsze na manewry i wojskowe uroczystości kronika wysyłała pana Karola, bo zapraszający delikatnie sugerowali, że generał widziałby mile Karola Szczecińskiego. Pan Karol zwierzył mi się kiedyś, że Wojciech Jaruzelski w czasach, gdy nie nosił jeszcze szlifów generalskich zasięgał jego rady w kwestiach bardzo osobistych.

Pan Karol należał do ludzi, którzy nie znali słowa „nie.” Pracę w kronice traktował jak misję, dlatego o każdej porze dnia i nocy redakcja mogła do niego zadzwonić i zlecić mu realizację zdjęć.

Opowiedział mi kiedyś swoją przygodę. Wracał samolotem z Moskwy. Celnicy nie poprosili go o otwarcie walizki, bo pan Karol znany był z tego, że nigdy nic nie przemyślał, słynął z krystalicznej uczciwości. Na Okęciu wsiadł do taksówki i przyjechał do domu. Otworzył walizkę chcąc żonie i synowi wręczyć upominki i oniemiał.

Zamiast prezentów i rzeczy osobistych znalazł w walizce kawior, koniak, kawę i kilka innych towarów poszukiwanych wówczas na polskim rynku. Natychmiast pojechał na lotnisko. Własnej walizki nigdy nie odzyskał. Osoba, która przez pomyłkę zabrała walizkę pana Karola nigdy się po swoją nie zgłosiła. Pewno nie lubiła celników.



Bogdan Zagroba, dziennikarz tygodnika „Film” artykuł poświęcony panu Karolowi zatytułował: „Karol Szczeciński, człowiek, który był wszędzie.” I wszystko filmował.

- Leonard Zajączkowski. O nim, podobnie jak o Karolu Szczecińskim, w redakcji mówiono: „Pan Leonard.” Człowiek nadzwyczajnie skromny, wielki znawca teatru, dlatego większość sztuk wystawianych w Warszawie utrwał na taśmie Pan Leonard. Nigdy, nikt z redakcji nie odważyłby się zasugerować mu, jakie ma wybrać fragmenty spektaklu, ponieważ on wiedział najlepiej, co pokazać milionom widzów PKF. Twórca zdjęć do filmów fabularnych cieszył się w kronice szacunkiem i podziwem całego zespołu. „Życie Warszawy” (15.11.1964r.) pisało o nim: „Od 1948 roku jako operator PKF zajmuje się przeważnie sprawami związanymi z życiem kulturalnym - teatrem, wystawami, muzyką itp. Czy kocha swój zawód?”

- Nigdy nie zdradzę PKF! - powiedział nam p. Zajączkowski." I słowa dotrzymał!

- Henryk Makarewicz. „Pan Henryk,” do Krakowa przyszedł z Polskim Wojskiem. Od zawsze był kierownikiem Oddziału Polskiej Kroniki Filmowej w królewskiej stolicy Polski. Jego autorstwa są w większości tematy z tamtego regionu, z Podhala, Galicji i Małopolski. On je proponował i realizował jednocześnie. Na kilometrach taśmy zapisał budowę Nowej Huty, ale także ważne wydarzenia i zdarzenia związane z polską tradycją i kulturą ludową. Potomni docenią jego kronikarską pracę.

- Elżbieta Zawistowska. „Nasza Ela,” przez wiele lat była „jedynaczką” - pierwszą kobietą w Polsce, która po ukończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi potrafiła posługiwać się kamerą profesjonalną. Nie przestraszyła się męskiej konkurencji i wygrała trudne, ale barwne życie. Elę wszyscy lubili, by nie powiedzieć kochali. Obdarzona talentem i nadzwyczajnym poczuciem humoru, co wyróżniało jej tematy, angażowała się społecznie i politycznie. Przez wiele lat była delegatem redakcyjnym w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. A gdy nadszedł czas przemian stanęła po właściwej stronie. Nie lękała się ludzi, którzy pełnili funkcje kierownicze. Patrząc prosto w oczy mówiła, co myśli i czuje, potrafiła bronić swoich przekonań niezależnie od okoliczności.

- Józef Bakalarski. „Józek.” Nie dał sobie dmuchać w kaszę. Lubił filmować wszelkie zdarzenia zabronione. Opowiadał, że wynalazł niezawodny sposób przedostawania się przez zaporę milicyjną. Szedł pewnym siebie krokiem prosto na milicjanta, odginał klapę marynarki i oznajmiał: ja też glina! Skutkowało. Odszedł do telewizji. Jego decyzję przyjęliśmy jak wielką stratę.

-Ryszard Golc. „Rysiek.” Sprawiał wrażenie człowieka nieśmiałego, nawet nieporadnego. Zmieniał się, gdy brał do ręki kamerę. Miał swoje zawodowe tajemnice

i strzegł ich dość pilnie. W słońcu Syrii załadował do kasety najbardziej czułą taśmę, nieśmiało zwróciłem mu na to uwagę, sądząc, że się pomylił.

- To nie pomyłka, odpowiedział, tylko moja tajemnica. Nie zauważyłeś, że jednocześnie włożyłem do kamery odpowiedni filtr. Do laboratorium oddawał naeksponowaną (naświetloną) taśmę zawsze z drobiazgowym opisem i zaleceniami jak ją wywoływać. W Gdyni, przed rejsem „Lechistanem II” filmował zakłady przetwórstwa rybnego. Towarzyszyłem mu, przy zwiedzaniu hal produkcyjnych. Nie dostrzegłem tam nic nadzwyczajnego. Podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami. Taśmy produkcyjne i nic poza tym. Ot, jeszcze jeden produkcyjniak. Nie zaprzeczył tylko poprosił, aby mógł po powrocie z rejsu pod muzykę, którą sam dobierze temat zmontować. Pływaliśmy sześć tygodni. Zapomniałem o fabryce konserw, aż tu pewnego razu Rysiek zajrzał do pokoju i zapytał: masz trochę czasu. Zaprowadził mnie do montażowni, posadził przed ekranem i powiedział: popatrz. Obejrzałem poemat o ruchu i rytmie, a nie temat o produkcji konserw. Dziś, z pewnością niejedyn dowód, na to, w jaki perfidny sposób komuchy uprawiały propagandę sukcesu i poddawały indoktrynacji ideologicznej zniewolone społeczeństwo. Ryszarda Golca, operatora Polskiej Kroniki Filmowej, który świat widział inaczej niż my, zwykli zjadacze chleba, lubili i cenili wszyscy, przede wszystkim widzowie, ale także dostojnicy partyjni i państwowi, ich żony i dzieci.

- Waldemar Grodzki. „Waldek.” Absolwent szkoły filmowej w Pradze. Chrzczenie zawodowy przeszedł w grudniu 1970 roku, jako asystent Janusza Kreczmańskiego w czasie wydarzeń w Szczecinie. Bardziej interesował go film dokumentalny, ale dobrze się czuł także w kronice. -- - Witold Jabłoński. „Witek.” Spokojny, dobrze zorganizowany. Zawód operatora traktował jak powołanie, a nie sposób zarobkowania. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Afganistanu wyjechał do Kabulu, jako członek ekipy Polskiej Kroniki Filmowej. Jego zdjęcia obiegły cały świat. Przeżył ten wyjazd bardzo ciężko, bo ukradli mu tam paszport. Witek stanowczo za bardzo ufał ludziom.

- Janusz Kreczmański. „Januszek.” To kipiące życie! Człowiek o wielkim temperamencie, zaangażowany we wszystko. Tacy ludzie nie mają łatwych charakterów. To też Janusz nie stanowił wyjątku od reguły, co nie ułatwiało mu życia. Na wszystko patrzył krytycznie, więc proponował i bardzo chętnie realizował tematy krytyczne. Prowadziliśmy z sobą długie dyskusje i spory. Może właśnie, dlatego doskonale się rozumieliśmy. Nikt w redakcji nie znał się na sporcie, tak jak on. O zawodnikach wiedział wszystko, czym zadziwiał największych fachowców. Filmował igrzyska olimpijskie w Monachium i Montrealu, razem zmagaliśmy się z przeciwnościami losu na Mundialu w Argentynie.

A gdy mu zbrzydło życie nad Wisłą wyruszył na poszukiwanie wielkiej przygody. Dotarł do Australii. Z pasją filmuje i opisuje w książkach swoich nowych przyjaciół - Aborygenów. Zyskał ich zaufanie. Nadali mu przydomek: „Tjupurula” - Stary Kangur. I choć los go nie oszczędza, nie poddaje się i stawia mu mężnie czoło. Ostatnio pokazał mi portrety Aborygenów, których maluje. Janusz Kreczmański - Stary Kangur.

- Janusz Kuźniarski. „Janusz.” Pokonywał z kamerą polskie bezdroża, polne i wiejskie drogi. Jak nikt w zespole znał egzystencję Polaków małych miasteczek, PGR-ów, wsi mazurskich i podlaskich. Nie poprawiał rzeczywistości, ukazywał ludzi bez makijażu. Aż nie chce się wierzyć, że w jego tematach, prawdy o tamtych czasach współcześni pogromcy kroniki nie dostrzegają. Dobrze zbudowany i małomówny sprawiał wrażenie ociężałego, ale solidnego. Bez aktorskich sztuczek stawał za kamerą, nie prosił o uśmiech, nie reżyserował, nie koncentrował na sobie uwagi osób filmowanych. I może właśnie to sprawiało, że ludzie w jego tematach zachowywali się normalnie.

- Stanisław Mazurkiewicz. „Staszek.” Zaczynał od funkcji asystenta. Talent sprawił, że awansował na operatora. I dobrze sobie radził na planie, nie ustępował w niczym kolegom z dyplomami. Zaskoczył redakcję decyzją o przejściu do telewizji. Żałowaliśmy go wszyscy.

- Zbigniew Skoczek. „Zbyszek.” Człowiek, który nigdy się nie denerwował. Miał w sobie coś z misia. Spokojny i pogodny. Jego zdjęcia wyróżniały się własną estetyką. Nigdy nie popadł w sztamę, nawet, gdy filmował oficjalne imprezy. To też dziennikarze bardzo często, gdy zgłaszali tematy zastrzegali, że mogą je zrealizować tylko ze Zbyszkiem. Trzynastego grudnia 1981 roku filmował Warszawę.

- Sławomir Sławkowski. „Sławek.” Nie uznawał słowa „niemożliwe.” Bardzo sprawny i doskonale zorganizowany. Miał nadzwyczajne poczucie humoru i to mu ułatwiało życie. Gdy po wizycie u premiera, który nas ostro skrytykował zastanawialiśmy się z szefem PKF, Michałem Gardowskim, gdzie tu znaleźć kilka kombajnów, by je razem sfilmować, Sławek przysłuchując się naszym lamentom powiedział: zarezerwujcie w następnym wydaniu sześćdziesiąt metrów dla mnie i wyszedł z redakcji. Przywiózł z poznańskiego kombajny, które kosily wielki łąn pszenicy. Miał dar zdobywania zaufania swoich rozmówców i to pod każdą szerokością geograficzną. Nie wiele brakowało, a zorganizowałby defiladę wojsk indyjskich w Dakce. Musiałem mu długo perswadować, że robimy reportaż filmowy, a nie film dokumentalny. Dokument czy reportaż, jakie to ma znaczenie, tłumaczył mi rozgoryczony. Nic tak nie rajcuje widza w kinie jak dobrze sfilmowany pogrzeb i właśnie defilada wojskowa.

- Roman Trzeszewski. „Romek." To „pan na włościach", mówiono o nim. Albowiem kierował oddziałem Polskiej Kroniki Filmowej w Katowicach. A było to wówczas najważniejsze województwo w Polsce. Romek zasłużył się Śląskowi mrówczą i wytrwałą pracą kronikarza. To on upamiętniał na taśmie bohaterów tamtych czasów: górników i hutników. Ceniony na Górnym Śląsku przez widzów i przez miejscowe władze.

Dziennikarze:

Dziennikarze jak wędrowne ptaki, jedni bawili na Chełmskiej od zawsze, inni odlatywali w poszukiwaniu lepszych warunków

- Maria Dehn. „Maria". Kierownik działu zagranicznego. Wtedy nie używano takich zwrotów, ale dziś bez przesady można ją nazwać pierwszą damą kroniki. Wszechstronnie wykształcona, posługiwała się swobodnie czterema obcymi językami (angielski, francuski, niemiecki i rosyjski) porozumiewała się także we włoskim i hiszpańskim. Utrzymywała wymianę materiałów z kronikami na całym świecie. Wiedza i jej sposób bycia sprawiały, że wśród kronikarzy świata miała tylko przyjaciół.

Bez błędnie orientowała się, jaki materiał o naszym kraju wysłać do zagranicznej kroniki. To dzięki jej pracy, przez wiele lat Polska Kronika Filmowa utrzymywała się na czołowym miejscu, jeśli chodzi o zamieszczane tematy o Polsce w kronikach zagranicznych. Na kongresach kronik, oczywiście w częściach roboczych, w sposób koleżeński i przyjazny szefowie kronik mówili o błędach występujących we współpracy. Nie zdarzyło się, aby kiedykolwiek powiedziano, że PKF nie przysłała materiału. Wielokrotnie dziękowali Marii za rzetelność i obowiązkowość. W roku 1981 król Belgów, Baldwin I, odznaczył Marię ORDRE DE LA COURONNE za owocną pracę w popularyzacji Belgii w Polsce i Polski w Belgii. Kierowanie działem zagranicznym pochłaniało cały jej czas. Ale nie stroniła od problematyki krajowej. Tematy przez nią realizowane wyróżniały się logiką i zwięzłością wypowiedzi. Maria Dehn zrealizowała wydanie (21A/81) Pt. „Życie rodzinne" w całości poświęcone Lechowi Wałęsie. Pokornie proponuję wszystkim obecnym krytykom PKF, aby zechcieli skonfrontować kronikę z innymi mediami, gazetami codziennymi i tygodnikami tamtych czasów, bo tylko w ten sposób można ocenić fakt ukazania się na ekranach kin całej kroniki poświęconej robotnikowi ze stoczni. Maria Dehn wiedziała jak go przedstawić widzom.

- Regina Biczyńska. „Renia" wspomagała Marię w dziele wymiany zagranicznej. Skromna, pogodna i miła była uosobieniem dobroci i delikatności. Podobnie jak jej

szefowa sumienna w pracy. Przyznaję, że dzięki Marii i Reni działem zagranicznym zajmowałem się tylko od święta.

- Barbara Dudkiewicz. „Basia.” Sekretarz redakcji, czyli jak się wtedy mawiało: szef sztabu. Do mnie to określenie nie trafiło, może, dlatego, że nigdy nie służyłem w wojsku. Basia była na tym stanowisku niezastąpiona. To ona odpowiadała za wyjazdy ekip filmowych, za organizowanie nagrań, projekcje materiałów, wyceny i wszystko, czym żyła redakcja. Znajdowała jeszcze czas na realizację własnych tematów. Pracując ukończyła Wydział Dziennikarski Uniwersytetu Warszawskiego. Nie poddała się w czasach potępienia Polski Ludowej. W swojej małej ojczyźnie publikuje w miejscowej prasie. Wydała kilka tomików wierszy. Píše fraszki:

POLSKA DEMOKRACJA: Prawa noga/lewa noga/w środku /wyboista droga.../  
MAESTRO: Odkąd nam rynek/ gra pierwsze skrzypce/ileż wartości/ legło w rozsypce.../

- Maria Góralczyk. „Maryla.” Nigdy nie ukrywała swoich poglądów, a zwłaszcza niechęci do kierowniczej roli nieomyślnej partii. Wrażliwa i z tego powodu chyba trochę nieszczęśliwa, najchętniej zajmowała się tematami poświęconymi kulturze. To też nikogo w redakcji nie zdziwiło, gdy wyjechała do Sztokholmu ze Staszkiem Plewą na uroczystości wręczenia Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla. Zrealizowała o poecie całe wydanie Kroniki (7A/81) Autorka, zaprezentowała poecie wydanie osobiście, na pokazie, który odbył się na Chełmskiej 21, w sali „B.” „Czas Wisły” (6A/80) barwne wydanie poświęcone królowej rzek polskich, autorstwa pani Maryli, zwróciło na siebie uwagę prasy. „Ekran” (24.02.1980) poświęcił tej kronice aż trzy kolumny. Urzeczony obrazem Witold Rutkiewicz pisał: „...waga tej kroniki... jest nieoceniona. Z właściwą autorom PKF zwięzłością, trafnym i sugestywnym komentarzem, perfekcyjnością fotografii, czystością montażu, na przestrzeni dwudziestu minut rysuje ogrom problemów - wciąż rozwiązywanych, wciąż do rozwiązania - piętrzących się przed „rzeką rzek” polskich.” Autor kończy recenzję słowami: „Ogromną zaletą „Kroniki 6A/80” jest to, że znaczenie zagospodarowania rzeki ukazuje poprzez jej piękno. W ten sposób temat Wisły... doczekał się dokumentacji emocjonalnej.” Dodam, że „Czas Wisły” - poetycki obraz rzeki, ukazał się w cyklu przed VIII Zjazdem PZPR. Wspominam o tym, nie bez kozery, pani Maryla nie pałała miłością do partii, wręcz się jej bała.

Pewnego razu zadzwoniła do mnie z Torunia, bo napotkała na jakieś trudności w realizacji tematu. Poradziłem jej, aby udała się do wydziału kultury komitetu partii. Moja propozycja zaszokowała ją do tego stopnia, że wykrzyknęła w słuchawkę: szefie, pan chyba oszalał!

Temat przywiozła i to bardzo dobry. Wyobrażam sobie, jakie przeżywała katusze przekraczając progi komitetu partii. To też ze zdumieniem wysłuchałem jej relacji o

tym, że spotkała w „jaskini piekielnej” ludzi kulturalnych, wykształconych i życzliwych. Panią Marylę spotykam czasami na przystanku autobusowym. Kiedyś wygarnęła mi „komusze” grzechy, tzn. zatrudnienie Otamary. Miała, niestety, rację. Pani Maryla Góralczyk ma bardzo rozwinięty zmysł krytyczny i jak wynika z moich z nią rozmów na przystanku autobusowym, chyba nigdy nie polubi żadnej rządzącej partii.

- Janina Motylińska. „Pani Janka.” Specjalizowała się w problematyce społecznej, najlepiej udawały jej się tematy krytyczne. Gdy w „środkach masowego przekazu” nie gościły tematy o narkomanii zrealizowała całe wydanie kroniki o ludziach uzależnionych (24A/81). Była autorką wydania, w całości poświęconego inżynierowi Karpińskiemu. Kronika ta poruszyła środowisko naukowe i techniczne, wywołała dość burzliwe dyskusje. Ale ciągi za to wydanie zbierałem ja, a nie autorka. Współpraca z Janiną Motylińska układała się dobrze, dlatego do dziś nie mogę zrozumieć, że opowiedziała się po stronie Otamary.

- Piotr Halbersztat. „Piotruś.” Zrównoważony, spokojny, wykształcony. Wszystko napisałem o nim w rozdziale „22 Manipulatorzy.”

- Krystyna Targosz. „Krysia.” Zaliczam ją do przelotnych ptaków. Jako kobieta działała na męską wyobraźnię i zdawała sobie z tego sprawę. Z pewnością ułatwiało jej to realizację tematów. Podkochiwali się w niej prawie wszyscy koledzy z PKF, a także kilku z Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Dwukrotnie przedstawiciele Ministerstwa Spraw Wewnętrznych okazali jej swoje zainteresowanie. Pierwszy raz przedstawiciel tego resortu złożył mi wizytę w redakcji i poinformował o jej występie w klubie aktora i dziennikarza w Rzeszowie. Odpowiedziałem mu, że nie interesuje mnie prywatne życie dziennikarek. Krysia była bardzo dobrą matką i samotnie wychowywała synka, którego bezgranicznie kochała. Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, poprosiła o opinię zawodową. Otrzymała najlepszą, jaką potrafiłem napisać. Już po jej wyjeździe inny pracownik wspomnianego resortu zapytał mnie, dlaczego otrzymała taką dobrą opinię. Odpowiedziałem, że była znakomitą dziennikarką. Po latach „wpadła” do Warszawy, spędziłem w jej towarzystwie i Basi Siwińskiej uroczy wieczór. Opowieściom o sukcesach zawodowych po drugiej stronie oceanu nie było końca...

- Rajmund Ossowski. „Rajmund”. Napisałem o nim wszystko w innych rozdziałach. On też, przelotny ptak, wyemigrował do USA. Zawsze, gdy odwiedzał kraj, wpadał do nas do domu z kwiatami dla Reni, dla mnie z whisky. Widział świat inaczej, kochał inaczej, nie znosił zaścianka i kołtuństwa. Czy w Stanach zrobił karierę? Nie wiem, nagle słuch o nim zaginął. Rajmund Ossowski - człowiek wolny.

- Janusz Kędzierzawski. „Janusz”. Mój przyjaciel i mój zastępca. Nie można go scharakteryzować w kilku zdaniach. Patrzył na otaczającą go rzeczywistość ze stoickim spokojem. Różniliśmy się pod względem charakterów, ale może, dlatego

doskonale się rozumieliśmy i uzupełnialiśmy. Oberwał za mnie kilka razy w życiu, od premiera Jaroszewicza i nie tylko. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Spotykamy się coraz rzadziej, najczęściej na pogrzebach znajomych. Młodszy ode mnie, mam, więc nadzieje, że będzie mi towarzyszył w ostatniej drodze, w myślach przynajmniej.

- Barbara Siwińska. „Basia.” Prowadziła bezbłędnie sekretariat. Traktowałem ją niemal jak córkę. Nie mogłem być osobiście na jej ślubie, ale zastąpiła mnie na tej uroczystości moja córka. Gdy nie z własnej woli zostałem wydawcą książek, Basia poprosiła mnie o pracę, bo mój wojenny następca w PKF składał jej propozycje, których nie mogła przyjąć. Pracowaliśmy razem w „Fikcjach i Faktach.” (Szukać w katalogu książek). A gdy mnie z Krajowej Agencji Wydawniczej wylano, („za nadmierną miłość do partii”), stworzyliśmy z Basią, na zlecenie pani Cegielskiej, prywatne wydawnictwo. Szło nam dość dobrze. Drukarnia pani Cegielskiej, pracowała pełną parą. Korzystając z doświadczenia zdobytego na Wilczej nawiązaliśmy szybko kontakty z autorami i firmami zachodnimi. Ale przeszkodziła nam w rozwinięciu skrzydeł polityka pierwszego rządu demokratycznego, a ściślej zastąpienie barterowej wymiany towarowej z naszym wschodnim sąsiadem, dolarami.

Piszę o tym bez goryczy. Ale smutno mi, że stałem się ciężarem dla naszego ukochanego państwa demokratycznego, miast przysparzać mu dochodów w postaci wysokich podatków. Z Basią Siwińską i jej mężem, panem inżynierem Krzysztofem Siwińskim, do tej pory utrzymujemy kontakty.

Pragnę tu jeszcze wspomnieć o Krysi Kuźniarskiej, która przyszła do redakcji po konflikcie w archiwum i doskonale dawała sobie radę w lektoracie i o Staszce Zielińskiej, która stała na straży finansów, rozliczała delegacje i zajmowała się lichymi honorariami.

## Młodzi

Pod koniec lat siedemdziesiątych do kroniki zaczęli napływać młodzi dziennikarze i operatorzy. Pierwszy pojawił się Stanisław Fiuk, absolwent Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, który po pewnym czasie do nazwiska dodał drugi człon „Cisowski.” Ale zanim się to wydarzyło...

Pewnego dnia, gdy rano przyszedłem do pracy w sekretariacie redakcji powitały mnie jak nigdy cisza i tajemnicze spojrzenia... W swoim pokoju na biurku znalazłem rozłożoną gazetę terenową, chyba z Białegostoku, a w niej wywiad Stanisława Fiuka, w którym krytykuje „kierownictwo” redakcji, za to, że mu nie pozwala rozwinąć skrzydeł. Przeczytałem uważnie wynurzenia młodego kolegi, wzruszyłem ramionami, bo przypomniałem sobie własny start i moje krytyczne uwagi o pierwszym redaktorze naczelnym. Zignorowałem, to zdarzenie i udałem się na projekcję materiałów filmowych. Nie upłynęło od tego dnia zbyt wiele czasu, gdy zespół niemal w

komplecie, spotkał się w prywatnym mieszkaniu na imieninach. Kiedy po kilku toastach atmosfera zupełnie się rozluźniła, uczestnicy biesiady zaczęli sobie ze mnie dworować, że podcinam skrzydła młodemu i zdolnemu koledze, intrygowało ich wszak moje milczenie. Do tematu Fiuka - Cisowskiego i jego wywiadu wróciła komisja weryfikacyjna w styczniu 1982 roku. Pytano mnie, w jakich okolicznościach przyjąłem go do pracy i z czyjego polecenia, jak zareagowałem na wywiad, jak oceniam jego pracę? Zdziwiło mnie to nadmierne zainteresowanie komisji, właśnie Stanisławem Fiukiem. Sądziłem, że weryfikatorzy mają do niego zastrzeżenia, zacząłem, więc go bronić, podając przykład, że z własnej woli, bo nikt go nie namawiał, wstąpił do partii. Nie miałem żadnych zastrzeżeń ani do jego pracy, ani do postawy politycznej.

Mniej więcej w tym samym czasie podjęli pracę w redakcji Marta Waluchowska, Paweł Łepkowski, Małgorzata Cendrowska i Ewa Bielska, no i oczywiście po ukończeniu studiów dziennikarskich, Bogdan Saganowski, najlepiej przygotowany do pracy w kronice, albowiem Sławek Sławkowski, którego był asystentem, po ojcowsku wprowadzał go w tajniki wiedzy filmowej. Pamiętam jego kronikę, w której ukazywał, w burzliwych czasach, zebranie załogi, jakiegoś zakładu pracy, na którym wybierano dyrektora. Zakończył to wydanie głosem z sali. Pewien robotnik zaproponował, aby dzień ten uczcić uchwałą i ogłosić go wolnym od pracy. Ta pointa znakomicie oddawała nastroje i marzenia tamtych czasów. I polską mentalność.

Pojawili się też młodzi operatorzy. Ewa Strzałka, która przerwała monopol Eli Zawistowskiej, Cezary Makowski, Leszek Winnicki i Stanisław Plewa, wielce utalentowani, z dyplomami szkoły filmowej w Łodzi.

Różnili się od nas nie tylko wiekiem, ale przede wszystkim sposobem patrzenia na otaczającą rzeczywistość. Ich zdjęcia niby takie same, a jednak inne niż doświadczonych kolegów. Inny koloryt i nastrój, inny sposób ukazywania ludzi.

Dziennikarze zgłaszali odmienne tematy. Oto, Ewa Bielska zaproponowała temat o budowie szerokotorowej linii kolejowej, łączącej ZSRR z Hutą Katowice. Pomyślałem wówczas: Boże, jeszcze jeden produkcyjniak. Nie chciałem zrażać młodej dziennikarki i wyraziłem zgodę. Zrealizowała całą Kronikę „Obok toru” (30B/81), ukazując jak wielkie gospodarcze i polityczne przedsięwzięcie wpływa na losy ludzi, jak im komplikuje i utrudnia życie.

W tamtych czasach życie toczyło się wartko. Więc pani Ewa proponuje wywiad z Maciejem Szczepańskim, który siedzi nie na Woronicza, a na Rakowieckiej. Czas biegnie szybko. Wyrażam zgodę, bo choćbym chciał nie mogę postąpić inaczej. Może to brzydkie, ale mam jakąś satysfakcję, że Polska Kronika Filmowa będzie filmować prezesa Radiokomiteu, Macieja Szczepańskiego. Uprzedzam tylko panią Ewę, by przygotowała sobie pytania i dbała, aby prezes na nie odpowiedział. To wszak doświadczony i inteligentny twórca propagandy sukcesu.



Od pani Ewy dowiaduje się, że akt oskarżenia prezesa liczy kilka grubych tomów. Oskarżają go między innymi o to, że samowolnie z okazji pierwszej wizyty papieża Jana Pawła II w Polsce podniósł diety ekipom obsługującym pielgrzymkę do pięciuset złotych dziennie. Każdemu asystentowi, kamerzyście, kierowcy wozu, inżynierowi dźwięku i komu tam jeszcze.

Sądzę, że pani Ewa coś pomyliła. Mówię jej, to niemożliwe. I proszę, aby sprawdziła. Na drugi dzień potwierdza, że prokuratorzy postawili taki zarzut.

Wtedy opowiedziałem młodej koleżance, że byłem świadkiem jak powstała decyzja o podwyższeniu diet. Otóż, na naradzie w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej poświęconej pielgrzymce papieża, Maciej Szczepański, zaproponował, aby podnieść diety, bo ekipy muszą korzystać z posiłków w tych hotelach, gdzie mieszkają. Nie może być tak, że pobiegną do baru mlecznego, bo na śniadanie w „Cracovii” nie starczy im pieniędzy. Redaktorzy uczestniczący w naradzie poparli propozycję prezesa. Członkowie ekip PKF też dostali po 500 złotych diety. Jeśli wszystkie zarzuty są tej miary, to prezes rychło wyjdzie na wolność.

Obejrzałem materiał z ogromnym zainteresowaniem. Podjąłem decyzję, że po wyroku sądu, pani Ewa wykorzysta materiał o Macieju Szczepańskim, człowieku, który usunął PKF z telewizji.

Na marginesie wspomnę, że przeglądając materiały archiwalne znalazłem notatkę w „Expressie Wieczornym” (30. 10. 1980 r.), która informowała: „ Po sześciu latach przerwy wraca na ekrany telewizorów Polska Kronika Filmowa.” „Express Wieczorny” poinformował czytelników, że „ W ubiegłym roku z inicjatywy PKF we wszystkich kinach Polski przeprowadzono ankietę. Na pytanie: Czy chciałby Pan (Pani) żeby PKF była prezentowana w TV? Aż 92 proc. osób odpowiedziało „tak.”

Emisję Kroniki w TV przywrócił nowy prezes, Zdzisław Balicki.

Wracając do młodych pracowników dodam jeszcze, że Ewa Bielska wyróżniała się z całego grona największą ambicją, dociekliwością i ogromną wrażliwością społeczną. Wspólnie ze Stanisławem Plewą stworzyli świetny zespół, tematy, które realizowali wyróżniały się w kronice.

Stanisław Plewa został poturbowany przez „siły porządkowe”, gdy filmował zajęcia w szkole pożarniczej w Warszawie. Wysłałem do rzecznika prasowego rządu protest. W piśmie pytałem jak to się dzieje, że milicja pobiła operatora Polskiej Kroniki Filmowej, a pozwalała filmować operatorom telewizji zagranicznych. Było w moim pytaniu sporo naiwności. Dowiedziałem się otóż, że operatorzy zagraniczni, to przecież przebiegający.

Leszka Winnickiego wysłałem w długi pełnomorski rejs, z którego przywiózł doskonale zdjęcia. Ostatnią młodą operatorką, którą przyjąłem do pracy była Tatiana Dębska. Kronikę tworzył liczny zespół ludzi. Montowały ją panie: Irena Jasińska, Grażyna Kociniak, Barbara Kosidowska, pan Wacław Kaźmierczak, a także pani Jadwiga Zajiček, o której za chwilę. Muzykę podkładały panie: Marta Broczkowska, Krystyna Tunicka - Palluth i pan Ryszard Sulewski.

Każda z opisanych tu osób wносиła swój talent i sprawiała, że kronika cieszyła się uznaniem widzów. W przytłaczającej większości twórcy Polskie Kroniki Filmowej nie należeli do partii. Tylko trzech dziennikarzy nosiło czerwone legitymacje, łącznie ze mną, oczywiście. Tylko pięciu operatorów należało do partii. Piszę o tym z kronikarskiego obowiązku. Bo przecież członkowie partii nie korzystali w redakcji z przywilejów, nie mieli wyższych pensji. Nawet w burzliwych czasach powstawania „Solidarności” w kronice nie akcentowano podziałów. Nikomu też nie zabraniano nosić biało-czerwonych opasek.

W Polskiej Kronice Filmowej, jak w każdym zespole występowały różnice poglądów, na zebraniach redakcji, na wycenach i „układkach” trwały niczym nieskrępowane dyskusje. Ale nie było sielanki.

Pani Jadwiga Zajiček napisała na mnie skargę do Wydziału Prasy KC PZPR. Pani Jadzia, tak ją nazywaliśmy, znakomita montażystka przygotowała specjalne, kolorowe wydanie z okazji, chyba trzydziestolecia Polski Ludowej. Przygotowała Kronikę według własnego pomysłu i talentu. Spłynęłyby na nią największe pochwały, gdyby nie to, że podłożyła jednocześnie muzykę. Ale nie porozumiała się z Ryszardem Sulewskim, na którego wypadła kolej opracowania muzyki do wydania. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych zaliczała się do tych zakładów produkcyjnych, w których wszystko było uporządkowane. Operatorzy robili zdjęcia, reżyserzy tworzyli z tych zdjęć filmy według własnej wyobraźni, montażyści te filmy sklejali, dźwiękowcy podkładali muzykę itd. itp. Każdy z tych zawodów wymagał właściwych kwalifikacji i szef kroniki nic w tym układzie nie mógł zmienić. Zapytałem, więc panią Zajiček czy porozumiała się w tej sprawie z panem Sulewskim? Pani Jadzia nie widziała takiej potrzeby. A ja nie mogłem przecież pozbawić pana Sulewskiego zarobku. Muzyka wybrana przez panią Jadzię bardzo mi się podobała, więc zaproponowałem, że muzykę pozostawimy, ale za opracowanie muzyczne zapłacimy Sulewskiemu. Zobowiązałem się załatwić sprawę z panem Ryszardem. Pani Jadwiga Zajiček, niestety, moją propozycję odrzuciła. Ryszard Sulewski podłożył, więc muzykę według własnego pomysłu.

Nadspodziewanie szybko przyjechał na Chełmską Zdzisław Andruszkiewicz, zastępca kierownika Wydziału Prasy KC PZPR. Obejrzał obie wersje i oświadczył, że bardziej mu się podoba muzyka, którą przygotowała pani Zajiček.

- Mnie też, odpowiedziałem.

- To, po co ten spór?

Wyjaśniłem mu wszystkie kwestie, a na zakończenie oświadczyłem, że nawet on nie może zmienić mojej decyzji, ale może zmienić redaktora naczelnego, bo to leży w jego kompetencji.

Pani Jadwiga Zajiček od tej pory ignorowała mnie przy każdej okazji. A po awansie męża na wysokie stanowisko w Ministerstwie Kultury i Sztuki, wręcz próbowała kierować kroniką. Nie raczyła poinformować mnie, o wyjeździe na urlop. Po urlopie już nie nawiązaliśmy współpracy. Bardzo tego żałowałem, bo talent pani Jadwigi Zajiček wysoko ceniłem. To był jedyny przypadek, gdy zrezygnowałem ze współpracy z osobą, którą bardzo ceniłem.

Wypowiedziałem to zdanie u Marii Dehn, gdy wspominaliśmy „stare dobre czasy.”

- Nie jedyny, odpowiedziała Maria. Zwolniłeś jeszcze Zbyszka Karpowicza.

Nie mogłem sobie przypomnieć tego zdarzenia. W domu sięgnąłem do notatek.

Zbigniew Karpowicz, podobnie jak wszyscy operatorzy filmował czyn partyjny. Czyn partyjny nawiązywał do leninowskich „subotników.” Polegał na tym, że raz w roku członkowie partii w całym kraju, w określoną niedzielę, otrzymywali łopaty bądź grabie i przystępowali do plantowania lub uprzątnięcia zaśmieconych terenów, sadzenia drzew i krzewów. Nie było, to sprzątnięcie świata, a jedynie Polski. Kronika, oczywiście filmowała.

W dwa dni po czynie partyjnym przyszedł do mnie dyrektor wytwórni błady i wystraszony. Oznajmił, że przed chwilą dostał polecenie, aby Zbigniewa Karpowicza zwolnić z pracy za niewłaściwe filmowanie czynu partyjnego. Nie powiedział, kto mu wydał polecenie. Z pewnością nie Wydział Prasy KC PZPR, bo w sprawach kroniki zawsze dzwoniło do mnie.

Poinformowałem dyrektora, Edwarda Burbę, że jeszcze nie obejrzałem materiałów i zaprosiłem go na projekcję. Dyrektor zaproponował, aby nie nadawać sprawie rozgłosu, więc projekcja materiałów z czynu odbyła się w redakcyjnym gronie.

„Przestępstwo” Zbigniewa Karpowicza polegało na tym, że sfilmował kierownictwo partii na tle napisu „cyrk polsko - radziecki.”

Poinformowałem o tym dyrektora. I wyraziłem zdziwienie, że z tak błahego powodu nakazano zwolnić operatora, wszak to ujęcie nie musi ukazać się na ekranie. Ale mój rozmówca nie ustępował. zaproponowałem wtedy, że wystarczy, gdy na pewien czas nazwisko Karpowicza przestanie ukazywać się w PKF i dodałem, że jest on z redakcją bardzo luźno związany, i wyraziłem chęć porozmawiania z nim, o tym osobiście. Dyrektor przyjął moją propozycję, ale oświadczył, że Karpowiczowi wyjaśni wszystko w cztery oczy, albowiem, to on, Burba dostał polecenie, by go zwolnić. Dlaczego Maria Dehn przypisała, to mnie?

W parę dni po tym zdarzeniu w stołowce sejmowej do naszego stolika dosiadł się Jerzy Łukaszewicz, sekretarz KC PZPR, kiedy rozmowa zesłała na czyn partyjny koledzy zaczęli opowiadać, że ludzi najbardziej oburza to, iż często uporządkowane tereny w parę dni po czynie są rozkopywane. A dziennikarka z „Życia Warszawy” dodała: to, że rozkopują jest bez znaczenia, przyzwyczailiśmy się wszak do tego, że rozkopaną dziś jezdnię przez wodociągi, po kilku dniach rozkopują panowie od telefonów i tak w kółko. Najzabawniejsze, że mówi się, iż „partyjni grabią Polskę.” Łukaszewicz zachnął się, ale natychmiast zaczął się śmiać i powiedział: czego, to nie wymyślą przeciwnicy socjalizmu.

Mam nadzieję, że moi współpracownicy wybaczą mi ten krótki, za krótki, opis ich pracy. Mam też nadzieję, że potwierdzą, iż w Polskiej Kronice Filmowej jak w każdej redakcji toczyły się dyskusje i nikogo za poglądy nie prześladowano. Tworzyliśmy kronikę lubianą przez widzów, która jest dziś świadectwem czasów, w jakich żyliśmy. Kronika miała swoje wzloty i upadki. Wszystko, co było w niej godne uwagi jest zasługą zespołu, za wszystko, co złe, tylko ja ponoszę odpowiedzialność, bo do mnie należały ostateczne decyzje. Ale jeśli ktokolwiek zapyta czy wstydzę się za kronikę, odpowiadam: nie.

Żał mi tylko, że w ustroju demokratycznym młodzi twórcy Polskiej Kroniki Filmowej, ci, którzy rozpoczęli pracę pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, wykształceni i utalentowani rozproszyli się po różnych małych firmach i nie mogą dać krajowi tego, na co ich stać. A niektórych, jak Ewę Bielską, „demokraci” zwolnili z pracy z Polskiej Kroniki Filmowej. Za co? Bo miała inne wyobrażenie o Polsce niż oni. Wydawało im się, bowiem, że sami będą redagować PKF. Los z nich zadrwił, stali się wszak grabarzami popularnego magazynu filmowego. Nie starczyło im wyobraźni, ani zdolności, by w ustroju bez cenzury stać się wyrazicielami opinii publicznej.

## 19. Dzień powszedni

Jak już wspominałem redakcja Polskiej Kroniki Filmowej mieściła się na ulicy Chełmskiej 21. W czterech pokojach pracowało dwunastu operatorów i trzynastu dziennikarzy, jedna osoba w lektoracie i dwie w sekretariacie. Oczywiście bardzo rzadko cała redakcja była w komplecie, operatorzy i dziennikarze pracowali w tzw. „terenie.” Zarówno jedni, jak i drudzy nie podpisywali list obecności mieli, bowiem nienormowany czas pracy. Często przebywali w domu, „pod telefonem” i czekali na zlecenia. Stale współpracowali z kroniką montażyści obrazu i dźwięku oraz operatorzy dźwięku, którzy uczestniczyli przy realizacji tzw. „tematów dźwiękowych” - teatry, koncerty, zjazdy, zebrania itp.

Wydawało się rzeczą naturalną, że PKF mieści się w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Mnie to jednak utrudniało życie, WFD bowiem podlegało Ministerstwu Kultury, a na Krakowskim Przedmieściu potrzeby redakcji PKF nie znajdowały zrozumienia. Sprawy płacowe, techniczne i socjalne, które starałem się załatwiać w Naczelnym Zarządzie Kinematografii, ciągnęły się miesiącami. Sądzę, że przyczyny niechęci urzędników brały się stąd, iż nie mieli oni wpływu na treść kroniki. Dla zilustrowania problemu posłużę się jednym tylko przykładem. W lutym 1970 roku wysłałem do dyrektora Wytwórni Filmów Dokumentalnych, Zygmunta Kniaziółuckiego, pismo w sprawie honorarium dla dziennikarza pracującego w kronice, który napisał komentarz do kolejnego wydania. Zdarzało się czasami, że autor tekstu informował redakcję w ostatniej chwili, iż z ważnych powodów nie może napisać komentarza.

Wtedy zastępował go dziennikarz naszej redakcji. Ale za tekst otrzymywał mniejsze honorarium niż Karol Małcużyński dziennikarz zatrudniony w „Trybunie Ludu”, czy Jerzy Kasprzycki z „Życia Warszawy” - stali autorzy tekstów do PKF. Odpowiedź od dyrektora otrzymałem dopiero po roku!!! Dyrektor Kniaziółucki pouczył mnie w swoim piśmie, że: „Według obowiązujących „Zasad ogólnych” /Tab.I pkt./ w wypadku zawarcia umowy z własnym pracownikiem nie pozostającym na warunkach specjalnych dla realizatorów filmowych/ wysokość wynagrodzenia ( za tekst - uwaga M.Ch.) nie może wynosić 2/3 sum ustalonych w tabelach. Jednocześnie wyjaśniamy - pisał dyrektor - iż komentarz do PKF nie jest traktowany jako artykuł publicystyczny, ale jako tekst filmowy.

A na koniec Zygmunt Kniaziółucki napisał: „Wysokość honorarium za artykuł publicystyczny w redakcji I kategorii podległej RSW Prasa kształtuje się w granicach 200 - 300 złotych dla przeciętnego dziennikarza oraz 500 - 600 złotych dla wybitnych publicystów jak Karol Małcużyński, Jerzy Kasprzycki, Janusz Roszkowski i inni.” Zanim zacząłem pracować w PKF opublikowałem w prasie polskiej około 900 artykułów, między innymi w „Nowej Wsi”, „Chłopskiej Drodze”, „Przyjaźni” i „Polityce”. Zawsze otrzymywałem honorarium za opublikowany materiał nie według

tabel, a według oceny redaktora naczelnego bądź kolegium w zależności od jakości artykułu. No cóż, biurokracja w Wytwórni Filmów Dokumentalnych wiedziała lepiej!

Może właśnie ze względu na marne zarobki i ciężkie warunki pracy dziennikarze zmieniali się w Kronice dość często. Zespół operatorów natomiast był bardziej stabilny, bo ich zarobki stały na znacznie wyższym poziomie niż dziennikarzy. Nic więc dziwnego, że kroniki monotematyczne były przez dziennikarzy i operatorów mile widziane, bo stwarzały szanse wyższych zarobków. Stosowałem wtedy stawki obowiązujące w filmie dokumentalnym. Osobiście nie byłem entuzjastą wydań monotematycznych, ale godziłem się na nie, aby podnieść honoraria zespołu. Zazdrościłem kolegom z prasy, oni mieli sytuację jasną jak słońce. Dyrektorzy wydawnictw troszczyli się o sprawy techniczne: papier, druk, transport, a Zarząd Główny „RSW Prasa, Książka, Ruch” rozwiązywał sprawy płacowe i socjalne. Nie mówię już o dziennikarzach zatrudnionych w telewizji, którzy byli lepiej sytuowani, jako przedstawiciele nowego środka „masowej informacji i edukacji.” Dysponowali też nowocześniejszym i lżejszym sprzętem. Kronika górowała jednak nad telewizją lepszym warsztatem: zdjęciami, montażem obrazu i dźwięku i to sprawiało, że pracownicy kroniki lepiej się rozumieli i tworzyli bardziej związany ze sobą zespół. Łączyły ich także codzienne kłopoty, których nie szczędziło nam życie i ówczesne władze, przede wszystkim rządowe i administracyjne.

Pracownicy kroniki mieli, można powiedzieć, bardzo bliski związek z wydarzeniami na całym świecie. Raz w tygodniu każdy, kto był w jakiś sposób związany z redakcją, mógł uczestniczyć w przeglądzie kronik, które docierały do PKF z Europy, tej socjalistycznej i kapitalistycznej oraz materiałów filmowych z całego świata.

Najciekawsze były zawsze tematy bądź materiały przysyłane przez kroniki zagraniczne, a także przez placówki dyplomatyczne.

Drażniło nas, że wielu tematów z kronik zachodnich nie mogliśmy pokazać na polskich ekranach, bo zapisy „w księdze zakazów” na Mysiej były jednoznaczne i nie podlegały dyskusji. Nie mogliśmy zatem, zamieścić w kronice na przykład lotu „Czarnego ptaka”, (Blackbird), samolotu amerykańskiego, który odległość między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią pokonał w rekordowym czasie w - niecałe dwie godziny. Otrzymaliśmy z USA nadzwyczaj ciekawy materiał filmowy o locie tego samolotu wojskowego nad Atlantykiem. Widzowie polscy, gdybyśmy mogli ten temat pokazać, obejrzeliby wnętrze samolotu, start, lot nad oceanem, tankowanie paliwa w powietrzu i parę innych szczegółów. Niestety, w czasie gdy Związek Radziecki miał „najlepiej wyposażoną armię na świecie”, a w dodatku uzbrojenie było utajnione,

osiągnąć państw zachodnich nie mogliśmy prezentować. Nie zamieściliśmy też w kronice katastrofy radzieckiego naddźwiękowca Tu-144, który rozbił się podczas pokazowego lotu na „Paris Air Show” 3 czerwca 1973 roku, choć koledzy z Francji przysłali nam materiał w dwa dni po wypadku. Przecież radzieckie samoloty, „najlepsze na świecie” nie mogły rozpadać się w powietrzu. To drażniło cały zespół kroniki, niezależnie od poglądów politycznych każdego z nas.

Zdarzało się i tak, że nie ukazywały się na ekranie tematy zlecone kronice przez przedstawicieli rządu. Jeden z takich przykładów opiszę.

Pewnego październikowego wieczoru byliśmy z żoną na kolacji u przyjaciół, gdy o godzinie 22 zadzwonił Janusz Kędzierzawski, mój zastępca, i poinformował mnie, że otrzymał od Mieczysława Wojtczaka, pierwszego zastępcy ministra kultury telefon i polecenie sfilmowania i zamieszczenia w kronice następstw wybuchu gazu w Głownie. Polecenie przedstawiciela rządu bardzo mnie zdziwiło, bo władze państwowe nie lubiły pożarów, katastrof, wybuchów gazu i innych nieszczęść. Wręcz zalecały, by pokazywać sielankowy spokój kraju i szczęśliwych obywateli, którzy kochają swoje rządy. Rychło jednak moje zastrzeżenia ustąpiły, doszedłem wszak do przekonania, że Mieczysław Wojtczak, z wykształcenia dziennikarz i nasz kolega ze studiów, zapewne myślał inaczej niż jego starsi koledzy i przełożeni w rządzie.

Podjąłem więc kroki, aby jak najszybciej wyjechać z Warszawy. Powiadomiłem Janusza Kuźniarskiego i Sławka Sławkowskiego, aby natychmiast przyjechali na Chełmską. W tamtych czasach wyjazd z wytwórni w nocy wcale nie należał do prostych ani łatwych. Kamery były zamknięte w specjalnym pomieszczeniu, a drzwi zaplombowane. Podobnie miała się sprawa z taśmą i innymi materiałami. Na szczęście operatorzy wiedzieli, kogo należy obudzić i dlatego o świcie dojechaliśmy do Głowna. Stwierdziliśmy, że w mieście (koło dworca kolejowego) pachniało gazem. Ponieważ o piątej rano władze grodu smacznie jeszcze spały, udaliśmy się do komisariatu Milicji Obywatelskiej, wiedząc, że tam czuwają przez całą dobę. Tu dowiedzieliśmy się o szczegółach przebiegu akcji, o ewakuacji mieszkańców, dzielnych strażakach i szczególnie ofiarnych oddziałach ZOMO i ORMÓ. Podano nam też dokładne informacje, jakie było stężenie „dwutlenku siarki” w powietrzu, a także, ilu poszkodowanych znalazło się w Łodzi w szpitalu.

Ta precyzja i chęć udzielenia informacji sprawiły, że w mojej głowie pojawiły się liczne wątpliwości i znaki zapytania. Ponieważ w życiu kierowałem się zasadą, że o wszystkim należy wątpić, a w każdym razie dwa razy sprawdzić, udałem się do władz miejskich, gdzie stwierdziłem, iż przedstawiciele lokalnej administracji, a także miejscowego komitetu partii są mniej wylewni od milicjantów w udzielaniu informacji. Moje wątpliwości jeszcze bardziej wzrosły.

W Łodzi, w szpitalu sfilmowaliśmy dzielnych ormowców i zomowców, chłopów na schwał, zdrowych i całych. Na Piotrkowskiej kupiłem miejscowe dzienniki, w których nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki o ulatniającym się gazie z „zakładów ziemniaczanych”, oczywiście wskutek niedoinwestowania, jak nas informowano w MO. Materiał filmowy laboratorium wywołało błyskawicznie (nr kat.32808). Obejrzałem go natychmiast, i podjąłem decyzję, że nie ukaże się na ekranach.

Moje stosunki z administracją Ministerstwa Kultury i Sztuki i tak nie najlepsze, od tego momentu znacznie się pogorszyły. Życzliwi z Krakowskiego Przedmieścia ostrzegli mnie nawet, że powinienem „uważać”, bo nad moją głową zbierają się chmury. Na szczęście mój przyjaciel, Jan Czapczyński, zorganizował, przedstawicielom zespołu PKF, spotkanie z Józefem Tejchmą, wicepremierem, ministrem kultury i członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Maria Dehn, Sławomir Sławkowski i ja zostaliśmy przyjęci przez Józefa Tejchmę w gmachu Urzędu Rady Ministrów. Poinformowaliśmy go o pracy Polskiej Kroniki Filmowej, o dorobku i zamierzeniach. Następnego dnia w „Trybunie Ludu” ukazała się krótka informacja zredagowana przez Biuro Rzecznika Prasowego Rządu o tym, że wicepremier przyjął przedstawicieli PKF. I to wystarczyło. Miałem przez dłuższy czas spokój. Wiele lat później, gdy w domu profesora Ryszarda Frelka spotkałem Józefa Tejchmę, podziękowałem mu za okazaną mi wówczas pomoc. Wspominam o tym nie bez powodu. W tamtych czasach wizyta u członka Biura Politycznego KC PZPR i notatka w organie prasowym partii miała ogromne znaczenie.

Oto pewnego razu w holu Komitetu Centralnego PZPR w drodze do windy zupełnie przypadkowo, spotkałem Edwarda Babiucha, wówczas premiera. Towarzyszył mu Krystyn Dąbrowa, mój młodszy kolega ze studiów, któremu dawałem rekomendację do partii. Krystyn przywitał się ze mną, przedstawił mnie premierowi i przez kilka minut rozmawialiśmy o PKF, bo premier zapytał grzecznościowo: „co słyhać w kronice? Pamiętam, że opowiedziałem im o zdarzeniu, jakie przytrafiło się Eli Zawistowskiej samotnie wracającej fiatem 125p z Poznania do Warszawy. We Wrześni zabrała autostopowicza. Jak się po kilku minutach jazdy okazało wyszedł on właśnie z więzienia. Odsiedział swoje za zabójstwo, więc go wypuścili. Ela, z duszą na ramieniu wiozła pasażera, prosząc w duchu Pana Boga, aby podrzucił jej jeszcze jakiegoś przyzwoitego gościa. Najwyższy wysłuchał widocznie błagań wystraszonej Eli, bo w Koninie najprawdziwszy milicjant zatrzymał samochód i zapytał, czy go zabierze do stolicy. Ela głosem pełnym radości odrzekła: panie władzo, czy wyglądam na taką, co władzy odmawia drobnej przysługi?”



Zbrodzień przesiadł się na tylne siedzenie, a milicjant usadowił się po prawej ręce Eli. Gdy szczęśliwie dotarli do Warszawy, milicjant służbista, zamiast podziękować, oznajmił, że trzykrotnie naruszyła kodeks drogowy, wręczył mandat oniemiałej Eli, która ze złości i bezradności zalała się łzami. Wtedy były więzień pocieszył ją słowami: „Nie płacz dziewczyno. Glinę spotkała większa kara. Podpieprzyłem mu, jeszcze nie rozpieczętowany bloczek z mandatami, będzie go to kosztować sto razy więcej niż twój mandat”. Wręczył jej bloczek i bez słowa opuścił samochód. Babiuch i Krystyn śmiali się głośno.

W tym właśnie momencie przechodziło dwóch pracowników wydziału prasy. Nie ulega wątpliwości, że zauważyli rozbawione miny moich słuchaczy, bo gdy w końcu dotarłem na drugie piętro zapytali, co łączy mnie z premierem...? Żartując odpowiedziałem, że „kronikę finansuje rząd, więc moje kontakty z premierem są rzeczą naturalną...” Po kilku dniach dowiedziałem się, że jestem człowiekiem Babiucha!

Polska Kronika Filmowa - „oczko w głowie” - wcale nie była przez władze rozpieszczana. W miarę jak zaczynała samodzielnie patrzeć na Polskę pojawiały się kłopoty. Już w październiku 1978 roku po raz pierwszy odczuliśmy brak taśmy. Powiadomił o tym redakcję Franciszek Jaskulski, dyrektor naczelny Łódzkich Zakładów Wytwórczych Kopii Filmowych. Wystąpiłem wtedy z pismem do kierownika Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, Kazimierza Rokoszewskiego, w którym pisałem: „Dyrektor Jaskulski ponadto poinformował nas, że interweniował w tej sprawie w Naczelnym Zarządzie Kinematografii, w Warszawskich Zakładach Fotochemicznych i Zjednoczeniu Przemysłu Organicznego „Organika”, ale bez skutku.” Interwencja u kierownika pomogła. Ale od tej pory brak taśmy wisiał nad kroniką jak miecz Damoklesa. W kwietniu 1979 roku pisałem w sprawie taśmy do wicepremiera i członka Biura Politycznego, Jana Szydłaka.

Aż nadszedł rok 1981. Na początku kwietnia dowiedziałem się, że Polska Kronika Filmowa przestanie ukazywać się na ekranach kin. Natychmiast zadzwoniłem do Urzędu Rady Ministrów, do gabinetu wicepremiera Mieczysława Rakowskiego. Poinformowano mnie, że wicepremier jest w Sejmie. Pojechałem na Wiejską. Wchodziłem do gmachu wejściem przez hotel sejmowy. Miałem szczęście, spotkałem Mieczysława Rakowskiego w starym budynku hotelu sejmowego, gdy kupował w kiosku gazety. Opowiedziałem mu o kłopotach z taśmą. Poprosił o notatkę, którą dostarczyłem osobiście do dyrektora gabinetu w ciągu godziny.

Następnego dnia zadzwonił do mnie Wojciech Mazurkiewicz z „Kuriera Polskiego” z pytaniem, czy to prawda, że PKF znika z ekranów?

14 kwietnia 1981 roku „Kurier Polski” informował swoich czytelników: „Zaskakująca i smutna decyzja. Polska Kronika Filmowa znika z ekranów kin!” Wojciech Mazurkiewicz pisał: „Wśród kinomanów rozeszła się plotka, że zlikwidowana została Polska Kronika Filmowa, działająca od ponad 36 lat, w czasie, których towarzyszyła na ekranach kilku pokoleniom, dokumentując całą naszą powojenną historię. Plotka wydała nam się absurdalna, ale postanowiliśmy sprawdzić ją „u źródła”, czyli u red. naczelnego PKF, Mirosława Chrzanowskiego:

- Niestety, to prawda. W miniony piątek otrzymaliśmy wiadomość od dyr. Departamentu Produkcji i Techniki Filmowej Naczelnego Zarządu Kinematografii, Stanisława Sławka, który poinformował nas, że Kronika przestaje ukazywać się w kinach z powodu ...braku taśmy. Motywacja ta wydaje mi się nieco dziwna, gdyż... zapasy zgromadzone w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie i Zakładach Kopii Filmowych w Łodzi starczyłyby na przynajmniej miesiąc... Czy decyzja Naczelnego Zarządu Kinematografii była jakoś wcześniej z Wami konsultowana?

Absolutnie nie. Dowiedzieliśmy się o tym z dnia na dzień. Nie dano nam nawet szansy przygotowania pożegnalnego wydania..."

Artykuł „Kuriera Polskiego” wywołał natychmiastową reakcję prasy. Małgorzata Dipont w „Życiu Warszawy” zamieściła artykuł pt. „Alarm!” A „Express Wieczorny” już 15 kwietnia informował: „Decyzja o likwidacji PKF nie przetrwała 24 godzin.” Prasa wojewódzka też nam okazała solidarność. Widzowie wsparli PKF listami i telefonami. Ale tak naprawdę Polską Kronikę Filmową przed zapędami urzędników uratował Mieczysław F. Rakowski.

Na marginesie tych kronikarskich zapisków dodam, że 29 marca 1981 roku w „Kulturze”, w felietonie „Puknijmy się w kronikę” poddał PKF ostrej krytyce, Krzysztof Teodor Toeplitz, a 12 kwietnia 1981 roku zaatakował mnie na łamach „Kultury” osobiście, o czym szerzej pisałem w rozdziale „Krytycy PKF.” Czy był to zbieg okoliczności? Przypadek? W tamtych czasach takie rzeczy się nie zdarzały. Polska Kronika Filmowa w coraz większym stopniu niż w przeszłości stawała się głosem opinii publicznej. Świadczyły o tym listy i telefony widzów, gdy w prasie codziennej pojawiły się informacje o likwidacji PKF. Ale biurokracja, po fiasku z taśmą, nie zrezygnowała z chęci przejęcia kontroli nad redakcją PKF. Pod koniec września 1981 roku w Wytwórni Filmów Dokumentalnych pojawił się projekt nowego statutu tej instytucji, który zmierzał do pozbawienia PKF samodzielności programowej. Do opracowania tego projektu nie zaproszono przedstawiciela redakcji PKF. Kolegium PKF zareagowało na ten projekt natychmiast. Udowodniło, że autorzy

statutu nie znają obowiązującego w Polsce prawa, nie mają pojęcia o organizacji pracy i roli zespołów redakcyjnych w życiu społecznym. Zespół Polskiej Kroniki Filmowej, po długiej i burzliwej dyskusji podjął w tej sprawie rezolucję, która ukazała się w prasie filmowej i kilku dziennikach. Oto jej treść: „ Rezolucja podjęta na zebraniu zespołu Polskiej Kroniki Filmowej w dniu 12. X. 81 r. Polska Kronika Filmowa została zaliczona przez Komisję Mieszaną do pierwszej grupy redakcji prasowych telewizyjnych i filmowych. W ten sposób uzyskaliśmy takie same prawa, jak inne redakcje, które działają w ramach odpowiednich wydawnictw.

Taką samą funkcję jak wydawnictwa prasowe wobec swoich redakcji pełni w odniesieniu do PKF - Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i tak też zawsze ją traktowaliśmy. Pragniemy dodać, że Polska Kronika Filmowa posiada własny budżet, z którego opłacane są wydatki związane z realizacją 104 wydań w ciągu roku. Podkreślaliśmy zawsze i podkreślamy nadal, że pod względem programowym stanowimy całkowicie samodzielną redakcję, której zadania określa - tak jak w redakcjach prasowych - powołane do tego celu kolegium.

W związku z toczącą się dyskusją nad reformą kinematografii zgłaszamy propozycję wprowadzenia zmian w zasadach działania PKF.

- Redakcja PKF działa na zasadach samodzielnego i samofinansującego się zespołu. W tym celu we wszystkich kinach zostałyby wprowadzone dodatkowe bilety na PKF; nasza działalność byłaby finansowana między innymi z tych wpływów.

- Redakcja PKF przejmuje pod swój zarząd wszystkie własne materiały archiwalne i dochody ze sprzedaży tych materiałów, a dochody ze sprzedaży tych materiałów również wprowadza do swojego budżetu.

- PKF - jak każda redakcja - ma prawo zamieszczać ogłoszenia. Aby jednak nie zniekształcać formy PKF, ogłoszenia będą realizowane w odrębnych materiałach filmowych.

- Redakcja PKF działając na zasadach samodzielnego i samofinansującego się zespołu będzie miała prawo przyjmować zlecenia od kontrahentów zagranicznych by w ten sposób zapewnić sobie udział we wpływach dewizowych."

Za zespół PKF delegat Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich - Elżbieta Zawistowska. Redaktor Naczelny PKF - Mirosław Chrzanowski. Zanim zespół podpisał się pod rezolucją, zapoznał się z wynikami badań dotyczącymi oglądalności kroniki w kinach. Usytuowanie redakcji PKF w Wytwórni Filmów Dokumentalnych,

jako jednostki samodzielnej pozwoliłoby obniżyć koszty wyprodukowania jednego wydania PKF. Kolegium PKF wskazało w swoim stanowisku na nonsensy, które „nie pozwalają na oszczędne prowadzenie gospodarki, ponieważ nikt za nic nie odpowiada.” „Zdaniem Kolegium Polskiej Kroniki Filmowej - czytamy w dokumencie - usytuowanie archiwum, jako samodzielnego wydziału podlegającego bezpośrednio dyrektorowi WFD jest nieporozumieniem. Archiwum musi podlegać temu, kto je tworzy. Głównym twórcą archiwum jest PKF i PKF musi ono podlegać... Wpływy finansowe powinny być odprowadzane na konto PKF... Kierownik archiwum... zostałby zastępcą redaktora naczelnego PKF...”

Z rozmów z kolegami zagranicznymi wiedziałem, że archiwa kronik przynoszą ogromne dochody. Francuzi zrobili majątek, sprzedając Chińczykom materiały filmowe z wielkiego marszu armii dowodzonej przez Mao Tse Tunga (Mao Zedonga). Nasze archiwum też przynosiło wówczas niebagatelne dochody. Poza tym kronika, jako firma ceniona przez zakłady pracy, mogła sprzedawać swoje materiały fabrykom, kopalniom, hutom itp. Wielokrotnie otrzymywaliśmy w tej sprawie pytania, ale nie przyjmowaliśmy takich zleceń, bo nie chcieliśmy podnosić kosztów produkcji kroniki, bowiem wpływy ze sprzedaży naszych materiałów księgowano na koncie WFD.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że stanowisko zespołu PKF zawarte w rezolucji jest nie tylko odważne, ale i nowatorskie, zwłaszcza w kwestii samodzielności programowej. Wiedzieliśmy, że kronika musi stać się wyrazicielem opinii widzów w większym niż dotychczas stopniu. Stanowisko kolegium i zespołu redakcji PKF na pewien czas zastopowały poczynania administracji wytwórni i ministerstwa. Ale w tym właśnie czasie zespół Polskiej Kroniki Filmowej musiał poradzić sobie z następnym zagrożeniem, które przyszło z najmniej spodziewanej strony. Zanim przedstawię go szczegółowo, muszę cofnąć się w przeszłość.

W czasie gdy kierowałem zespołem Polskiej Kroniki Filmowej, dwukrotnie, na prośbę moich kolegów ze studiów, okazałem im pomoc. Pierwszy raz Jerzemu Maczkowskiemu, dziennikarzowi Polskiego Radia. Poprosił mnie o pracę, gdy zwolniono go z Polskiego Radia. Znałem go bardzo dobrze, bo przez cztery lata studiowaliśmy na jednym roku i w jednej grupie seminaryjnej. Jurek po studiach zaczął pracować w Polskim Radiu i rychło stał się jednym z bardziej znanych dziennikarzy radiowych. Tematy, jakie prezentował „na warszawskiej fali” były bardzo interesujące i niemal „kronikalne.” Uznałem, że pytanie o powody zwolnienia byłoby niestosowne. Przyjąłem go, bo miałem w redakcji wolny etat dziennikarski. Jurek z właściwą sobie energią przystąpił do realizacji tematów, nie napotykał na kłopoty związane z innym rodzajem dziennikarstwa. Zespół kroniki przyjął go życzliwie. Po kilku miesiącach operator Zbyszek Skoczek przyszedł do mnie i przekazał mi kilka

swoich spostrzeżeń dotyczących pracy Jurka w czasie realizacji tematów. Chodziło o to, że przy realizacji jakiegoś „morskiego” tematu zgłoszonego przez Maczkowskiego nie wypłynął on łodzią w morze na zdjęcia. Uwagi Zbyszka nie nosiły znamion skargi, zaczęliśmy więc zastanawiać się nad tym, co mogło być przyczyną zachowania Jurka? W końcu doszliśmy do wniosku, że trzeba zapytać o to zainteresowanego. Zrobiłem to przy najbliższej okazji spytałem przyjaciela, dlaczego nie popłynął w morze?

Odpowiedział, że przeżywał tego ranka niesamowity ból głowy. Poinformowałem Zbyszka Skoczka, o przyczynie, dla której Jurek nie popłynął w morze i uznałem sprawę za zakończoną. Ale tylko na pewien czas, albowiem inni operatorzy zaczęli mnie informować o nietypowym zachowaniu w czasie robienia zdjęć. W końcu okazało się, że Jurek jest ciężko chory i musi poddać się bardzo poważnej operacji. Kiedy znalazł się w szpitalu, operatorzy, którzy zgłaszali mi uwagi na temat kolegi poczuli się nieswojo, na tyle źle, że uznali za słuszne przyjść z tym problemem do mnie. Nikt, nawet sam zainteresowany, nie mógł mieć o to do nich pretensji, Jurek z pewnością nie miał, gdy wrócił do redakcji rozmawiałem z nim o tym. Przystąpił z właściwą sobie energią i pomysłowością do pracy. Cieszyliśmy się wraz z nim, że operacja skończyła się sukcesem. Niestety, Jerzy Maczkowski, znakomity dziennikarz, wspaniały człowiek i kolega odszedł od nas na zawsze.

Drugim człowiekiem, któremu okazałem pomoc i przyjąłem do pracy był Janusz Otamara. Przyszedł do redakcji i poprosił, abym dał mu pracę w redakcji PKF. Poznałem go na Wydziale Dziennikarskim jako Janusza Nowaka, studiował rok niżej ode mnie, a nazywano go „Kanapa”, prawdopodobnie z tego powodu, że nosił dość niespotykaną w owych czasach kurtkę w dużą kolorową kratę. Był młodzieńcem przystojnym, cieszył się jednak opinią dziwaka. Może dlatego, że jego ubiór i sposób bycia odbiegały nieco od obowiązującej w latach pięćdziesiątych siermiężnej normy. Gdy pojawił się w redakcji, przy kawie, zapytałem go, dlaczego zmienił nazwisko? - W tamtych stalinowskich czasach - odpowiedział - nie chciałem drażnić władz. Otamara, jest nazwiskiem dość znanej tatarskiej rodziny, której członkowie walczyli z bolszewikami, sam wiesz, co mi za to w tamtych czasach groziło.

Owszem wiedziałem. Mój ojciec walczył w armii generała Maczka, ciężko ranny przebywał w czasie moich studiów w Anglii. Skutki tego odczuwałem na własnej skórze. Najpierw prodziekan wydziału pan Kowalewski, przekonywał mnie długo do zmiany kierunku studiów, a gdy uparłem się przy dziennikarstwie (miałem dyplom przodownika nauki i pracy społecznej i mogłem studiować na każdym wydziale bez zdawania egzaminu) nie otrzymałem akademika, stypendium i tylko dzięki moim przyjaciołom - członkom partii - nie usunięto mnie z uniwersytetu.

Janusz Otamara zaczął więc pracować w kronice. Zespół podśmiewał się trochę z jego dziwactw, ale w końcu przyzwyczaił się do niekonwencjonalnego sposobu bycia redaktora, z czego, nie ukrywam, byłem zadowolony. Musiał zwrócić na siebie uwagę nawet dyrektora wytwórni, bo pewnego dnia Marian Kruczkowski zaproponował mi, aby Otamara został moim zastępcą. Tyle razy sprzeciwiałem się personalnym propozycjom mojego przyjaciela dyrektora, że tym razem wyraziłem zgodę, choć Janusz Kędzierzawski - mój zastępca nie potrzebował pomocnika. Potraktowałem awans Otamary, jako sposób na podniesienie płacy jednemu z dziennikarzy.

Nie miałem zastrzeżeń do jego pracy. W problematyce politycznej, Otamara orientował się bardzo dobrze. Zrealizowaliśmy razem wydanie kroniki poświęcone strukturom poziomym w partii w Łodzi. Janusz zyskał zaufanie młodych naukowców wyższych uczelni w tym mieście, którzy byli bohaterami wspomnianego wydania. Nikogo w redakcji nie zdziwiło, że wysłałem go na I Zjazd „Solidarności” do Gdańska i poleciłem, aby przygotował monotematyczne wydanie PKF. Wszystko przebiegało normalnie do czasu, kiedy Otamara przedstawił roboczą, wersję tego wydania. W zasadzie nie miałem większych zastrzeżeń. Kronika była oczywiście za długa, ale to normalne. Dziennikarze zawsze przedstawiali za długie propozycje, „aby szef miał, co wyrzucić.”

Drugie moje zastrzeżenie dotyczyło strony merytorycznej. Autor wydania nadmiernie wyeksponował „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” uchwalone na zjeździe. Zaproponowałem, by zrezygnować z tego fragmentu. Otamara wzburzył się w niebywale emocjonalny sposób i zarzucił mi, że usiłuję fałszować historię, a w dodatku chcę go skompromitować przed delegatami na zjazd „Solidarności”! Kiedy już trochę ochłonął, usiłowałem go przekonać do moich racji. Tłumaczyłem: cenzura nie zgodzi się na ten fragment, jeśli go nie skrytykujemy w duchu, jaki zaprezentował organ partii. Chciałem tego uniknąć. Sam zresztą byłem wówczas przekonany, że posłanie nie poderwie robotników Europy Wschodniej do wyrażenia solidarności z polskimi robotnikami i nie ukrywałem, że uchwalenie tego dokumentu było przejawem polskiej megalomanii. Miałem przecież świeżo w pamięci, jak na robotniczą solidarność zareagowali moi przyjaciele ( szczególnie na wręczanie pieniędzy Lechowi Wałęsie przez związkowców szwedzkich) przedstawioną w kronice o powstaniu „Solidarności” w 1980 roku.

Janusz Otamara nie ustępował. Podjąłem, więc decyzję, że wydanie nie ukaże się na ekranach, że poczekamy na drugą część Zjazdu, na którą wysłałem ekipę z redaktorem Bogdanem Saganowskim. Polska Kronika Filmowa dostała akredytację na drugą część zjazdu, ale już pierwszego dnia otrzymałem wiadomość, że władze „Solidarności” zezwolenie na filmowanie cofnęły. Zapytałem przewodniczącego naszej wytwórnianej „Solidarności”, czy zna powody cofnięcia akredytacji? Nie znał, ale

obiecał pomoc. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy moim samochodem do Gdańska. Pan Ryszard Krawz w drodze do Gdańska poinformował mnie, iż są szanse na przywrócenie akredytacji, jeśli podpiszę zobowiązanie, że przedstawię zmontowaną kronikę ze zjazdu wraz z komentarzem, Komisji Zakładowej Solidarności i samorządowi artystycznemu Wytwórnicy Filmów Dokumentalnych. Wtedy zdałem sobie sprawę, że rolę cenzury przejmuje „Solidarność”. Ponieważ nie miałem złych zamiarów w stosunku do nowej siły politycznej, zapytałem przewodniczącego, czy ma przy sobie dokument, który muszę podpisać?

Odparł, że przygotujemy go na miejscu w Hali Oliwii. Rozmowy na zjeździe w sprawie akredytacji prowadziłem z panem Januszem Onyszkiewiczem. Nie trwały one długo, po kilku minutach przedstawiono mi dokument do podpisania. Pan Ryszard Krawz był lepiej ode mnie przygotowany, bo miał ze sobą dwie pieczętki, którymi uroczyście przyozdobił dokument, ja podpisałem go tylko swoim nazwiskiem.

Sądziłem, że po złożeniu podpisu ekipa PKF wejdzie na salę obrad. Myliłem się jednak bardzo! Janusz Onyszkiewicz nie uprzedził mnie, że decyzję o dopuszczeniu Polskiej Kroniki Filmowej na salę obrad, jak przystało na demokratyczną organizację, musi zatwierdzić zjazd „Solidarności”! Uzmyslowiłem sobie wtedy z całą wyrazistością, że w ten sposób nowa siła polityczna – „Solidarność” – prowadzi walkę ze starą siłą polityczną – Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. O konsekwencjach nie myślałem.

Dla mnie było ważne, że dziennikarze akredytowani na Zjeździe poparli Polską Kronikę Filmową. W czasie przerwy w obradach otrzymałem mnóstwo gratulacji od kolegów. Maciej Wierzyński zapytał mnie jedynie, czy zdaję sobie sprawę z tego, że złamałem zalecenia KC PZPR w sprawie współpracy „środków masowego przekazu” z „Solidarnością?” Przyznaję, że takiego zalecenia nie znałem.

W kularach dowiedziałem się też od dziennikarzy, że na zjeździe przebywa Janusz Otamara i opowiada o mnie niesamowite rzeczy i że to właśnie jego opowieści spowodowały cofnięcie akredytacji.

Do Warszawy wróciliśmy z Ryszardem Krawzem po północy. Renia, moja żona, powitała mnie słowami: dzwonił Janusz Kędzierzawski i prosił, abym przekazała ci wiadomość, że ekipa Polskiej Kroniki Filmowej została odwołana ze zjazdu „Solidarności.” Rano, prosto z domu pojechałem do KC PZPR, aby dowiedzieć się, dlaczego wycofano ekipę kroniki. Pierwszym człowiekiem, którego spotkałem na

korytarzu Wydziału Prasy, był Jan Grzelak. Zapytał mnie bez ogródek: co ty tu jeszcze robisz w tym gmachu?

Kazimierz Królikowski zaś, gdy wszedłem do jego pokoju, nie owijając w bawełnę, poradził: bierz szybko zwolnienie lekarskie i nie pokazuj się w wydziale co najmniej przez dziesięć dni, abym nie musiał cię zwolnić z pracy!

W redakcji wrzało. Piątego października 1981 roku odbyło się zebranie zespołu redakcyjnego PKF z udziałem przedstawicieli związków zawodowych działających w WFD i sekretarza POP. Janusz Otamara, mimo że był w redakcji, nie przyszedł na zebranie. Poinformowałem zespół redakcyjny o historii związanej z realizacją wydania i o tym, kto odwołał ekipę PKF z drugiej części Zjazdu „Solidarności.” W protokóle tak zapisano moje uzasadnienie: „wydanie poświęcone pierwszej turze Zjazdu Solidarności przygotowane przez red. Otamarę i przedstawione w formie „surowej” w długości ponad 700 metrów nie zostało przez red. naczelnego przyjęte, ponieważ zaproponowany przez red. Otamarę układ obraziłby władze jak i Solidarność.” Przewodniczący „Solidarności” w WFD, Ryszard Krawz, poinformował zebranych (cytaty pochodzą z protokołu), że: „...przed dwoma tygodniami do Solidarności WFD, przyszedł J. Otamara i powiedział, że przygotował doskonałą kronikę z przebiegu pierwszej tury obrad I Zjazdu Solidarności w Gdańsku, której red. nacz. PKF nie chce przyjąć. Red. Otamara nie zgadza się z opinią red. Chrzanowskiego. Wobec takiej opinii kronikę obejrzał przewodniczący Solidarności WFD Ryszard Krawz oraz przedstawiciele Solidarności oraz Rady Programowej WFD. Wszyscy byli zdania, że kronika w takiej formie nie może ukazać się na ekranach.

Kiedy Ryszard Krawz znalazł się w Gdańsku z red. Chrzanowskim dowiedzieli się, że Biuro Organizacyjne Zjazdu zgadza się, aby kronika filmowała przebieg Zjazdu w takim składzie jak odbywało się to w czasie trwania pierwszej tury... Uzgodniono, że Komisja Zakładowa Solidarności WFD złoży poręczenie za ekipę PKF w nowym składzie, a red. Chrzanowski podpisał zobowiązanie, że materiały nakręcone przez PKF będą mogli obejrzeć członkowie Solidarności WFD przed ich publikacją.

Po powrocie do Warszawy okazało się, że na polecenie KC PZPR kronika została odwołana z Gdańska. W dniu 2. X. br. telefonował z Gdańska reż. Andrzej Chodakowski z informacją, że J. Otamara na Zjeździe rozpowszechnia oświadczenie przeciwko Kronice i red. Chrzanowskiemu. Wg. informacji reż. Chodakowskiego w oświadczeniu była informacja, jakoby kronika z pierwszej tury Zjazdu miała mieć taką właśnie formę na polecenie red. nacz. PKF. Kronika ta miała być publikowana w dniu 22 września br., kiedy, to miały wkroczyć do Polski wojska radzieckie...” Otamara twierdził, że o wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski powiedziałem mu osobiście, a mnie tę informację miał przekazać Stefan Olszowski. To nie jest sen chorego na schizofrenię.



Cytuję te fragmenty protokołu, bo one świadczą najlepiej, w jakiej atmosferze toczyło się wówczas życie polityczne w kraju. Ale pokazują także, że w jakie brednie gotowi byli uwierzyć rozumni ludzie. Wyjaśniałem na zebraniu, że ze Stefanem Olszowskim nigdy w życiu nie zamieniłem ani jednego słowa! Doprawdy, do dziś nie wiem, jakim celom miała służyć ta prymitywna insynuacja. Oto potężny człowiek w partii przekazuje dokładną informację o rzekomym wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski redaktorowi kroniki, który ma przygotować na jej powitanie wydanie ze zjazdu „Solidarności.” Taki numer nie przeszedłby w żadnym kabarecie. A jednak poważni ludzie poważnie się nad twierdzeniami Otamary zastanawiali.

Burzliwy przebieg zebrania zakończył się podjęciem oświadczenia następującej treści: „Zespół Polskiej Kroniki Filmowej na zebraniu w dniu 5 października 1981 roku zdecydowanie odcina się od działalności Janusza Otamary na I Zjeździe NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Jego postępowanie jest sprzeczne z zasadami etyki dziennikarskiej i sprawia wrażenie świadomej prowokacji. W związku z tym zespół PKF kieruje sprawę do rzecznika dyscyplinarnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Uważamy, że Janusz Otamara swoim postępowaniem sam postawił się poza zespołem naszej redakcji.”

Po pierwszym zebraniu zastanawialiśmy się nad motywami postępowania Janusza Otamary. Ponieważ dwie koleżanki, red. red. Maryla Góralczyk i Janina Motylińska, zaproponowały, aby nie podejmować decyzji w czasie gdy Janusz Otamara jest nieobecny na zebraniu, w dwadzieścia jeden dni później odbyło się następne zebranie, które prowadziła Elżbieta Zawistowska, delegat redakcyjny SDP, a Zarząd Główny SDP reprezentowała Krystyna Sprusińska. Wydaje mi się, że na tym zebraniu znaleźliśmy odpowiedź na nurtujące nas pytania, dlaczego J. Otamara zachował się w taki sposób. Sięgam do protokołu z drugiego zebrania ( 26. X. 1981): „Potem wokół niego - kontynuuje red. Otamara - powstała w Gdańsku dziwna atmosfera, rozeszła się o nim informacja, że jest nieprzyjazny „Solidarności”, że jest agentem SB. Ludzie zaczęli się od niego odsuwać. Zaczął im wtedy tłumaczyć, że to wszystko plotki, intrygi, że to wszystko nieprawda. Red. Otamara mówi, że nie był agentem SB ani konfidentem. To wszystko plotki. Problem swój przedyskutował z delegatami Regionu Szczecińskiego Jurczykiem i Olejnikiem. Poradzili mu, żeby wystąpił na Zjeździe w swojej obronie. Że tylko forum Zjazdu może go obronić. Po namyśle postanowił, że napisze i odczyta napisane przez siebie oświadczenie, które uprzednio dał do przeczytania kilku osobom. Postanowiono, że oświadczenie będzie odczytane. Natomiast, kiedy z treścią oświadczenia zapoznało się jeszcze kilka osób m. in. reż. A. Chodakowski z WFD poradzili mu, żeby jednak nie czytał oświadczenia. W efekcie końcowym oświadczenie nie zostało odczytane na Zjeździe, natomiast na prośbę zespołu odczytane zostało na zebraniu. Treść oświadczenia nie była protokółowana, jest ono nie do powtórzenia, ponieważ red. Otamara twierdzi, że

zniszczył je po przeczytaniu. W związku z tym nie mogę załączyć go do protokołu. Następnie red. Otamara opowiada o swoim spotkaniu z Michnikiem, w kontekście informacji rozprowadzanych przez A. Michnika na jego temat. Mówił, że spotkał się z nim w kawiarni „Na Rozdrożu” i zapytał Michnika skąd go zna. Michnik odpowiedział, że pamięta go ze spotkania w 1968 roku w Instytucie Historii, ze spotkania z płk. Załuskim, ze spotkania na ul. Kickiego z Leszkiem Kołakowskim, ze spotkania młodych literatów w Lublinie, a poza tym dziwi Michnika fakt, że Otamara zmienił nazwisko.

Zapytał, dlaczego to zrobił? Tu Otamara wyjaśnił przyczynę swoich pobytów na spotkaniach oraz okoliczności, w których zmienił nazwisko /względy rodzinne/. W dalszym ciągu red. Otamara wyjaśnia, że przed 19 - tu laty pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Zgłosili się wtedy do niego pracownicy wywiadu i zaproponowali mu pracę korespondenta zagranicznego ze współpracą dla kontrwywiadu. Stwierdził, że wszyscy korespondenci pracują w wywiadzie. Zgodził się, bo go to zainteresowało. Po przeszkoleniu czekał na wyjazd. Wyjazd nie nastąpił. Został wezwany i zaproponowano mu zajęcie się sprawą tow. Mijała i KPP. Nie wyraził na to zgody i w ten sposób po długich perypetiach zakończył współpracę z kontrwywiadem. Został także dyscyplinarnie zwolniony z Instytutu Spraw Międzynarodowych. Jakiś czas był bez pracy, po czym otrzymał propozycję pracy ratownika z wyjazdem do Bułgarii. Wyjechał w 1967 roku i podczas tej pracy poznał Szwedkę, z którą ożenił się w 69 roku. Z braku jednak paszportu i niemożności wyjazdu do żony, którego mu władze kilkakrotnie odmawiały w 73 roku przeprowadził rozwód. Paszport otrzymał dopiero w 76 roku..”

Zaraz po wystąpieniu Otamary zabrała głos Elżbieta Zawistowska, która: „...odpowiada red. Otamarze, że nikt z nas na poprzednim zebraniu, ani po zebraniu nie czynił red. Otamarze zarzutów z tego powodu, że jest lub był pracownikiem kontrwywiadu, ponieważ to nie może być zarzutem wobec człowieka. Poza tym nie rozumie działań red. Otamary po decyzji przełożonego, że kronika z I tury Zjazdu „Solidarności” idzie do archiwum. Ostatecznie przełożony ma prawo decydować czy materiał jest do publikacji czy nie, ponieważ też się pod nim podpisuje...”

W protokóle czytamy: „R.Krawz wyjaśnia, że w sprawie współpracy red. Otamary z kontrwywiadem miał już wiadomości w marcu br., ale nie nadawał temu żadnego biegu...ponieważ wiadomości te nie były potwierdzone i nie chciał, aby rozchodziły się plotki... Ryszard Krawz przypomina, że prosił red. Otamarę o pokazanie materiałów z I tury Zjazdu „Solidarności” w całości, ponieważ był ciekaw jak przebiega Zjazd. Red. Otamara obiecał mu, że pokaże materiał. Skończyło się na obietnicy. Przyszedł dopiero do „Solidarności”, jak red. Chrzanowski zatrzymał mu kronikę i powiedział, że red. Chrzanowski odsuwa go od pracy. W tej sytuacji prosił

„Solidarność” o interwencję. Wtedy R. Krawz poprosił red. Chrzanowskiego o pokazanie zmontowanej kroniki i projekcja odbyła się w obecności reż. Brzozowskiego, Piekutowskiego i Chodakowskiego. Wszyscy stwierdzili, że w takim stanie kronika nie może ukazać się na ekranie.”

Janusz Otamara nie mógł racjonalnie uzasadnić swojego postępowania. Kłamał i mataczył. Twierdził, że to ja żądałem, by za „posłanie” skrytykować „Solidarność”, a ja przekonywałem go przecieź, że nie chcę krytykować decyzji zjazdu. Nie przekonał zespołu redakcji PKF do swoich racji. Podsumowując dyskusję, Elżbieta Zawistowska powiedziała, że zespół podtrzymuje swoje stanowisko zajęte piątego października „...przyjmuje wniosek o skierowanie sprawy red. Otamary do Sądu Dziennikarskiego SDP”.

Jedyną osobą, która wzięła w obronę Otamarę była przedstawicielka Komisji Interwencyjnej SDP, Krystyna Sprusińska. Wyjaśniła zebrany: „... że atmosfera na Zjeździe była bardzo nerwowa, decyzje zmieniały się równolegle z odwołaniami tych decyzji, że manipulowało się tym wszystkim. Zwraca się do zebranych z propozycją ponownego zajęcia stanowiska w sprawie red. Otamary w świetle złożonych przez niego wyjaśnień”.

A gdy wypowiedzi obecnych na zebraniu były jednoznacznie nieprzychylnne... „E. Sprusińska ponownie zwraca się do zespołu z propozycją pojednawczą, aby zastanowić się czy pierwsze oświadczenie w sprawie red. Otamary nie odbyło się pod wpływem emocji”. Na zakończenie wystąpienia dodała „...że będzie broniła red. Otamary, ponieważ widzi podstawę do obrony”.

Dlaczego nie zgodziłem się na kronikę ze Zjazdu „Solidarności?” Relacja przygotowana przez J. Otamarę nie miała nic wspólnego z rzetelnym dziennikarstwem. Mój pogląd potwierdzili trzej reżyserzy, Andrzej Brzozowski, Andrzej Chodakowski i Andrzej Piekutowski, którzy obejrzeni wersję zaproponowaną przez Otamarę. Dodam w tym miejscu, że trzej panowie „A” należeli do zdecydowanych przeciwników ustroju, a ja nie musiałem im pokazywać żadnych materiałów, przecieź oni nie pokazywali mi swoich filmów. Wszedłem jednak z założenia, że ich profesjonalizm weźmie górę nad ideologią i polityką. Andrzej Brzozowski, wybitny twórca filmów dokumentalnych, nie mógł mi nie przyznać racji, Andrzej Chodakowski współtwórca „Robotników 80” też nie musiał stawać po stronie partyjnego redaktora naczelnego PKF, mimo że korzystał z materiałów kroniki nakręconych w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku. Z Andrzejem Piekutowskim dzieliło i dzieli mnie wszystko, ale i ten twórca nie mógł poprzeć „gniota” przygotowanego

przez Janusza Otamarę. O co więc chodziło? Przez wiele lat zadawałem sobie to pytanie i nie znajdowałem na nie odpowiedzi. Dopiero, Janusz Kędzierzawski, dwadzieścia sześć lat później, gdy składałem mu, przez telefon, życzenia imieninowe i przy tej okazji wróciliśmy do wspomnień, trafnie zauważył: sianie zamętu, to też była wtedy i jest, niestety, dzisiaj metoda.

Konfliktem w redakcji PKF zajmowała się także Podstawowa Organizacja PZPR. Powołano komisję do zbadania sporu. W skład komisji weszli: Witold Czerwiński, Edward Marciszewski i Jerzy Ziarnik. Komisja pracowała wolno i systematycznie. Ogłosiła swoje sprawozdanie 4 stycznia 1982 roku, a więc w czasie, gdy wszelkie spory rozstrzygnięto, wprowadzając stan wojenny. Ten dokument przytaczam w całości z kronikarskiego obowiązku i dlatego, że jest to dokument obrazujący sposób myślenia w tamtych czasach. Oto tekst sprawozdania (w oryginalnym brzmieniu): „Komisja stanęła przed wyjątkowo trudnym zadaniem i stwierdziła, że nie może się zajmować wyjaśnianiem plotek, pomówień, czy też dochodzić prawdy we wzajemnie sprzecznych relacjach dwóch stron z rozmów odbywających się w cztery oczy. Komisja na podstawie przeprowadzonych rozmów oraz kilkakrotnego przeglądu spornego materiału ze zjazdu Solidarności z towarzyszącymi wyjaśnieniami różnych osób w redakcji kroniki, W.F.D. w tym również z tow. Otamary doszła do następujących wniosków:

1/ Komisja nie jest w stanie zrozumieć dlaczego wokół w/w materiału ze zjazdu Solidarności zrobiono tyle szumu. Wiadomo przecież, że o ostatecznym kształcie każdego filmu, a w tym konkretnym przypadku planowanego specjalnego wydania kroniki decydują dwa czynniki - obraz i dźwięk, a ściślej komentarz. Ponieważ, co jest zrozumiałe, komentarza jeszcze nie było, a obraz był zaledwie podmontowany, komisji wydaje się dziwne, że ktokolwiek mógł opiniować autorytatywnie, iż ów materiał jest naprzykład skierowany przeciw Solidarności, jak to wynikało z opinii osób z grona realizatorów W.F.D., oraz działaczy Solidarności, którym tow. Chrzanowski pokazywał materiał. Na marginesie tej sprawy komisja wyraża zdziwienie, że tow. Chrzanowski, który według obyczajów panujących w redakcji kroniki ma głos decydujący w sprawie ostatecznego kształtu kroniki i nie raz robił to wbrew opinii autorów poszczególnych tematów, czy całych kronik, tym razem nie skorzystał ze swoich uprawnień ( skorzystałem i przekazałem materiał do archiwum - przyp. M.Ch.) i nie wypuścił kroniki ze zjazdu Solidarności zgodnie ze swoimi poglądami na sprawę.

2/ Komisja uznała za nie odpowiadający prawdzie zarzut tow. Otamary, iż materiał został przemontowany przed pokazaniem go komisji, a ponieważ trudno przypuszczać, żeby tow. Otamara nie pamiętał jak wyglądał materiał zmontowany przy jego udziale, nasuwa się wniosek, że chciał komisję wprowadzić w błąd.

3/ Tow. Otamara pojechał z własnej inicjatywy na drugą turę zjazdu Solidarności, by jak twierdził walczyć o swoje dobre imię. Dziwić się należy, że długoletni członek partii zamiast zwrócić się do POP, czy do wyższych władz partyjnych, zwracał się do wyższych działaczy Solidarności. Komisja musi uznać takie działanie za nie licujące z postawą członka partii, tym bardziej, że tow. Otamara walcząc o swe dobre imię przy okazji oczerniał innych. Choć w rezultacie nie doszło do odczytania z trybuny zjazdowej Solidarności listu, jaki tow. Otamara przygotował, to sam fakt, że list o podobnej treści tow. Otamara napisał, a następnie konsultował z działaczami solidarności świadczy źle o nim i nie tylko jako o wieloletnim członku partii, ale zwyczajnie o człowieku. Wiadomo, że w napiętej atmosferze politycznej jaka była w Polsce w czasie trwania zjazdu, najgłupsze nawet plotki mogą znaleźć chętnych do uwierzenia, ale plotka o rzekomym planowanym wkroczeniu wojsk radzieckich przestaje być w takiej sytuacji zwykłą plotką i o tym tow. Otamara powinien sobie zdawać sprawę."

O Polskiej Kronice Filmowej napisano już kilka prac magisterskich, nie mogę podjąć z nimi polemiki, bo nie zostały opublikowane. W innym miejscu polemizuję z panem, który oceniając kronikę zdobył tytuł doktora nauk...

Zarówno w pracach magisterskich jak i w doktorskim elaboracie dominuje jedna cecha wspólna: ignorowanie faktów i warunków, w jakich redagowałem Polską Kronikę Filmową. Znamienne, że wszyscy autorzy pominęli dokumenty, na które ja się właśnie powołuję. Można to od biedy wybaczyć panom magistrów, ale panu doktorowi już nie. Znamienne, że magistrzy i doktor nauk nie dostrzegli w wydaniach kroniki nurtu krytycznego.

Obraz Polski Ludowej pokazywany w PKF bulwersował premiera Piotra Jaroszewicza. Nie różnił się jednak od obrazu sekretarza partii z Limanowej, ale bardzo się różnił od tego, jaki prezentowała telewizja Macieja Szczepańskiego. Pokazywaliśmy kłopoty ludzi pracy, nieudolność władz i marnotrawstwo. Często o ważnych sprawach mówiliśmy żartem, nie rezygnowaliśmy z kpiny. To prawda, Polska Kronika Filmowa nie krytykowała wprost realnego socjalizmu. A dlaczego tak się działo opowiem w rozdziale ostatnim.

## **20. KRYTYCY PKF**

Po upływie dwóch miesięcy od objęcia przeze mnie stanowiska redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej, miesięcznik społeczno-kulturalny „Nurt” (nr 3, 1973 r.) ukazujący się w Poznaniu opublikował felieton Stanisława Barańczaka w cyklu: „Odbiorca ubezwłasnowolniony (19)” pod tytułem: „PKF,” w którym autor

pisał: „Za swoich najlepszych czasów Kronika była...ośrodkiem ambicji i inteligencji. Pobudzała do myślenia, drażniła zmysł ironii i krytycyzmu, operowała skrótem pojęciowym i cienkim dowcipem...” „Po śmierci W. Kmicika ... w Kronice pojawił się spiker o głosie, z którego wprost tryska chłopięcy optymizm i bezgraniczne zadowolenie ze świata.” Stanisław Barańczak swój felieton kończył słowami: „Jednym słowem, w ciągu nader krótkiego okresu Kronika z pobudzającego do myślenia komentarza do naszego życia stała się serią obrazków. Zdaje się, że już niedługo większość z nas zacznie przychodzić do kina z dziesięciominutowym opóźnieniem”. Mógłbym wzruszyć ramionami i powiedzieć, że krytyka nie dotyczy mojego krótkiego okresu redagowania PKF- autor posługiwał się przykładami z niedawnej przeszłości. Ale tak nie postąpiłem. Był to wszak głos intelektualisty, który trafnie opisał czas, choć nazbyt uprościł oceny. Zauważa, np., że po śmierci W. Kmicika Kronika poszukiwała nowego lektora i gdy „...wydawało się, że wybór padnie na jednego ze spikerów telewizyjnych, obdarzonego głosem o podobnych walorach co Kmicik, choć może mniej dynamicznym, bardziej powściągliwym. Ostatecznie dokonano innego wyboru, zgodnego z tym co dzieje się w Kronice...” Otóż zrezygnowano z tego głosu, bo spiker pracował w telewizji i zbyt wyraziście identyfikował kronikę z telewizją, której w niczym nie chcieliśmy przypominać. Śmierć W. Kmicika była dla kroniki ogromną stratą, wszak autorzy pisząc teksty do PKF słyszeli melodykę jego głosu i jego interpretację, która wzbogacała komentarz, bowiem Włodek potrafił czytać między wierszami i dodawać komentarzowi nowych znaczeń. Pisano pod Kmicika. Nigdy już kronika nie znalazła tak doskonałego, jak on lektora. Krytycy niekiedy miewali rację, słabość ich sugestii wyrażała się w tym, że nie uwzględniali warunków, w jakich redakcja działała.

Często, jak np. Krzysztof Teodor Toeplitz - KTT, wybitny intelektualista, mój ulubiony autor znakomych felietonów publikowanych w „Polityce”, „Kulturze” a obecnie w „Przeglądzie” i „Trybunie”, człowiek o rzadko już spotykanej erudycji, był stałym i żarliwym krytykiem kroniki, choć w tym smaganiu PKF kierował się wyłącznie osobistymi pobudkami i urazami. Redakcja nie odpowiadała na krytykę zawartą w jego felietonach. Ani na „Dzień, w którym padła Dacca”- w 1971 roku, ani na „Świat nr 32 A” w 1976 roku. W tym ostatnim felietonie, KTT zarzucił kronice m.in. to, że nie nadała za telewizją (!!)...w propagandzie sukcesu. Miał rację, nie nadaliśmy, bo nie chcieliśmy znaleźć się w nurcie propagandy uprawianej przez prezesa, Macieja Szczepańskiego. Zareagowaliśmy dopiero wtedy, gdy napisał felieton „Puknijmy się w kronikę”, („Kultura” 29. 03.1981 r.). Kronikę 11A/81 poświęciliśmy zasłużonemu bykowi Ilonowi, któremu Edmund Apolinarski, dyrektor Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Osowej Sieni, człowiek uhonorowany najwyższym wówczas orderem Budowniczego Polski Ludowej- wznosił pomnik! Nie krytykowaliśmy czcigodnego dyrektora, wręcz przeciwnie, oddaliśmy mu głos, aby mógł uzasadnić swoją decyzję i wyjaśnić jakimi pobudkami kierują się jego krytycy. Pokazaliśmy jednakże, jakie namiętności wzniesił ów monument w lokalnej

społeczności. Kronika w sposób obiektywny przedstawiła poglądy zwolenników i przeciwników tej budowli. Nie ukrywam, że pragnęliśmy zwrócić uwagę różnym budowniczym na to, iżby liczyli się z następstwami, jakie mogą wywołać ich decyzje i wiekopomne dzieła.

W felietonie „Puknijmy się w kronikę” KTT zaatakował nas za czarnowidztwo i uprawianie propagandy klęski. „Ostatnio obejrzałem pod rząd kilka wydań PKF-pisał. „Jednym z nich było wydanie z okazji Dnia Kobiet. Pierwszą informacją tego wydania była wiadomość o tym, że 200 wykwalifikowanych włókniarek z Żyrardowa wkrótce znajdzie się bez pracy, ponieważ dla obsługiwanych przez nie nowoczesnych maszyn zabrakło surowca...” Felietonista poddał krytyce następane tematy, po czym stwierdził: „Oczywiście wszystko o czym dowiedzieliśmy się z tego wydania Polskiej Kroniki Filmowej jest niepodważalną prawdą, a jeśli nią nie jest to tylko dlatego, że w rzeczywistości jest jeszcze gorzej. Jednakże jedyną rozsądną reakcją po obejrzeniu tej Kroniki może być tylko kompletne upicie się, bez względu na aktualną cenę alkoholu, lub wyrżnięcie w zęby kogokolwiek, bez względu na 90 dni spokoju społecznego.” O 90 dni spokoju prosił generał Wojciech Jaruzelski. Czyżby KTT chciał w ten sposób wskazać na tych, którzy ten spokój zamierzali zakłócić? Jeśli tak, to strzał był niecelny.

„Następne wydanie Polskiej Kroniki Filmowej było jedno tematyczne i nawet ktoś tam podpisał się jako jego scenarzysta. Chodziło w nim o Osową Sień. Jeśli ktoś nie wie, co to jest Osowa Sień, to podpowiem, że chodzi tu o jedno z najlepszych Państwowych Gospodarstw Rolnych jakie kiedykolwiek mieliśmy w Polsce. Gdybyśmy mieli pięćdziesiąt Osowych Sieni nie stalibyśmy w kolejce po masło, gdybyśmy mieli ich pięćset - bylibyśmy Danią.”

A kiedy już Krzysztof Teodor Toeplitz doszczętnie unicestwił kronikę, swoją niebotyczną demagogią, uderza w wielki dzwon i donosi...komu trzeba: „Nie bronie pomnika byka w Osowej Sieni, chociaż wolę, żeby został ukończony niż żeby miał zostać żaloszny jego kikut jako świadectwo zmiany naszego nastawienia. Myślę tylko, że epoka, która nie potrafiłaby postawić pomnika za każdym razem przeliczając jego cenę tylko na chleb, byłaby epoką żaloszną. Wątpliwe, czy żaloszna epoka zdolna być może do tego, aby zarobić chociaż na swój chleb. Wiem, że to o czym tu piszę nie jest w istocie o Polskiej Kronice Filmowej, o kobietach i Osowej Sieni, lecz o naszych zbiorowych nastawieniach. Puknijmy się jednak w Kronikę.”

W redakcji zawrzało. Zespół zaproponował, aby odpowiedzieć KTT. Tekst napisał komentator kroniki i współautor scenariusza, Artur Howzan, a zaakceptowali go wszyscy dziennikarze i operatorzy PKF. Polemika z KTT pt. „Bykiem !” ukazała się w „Kulturze” (12.06.1981 r.), a podpisał ją Zespół Polskiej Kroniki Filmowej. Krzysztof Teodor Toeplitz nie wytrzymał nerwowo i zaatakował, tym razem mnie, z imienia i nazwiska, twierdząc, że „...nie w celu odnowy i nie w okresie odnowy, ale na samym dniu łukaszewiczowskiej propagandy nastąpiły ich (tzn. moja i mojego zastępcy) nominacje.” Felietonista naciągnął prawdę, bowiem pracę w PKF rozpocząłem w czasie, kiedy Jerzy Łukaszewicz w KC PZPR jeszcze nie pełnił żadnej funkcji! Swoją atak na mnie K.T.Toeplitz zawarł w słowach: „Kierownictwo PKF, z red. naczelnym Mirosławem Chrzanowskim ma szczególne powody, aby - kłamać uparcie...” Otóż w wydaniu kroniki (11A/81) ani razu nie pojawia się moje nazwisko. Ukazała się ona z nazwiskiem Janusza Kędzierzawskiego! Na zakończenie zaś uderzył się we własną pierś, nieszczerze: „Przyznaję, że ze względów, które wyłożyłem w powołanych wyżej tekstach, mam wątpliwości co do sensu istnienia PKF. A może w tym się właśnie mylę - może wystarczy tylko zmienić jej sterników?” Był to, wyraźny donos! Na ten atak odpowiedziałem w Kronice (13B//81) - tematem dedykowanym autorowi felietonu, „dworskiemu krytykowi” - piosenką ( Co to będzie, kiedy zgaśnie nasze słońce) w wykonaniu Bogdana Smolenia i zdjęciem Krzysztofa Teodora Toeplitz na stop klatce.

*Co to będzie, gdy słońeczko nasze zgaśnie  
Zaburzenia ma i plamy przez ten trud  
Kto to wie - A może będzie wtedy jaśniej  
Przeżyliśmy już niejedyn taki cud...*

Przytaczam jedną zwrotkę, aby czytelnicy, którzy nie znają piosenki mogli sobie uświadomić o co w 1981 roku toczył się spór i jaką rolę pełnił w nim Krzysztof Teodor Toeplitz.

Dlaczego KTT z taką bezwzględnością i zajadłością atakował Polską Kronikę Filmową?

W roku 1971 redaktor naczelny „Szpilek”, Krzysztof Teodor Toeplitz, wspólnie z Jerzym Urbanem wynajęli studentów, przebrali ich za żebraków, posadzili na Nowym Świecie i kazali żebrać. Studenci-przebierańcy mieli udowodnić, że dzięki socjalizmowi z ulic polskich miast zniknęli żebracy prawdziwi! „Szpilki” zaproponowały kronice sfilmowanie tego przedsięwzięcia. Zrobiliśmy to z ochotą, bo pomysł nam się bardzo podobał. Redaktor naczelny „Szpilek” KTT pofatygował się



nawet osobiście na Chełmską, aby przed zmontowaniem tematu obejrzeć cały materiał. Podczas nieobecności Michała Gardowskiego pokazałem mu roboczą kopię i byłem wdzięczny za rady dotyczące montażu materiału. Tekst do tego wydania Kroniki (31B/71), w którym zamieściliśmy fałszywych żebraków, pisał Jerzy Ambroziewicz. Do komentarza miałem zastrzeżenia, autor potraktował bowiem kolegów dziennikarzy ze „Szpilek” dość obcesowo, by nie powiedzieć złośliwie. Zgłosiłem swoją ocenę tekstu Gardowskiemu, szef zgodził się z moimi uwagami tylko częściowo i dokonał drobnych zmian. A ja nie pobiegłem do zainteresowanych, by się poskarżyć. Od tej pory Krzysztof Teodor Toeplitz stał się wrogiem Polskiej Kroniki Filmowej. Parę miesięcy później, w podobnym stylu co Toeplitz, na łamach „Rzeczywistości” - pisma partyjnych ortodoksów - atakował Polską Kronikę Filmową Janusz Ratzko, z tą tylko różnicą, że kierował się, mam nadzieję, pobudkami ideowymi.

W październiku 1980 roku, („Rzeczywistość” jeszcze wtedy nie istniała), poświęciliśmy całe wydanie PKF (46B/80) inżynierowi Jackowi Karpińskiemu, polskiemu elektronikowi, który wskutek intryg i zawiści, zamiast budować komputery hodował świnie. Autorka wydania Janina Motylińska, bezpartyjna dziennikarka poprosiła Stefana Bratkowskiego, aby skomentował na ekranie, co o tym myśli. Kronika pt. „Fragment życiorysu” wywołała burzę w środowisku zawodowym i naukowym, no i jak to w takich przypadkach było regułą redakcja została zasypana protestami części środowiska, oskarżano nas o brak patriotyzmu, podgryzanie socjalizmu, konszachty z wrogimi siłami, słowem o wszystko, co najgorsze. Redakcja PKF spotkała się z zainteresowanymi, obrażonymi, „pomówionymi”, zwolennikami i przeciwnikami inż. Jacka Karpińskiego. Filmowaliśmy, oczywiście, przebieg dyskusji. Władze zajęte poważniejszymi sprawami na szczęście nie brały udziału w debacie.

Aliści, po upływie roku od ukazania się kroniki o inż. Karpińskim do akcji wkroczyła „Rzeczywistość” Mikołaj Rożyński artykułem pt. „Informatyka i ... chlewik” (nr 20. 4.10.1981 r.) zaatakował PKF, pisząc: „Wśród licznych ujawnionych po SIERPNIU 80 afer lat siedemdziesiątych, jedna nabrała szczególnie dużego rozgłosu i zbulwersowała opinię publiczną. Genialny konstruktor mini-komputera K - 202, inż. Jacek Karpiński został w roku 1973 pozbawiony możliwości pracy twórczej, a bezmyślne rzekomo decyzje przerwania produkcji K - 202 pozbawiły kraj milionowych wpływów dolarowych. Po tych przykrych doświadczeniach Jacek Karpiński zajął się ponoć hodowlą świń. Rewelacje te podane zostały w Polskiej Kronice Filmowej oraz w „Życiu i Nowoczesności” i oczywiście podziałały jak iskra rozniecająca pożar...”

Po artykule M. Rożyńskiego pałeczkę przejął Janusz Ratzko i w czterech numerach „Rzeczywistości” bezpardonowo atakował przede wszystkim Stefana Bratkowskiego, ( numery: 22, 23 z 1981 r.), a potem mnie. W jednym z odcinków (nr 24 z 1.11.1981 r.) zarzucił mi, że: „Na żądanie Ministerstwa Przemysłu Maszynowego-redaktor naczelny Polskiej Kroniki Filmowej- Mirosław Chrzanowski, pismem z dnia 22 kwietnia 1981 r. zobowiązał się zamieścić sprostowanie owej „ nieścisłej informacji.” Mamy teraz październik - a sprostowania jak nie było tak nie ma! Komu zależało, aby sprostowanie takie nie ukazało się”. Pyta J. Ratzko. W kronice ( 46A/81 ) odpowiedzieliśmy, że nie dawaliśmy żadnych obietnic MPM, bo z ministerstwem nie prowadziliśmy żadnych rozmów! W następnym odcinku swego cyklu, Ratzko, licząc na krótką pamięć czytelników, publikuje mój list do dr inż. Romana Kuleszy, pracownika Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Spór PKF prowadziła z pracownikiem ministerstwa, a nie z Ministerstwem Przemysłu Maszynowego.

Aby nie pozostawiać żadnej wątpliwości przytaczam treść mojego listu do dr inż. R. Kuleszy: „ W Kronice 13 - A zamieściliśmy fragmenty zebrania na temat informatyki i inż. Jacka Karpińskiego. W tekście podaliśmy nieścisłą informację o zwolnieniu z pracy inż. Jacka Karpińskiego. Jacek Karpiński został odwołany ze stanowiska dyrektora Zakładu Doświadczalnego Minikomputerów przez dyrektora Instytutu Maszyn Matematycznych dr. inż. Romana Kuleszę. Jednocześnie zaproponowano mu stanowisko głównego konstruktora ZDM. Za nieścisłość przepraszamy pana Romana Kuleszę.

Redakcja podtrzymuje swoje stanowisko w sprawie Jacka Karpińskiego." Innymi słowy napisaliśmy czarno na białym, że Karpińskiego wylano! I dlatego sprostowanie nie ukazało się w kronice, albowiem obrażony (czyli pan Kulesza) nie był zainteresowany w publikacji przytoczonego wyżej tekstu. Tego, niestety, Ratzko już nie napisał. I na zakończenie jeszcze jedna drobna uwaga, zarówno w kronice o inż. J. Karpińskim, a także w kronice o pomniku byka Ilona na planszy widniały nazwiska autorów. Krytycy Polskiej Kroniki Filmowej nie wymieniają tych nazwisk w swoich artykułach i felietonach. To tak jakbyśmy polemizując z Krzysztofem Teodorem Toeplitzem wymieniali nazwisko Dominika Horodyńskiego, ówczesnego redaktora naczelnego „Kultury.” Zatem intencje Ratzko i Toeplitza niczym się nie różniły i brzmiały jednoznacznie: usunąć Chrzanowskiego! Ich postulaty wkrótce miały się spełnić.

A teraz już zupełnie na marginesie. 4 stycznia 1981 roku, w „Argumentach” autor kryjący się za literkami (wys) łaje kronikę za to, że „ Po projekcji Kroniki Sceptyk czuje się na duszy mocno pokrzepiony. Bo oto na ekranie ukazują się sielskie widoczki, kwiatki i motylki, fragmenty wesołych komedijek teatru amatorskiego z

Kłaja.

Przyjemnie nastrojony taką wizją, Sceptyk wychodzi z kina i z punktu dostaje po łbie obuchem rzeczywistości, niestety skrzeczącej."29 marca 1981 roku w „Kulturze” autor kryjący się za literkami ( KTT) zarzuca kronice, że w wydaniu „...zaprezentowała kolejne uciśnienia kobiet, jako to okropny poziom przedszkoli i żłobków i coś tam jeszcze...” i uprawia „...propagandę kłęski”, choć oczywiście „...PKF nie jest wynalazcą tego stylu...”

Czyż kronika mogła dogodzić krytykom? Nie mogła i nie chciała! Zabiegała natomiast o to, by sprostać zapotrzebowaniu widzów. Niemal wszyscy krytycy Polskiej Kroniki Filmowej w czasach realnego socjalizmu używali niezbyt oryginalnego zwrotu: „Za swoich najlepszych czasów Kronika była...”

Niestety, nie definiują tego czasu. Kronika w każdym okresie miała swoje lepsze i gorsze chwile, dziś jest jedynym zapisem wizualnym, który świadczy o tamtych czasach, a dla przyszłych pokoleń będzie niezastąpionym źródłem wiedzy o Polsce Ludowej. Oczywiście, jeśli taśmy PKF nie zostaną zniszczone przez czas. Może je uratować dla potomnych przegranie na dyski CD. Obawiam się, że rządy demokratyczne nie znajdą na ten cel potrzebnych pieniędzy.

Krytycy tamtych czasów nagminnie straszili: „Zdaje się, że już niedługo większość z nas zacznie przychodzić do kina z dziesięciominutowym opóźnieniem.” Na szczęście krytycy nie stanowili większości widzów, a ich życzenia nigdy się nie spełniły. Redakcja wielokrotnie pytała widzów, co im się w Polskiej Kronice Filmowej podoba, czego nie lubią?

W 1979 roku Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, a ściślej biorąc dział zajmujący się tego rodzaju badaniami, rozesłał do kin 3000 anonimowych ankiet z pytaniami dotyczącymi Polskiej Kroniki Filmowej. Ponad połowa wróciła do agencji. Na pytanie, czy Pan(i) lubi PKF? 97 procent widzów odpowiedziało - tak. Na pytanie, czy chciałby Pan(i) oglądać PKF w TV? Twierdząco odpowiedziało - 95 procent osób. Badania powtórzyliśmy w grudniu 1980 roku, wpłynęło ponad 800 odpowiedzi. Dziewięćdziesięciu pięciu procentom widzów Polska Kronika Filmowa nadal się podobała! Ten wynik satysfakcjonował mnie całkowicie.

\* \* \*

Zmienił się ustrój, upłynęły lata, w życiu społeczeństwa polskiego pojawiły się nowe zjawiska: bezrobocie, głodne dzieci, bezdomni i wykluczeni. Na niespotykaną w socjalizmie skalę pojawiły się afery gospodarcze i polityczne. Zamiast sylwetek uczonych, inżynierów, robotników i rolników na telewizyjnych ekranach goszczą dziś aferzyści na przemian z politykami, pedofile i łapownicy, duchowni - donosiciele i konfidenti służb specjalnych. Symbolem IV RP (mam nadzieję też minionej bezpowrotnie) stały się kajdanki i kominiarki, a minister sprawiedliwości, który uwielbiał zakuwać ludzi na oczach publiczności, stał się medialną gwiazdą pierwszej wielkości. Nie chcę być jednostronny, więc dodaję, że zmiana ustroju przyniosła także wolność wypowiedzi - wprawdzie nieco ograniczoną, wolność manifestacji swojej inności - czasami ograniczaną, prawo do strajku - nielubiane przez rządzących.

Uśmiercona przez wolny rynek Polska Kronika Filmowa przestała ukazywać się na ekranach kin, żyje natomiast na ekranach telewizorów i służy do piętnowania Polski Ludowej, choć do dziś prywatyzuje się zakłady pracy pokazywane w PKF (w ramach propagandy sukcesu, oczywiście), a zbudowane przez Polaków pod rządami „komunistów.” Ciekawe tylko, co by dziś rządy prywatyzowały, gdyby tych budowli socjalizmu nie było i gdzie mieszkaliby ludzie, gdyby „komuchy” nie zbudowały blokowisk? Bawi mnie, gdy na małym ekranie oglądam Port Północny, (chyba zmieniono nazwę?), Hutę Katowice (Samorząd Robotniczy w grudniu 1976 r. przyznał mi „Honorowe Odznaczenie Budowniczy Huty „Katowice”), stocznie, cementownie, zakłady farmaceutyczne, szpitale, przychodnie, szkoły i przedszkola, kluby prasy (na wsi doszczętnie zlikwidowane), biblioteki, nawet blokowiska...i ich istnienie poddaje się totalnej krytyce, to mogę tylko powiedzieć: Szczęść wam Boże niezależni apologetci wolnego rynku!

Propagandziści, a właściwie, medialni manipulatorzy wybaczyli Polskiej Kronice Filmowej okres stalinowski, prawie już nie pamiętają marca 1968 roku, ale nie mogą wybaczyć „propagandy sukcesu!” Gierkowska dekada została uznana za największe nieszczęście Polski, choć za Gierka polskie społeczeństwo zrobiło największy krok w stronę cywilizowanego świata! Krytyka PKF jest uprawiana według ustalonego schematu w kilku wariantach. Wariant pierwszy polega na tym, że Polska Kronika Filmowa jest utożsamiana tylko ze złymi zjawiskami występującymi w Polsce Ludowej, krytycy nie są w stanie wymieniwać żadnej wartości pozytywnej. Oto dwa tego przykłady. Kronika 51B/80 zaczyna się relacją z wręczenia w Sztokholmie Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla- specjalna ekipa kroniki relacjonuje to wydarzenie. Następny temat - Jan Pietrzak śpiewa piosenkę o „starych poetach”, inne tematy są poświęcone wydarzeniom kulturalnym. Kronikę kończy temat o kolejce świętych Mikołajów z pustymi workami. W tym wydaniu nie ma „propagandy sukcesu”, jest stonowana i spokojna. Doprawdy nie można się do niczego przyczepić. A jednak

pewien manipulator z „Kino Polska” krytykuje kronikę za to... no, spróbujcie Państwo odgadnąć, za co..., że nie wymieniła nazwisk pozostałych laureatów nagrody Nobla!

Wariant drugi. W Kronice 7B/79 zamieściliśmy temat o wybuchu gazu w Rotundzie PKO w Warszawie. Władze państwowe w tamtych czasach nie lubiły tematów krytycznych, co można zrozumieć, ale nie wiadomo, dlaczego nie znosiły też tematów o nieszczęśliwych wypadkach i katastrofach. Dzięki telefonowi od widza operatorzy PKF Janusz Kuźniarki i Witold Jabłoński byli na miejscu tragedii niemal natychmiast. Zarejestrowali na taśmie filmowej wstrząsający obraz Rotundy po wybuchu. Milicja zabrała im legitymacje służbowe i nakazała, aby się po nie zgłosili następnego dnia do komendy stołecznej. Nie zgłosili się, bo kadry na moją prośbę wydały im duplikaty. Telewizja w głównym dzienniku pokazała zaledwie kilka ujęć. Kronika natomiast zrelacjonowała katastrofę bardzo dokładnie, pokazała także ofiarność warszawiaków, którzy spontanicznie oddawali krew dla ratowania ludzi poszkodowanych. Temat z naszym komentarzem, bez skrótów ukazał się w kronikach europejskich. Jedynie „Fox Toenende Wochenschau” dodała do naszego komentarza jedno zdanie: czy Niemcy byłiby zdolni do takiej solidarności w nieszczęściu jak Polacy? Wolna i niezależna dziennikarka polska z poczytnego dziennika skrytykowała kronikę za to, że pokazując ofiarność mieszkańców Warszawy, staraliśmy się ukryć rozmiary nieszczęścia! Czyż nie jest to paranoja?

I na koniec przedostatni kwiatek z oślej łąki, cytuję dosłownie niezależnego i obiektywnego autora, „obiektywnego”, bo wszak dostrzegł, że kronika zamieszczała jednak tematy krytyczne: „Trafiają się i rodziny - krytyczne, (pisze autor). I tak: nigdzie w mieście nie ma podjazdów dla wózków dziecięcych. Matki się męczą. W nas budzą się jednak inne refleksje. W materiale broniącym interesów matek z bobasami w wózkach nie zająknięto się o niepełnosprawnych. W dobie propagandy sukcesu nie było dla nich miejsca”.

To prawda, o autorze tej błyskotliwej „refleksji” w dobie propagandy sukcesu nie mogliśmy się zająknąć! W temacie o kłopotach matek nie wspomnieliśmy też o biednych, o złych decyzjach władz, o towarach marnej jakości, zwanych wówczas bubłami, o ludziach niepokornych i wielu innych sprawach, które zamieszczaliśmy w kronice i zbieraliśmy za to ciągi od premiera. Był to bowiem temat krytyczny poświęcony matkom z wózkami. Przypomniałem sobie cytowany tu wyżej artykuł, gdy w 2007 roku (już za demokracji) wiele matek w Warszawie demonstrowało ze swoimi pociechami, domagając się budowy podjazdów dla wózków dziecięcych. Pomyślałem wtedy o krewkim autorze i o tym, jak ten fakt skomentuje on właśnie dziś, osiemnaście lat po upadku niewłaściwego ustroju, w którym, w przeciwieństwie do obecnych czasów, możliwa była propaganda sukcesu.

A oto inny przykład z oślej łączki. Dwaj autorzy, Jerzy S. Majewski i Dariusz Bartoszewicz w artykule pt. „Machina czasu”, który ukazał się w „Gazecie Stołecznej (11 maja 2000 r.) smagają kronikę ciętymi słowami: „Śledcza kronika z 1977 r. podąża śladem nieforemnych bułeczek z piekarniczego mastodonta na Żeraniu. Dyrektor się broni, że wizyta jest niezapowiedziana. Ale bułeczki istotnie nieforemne. Jedna wielka jak bochen chleba, inna niczym piłeczka do ping-ponga. - Ja to wszystko muszę sprzedać - mówi ekspedientka w sklepie, wpychając nieforemne bułeczki do siatki klientki. Autorzy w swoim artykule chłoszczą PKF za propagandę sukcesu. A gdy pojawia się w kronice temat krytyczny, też nie dobrze. Przywalić komuchom za krytykę też nie zaszkodzi! Co innego pan Marek Cieśliński. To autor poważny, który poddając totalnej krytyce Polską Kronikę Filmową zrobił naukową karierę, uzyskał doktorat za pracę pt. „Ideologia i propaganda w Polskiej Kronice Filmowej.”. Już na samym wstępie autor w sposób otwarty przyznaje, że „Założeniem dysertacji jest wykazanie (podkr. M.Ch.), iż kronika filmowa była wyrafinowanym i skutecznie wykorzystywanym narzędziem ideologicznej indoktrynacji społeczeństwa.” (Wszystkie cytaty pochodzą z maszynopisu pracy doktorskiej Cieślińskiego znajdującej się w archiwum WFD udostępnionej mi za zgodą autora. Praca ukazała się później w wydaniu książkowym pt. „Piękniej niż w życiu”, Polska Kronika Filmowa 1944 - 1994).

Szczerłość Marka Cieślińskiego nie idzie w parze z rzetelnością i dbałością o fakty. Przywołam kilka tego przykładów, bo one świadczą o nierzetelności doktora najlepiej. „Przez długie lata - pisze Marek Cieśliński - presja na udział Kroniki w najróżniejszych, nawet lokalnych wydarzeniach była tak wielka, że zdarzało się, iż dla spokoju wysyłano w teren operatorów z pustymi kasetami, bez taśmy. Brało się to stąd, iż obecność ekipy Polskiej Kroniki Filmowej świadczyła o randze każdej imprezy”. Pracowałem w Polskiej Kronice Filmowej od 1 lipca 1969 roku, do 13 grudnia 1981 roku. Oświadczam, że w tym okresie nie zdarzył się ani jeden przypadek opisany przez dr. Cieślińskiego. Choć wysyłaliśmy dla uświetnienia wydarzenia operatora z jedną kasetą, w której znajdowało się 60 metrów taśmy, bo ta taśma świadczyła o pobycie PKF na uroczystości i była podstawą do wypłacenia operatorowi honorarium!

W rozdziale „Propaganda sukcesu” tejże pracy dr M.C. informuje czytelników, że „...w samej redakcji istotna zmiana nastąpiła z początkiem 1973 roku, gdy kierownictwo objął Mirosław Chrzanowski”. I od tego momentu doktor beztrąsko przypisuje mi kroniki mające świadczyć o propagandzie sukcesu, które ukazały się owszem, ale pod innym nazwiskiem i przed moją nominacją! Drobiazg? Oczywiście, ale świadczący o nonszalancji autora. Sprawy poważne zaczynają się nieco później. Oto Marek Cieśliński opisuje wizytę w Polsce Leonida Breżniewa i potępia mnie za to, że „Niezwykła w swej konstrukcji Kronika dorównywała najlepszym niemieckim dokonaniom propagandowym w tym zakresie.” Jakim „niemieckim dokonaniem”

doktor nie wyjaśnia.

Dziękuję Bogu, że doktor nie widział filmu „Ojciec święty Jan Paweł II w Polsce”, bo z czym by porównał, biedak, tę relację?

A teraz poważnie. Marek Cieśliński słyszał, że gdzieś dzwonią, ale dzwonnice mu się pomyliły, przypisuje kronice film o pobycie Breżniewa, który rzeczywiście zrealizowałem na polecenie KC PZPR i myli z kroniką. Praca doktora Cieślińskiego to prawdziwa komedia pomyłek! Notabene film o Breżniewie zdjęto z ekranów kin... Jak było opowiem. Powołując się na PKF, Cieśliński opowiada o harcerce zawiązującej Breżniewowi chustę na szyi, dzieje się to w filmie, nie w kronice. Po raz pierwszy opowiedziałem o całym zdarzeniu, już za czasów demokracji, w Polskim Radiu, ale Cieśliński widocznie nie słyszał mojej wypowiedzi osobiście, tylko ktoś mu ją zrelacjonował niezbyt dokładnie. Polska Kronika Filmowa znalazła program pobytu Leonida Breżniewa i wiedziała, gdzie ludność Warszawy zatrzyma go „spontanicznie” i wyrazi swoje uczucia „dostojnemu gościowi”. Na placu Unii Lubelskiej „spontanicznie” zatrzymali Sekretarza Generalnego harcerze. Jedna harcerka zawiązała nawet „spontanicznie” gościowi chustę na szyi, co kolaudantom bardzo się podobało. Doktor plecie koszałki o cenzurze, tymczasem film zatwierdzali towarzysze: Stanisław Kania, sekretarz KC i członek Biura Politycznego, Zdzisław Żandarowski, sekretarz KC i mój kolega ze studiów, kierownicy wydziałów prasy i kultury oraz paru drobniejszych pracowników. Przedstawiciele KC nie wprowadzili ani jednej zmiany. Od Stanisława Kani otrzymałem gratulacje, a Zdzisław Żandarowski gratulując mi filmu powiedział: teraz widzę, iż dobrze się stało, że nie przyjąłeś mojej propozycji przejścia do pracy w partii. Po dwóch dniach od ukazania się filmu dokumentalnego w kinach Centrala Rozpowszechniania Filmów poinformowała mnie o wycofaniu obrazu z kin warszawskich, tylko warszawskich, albowiem na niektórych seansach, w momencie gdy harcerka zawiązuje chustę Breżniewowi, rozlegały się okrzyki: „mocniej, mocniej!” Doktor Cieśliński może ten film krytykować, ile tylko jego dusza zapagnie. Tylko po jakiego diabła miesza w to kronikę? Bo mu pasuje do zaplanowanej tezy!?

Doktor nauk Marek Cieśliński twierdzi, że kroniki monotematyczne z okazji XXX - lecia Polski Ludowej powstawały „...zgodnie z ustaleniami lokalnych władz partyjnych przybierając kształt propagandowej wizytówki regionów.” Twierdzenia tego nie uzasadnia żadnymi dowodami, a co dziwniejsze nie zauważył, że w każdej z tych kronik były fragmenty mówiące o problemach czekających na rozwiązanie. Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach miała zastrzeżenia do jubileuszowego wydania o tym województwie, ale w kronice nic nie zmieniono, bo redakcja z krytyką się nie zgodziła. Powiedziałem, że możemy zrealizować nowe

wydanie, ale za pieniądze komitetu. Po dość pobieżnym obejrzeniu kronik jubileuszowych o województwach autor pracy doktorskiej „Ideologia i propaganda w Polskiej Kronice Filmowej...” doszedł do wniosku, że uprawialiśmy nieustannie „propagandę sukcesu.” Nie zadał sobie trudu i nie policzył, ile w ciągu roku jubileuszowego ukazało się kronik na ekranach, nie zadał sobie trudu żeby policzyć, w ilu ukazujących się w tym czasie kronikach zamieściliśmy tematy krytyczne, mimo jubileuszu. Nie zauważył też, że przed zjazdami partii tematami poświęconymi sylwetkom delegatów towarzyszyły obrazy mówiące o ujemnych stronach życia, albo tematy krytykujące negatywne zjawiska w życiu społeczeństwa. W rozdziale „Premier - redaktor” opisałem, gdzie i kiedy zrodził się pomysł kronik monotematycznych. Aby była pełna jasność podkreślam - świadomie i z własnej woli pokazywałem osiągnięcia Polski Ludowej, bo w przeciwieństwie do doktora Cieślińskiego wiedziałem coś niecoś o Polsce przedwojennej i miałem skalę porównawczą.

Marek Cieśliński już na samym wstępie popełnia błąd metodologiczny. Pisze: „By jednak wyjaśnić znaczenie ukazującego się w kinach nad Wisłą tygodnika, należy wyodrębnić go spośród współczesnych mu mediów. Celem tej pracy jest ustalenie autonomicznych form wyrazu zawartych w filmowej kronice PRL, określenie sposobów wykorzystania audiowizualnego tworzenia do upowszechnienia - na przestrzeni półwiecza siłą narzuconej społeczeństwu ideologii”. Pierwszy błąd to właśnie „wyodrębnienie” Polskiej Kroniki Filmowej z reszty mediów w Polsce. Metoda ta pozwala na dowolne oceny. Brak porównań uniemożliwia dostrzeżenie różnic, jakie istniały między mediami w Polsce Ludowej, różnic między telewizją Macieja Szczepańskiego a Polską Kroniką Filmową. Twierdzenie, że P K F służyła do narzucania społeczeństwu niechcianej ideologii, indoktrynacji, filtracji itp. to czysta propaganda, a nie próba naukowej oceny.

Z niektórych fragmentów tekstu wynika, że Marek Cieśliński wrywkowo poznał historię Polskiej Kroniki Filmowej. Gdyby znał ją gruntownie, nie napisałby, że: „Wprowadzenie w grudniu 1981 r. stanu wojennego przerwało na kilka miesięcy wydawanie Kroniki...”. Otóż po raz pierwszy w swojej historii Polska Kronika Filmowa (39A/80) miała przerwę w ukazaniu się na ekranach z powodu strajku załogi Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Szkoda, że doktor nie zbadał i nie napisał, dlaczego nie ukazała się na ekranach kronika monotematyczna z I części Zjazdu „Solidarności” i dlaczego PKF nie sfilmowała II części Zjazdu w hali „Oliwii”. Praca Marka Cieślińskiego jest pełna sprzeczności, roi się od błędów rzeczowych i historycznych. Nie piszę recenzji z tej książki, więc pomijam te mankamenty. Mam nadzieję, że doczeka się rzetelnej oceny poważnego, bezstronnego historyka. Wskazałem tylko na zbyt pochopne i krzywdzące zespół PKF oceny młodego „uczonego.” Na zakończenie jeszcze jeden fragment książki: „Realizowana przez lata dbałość o atrakcyjną, przychylną odbiorcy formę przekazu, przynosiła po latach



zaskakujące efekty: mimo pozostawania przez dziesięciolecia na usługach propagandy, to właśnie ekipa Kroniki - jako jedyna - została w 1980 roku wpuszczona na teren strajkującej Stoczni Gdańskiej."

Tym zdaniem Marek Cieśliński przyznaje się do niewiedzy i do intelektualnej bezradności! Każdy ma prawo krytycznie oceniać historię kraju i Polską Kronikę Filmową, ale powinien dołożyć staranności, by ta ocena była poparta faktami. A faktów mówiących, że PKF nie poddawała swoich widzów indoktrynacji ideologicznej jest dostatecznie dużo.

Polska Kronika Filmowa nie pouczała widzów, bo traktowała ich jak partnerów, a nie ciemną masę. Pokazywała pozytywne zjawiska zachodzące w Polsce Ludowej, ale ukazywała też ujemne strony życia - jakbyśmy dziś powiedzieli - „zwykłych ludzi”, nigdy nie wyrzekła się -w czasie, gdy ja nią kierowałem- krytyki. Polska Kronika Filmowa wypracowała swój własny styl i był on dorobkiem wszystkich, którzy ją tworzyli, był wartością, której nie musimy się wstydić. Zamieszczaliśmy np. relacje z wystawianych sztuk teatralnych, zawsze z intencją, by zachęcić widzów do refleksji i własnych sądów. Dla przykładu kronika 42B/80. Wykorzystywaliśmy występy kabaretów, aby dzięki nim spojrzeć satyrycznym okiem na otaczającą nas rzeczywistość. Tego nurtu w kronice Marek Cieśliński, nie dostrzegł. W innym miejscu opisałem ważne zdarzenia, w których uczestniczyła kronika i które nie uszły uwadze naszych widzów. Cieśliński pisze: „...mimo pozostawania przez dziesięciolecia na usługach propagandy...” Kronikę wpuszczono do Stoczni Gdańskiej. Nie „mimo”, panie doktorze, a dlatego, że Polska Kronika Filmowa nie utraciła nigdy zdrowego rozsądku! Cieszyła się zaufaniem m.in. stoczniowców i przytłaczającej większości widzów. Była w Gdańsku i Szczecinie w grudniu 1970 roku! W stoczni im. Lenina także w styczniu 1971 roku. W sierpniu 1980 roku robotnicy o tamtym naszym pobycie pamiętali, pamiętali też, że wzorem telewizji nie nazwaliśmy ich nigdy chuliganami i dlatego wpuścili do stoczni Polską Kronikę Filmową. To dziwne, że doktor nie dostrzegł np. kroniki pt. „Strajk”, jak i takiego drobiazgu, że w latach 1973 - 1981 w PKF ukazało się ponad 400 tematów krytycznych! Nie wykreślicie nas z historii

Polska Kronika Filmowa w czasach realnego socjalizmu, a i w czasach demokracji była fenomenem, tak fenomenem! Mimo zajadłych i nienawistnych napaści różnego autoramentu autorów żyje w Internecie! Jest poszukiwana przez młodych ludzi, wzbudza dyskusje, staje się źródłem wiedzy dla tych, którym nie wystarcza oficjalna historia podawana w szkołach. Polska Kronika Filmowa inspiruje twórców, tych twórców, którzy pragną swoim widzom powiedzieć o doli człowieka coś więcej niż sprawni i cyniczni manipulatorzy obecnej rzeczywistości.

Często moi dawni współpracownicy dzwonią do mnie z pytaniem: szefie, czy widziałeś?

- Występ profesora w telewizji, który twierdzi, że zdjęcia z grudnia siedemdziesiątego roku, to materiały zagraniczne, a nie polskie?

- Musiał je za granicę ktoś sprzedać, czy nie słyszeliście nic na ten temat?

- Szefie, czy widziałeś jak Maciej Orłoś robi kasę w TVP1 podpisując nasze zdjęcia WFDiF, a pomija nazwiska prawdziwych autorów, choć jego audycja kończy się długą listą nazwisk, nawet tych, co zamykają drzwi do studia?

- Orłoś, powiadacie? Macie na myśli tego ładnego dziennikarza, który przepoczwarzył się w show-mana? Jesteście oburzeni? Zadzwońcie proszę, do Komisji Etyki.

- Halo Mirku, czytałeś w „Trybunie” kawałek „Kroniki z łezką w oku”? Wywiad z Przemysławem Jaszke z firmy „Grube ryby”?

- Grube ryby Bałuckiego?

- Nie Bałuckiego, a Jaszke.

- A kto to taki? - Autor dzieła pt. „Najzabawniejsze Polskie Kroniki Filmowe”?

- Oglądam. „Ambulans jedzie na wieś” Na powojenną zawszoną wieś przyjeżdżają lekarze i pielęgniarki, aby pomóc chorym i zaniedbanym. Ludzie gromadzą się przed ambulansem, może niektórych z nich doktor zbada pierwszy raz w życiu. Rozbawił ten temat „twórcę” o nazwisku Jaszke. Prawda, że to śmieszne?

Twórcę? Twórca, to ktoś, kto pragnie podzielić się z innymi swoją wiedzą, doświadczeniem, przekazać coś ważnego. A jaką wiedzę ma Jaszke, co on wie o ciężkich powojennych latach? O biedzie i zacofaniu? Jaszke bawi to, że lekarze przyjechali pomóc chłopom. To go tylko rozśmiesza. Jaszke robi szmal, bo stać go zaledwie na tyle. Nie skażony żadnym doświadczeniem historycznym, nie wspominam przez litość o wiedzy, tłucze szmal. Jego dzieło, czy dzieła zaczynają się napisanym czerwonym kolorem „Ostrzeżeniem” „Płyta przeznaczona jest wyłącznie do użytku domowego - ostrzega Jaszke. Wszelkie inne prawa producenta oraz prawa autorskie...(znowu czerwoną czcionką) Zastrzeżone” Co ten Jaszke rozumie przez „Prawa autorskie”? Czy ma na myśli twórców tematu „Ambulans jedzie na wieś”? Ależ skąd, on korzysta z ich twórczości bez ceregieli, w państwie, które w swojej konstytucji twierdzi, że Polska jest państwem prawnym, nie musi liczyć się z cudzą twórczością. Przecież to komuchy, a im wolno mniej! Mamy przecież demokrację i każdy może śmiać się z czego tylko dusza zapagnie, każdy może tworzyć. I jak

pokazuje doświadczenie każdy może żerować.

Nie ma, bowiem dnia, aby w mediach publicznych i prywatnych nie ukazywały się materiały z Polskiej Kroniki Filmowej „ometkowane” skandalicznym napisem WFDiF!

Polska Kronika Filmowa - komunistyczna, jest źródłem dochodów szwadronu „twórców” czasu demokracji. Dlatego będą ją chronić przed zniszczeniem. Pecunia non olet.

## 21. MANIPULATORZY

W mojej wyobraźni jawią się, jako prymusi obdarzeni najwyższym ilorazem inteligencji (IQ), w liceum nie mieli najmniejszych trudności z opanowaniem wiedzy serwowanej im przez nauczycieli. W wyścigu szczurów nie starczało im jednak czasu na zadawanie pytań, nie nawiedzały ich też z pewnością wątpliwości. Czas na refleksje przychodzi wszak nieco później, gdy kończy się młodość. Dla nich, wówczas - w licealnej rzeczywistości- tak sobie wyobrażam - najważniejsze było utrzymanie dobrego miejsca w ścisłej czołówce.

Maturę zdali zapewne z najwyższymi ocenami. Na wyższej uczelni zwrócili na siebie uwagę perfekcyjnym opanowaniem materiału, e l o k w e n c j ą, poważnym stosunkiem do nauki i życia. Szybko znaleźli swojego guru i pod jego światłym kierownictwem napisali pracę pt. „Manipulowanie informacją.” W podtytule dodali, że udowodnią swoje tezy, biorąc za podstawę „wydarzenia sierpnia 1980 i grudnia 1981 w relacjach Polskiej Kroniki Filmowej”. Pracę opublikowali w Internecie. Pora, zatem ujawnić nazwiska młodych autorów: Anna Ziółkowska i Michał Kotnarowski, którzy „pod kierunkiem dra Jakuba Karpińskiego i mgr Agnieszki Jasiewicz-Betkiewicz z Zakładu Metodologii Badań Socjologicznych UW” postanowili zdemaskować mnie, jako czerwonego manipulatora, bo to ja, wtedy decydowałem, co pokazać widzom w Polsce, co „zmanipulować”, a co ukryć przed opinią publiczną. W swojej pracy piszą: „Pierwsze informacje na temat kryzysu pojawiają się w kronice upublicznionej w dniu 28 sierpnia (kr. 35/80 wyd. B) w części pod tytułem „Trudne dni”. Jedyne fakty w niej zawarte można znaleźć w następującym zdaniu: „ Strajk unieruchomił serce przemysłowego Wybrzeża. I w Gdańsku i w Szczecinie stoczniowcy i portowcy powołali Międzyzakładowe Komitety Strajkowe, które

przedstawiły listę postulatów. Przedłożono je specjalnie powołanym komisjom rządowym.[...]Trwa przedłużająca się dyskusja."

Tekst komentarza autorzy bardzo okroili. Osądowi czytelników pozostawiam, jak to okrojenie tekstu zmieniło jego wymowę. Oto cały komentarz PKF: Gdańsk w trudnych dla całego kraju sierpniowych dniach strajków pracowniczych. Nierealny obraz miasta o ściszym pulsie życia i wygaszonych naturalnych funkcjach. Brak komunikacji autobusowej i tramwajowej oraz niedostatek benzyny sparaliżowały ruch, ale nie spowodowały chaosu. Nie ma zamkniętych sklepów i punktów usługowych, nie brakuje podstawowych artykułów spożywczych, pracują służby komunalne. Bez ruchu tkwią przycumowane statki, stanęły wszystkie urządzenia. Ustała praca w stoczniowych dokach, zamarł port. Strajk unieruchomił serce przemysłowego Wybrzeża. I w Gdańsku i w Szczecinie stoczniowcy i portowcy powołali międzyzakładowe komitety, które przedstawiły listę postulatów. Przedłożono je specjalnie powołanym komisjom rządowym. Trwa przedłużająca się dyskusja, która nie jest obojętna dla żadnego Polaka. Czyż krytycy oskarżając PKF o manipulację nie zmanipulowali sami komentarza skracając go do czterech zdań?

Młodzi autorzy, co i tak jest chwalebny wyjątkiem wśród innych autorów licznych artykułów i publikacji na temat PKF, z badawczą rzetelnością zauważają, że Polska Kronika Filmowa poświęciła wydarzeniom na Wybrzeżu jeszcze jeden temat. A oto, jak go komentują:

„Informacja zostaje przedstawiona w kolejnej kronice – z dn. 2 września (36/80A) w następujący sposób: „Komisja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego i prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego pod przewodnictwem Lecha Wałęsy podpisują porozumienie po ostatniej rundzie rokowań, (co widać na obrazie). Jak widać kronika nie wspomniała o treści podpisywanego dokumentu, a więc również o wyrażeniu zgody ze strony władz na utworzenie niezależnych związków zawodowych? W pierwszej omawianej przez nas kronice poświęconej wydarzeniom w Gdańsku (35/80B) temat związany z tymi wydarzeniami zawarty jest na 37,5 metra długości taśmy, co stanowi 1 min i 23 s.”

Autorzy wspomnianej pracy piszą dalej: „Temat kroniki, w którym przedstawiono porozumienie w Stoczni Gdańskiej (36/80A) zawarty jest na 47,5 metrach taśmy filmowej i jest najdłuższym w tej kronice. O ile w poprzedniej kronice występowały tylko ujęcia ogólne, tutaj takie ujęcia zajmują jedynie 19,5 metra taśmy. Stanowi to 42 proc. całego materiału poświęconego wydarzeniom w Gdańsku. Pozostałe 58 proc. tematu zajmują tzw. plany średnie (nazywane też amerykańskimi) fotografujące osoby od kolan wzwyż, nie uwzględniając przy tym miejsca, w jakim przedstawiane wydarzenia się dzieją. Na każdym zdjęciu przedstawione są tłumy

lub grupy ludzi, zazwyczaj uśmiechniętych lub bijących brawo – z wyjątkiem jednego metra taśmy gdzie widoczny jest tylko napis na bramie: „Stocznia Gdańska”.

Z aptekarską dokładnością wyliczyli metry, omówili ujęcia, przedstawili atmosferę i nastroje. Nie zamierzam tu polemizować z ich ocenami Polskiej Kroniki Filmowej. Mają, bowiem prawo wystawiać cenzurki i wymierzać razy zgodnie z obowiązującą obecnie w Polsce poprawnością polityczną, która sprowadza się do banalnego ogólnika, że „wszystko w PRL było złe.” Przywołuję ich tekst z całkiem innych powodów... Studenci (magistrowie?) nie są odosobnieni. Wzorują się na starszych kolegach...niedościgłych manipulatorach.

Oto telewizyjny kanał „Kino Polska”, przed rozpoczęciem emisji Polskiej Kroniki Filmowej, w cyklu pt. „Na przełaj przez PRL”, uznał za celowe wprowadzić widza w realia tamtej rzeczywistości: „Warto przypomnieć dla przykładu, że w sierpniu 1980 roku jej (kroniki- M.Ch.) wydanie otwierały informacje o wakacyjnych kłopotach z pogodą. Po nich następował krótki raport o uszkodzeniach mebli w trakcie niewłaściwego transportu, a na koniec redaktorzy zaserwowali niecałe półtorej minuty tendencyjnego (podkreślenie- M.Ch.) reportażu ze strajków w Stoczni Gdańskiej. Tę część zatytułowano enigmatycznie: „Trudne dni.” Podobne manipulacje znaczą całą historię Kroniki...”

O drugim wydaniu, teź kroniki, zauważonym przez studentów, redaktorzy telewizyjni nie wspomnieli, a o wydaniu specjalnym PKF (49B/40A/80) w całości poświęconemu strajkom w sierpniu 1980 roku, i wówczas głośnym, ci obiektywni i niezależni twórcy z „Kino Polska” - nawet słowem nie wspomnieli!

Autor tekstu wprowadzającego w „Kino Polska”, który nie jest firmowany żadnym nazwiskiem, gani redaktorów PKF za to, że temat „Trudne dni” umieścili na ostatnim miejscu wydania, a to jest ordynarne oszustwo! Sprawdziłem osobiście w archiwum. Kronikę otwiera właśnie temat „Trudne dni.”!!! Gdyby tekst „Kina Polska” był firmowany nazwiskiem nazwałbym autora prymitywnym szulerem!

Prawicowi i liberalni dziennikarze, w dziesiątkach artykułów, doktorzy nauk w historycznych opracowaniach i usłudni publiczności chłoszczą Polską Kronikę Filmową za to, że za mało miejsca poświęciła strajkom na Wybrzeżu, na Śląsku i w innych miejscach kraju. Dziwne, że ci „niezależni” badacze przeszłości, krytycy, doktorzy i magistrowie nie zauważają wydania PKF numer 39B/40A/ 80 pod tytułem. „Strajk”. Nie dziwi mnie fakt, że to podwójne wydanie PKF, poświęcone w całości strajkom w Polsce przemilczają zawodowcy. Za to im przecież płacą. Zdumiewa mnie natomiast, a zarazem smuci, że nie zauważyli PKF 49B/40A/80 młodzi autorzy, studenci Anna Ziółkowska i Michał Kotnarowski. Oto powód, dla którego ich tekst tu przywołałem.

Kłamstwa i fałszerstwa, a także zmowa milczenia, jaka otacza wydanie kroniki 49B/40A/80 zmuszają mnie do poświęcenia jej nieco więcej miejsca. Pragnę, bowiem zwrócić uwagę na realia, w jakich ta kronika powstawała. Zacznę od tego, że nie jest na przykład prawdą, to, co pisze reżyser dokumentalista, Paweł Kędzierski: „kiedy za czasów głębokiej komuny wybuchł strajk w Gdańsku w sierpniu 1980 r., po tygodniu (podkreślenie-M. Ch.) była tam Polska Kronika Filmowa, a po dwóch tygodniach przyjechał zespół z dwoma reżyserami.” Paweł Kędzierski świadomie pragnie czytelników wprowadzić w błąd, by w ten sposób pomniejszyć dokonania kroniki. Oto rzetelność niezależnych dokumentalistów. To przestawią kolejność tematów, to uszczkną parę dni, lub wyrzucą parę wierszy z tekstu komentarza, bądź nie zauważą tematów krytycznych w PKF, bo to zaprzecza ich twierdzeniom, że redakcja PKF cały czas uprawiała propagandę sukcesu. Dopuszczają się każdego chwytu byle dokopać czerwonym.

Polska Kronika Filmowa była obecna w Gdańsku już 16 sierpnia 1980 roku, strajk rozpoczął się 14 sierpnia.

W książce „KTO TU WPUŚCIŁ DZIENNIKARZY” redaktorzy wspominają:

- Tadeusz Strumff – z „Trybuny Ludu”: „wyjechałem 14 sierpnia, maluchem.”

-Lech Stefański – z „Polityki”: „wyjechałem w piątek 15 sierpnia.”

-Piotr Halbersztat – z Polskiej Kroniki Filmowej: „16 sierpnia, w sobotę; jechaliśmy całą ekipą Kroniki.” (strona 37). Na stronie 92 dodaje: „Myśmy już od razu filmowali dyżurujących przy bramach...Z polskich ekip filmowych byliśmy pierwsi”.

Zarówno reżyserzy- dokumentaliści jak i redaktorzy- PKF pracowali na Chełmskiej 21, w Warszawie w tym samym budynku, na tym samym korytarzu. Trzeba przyznać, że większość dokumentalistów nie darzyła sympatią kronikarzy i odwrotnie.

Ekipa PKF nie miała żadnych trudności z wyjazdem. Nie prosiłem nikogo o zgodę. Podjąłem decyzję i wysłałem zespół pod kierownictwem Piotra Halbersztata. Dlaczego właśnie jego? Piotrusia, jak go między sobą nazywaliśmy prawie wszyscy w redakcji lubili i poważali. Nie należał do „pistoletów” dziennikarskich. Spokojny i rozważny, nie podejmował drażliwych tematów. Zawsze wiedział, jak postąpić w sytuacjach krańcowych i krytycznych Powierzając mu bardzo odpowiedzialne zadanie, byłem przeświadczony, że się na nim nie zawiodę. Nie pomyliłem się i tym razem.

Podczas gdy ekipa Polskiej Kroniki Filmowej jechała do Stoczni, nasi sąsiedzi - dokumentaliści - współautorzy książki „Kto tu wpuścił dziennikarzy” zastanawiali się dopiero co robić. Na chwilę oddaję im głos, sami o sobie opowiedzą najlepiej. (Cytaty pochodzą z „Kto tu wpuścił dziennikarzy”- M.Ch.)

Andrzej Zajączkowski, reżyser: „Siedzieliśmy w Warszawie z Bohdanem Kosińskim i mówiliśmy sobie: jak to w ogóle jest? Jaka straszna jest nasza sytuacja – ludzi, którzy powinni dokumentować takie wydarzenia – a my siedzimy tu spokojnie i nie mamy możliwości robienia tego, do czego jesteśmy właściwie zobowiązani. Powiedzieliśmy sobie: „Koniec, musimy jechać”. No i złożyliśmy temat u dyrektora programowego...”

Odważni opozycjoniści, prawda?

Bohdan Kosiński, reżyser: „Dyrektor stwierdził, że tego dnia wyjeżdża ekipa Polskiej Kroniki Filmowej (Kronika nie podlegała dyrektorowi - M. Ch.) I że to wystarczy, ale zapyta wiceministra Juniewicza, czy taki wyjazd może wchodzić w rachubę. W poniedziałek rano pan Witalis Jankowski odpowiedział, że pan wiceminister jest przeciw wyjazdowi ekipy, że Kronika wystarczy. ( PKF nie podlegała wiceministrowi. Przyp. M. Ch.) .Nazajutrz do pana Juniewicza zgłosił się pan Kieślowski; albo może poszli we dwóch z panem Wajdą – nie pamiętam dokładnie. Poszli tam, jako reprezentanci władz Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Panu Kieślowskiemu i panu Wajdzie pan minister również odmówił...”

Ówczesni dokumentaliści, zaliczani do nurtu opozycyjnego, musieli mieć zgodę władz na wyjazd do Gdańska. Cholernie twardego twórcy. Oto, jaką mieliśmy wówczas na Chełmskiej dzielną opozycję! W czasie, gdy oni grzecznie prosili Polska Kronika Filmowa utrwałała strajk na taśmie.

W świetle tych opowieści nie znajdują potwierdzenia słowa reżysera Pawła Kędzierskiego, że: ". Władza miała wtedy masochistyczną potrzebę rejestracji swojej agonii..." Jest to zdanie tyle efektowne, co bałamutne, jak wiele obecnie wypowiedzianych nie tylko przez twórców i polityków, ale także niektórych uczonych na temat Polski Ludowej. Przecież dyrektor Witalis Jankowski –nie musiał się zasłaniać wiceministrem Juniewiczem, mógł podjąć decyzję samodzielnie. Cytując wypowiedź reżysera Bohdana Kosińskiego (notabene, jak ja, członek PZPR), dwukrotnie zaznaczyłem, że redakcja PKF nie podlegała ani dyrektorowi Wytwórni Filmów Dokumentalnych, ani ministrowi kultury. WFD pełniła w stosunku do kroniki taką rolę, jaką pełni wydawnictwo prasowe w stosunku do redakcji, dajmy na to, „Polityki”, „Życia Warszawy” czy „Sztandaru Młodych”. Dyrektor wydawnictwa nie mógł redaktorowi dziennika czy tygodnika wydawać poleceń dotyczących treści artykułów. Dyrektor WFD też nie miał takich uprawnień wobec PKF. Był zobowiązany dbać o finanse, taśmę, transport, sprawność kamer itp. I chwała Bogu. Nie chcę przez to powiedzieć, że dyrektorzy WFD byli złymi pracownikami (w czasie mojej pracy na Chełmskiej 21 było ich pięciu), nie. Jestem tylko zdania, że urzędnicy- nawet doskonali- są z natury rzeczy, ludźmi bardzo ostrożnymi, by nie powiedzieć bojaźliwymi, co na ogół przedłuża proces podejmowania decyzji.

Polska Kronika Filmowa merytorycznie podlegała Wydziałowi Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, z czego osobiście byłem zadowolony. Lepiej, bowiem mieć do czynienia wprost z rzeczywistym decydentem niż z pośrednikami. Świadczy o tym wymownie przykład dokumentalistów z WFD. Nie uzgadniałem wyjazdu ekipy do Gdańska, nie pytałem też partii, czy mogę udostępnić materiały Polskiej Kroniki Filmowej ze stoczni twórcom głośnego wówczas filmu „Robotnicy 80” panom Andrzejowi Zajączkowskiemu i Andrzejowi Chodakowskiemu. Bo uzgadnianie tego typu decyzji uznano by w „białym domu” za brak samodzielności.

Wyraziłem zgodę na korzystanie z materiałów kroniki, bo gdy film tych nadzwyczajnie wybitnych twórców wchodził na ekrany kin w Polsce, wydanie PKF poświęcone strajkom schodziło właśnie z ekranów w kraju i z kin niektórych krajów w Europie. Nie był, więc wspomniany film dla Polskiej Kroniki Filmowej już żadną konkurencją. Na marginesie dodam, że z naszego wydania nie wycięto np. we Francji ani jednej klatki taśmy filmowej. Z „Robotników” Francuzi usunęli sceny religijne: mszę, spowiedź itp. Korzystając z okazji, zapytałem sekretarza generalnego International Newsreel Association (INA), dlaczego tak postąpili, czyżby we Francji istniała cenzura? Pan Marcel Colin – Reval spojrzał na mnie przyjaźnie i odpowiedział pytaniem: czyżbyś nic nie czytał o Wielkiej Rewolucji Francuskiej? A po chwili dodał już całkiem poważnie. We Francji nie wykorzystuje się religii do celów politycznych. Przejawy klerykalizacji „Solidarności” nie znalazłyby zrozumienia w naszym kraju i osłabiłyby sympatię do tego ruchu. Pomoc duchowa i materialna z Francji – dodał – nie pochodziła wszak od wielkiego kapitału, a od organizacji robotniczych, inteligencji, artystów i intelektualistów.

Wracam na Chełmską 21, do wydania PKF (39B/40A/80), o którym nic nie wiedzą zawodowi historycy i dziennikarze, (notabene, są jeszcze inne kroniki pominięte milczeniem). I oczywiście wielu doktorów nauk, wychowujących młode pokolenia Polaków. Pragnę, bowiem na tym przykładzie pokazać, jak w Polsce - już demokratycznej - manipuluje się opinią publiczną.

Dlaczego tak się dzieje? Na to pytanie odpowiem nieco później, po przedstawieniu wszystkich faktów.

Piotr Halbersztat, na początku swoich wspomnień w „Kto tu wpuścił dziennikarzy” mówi: „My mieliśmy około tysiąca metrów taśmy. Norma na reportaż 240 metrów, a więc w zasadzie na trzy, cztery dni pracy.” Przywiózł z Gdańska około 4000 metrów! Dosyłałiśmy taśmę do stoczni.

W tym miejscu warto dodać, że stoczniowcy w pierwszych dniach strajku nie wpuścili telewizji, a na murach miast polskich pojawiły się tamtego lata napisy: Telewizja kłamie!



Polska Kronika Filmowa weszła do stoczni bez przeszkód i filmowała, co chciała, nikt jej nie ograniczał. Po latach, na jakimś spotkaniu, koledzy przypomnieli mi, że nawet prałat ks. Henryk Jankowski wyraził zgodę, aby Kronikę wpuścić do stoczni. Weszliśmy bez przeszkód może także, dlatego, że robotnicy z wydziału „K-2” nie zapomnieli rozmowy z Polską Kroniką Filmową z grudnia 1970 i stycznia 1971 roku? Może pamiętali, jak ekipę PKF „zgarbięto” z ich wydziału i jak nas ratowali, gromadząc się przed budynkiem dyrekcji, na placu, który dziesięć lat później zyskał miano historycznego! A może pamiętali, że Polska Kronika Filmowa nie potępiła ich za grudzień 1970 roku, ani nie potraktowała wzgardliwie jak uczyniła telewizja, nie porównała do chuliganów. Kronika zamieściła jedynie krótką bez wyrazu relację.

Bezduśzny badacz, oceniający Kronikę z tamtych lat podda ją z pewnością druzgocącej krytyce za to, że poświęciliśmy wtedy robotnikom ze Stoczni im. Lenina zdawkowy, nijaki temat, a litościwy profesor np. z IPN- u potraktuje nas wyrozumiale za to, że taśmy z grudnia 1970 roku przeleżały na półce aż dziesięć lat! Wreszcie, jakiś idiota powie publicznie, że są to materiały zagraniczne. Bo kogo dziś interesuje, jak to się stało, że ekipy PKF filmowały zajścia w Gdańsku i w Szczecinie w grudniu 1970 roku? Kto się o to postarał i kto na to pozwolił? Czy ktoś zada sobie pytanie, dlaczego taśmy POLSKIEJ KRONIKI FILMOWEJ z grudnia 1970 roku, i nie tylko z tamtego czasu, ukazują się dziś pod szyldem WFDiF? Dlaczego?

Podobno ludzie inteligentni często zmieniają poglądy i zasady, którymi kierują się w życiu. Zmieniają swoje zapatrywania, dlatego, że zdobywają coraz więcej wiedzy i doświadczenia życiowego. I tych rozumiem. Sam się do nich zaliczam. Niektórzy zmieniają poglądy z pobudek koniunkturalnych, jeszcze inni po to, by wspiąć się na szczyty i „dokopać” przeciwnikom. Znam takich, co się wyrzekli własnych życiorysów, z czasów, gdy pragnęli zmieniać świat. Pytam ich zawsze, czy warto było? Zmieniać życiorys, a nie świat. Znam też osoby opisujące jakieś zdarzenia niezgodnie z prawdą. Pół biedy, jeśli powodem jest słaba pamięć albo po prostu brak pełnej wiedzy bądź cząstkowa znajomość przebiegu zdarzeń i do takich osób nie miewam pretensji ani żalu.

Ekipa PKF wróciła do Warszawy po podpisaniu porozumień w stoczni im. W. Lenina, zmęczona fizycznie i wyczerpana psychicznie. Poradziłem wtedy Piotrowi Halbersztatowi, by parę dni odpoczął w domu, a najlepiej, aby wziął zwolnienie lekarskie. Obawiałem się, że zaczną się kłopoty, jako że Piotr podpisał w stoczni głośne „Oświadczenie” dziennikarzy, domagających się wolności słowa. I na moje pytanie, czy to prawda, odpowiedział twierdząco. Dowiedziałem się o tym od Tadeusza Zaręby, mojego przyjaciela z Wydziału Prasy jeszcze przed powrotem naszej ekipy, a wiadomość ta pochodziła od towarzyski

Marii Kuleszy, która właśnie wróciła z Gdańska i przywiozła w stu procentach pewne wiadomości! W Wydziale Prasy pracowali różni ludzie – wykształceni, mądrzy

i rozważni, życzliwi dziennikarzom i rozumiejący nasz ciężki zawód. Byli wśród nich także autentyczni dziennikarze. Pracowali w wydziale także ludzie pryncypialni. Do takich należała właśnie towarzyszka „Marysia” jak ją pieszczotliwie nazywali koledzy. Kilkakrotnie pouczała mnie jak powinienem i z kim redagować PKF. Pewnego razu będąc u Kajetana Gruszeckiego, stałem się świadkiem takiego oto zdarzenia: zbulwersowana „Marysia” z gazetą w ręku („Słowo Ludu”), którą niemiłosiernie wymachiwała, wkroczyła do pokoju Kajetana.

- To skandal, wykrzykiwała głośno, zobacz, co oni wyprawiają!

Na pierwszej stronie, w prawym górnym rogu, redakcja zamieściła informację o spotkaniu Edwarda Gierka z prymasem Stefanem Wyszyńskim, a pod spodem tej krótkiej wiadomości wydrukowała artykuł z tytułem biegnącym przez całą kolumnę: „Nie ma na co czekać, trzeba prosić o przebaczenie”. Kajetan zareagował bardzo spokojnie, najpierw poprosił Marysię, aby usiadła, po czym wyjaśnił jej, że nie widzi na tej kolumnie nic złego. Kolumna, tłumaczył Marysi, była już przedtem złamana, depesza PAP o spotkaniu nadeszła w ostatniej chwili, wycofali więc, jakiś materiał i na to miejsce dali ową wiadomość. Nie mogli zmieniać całej kolumny prawdopodobnie ze względów technicznych, bo to opóźni ukazanie się gazety... Przytaczam ten przykład, bo towarzyszka „Marysia” nie lubiła dziennikarzy.

Na szczęście, moje obawy, co do losów Piotra Halbersztata związane z podpisaniem oświadczenia okazały się przedwczesne. Piotr, wrócił po kilku dniach do redakcji. Materiały z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia, Warszawy... zostały wywołane. Operatorzy i redaktorzy zaczęli je układać i przygotowywać do projekcji. Dziś już nie pamiętam, ile metrów taśmy zużyto. Wiem, że dużo. W doskonale prowadzonym archiwum można to z pewnością sprawdzić. Kiedy trwały te rutynowe przygotowania, podjąłem decyzję o stworzeniu podwójnego wydania Polskiej Kroniki Filmowej, poświęconego w całości strajkom. Postanowiłem, że w tym wydaniu opublikujemy po dziesięciu latach, po raz pierwszy część zdjęć z grudnia 1970 roku! Nakręcone w Gdańsku przez Józefa Bakalarskiego i Witolda Jabłońskiego, z moim udziałem, a w Szczecinie przez Janusza B. Kreczmańskiego. Te zdjęcia leżały nie tylko na archiwalnej półce. One przez dziesięć lat tkwiły w mojej świadomości, uwierały mnie i dręczyły.

Każdy dziennikarz przeżywałby to co ja, niezależnie od partyjnej legitymacji, jaką nosił w kieszeni.

Piotr Halbersztat we wspomnianej tu kilkakrotnie książce mówi: „Była taka polityka władz, żeby wyraźnie przeciwstawić przebieg roku '70 i '80. Uważam, że my powinniśmy robić czysty reportaż z wydarzeń, przy których byliśmy. Wstawka z Grudnia wynikała z koncepcji propagandowych, które się wtedy rodziły...”

Ciekaw jestem, jakimi dowodami dysponuje autor tego absurdalnego twierdzenia, że władze usiłowały „...wyraźnie przeciwstawić” przebieg wydarzeń '70 i '80 roku”. Sekwencja z grudnia 1970 roku świadczyła jedynie o tym, że sierpień 1980 był dalszym ciągiem, a ściślej zwieńczeniem tamtych tragicznych zdarzeń. I tak też został przyjęty przez widzów. Mogę zrozumieć Halbersztata, że materiał przez niego przywieziony był dostatecznie dramatyczny i nie należało go wzmacniać ani wstawką z grudnia 1970 r. ani zdjęciami z innych miejscowości. Lepiej wszak być autorem jedynym, wyłącznym, niż zbiorowym. Zupełnie jednak nie rozumiem konfabulacji o koncepcjach propagandowych, które zrodziły się po latach w głowie Piotra Halbersztata. Powiem więcej, specjalne wydanie kroniki pt. „Strajk” traktowałem, jako rodzaj stanowiska Polskiej Kroniki Filmowej wobec powstania „Solidarności”. Zamieszczając zdjęcia z całego kraju, kronika wskazywała, że nie jest to „przerwa w pracy” w jednym czy paru zakładach, a zjawisko o ogólnopolskim zasięgu. Na protest wręcz zasługuje dalsza relacja redaktora Halbersztata. Czytam ją i oczom własnym nie wierzę. Piotr Halbersztat opowiada: „Złożyliśmy Kronikę z materiałów przywiezionych z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia. Na pierwszy pokaz przyjechał redaktor naczelny, ( dowiaduję się, że byłem redaktorem dojeżdżającym - uwaga M.Ch.), zastępca, cenzor i dwie czy trzy osoby z KC, z Wydziału Prasy. Oni decydowali, co ma wylecieć. „Żeby nam tutaj Wałęsy nie było” – mówili. Wycieli spontaniczne reakcje na wystąpienia Jagielskiego i Wałęsy, sceny triumfu robotników z końca strajku. Dołożyli swój komentarz. Za tą Kronikę dostaliśmy nagrodę SDP, ale przez cenzurę nie mogliśmy wiernie oddać atmosfery strajku...”

Jak było naprawdę? Basia, cenzorka była pierwszym widzom z zewnątrz. Po obejrzeniu wspólnego dzieła całego zespołu, po projekcji, już w moim pokoju, złożyła mi gratulacje i załamując ręce w rozpacz stwierdziła, że tej kroniki nawet prezes na Mysiej nie odważyłby się puścić. Byłem na to przygotowany i pocieszyłem ją, aby nie robiła sobie z tego powodu wyrzutów. Zadzwoiłem więc do Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR, przedstawiłem całą sytuację i wyruszyłem do „białego domu”. Pojechałem własnym samochodem i przywiozłem na Chełmską 21- Kajetana Gruszeckiego, Kazimierza Królikowskiego i Tadeusza Zarębę. Na sali projekcyjnej obejrzelikronikę zmontowaną, ale jeszcze nieudźwiękowioną i bez nagranych komentarza. Wiedziałem z doświadczenia, że w dużym zespole trudno podejmować decyzję. Poprosiłem więc przedstawicieli KC i Basię cenzorkę do mojego gabinetu, wydając w sekretariaie dyspozycję, aby przeniesiono materiał do montażowni. Wypiliśmy kawę, wymieniliśmy pierwsze uwagi i poszliśmy (trzej przedstawiciele Wydziału Prasy, Basia cenzorka, Janusz Kędzierzawski – mój zastępca i ja), aby jeszcze raz obejrzeć kronikę na stole montażowym. Pragnę podkreślić, że przedstawiciele Wydziału Prasy nie przyjechali w charakterze cenzorów, przyjechali po to, by podjąć decyzję, czy kronika ukaże się na ekranach kin, czy wyląduje na półce w archiwum. Jest rzeczą zrozumiałą, że w montażowni zaproponowali zmiany. Dwie i tylko dwie!!!! Pierwsza: by usunąć ujęcie ukazujące jak szwedzcy związkowcy wręczają Lechowi Wałęsie na scenie, przy pełnych światłach, pieniądze. Powiedziałem wtedy,

że nie rozumiem tej propozycji a to, dlatego, że nasza partia głosi ideę internacjonalizmu, a gdy ten internacjonalizm robotniczy spełnia się na naszych oczach, to próbujemy go usuwać. Wtedy Tadek Zaręba wytłumaczył mi: proponujemy usunięcie tego fragmentu nie, dlatego, że wyrzekamy się internacjonalizmu, ale dlatego, że nie chcemy dawać argumentów partyjnemu betonowi. I tak oskarżają „Solidarność”, że za obce pieniądze pogrąża kraj w kłopotach. Nie słyszałeś? Druga propozycja dotyczyła też tylko jednego ujęcia. Mianowicie w materiale z grudnia 1970 roku. Na zdjęciu pokazaliśmy w dużym zbliżeniu, twarz młodego żołnierza przy karabinie maszynowym. Byłem do tego ujęcia szczególnie przywiązany, bo na twarzy chłopca malował się cały dramat tamtych wydarzeń. Nie kieruj się emocjami-usłyszałem- tylko wyobraź sobie, co się stanie z tym młodym człowiekiem , gdy ludzie go rozpoznają. To były wszystkie „cenzorskie ingerencje” moich przyjaciół z Wydziału Prasy KC PZPR. Polska Kronika Filmowa 39B/40A/80 weszła na ekrany nie tylko kin polskich, ukazała się we Francji, w Niemczech i w Belgii. Po trzech dniach życia tej kroniki na ekranach kin polskich otrzymałem wiadomość z Centrali Rozpowszechniania Filmów, że musimy usunąć z kroniki sekwencje z grudnia 1970 roku! Wbito nóż w moje serce! Natychmiast pojechałem do Wydziału Prasy...

Były szef polskiej kinematografii, mój kolega ze studiów, Mieczysław Wojtczak, pierwszy zastępca Ministra Kultury i Sztuki, w swojej książce „Kronika nie tylko filmowa” tak pisze o tym wydarzeniu: „...Naczelnny redaktor Mirosław Chrzanowski do wydania Kroniki na przełomie października i listopada wprowadził kadry filmowe, ukazujące wojsko i czołgi na ulicach Gdańska w grudniu 1970 roku. Interwencja środowiska była zdecydowana... ( to była chyba jedyna bitwa, którą częściowo wygrał generał Baryła. Złośliwa uwaga- M. Ch.) Ponieważ Kronika pozostawała pod bezpośrednim nadzorem KC PZPR, całe uderzenie skierowano na Jerzego Waszczuka, sekretarza KC PZPR. Napór był silny, ale ostatecznie Waszczuk nie uległ naciskowi i zdjęcia te po raz pierwszy zostały pokazane publicznie”.

Mój znakomity Kolega minister w swym dziele nieco rozminął się z prawdą, ale tylko nieco...

W Wydziale Prasy KC spotkałem się z trzema przedstawicielami, którzy podjęli decyzję, by kronika weszła na ekrany. Nie muszę pisać, że miny mieli niewesołe.

- Usłyszałem: z armią nie wygramy.

- Macie rację, ale możemy też przegrać z klasą robotniczą (gdzie te czasy, gdy władza bała się klasy robotniczej). Informuję, że gdy usuniemy zdjęcia z 1970 roku, zastrajkuje Wytwórnia, a za nią Warszawa - zagrałem va banque! Nie wiem, czy armia sobie wtedy poradzi. Pozostawmy temat z grudnia tylko w Warszawie, w kraju usuniemy go z kroniki, zaproponowałem. Po godzinie decyzja zapadła. W kinach stolicy tematu nie usunięto! Piszę o tym tak drobiazgowo nie po to, by deprecjonować

zasługi Jerzego Waszczuka, który przez długi czas był przecież członkiem kolegium PKF i dobrze się zasłużył kronice. Nie zapominał o nas, gdy jego talenty wyniosły go na wysokie stanowiska partyjne.

Nie przewidzieliśmy wtedy reakcji widzów w kraju. Oto notatka, jedna z wielu, jakie ukazały się w prasie wojewódzkiej. Autorzy, Bożena i Antoni Żarscy wyrażają swoje zdziwienie: „Kronika tylko dla „dojrzałych” z Warszawy”?

„W dniach 3 i 4 października br. w czasie pobytu w Warszawie mieliśmy okazję dwukrotnie, w dwóch różnych kinach („Relax” i „Moskwa”) obejrzeć podwójne wydanie Polskiej Kroniki Filmowej nr 39B/40A, poświęconej w całości sierpniowym strajkom w Trójmieście, Szczecinie, Warszawie i na Śląsku. W kronice tej obejrzeliśmy również kilkuminutową sekwencję filmową o wydarzeniach z grudnia 1970 r. na Wybrzeżu. W dniach 16 bm. wybraliśmy się do kina „Jaworzyna” w Krynicy i obejrzeliśmy ponownie to samo wydanie kroniki, ale ku naszemu zdziwieniu już okrojone z sekwencji o wydarzeniach grudniowych.

Podobne „okrojenie” wspomnianej kroniki miało miejsce w Nowym Sączu i Krakowie. Zapytuję więc – komu i dlaczego zależało na takim okrojeniu informacji? Czyżby mieszkańców naszego południowego makroregionu uważano za „n i e d o r o s ł y c h” do pełnej i prawdziwej informacji o tragicznych epizodach minionego okresu?

Takie postępowanie przecież nie tylko nie odbudowuje zaufania, lecz wręcz brak jego jeszcze dalej pogłębia. Pamiętamy zbyt dobrze grudzień 1970 r. jak też i październik 1956 r. i ten opisany fakt do złudzenia przypomina nam okresy tzw. „krótkotrwałych luzów” po tych wydarzeniach następujących. Czyżby historia miała się powtarzać? („Gazeta Południowa” 14 listopada 1980 r. dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej).

Czy Kronika mogła sobie wymarzyć lepszą reklamę? Kina w Warszawie pękały w szwach. Ludzie z całej Polski przyjeżdżając do stolicy walili do kin, by zobaczyć, przede wszystkim, zdjęcia z grudnia 1970 roku. Oto fragmenty artykułów z tamtych lat...

W „Przyjaciółce” (nr 43 z 26. 10. 1980 r.) autorka I.Ś. pisała: „Przed kinami stoją kolejki. Jeśli przyjdzie socjologom opracować kolejny raport o frekwencji filmów w Polsce, okaże się, że na przełomie września i października krzywa tej frekwencji gwałtownie wzrosła. Na okienkach kas wiszą karteczki: „bilety wyprzedane”, jakie w ostatnich kilku latach widzieć można było jedynie np. przy okazji wyświetlania „Przeminęło z wiatrem”...

Uważniejszy obserwator dopatrzy się jednak pewnej prawidłowości; ten niesłychany boom ma miejsce tylko w niektórych kinach. Tam mianowicie, gdzie obok

stosownego napisu o tytule granego filmu wisi karteczka: „Dziś wyświetlana kronika filmowa nr 39B/40A”.

Kronika – szlagier, jakiego od bardzo wielu lat nie było. Co poniektórzy, o dobrej pamięci, przypominają sobie podobną sprzed lat dwudziestu i czterech.

Ja oglądałam ją w sobotnie popołudnie w kinie „Atlantic” w Warszawie. Siedząc w drugim rzędzie, z głową zadartą do góry, szczęśliwa, że w ogóle się dostałam. Chociaż – jak się potem dowiedziałam - litościwe panie kasjerki wpuszczają chętnych i tych bez biletu; z litości, na miejsca stojące. W końcu to tylko piętnaście minut.

Więc zaczęło się - czarnymi literami na szarym tle „STRAJK”... Ostatnie kadry – podpisanie porozumienia. Wielki ołówek Wałęsy, skandowanie przez wielotysięczny tłum: „Leszek! Leszek”.

I koniec. Jeszcze oklaski. Potem wiele osób podnosi się z krzeseł i wychodzi. Panie bileterki przywykły już do tego i nie pytają: „Dlaczego pani wychodzi. Teraz taki ładny film będzie. Naprawdę. Ludzie komentują: „Wszystko pokazali - mówią – całą prawdę”. I jest to jeszcze jakby na zasadzie ewenementu. Na razie. Bo już przecież pora przyzwyczać się do tego, że postulat „o prawo do prawdy” też będzie spełniony”. Ukazanie się tej Kroniki odnotowały gazety i pisma centralne i wojewódzkie. „Słowo Powszechne”, piórem Aleksandra Ledóchowskiego, tak zareagowało: „...W ten krótki dokument włączono archiwalne zdjęcia ze strajku z grudnia 1970 roku. Kilka migawkowych ujęć: wozy bojowe w akcji, starcia, wypalone budynki. Nad tą częścią kroniki powstrzymuję się od komentarza. Były to wydarzenia tragiczne i krwawe; ocenę powinien dokonać każdy we własnym sumieniu. Właściwa kronika o sierpniowym strajku na Wybrzeżu składa się również z migawkowych reporterskich zdjęć, którym co prawda daleko do pełnego opisu wypadków, przecież przez swoją prawdę dokumentalną są i przejmujące i symboliczne... Dotychczas kroniki były dodatkiem. W tym przypadku „dodatek” stał się pierwszoplanową pozycją seansu, a to, co było zasadniczą częścią spektaklu cofnęło się w hierarchii ważności na pozycję długiego dodatku. I z tego faktu wynika pewna nauka, której nie można lekceważyć.” („Słowo Powszechne” 16 października 1980 roku).

„Życie Warszawy”, w informacji „Dobra robota”, pisze m.in.: „Komentarz szczególnie, komentarz wstrząsający do wydarzeń najnowszych stanowią - pokazane dziś publicznie po raz pierwszy- zdjęcia dokumentalne sprzed lat dziesięciu... Te materiały archiwalne ze stoczni brzmią jak memento groźne i krzepiące zarazem odwołując się do tej mądrości, jakiej wówczas po obu stronach zabrakło. ( Życie Warszawy 22 października 1980 roku.).

ST. Wyszomirski w „Expressie Wieczornym” zauważył: „To wydanie Kroniki przygotowywał cały zespół PKF. Dzięki połączonym wysiłkom, kamery są wszędobylskie. Oglądamy oprócz scen z Wybrzeża strajki solidarnościowe w Warszawie i na Śląsku. Pamiętne zdjęcia z podpisania porozumienia i owacja załogi kończą kronikę, dla której widzowie już dziś chodzą do kina, traktując filmy jako dodatek fabularny.” (Express Wieczorny” 30 września 1980 roku.)

Przytoczyłem tylko kilka fragmentów z ówczesnej prasy, autorzy oddali, bowiem atmosferę towarzyszącą tej kronice i w sposób bezstronny ukazali, jakim ważnym wydarzeniem politycznym i społecznym było w październiku 1980 roku wydanie PKF nr 39B/40A.

Aby ocenić uczciwie wydarzenie, jakim było specjalne wydanie PKF, trzeba porównać je z obrazem wydarzeń, pokazywanym w owym czasie w telewizji, porównać też, jak w TV komentowano strajki, a jak w kronice. Bez tych porównań wszelkie oceny będą niepełne i odbiegające od prawdy, krzywdzące zespół Polskiej Kroniki Filmowej.

Dlaczego cytuję fragmenty recenzji z ówczesnej prasy? Bo dopiero one umożliwiają zrozumienie pionierskich działań Polskiej Kroniki Filmowej i jej zasługi w dokumentowaniu przemian, jakie zachodziły w naszym kraju. Wpychanie Polskiej Kroniki Filmowej do prosektorium i dokonywanie na niej wiwisekcji jest śmieszne i bezpłodne. Kronika, mimo że nie ma jej na ekranach, nadal żyje, jest tematem dyskusji młodych Internautów. Nie bronię PKF za wszelką cenę, nie! Dziś, po latach, gdy gromadziłem dokumentację do pisania tych wspomnień widzę niedoskonałości i błędy, jakie wówczas popełnialiśmy. Nie jestem bezkrytycznym apologetą. Ale wściekam się, gdy patrzę na to, co czynią z Polską Kroniką Filmową zakłamanymi głosiciele prawd ostatecznych, ubierając się w piórka bezstronnych moralistów. Nie godzę się z przemilczaniem tego wszystkiego, co Polacy osiągnęli w Polsce Ludowej. Polska Kronika Filmowa, wysiłek polskiego społeczeństwa, starannie udokumentowała! Nie ma w niej potiomkinowskich budowli, są rzeczywiste dokonania. To nieprawda, że uprawialiśmy propagandę sukcesu. Możemy dziś krytykować PKF za „propagandę sukcesu, manipulację” i co tam jeszcze, kto wymyśli, ale zdjęć pokazujących wielkie budowle socjalizmu usunąć się nie da. To nie Polska Kronika Filmowa stworzyła „propagandę sukcesu”

Stanowczo temu zaprzeczam. Czy ktoś z krytyków Polskiej Kroniki Filmowej zadał sobie trud i policzył, ile krytycznych tematów ukazało się na ekranach kin? Gdy w TV nieprzerwanym ciągiem lała się surówka sukcesu, w PKF pokazywaliśmy zaniedbane szkoły, brudne ośrodki zdrowia, ludzi borykających się z kłopotami codzienności. Prawda, nie krytykowaliśmy realnego socjalizmu, ale zamieszczając tematy krytyczne, mówiliśmy widzom, że do pełnej szczęśliwości droga jeszcze daleka. To kronika pokazała polskiego inżyniera, który zamiast budować komputery, hodował

świnie, to kronika poświęciła całe wydanie przygotowane przez Janinę Motylińską, ludziom uzależnionym od narkotyków, a działo się to w czasach, gdy oficjalna propaganda głosiła, że w socjalizmie takie zjawisko nie istnieje. To PKF pokazała, jakie buble produkują zakłady „Diora” w Dzierżoniowie. To wreszcie Maciej Szczepański usunął PKF z telewizji, bo odstawała od obrazu Polski ukazywanego na małym ekranie.

Autorzy „Gazety Wyborczej” przedstawiają historię Polskiej Kroniki Filmowej w sposób następujący: początki oczywiście wspaniałe! Wszak, to profesor Jerzy Bossak. Największy sukces, to Helena Lemańska. Potem już tylko czarna dziura, czyli pustka historyczna i intelektualna, w najlepszym przypadku manipulacja, propaganda sukcesu uprawiana przez czerwonych. Wreszcie pojawia się wspaniały następca i kontynuator sukcesów, Andrzej Piekutowski! Okres od Heleny Lemańskiej do Piekutowskiego boleśnie uwiera prawicę, bo zaprzecza jej twierdzeniom, iż komuna tylko indoktrynowała społeczeństwo. Dlatego nie pokazuje się kroniki o strajku, dlatego nie emituje się kolorowego wydania, przygotowanego przez Marylę Góralczyk, relacjonującego wręczenie Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi. Całe wydanie kroniki poświęcone Lechowi Wałęsie, zrealizowane przez Marię Dehn, z pewnością już myszy zjadły. Nie wspominam o relacji przygotowanej przez PKF z pierwszej wizyty papieża w ojczyźnie: „Ojciec święty Jan Paweł II w Polsce”, wyświetlanej najpierw w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, a dopiero potem w Polsce, gdy Józef Tejchma został ministrem kultury i sztuki, sprawił, że film pojawił się także w kinach polskich. Przeczytałem dziesiątki artykułów, informacji prasowych i notatek, ale nigdzie, w żadnym dzienniku czy tygodniku nie znalazłem nawet najdrobniejszej wzmianki o tym, że w dwa dni po wyborze kardynała Wojtyły na papieża, wszystkie kroniki na świecie otrzymały od PKF materiały filmowe o Janie Pawle II. To jasne, kronikę redagowały wtedy komuchy. I to oni filmowali arcybiskupa i kardynała. Toteż nie dziwi mnie ocena PKF przygotowana przez parę studentów. Boleję nad tym, że młodych Polaków kształci się zakładając im jak koniom okulary zawężające pole widzenia. To też nad Wisłą, słowa wielkiego Polaka: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” brzmią jak szyderstwo.

Usuwanie Polskiej Kroniki Filmowej z polskiej świadomości jest bezwzględne, systematyczne i precyzyjne. Internauci już to zauważyli. Oto wypowiedź pochodząca z Internetu:

- Przykład z Polską Kroniką Filmową: z jakiś wiadomych tylko sobie względów WFDiF broni jak lew dostępu do PKFów zwykłemu śmiertelnikowi, a każdy cytat z kronik w innych filmach jest "ometkowany" wielgachnym napisem w prawym dolnym rogu z nazwą wytwórni... Dlatego od pewnego czasu dobrzy ludzie gromadzą i udostępniają PKFy w sieci - jak wiadomo za friko..."

WFDiF rzeczywiście „ometkowuje” materiały Polskiej Kroniki Filmowej. Kradnąc



cudzą twórczość i własność intelektualną, narusza bezceremonialnie prawo autorskie, kpi z zasad moralnych i etycznych.

Publicyści, pisarze, naukowcy sięgają każdego dnia do gazet codziennych, tygodników i miesięczników. Cytują w swoich książkach artykuły i informacje zawarte w czasopiśmie. Gdyby wzorowali się na WFDiF, to cytując artykuł np. ze „Świata” z czasów PRL, powinni pisać „cytat pochodzi z RSW „Prasa...” To samo przy „Perspektywach”, „Dokoła Świata”. „Po Prostu” i wielu nieistniejących już czasopiśmie.

Ten nachalny, bezprecedensowy proceder wykreślenia dorobku Polskiej Kroniki Filmowej dzieje się jawnie na oczach prokuratorów, uczonych z IPN (Instytutu Polskiej Nienawiści?), ministra kultury i ministra sprawiedliwości. I wszystko jest OK.? Na tym powinienem tę część wspomnień zakończyć, niestety, muszę na chwilę powrócić do wypowiedzi Piotra Halbersztata, który pisze:

„Kilka miesięcy po Sierpniu. W kwietniu 1981 roku odszedłem z Kroniki. Nie byłem już w stanie tam pracować. Po podpisaniu porozumień widziałem szansę na gruntowną zmianę. Wreszcie będzie można mówić prawdę – myślałem.

Jednak deklaracje władz miały się z prawdziwymi intencjami. Każde wydanie Kroniki cenzurowali członkowie KC...(podkreślenie - M. Ch.) Odszedłem więc z Kroniki i zostałem sekretarzem redakcji tygodnika „Kultura”...”

Redaktorem naczelnym „Kultury” był wówczas zastępca członka KC PZPR, Dominik Horodyński. No, ale zastępca to jednak nie członek. Przecieram oczy i nie wierzę, że Piotr Halbersztat mógł coś podobnego napisać! Co się dzieje z ludźmi? Dalej Piotr pisze, że go nie zweryfikowali. Nie miał pracy, zamierzał zostać taksówkarzem, kupił nawet licznik, ale swoich marzeń nie spełnił. Szkoda, byłby znakomitym taksówkarzem! Pasażerom opowiadałby bajki, ma przecież bujną wyobraźnię. Przedostatni raz zacytuje Piotra Halbersztata. „W sumie przez sześć miesięcy byłem bez pracy. W końcu zostałem sekretarzem redakcji w miesięczniku „Teatr”. Był warunek - żadnego pisania.

Prawda, że piękny życiorys? Tyle, że podretuszowany i skrócony. Piotr Halbersztat zapomniał, że w czasie stanu wojennego pracował w wydawnictwie stricte partyjnym, choć brzydził się członkami KC, w Krajowej Agencji Wydawniczej! Zatrudniłem go w „Fikcjach i Faktach” (nakład 200000 egz.), nie miał zakazu pisania pod swoim nazwiskiem, publikował tłumaczenia, także Szalamowa. A nazwisko jego widniało w stopce! „Fikcje i Fakty” już się nie ukazują, ale są w bibliotekach, można sprawdzić. (Zainteresowani znajdą „Fikcje i Fakty” nie w dziale czasopiśmie, a w dziale książek-M.Ch.).

Po raz ostatni zacytuję swojego redakcyjnego kolegę ( z PKF i FiF). Piotr Halbersztat w „Kto tu wpuścił dziennikarzy – 25 lat później” pisze:”.. Na co dzień trzeba zarabiać na chleb i troszczyć się o rodzinę. Oczywiście należy przy tym wszystkim wykazać przyzwoitość.” Tu się zgadzamy. Przyzwoitość przede wszystkim, Piotrze!

Nie rozumiem takich ludzi jak Piotr Halbersztat. Wydawałoby się mądry, przyzwoity człowiek, a posługuje się kłamstwami bez potrzeby. Nikt go przecież w Polskiej Kronice Filmowej nie zmuszał do uprawiania propagandy sukcesu. Sam proponował tematy i pobierał za ich realizację honoraria. Pamiętam, że w 1975 roku, przed zjazdem partii Piotr Halbersztat zrealizował przepiękną kolorową kronikę pt. „Praca, zdrowie, wypoczynek”. Pokazał w niej piękno pracy, ośrodki zdrowia w zakładach przemysłowych, domy wczasowe dla górników i robotników z polskich fabryk. W tym wydaniu informował widzów, że tylko w jednym roku 4.000.000 pracujących skorzystało z wczasów! Czy realizował to wydanie pod przymusem? Czy, jakiś komuch z KC PZPR stał nad nim z knutem? Czy te domy wczasowe wtedy nie istniały? Czy kłamał, że z wypoczynku skorzystało cztery miliony osób? Nie. To, dlaczego się tego wstydzi?

## 22. Dzień Apokalipsy

Uważny obserwator mógł się spodziewać, że ten dzień zbliża się nieuchronnie. Atmosfera napięcia w kraju narastała, zwłaszcza po radomskim oświadczeniu o „targaniu po szczękach.” Wśród członków partii, a przede wszystkim w aparacie partyjnym, nie ukrywano zaniepokojenia. W Wytwórni Filmów Dokumentalnych, podobnie jak w kraju, wyrosły bariery do tej pory niespotykane. Ludzie, którzy od lat razem pracowali, nagle zaczęli patrzeć na siebie z ukosa. W redakcji Polskiej Kroniki Filmowej członkowie „Solidarności” założyli białe- czerwone opaski, nie słyszało się głośnych rozmów, nikt nie opowiadał nowych kawałów. Jedna osoba z opaską na rękę, poinformowała mnie, kto będzie moim następcą, „gdy na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”.

Z relacji ekip wracających ze zdjęć z Polski, dowiadywałem się o rosnącym napięciu w zakładach pracy. Wieści przywożone z terenu przez ekipy PKF potwierdzał biuletyn Biura Prasowego Rządu, który zawierał „POUFNE” wiadomości i był kierowany imiennie do ograniczonej grupy osób, a „Informacje - głosił dopisek biuletynu - przeznaczone są do wiadomości adresata. Jeżeli redakcja pragnie wykorzystać jakieś informacje - prosimy je sprawdzić we własnym zakresie”. W biuletynie z 11 grudnia 1981 r. przeczytałem: „W całym kraju utrzymuje się atmosfera dużego napięcia. Główną przyczyną tego stanu rzeczy są podejmowane przez

„Solidarność” różnorodne akcje: masówki, zebrania, wydawanie oświadczeń, przeprowadzanie ankiet i plebiscytów. Wpływ na sytuację mają także trudności rynkowe.” „Komisje Zakładowe „Solidarności” rozwijają agresywną propagandę antypartyjną i antyrządową. Twierdzi się np., „że w rządzie i partii są silne grupy dążące do konfrontacji, aby utrzymać swoją, niekontrolowaną władzę, nie chcą ani poważnych rozmów, lecz szukają pretekstu do wprowadzenia stanu wyjątkowego.” /Kalisz/. „Mnożą się pogłoski i plotki, których celem jest zastraszenie społeczeństwa i wywołanie atmosfery paniki. Np. w Zakładach „Ponar - Remo” w Kępnie / woj. Kaliskie/ rozgłaszane są wiadomości o „liście 18 tys., którzy powinni być straceni.” Na masówce z udziałem przedstawicieli stoczniowców gdańskich, jaka odbyła się w KWK „Wawel” twierdzono, że „jeżeli do 15 grudnia nie zostanie powołany Trybunał Narodowy to członkowie „Solidarności uzbrojeni pójdą na Warszawę”, zaś na podobnej masówce w KWK „Pokój” rzucono hasło autonomii Śląska, który za pół roku będzie mógł wykupić pozostałą część Polski. Nawoływano tam także do zmiany rządu gen. Jaruzelskiego.

„Odnotować też można głosy załóg wypowiadające się za porozumieniem narodowym, stwierdzające, że „na dole można się dogadać” /Profarbet w Ostrowie Wlkp./ oraz wnioskujące o potrzebie ponownego spotkania Premiera W. Jaruzelskiego z Prymasem J. Glempem i Przewodniczącym L. Wałęsą.” „Aktyw partyjny uważa, że natychmiastowego przeciwdziałania wymagają próby tworzenia bojówek „Solidarności”. Próby takie podjęto m.in. w trzech zakładach woj. łomżyńskiego, w „Befamie” w Bielsku - Białej, w KWK „Staszic” w Katowicach, w Hucie „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim...”

W niedzielę, 13 grudnia 1981 roku, podczas śniadania włączyłem telewizor, generał Wojciech Jaruzelski, informował o wprowadzeniu stanu wojennego. Natychmiast udałem się na Chełmską. Pierwszych żołnierzy przy koksownikach zobaczyłem na skrzyżowaniu Belwederskiej z Dolną, Chełmską i Sobieskiego. W budynku WFD panowała pustka. W redakcji PKF czekali operatorzy Janusz Kuźniarki i Zbigniew Skoczek. Ich kamery nie zostały zamknięte, bo poprzedniego dnia filmowali I Kongres Kultury Polskiej, więc po zakończeniu obrad, 12 grudnia wieczorem, zabrali kamery do domu. Przed budynkiem stały fiaty 125p z napisem „Polska Kronika Filmowa”, które „zafundował” kronice Piotr Jaroszewicz. W redakcji filmów dokumentalnych nie było żywej duszy, wszystkie drzwi pozostały zamknięte, o czym dowiedzieliśmy się od Krzysztofa Szmagiera, który zawitał do naszej redakcji jako jedyny dokumentalista zatrudniony na Chełmskiej.

Szybko podjąłem decyzję, że wyruszamy filmować Warszawę, wtedy Szmagier poprosił o to, żeby mógł wziąć udział w filmowaniu. Pojechał z Januszem

Kuźniarskim, a ja ze Zbyszkiem Skoczkiem udaliśmy się na ulicę Mokotowską, gdzie mieściła się siedziba „Solidarności”. Tu Zbyszek zrobił pierwsze zdjęcia oddziału ZOMO. Zomowcy w hełmach, osłonięci tarczami maszerowali całą szerokością ulicy w stronę Koszykowej. Ten marsz uzbrojonych ludzi wyglądał groźnie i robił, niezatarte do dziś w mojej pamięci ponure wrażenie. Na pl. Zbawiciela Zbyszek sfilmował pierwsze drukowane i ręcznie pisane protesty przyklepione na murach budynków i kościoła. Stąd szybko wycofaliśmy się, bo zauważyłem, że zbliżają się do nas dwa umundurowane i uzbrojone patrole. Nie mieliśmy zezwolenia na filmowanie, naruszaliśmy dekret o stanie wojennym, bałem się, że zostaniemy zatrzymani i skonfiskują nam naeksponowaną taśmę. Przed kinem, „Moskwa”, gdzie wyświetlano film „Czas Apokalipsy” Francisa Forda Coppoli, sfilmowaliśmy czołg na tle tytułu filmu „Czas Apokalipsy”, później ujęcie to zrobiło ogromną karierę, nabrało wręcz symbolicznej wymowy.

Po powrocie na Chełmską, mimo niedzieli, zastałem w redakcji, wszystkich redaktorów i operatorów, niestety, kamery były już zaplombowane i dla większej pewności drzwi opieczętowano. Najważniejszym człowiekiem stał się komisarz w wojskowym mundurze. W WFD spustoszeń nie poczyniono, nie zarekwirowano naszego materiału. Ale nawet najwięksi przeciwnicy ustroju ucichli i nikt z nich nie naruszył dekretu o stanie wojennym, oprócz Krzysztofa Szmagiera. Reżyser serialu „07 zgłoś się” 13 grudnia 1981 roku pracował dla Polskiej Kroniki Filmowej (?). Twórcy dokumentu okazali się praworządni!

Kiedy po południu wracałem piechotą do domu, na rogu Chełmskiej i Sobieskiego spotkałem Ryszarda Krawza, przewodniczącego wytwórnianej „Solidarności”, zziębnięty, pytał czy go poszukują na Chełmskiej, po to, by go aresztować? Uspokoilem pana Ryszarda, oświadczając, że nie widziałem w WFD ani jednego wojskowego i nie zauważyłem nikogo kto chciałby go zamknąć. Redaktorzy i operatorzy PKF, każdego roboczego dnia w stanie wojennym przychodzili do redakcji, ale atmosfera, ta sprzed stanu wojennego już nie wróciła. Tylko raz Basia Dudkiewicz powtórzyła powiedzenie zasłyszane w pociągu na trasie Otwock - Warszawa: „Persil gównu, OMO gównu, tylko ZOMO pierze równo”.

Posiedzenia Komisji Weryfikacyjnej trwały 4 i 5 stycznia 1982 roku i odbywały się w gabinecie redaktora Henryka Jantosa, szefa redakcji filmów dokumentalnych. Przesłuchiwano tylko pracowników Polskiej Kroniki Filmowej, mnie jako szefa wzywano dwa razy. Nie miałem złudzeń, jaką członkowie Komisji Weryfikacyjnej w składzie: Konrad Kaszewski, Andrzej Tomczyk, Maciej Krasicki, pułkownik Antoni Kazan, Marcisz i Andrzej Prochwicz, podejmą decyzję.

Przesłuchano najpierw dziennikarzy i operatorów PKF, a na koniec rozmów w pierwszym dniu poproszono mnie. Już z charakteru pytań, jakie członkowie komisji zadawali pracownikom, zorientowałem się, że nie mam żadnych szans z Janem Grzelakiem - głównym weryfikatorem dziennikarzy.

Pierwsze pytanie brzmiało: kto wydał wam towarzyszu zgodę na filmowanie w dniu 13 grudnia i czy zdajecie sobie sprawę z tego, że naruszyliście dekret o stanie wojennym?

Odpowiedziałem, że jako kronikarz nie mogłem postąpić inaczej i że jestem przygotowany na poniesienie konsekwencji.

Byłem zaskoczony niektórymi pytaniami, które świadczyły o tym, że ludzie mnie przesłuchujący byli dobrze przygotowani i znali tematy ukazujące się w PKF. Zadano mi na przykład pytanie, jaką gazetę miałem na myśli w temacie o uszczelnianiu okien?

-„Rzeczywistość” to przecież widać na ekranie - odpowiedziałem.

Czy nie wydaje się wam towarzyszu, że tematy o „Solidarności” zbyt często ukazywały się w kronice? Kto z dziennikarzy i operatorów PKF wywierał na was największą presję. Kto jawnie krytykował politykę partii?

Co mogłem im odpowiedzieć? Za wszystkie zrealizowane i opublikowane tematy w PKF odpowiedzialność ponoszę wyłącznie ja, albowiem do 13 grudnia 1981 roku w kronice decyzję podejmowałem jedynie ja. To prawda, czasami zasięgałem rady członków kolegium, ale decyzje podejmowałem zawsze osobiście. Prawdą jest również to, że w zespole trwały ożywione dyskusje, jak w każdej redakcji naturalne. Drugiego dnia proszono mnie o scharakteryzowanie dziennikarzy i operatorów. O wszystkich wypowiedziałem się pozytywnie. Jedynie o Januszu Otamarze mówiłem negatywnie, jako o dziennikarzu i człowieku.

W kilkanaście dni po zakończeniu prac komisji zostałem zaproszony do Wydziału Prasy KC PZPR. Zastępca kierownika wydziału Rowiński poinformował mnie, że partia cofa mi swoje zaufanie, a to znaczy, że zostanę odwołany ze stanowiska redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej. Po tym oświadczeniu wyszedł z gabinetu, pozostawiając na stoliku przy którym siedzieliśmy, teczkę z

zapiskami rozmów z dziennikarzami i operatorami PKF przeprowadzonych przez komisję weryfikacyjną. Nie zajrzałem, choć korciło mnie ogromnie, do teczki.

Przegrywałem z podniesioną głową.

Wiele tygodni później spotkałem na Nowym Świecie Konrada Kaszewskiego. Zapytał mnie, dlaczego nie powiedziałem komisji prawdy? Gdybyś wskazał tych, którzy najbardziej rozrabiali, nie postawilibyśmy wniosku o twoje odwołanie ze stanowiska redaktora naczelnego PKF. - Konradzie - zapytałem - znamy się parę ładnych lat, sądzę, że jesteś porządnym człowiekiem. Czy postąpiłbyś na moim miejscu inaczej?

Towarzysz, Witalis Jankowski, p. o. dyrektora Wytwórni Filmów Dokumentalnych przysłał mi pismo informujące, że w związku z mianowaniem, Krzysztofa Szmagiera, na stanowisko redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej zostaję z tego stanowiska odwołany. Odwołanie mnie nie zdziwiło, ale mianowanie Krzysztofa Szmagiera na moje miejsce było dla mnie nie lada zaskoczeniem. Mnie odwołano m.in., dlatego, że naruszyłem dekret o stanie wojennym, Krzyśka, który podobnie jak ja ten dekret naruszył, nagrodzono! No cóż, to się czasami zdarza. Nie miałem do Krzysztofa żalu, nie z nim przegrałem. Przegrałem z towarzyszem Janem Grzelakiem, głównym inkwizytorem partyjnym, prawą ręką towarzysza Stefana Olszowskiego. A właściwie to z Jankiem też nie przegrałem. Był moim zdaniem remis. Ja go usunąłem z kolegium Polskiej Kroniki Filmowej, a po latach on mnie odwołał z funkcji redaktora naczelnego. Muszę jednak z kronikarskiego obowiązku dodać, że Janek nie stawiał przeszkód, gdy zadzwonił do niego Dobrosław Kobielski, dyrektor Krajowej Agencji Wydawniczej z pytaniem, czy może mnie zatrudnić? Dodam jeszcze, że Egzekutywa POP PZPR w WFD dwukrotnie wystąpiła w mojej obronie do generała Wojciecha Jaruzelskiego, niestety, nie otrzymała nawet odpowiedzi. Może i dobrze.

W każdym razie wokół naszego domu zapanowała głęboka cisza. Renia, też została pozbawiona pracy w Zarządzie Głównym RSW „Prasa”. Odwołała się do sądu i sprawę wygrała, ale pracy nie podjęła. Walkę toczyła o prawa obywatelskie, a nie o pieniądze!

13 grudnia 1981 roku straciliśmy niemal wszystkich „przyjaciół”. Nikt nas nie odwiedzał, a pewien człowiek, którego miałem prawo uważać za przyjaciela, gdy go odwiedziłem w redakcji, Której był redaktorem naczelnym zamiast wypić ze mną kawę w gabinecie, poprosił mnie do redakcyjnej kawiarenki, a na świadka rozmowy sekretarza partyjnej organizacji. Napisałem „niemal wszystkich”, bo np. Julian Bartosz, mój przyjaciel ze studiów, gdy dowiedział się, że mnie wylali, przyjechał aż z

Wrocławia i zaproponował mi pracę w swojej gazecie. Potwierdzając w ten sposób powiedzenie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ten gest przyjaciela pomógł mi znieść nieznośną pustkę, w jakiej wraz z żoną znaleźliśmy się w pierwszej fazie stanu wojennego.

## 23. Dlaczego socjalizm?

Przyszedłem na świat w czas srogiej zimy, na wsi zasypanej śniegiem, osiem lat przed wybuchem II wojny światowej. Od początku prześladował mnie pech. Najpierw zachorowałem, co opóźniło mój chrzest święty o ponad dwa miesiące. Gdy rodzice uznali, że jestem zdolny zawrzeć przymierze ze Stwórcą, na przeszkodzie stanął jego ziemski przedstawiciel, czyli ksiądz proboszcz we własnej osobie, nazwiska nie pamiętam. Mojego ojca, Walentego, ochrzanił, posłał go do diabła i odmówił nadania mi pogańskiego imienia - „Mirośław”.

Wiedzę o swoich narodzinach i pierwszych perypetiach życiowych zaczerpnąłem z opowieści mojej mamy – Stanisławy z Grudzińskich.

Tata mój nie należał do tych, co dają sobie w kaszę dmuchać. Choć Kościołowi rzymsko-katolickiemu, a po prawdzie księdzu prałatowi Wacławowi Blizińskiemu, senatorowi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, który zdolnej młodzieży chłopskiej okazywał serce i pomoc, zawdzięczał wykształcenie - ukończył bowiem z pomocą księdza prałata seminarium nauczycielskie. Zawodu wyuczonego, z przyczyn od niego niezależnych nie wykonywał, albowiem jak mawiała moja mama, po powrocie z Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie służył wiernie ojczyźnie, zbuntował się przeciw niesprawiedliwości i zyskał miano „wywrotowca”.

Odwołał się przeto mój tata od decyzji pasterza do czynników państwowych i proboszcz, chcąc nie chcąc, nadał mi pogańskie imię, co w przyszłości miało wywrzeć niemały wpływ na kształtowanie się mojego charakteru. Mama moja też księdzu prałatowi zawdzięczała swoje wykształcenie, ukończyła bowiem w Liskowie szkołę zawodową dla wiejskich dziewcząt.

Wyrastałem w atmosferze rodzinnej na bogobojnego chłopca. Babcia moja, Józefa Grudzińska, przepowiadała mi nawet wspaniałą przyszłość i widziała mnie w sukience sługi Bożego. Opowiadała, że jak tylko usłyszałem sygnaturkę z dzwonnicy wzywającą na nieszpory, chwyciłem babcie za rękę i szliśmy się modlić. Kościół w Strzałkowie jest przepiękny, cały z drewna i stareńki. Wnętrze domu Bożego wywierało na mnie magiczne wrażenie. Gdy rozbrzmiewały organy, wraz z aniołami wymalowanymi wokół ołtarza ulatywałem pod niebiosa, a zapach kadzidła wzmagił

jeszcze moje duchowe doznania. A już w czasie „podniesienia”, gdy w głównym ołtarzu jeden obraz święty opuszczał się na dół, a na jego miejsce z góry spływał inny z Matką Bożą u stóp, której widniał księżyc w kształcie rogalika i mnóstwo złotych gwiazd na tle nieba koloru modraków kwitnących w zbożu na strzałkowskich polach, moje uniesienie sięgało zenitu. Byłem tak przejęty i zafascynowany obcowaniem z Bogiem, że nie wydawałem wszystkich pieniędzy otrzymanych od ciotek na cukierki - kilka grosików zawsze odkładałem i w niedzielę rzucałem je na tacę, za co mnie kościelny, wypowiadając słowa: „Bóg zapłać” zawsze pogłaskał po głowie. Dawałem te pieniądze Panu Bogu nie tylko z miłości, ale także z bojaźni, chciałem uniknąć kar piekielnych, którymi groził co niedziela z ambony proboszcz.

Moje przywiązanie do Kościoła trwałoby z pewnością do dnia dzisiejszego, gdyby nie proboszcz ze Strzałkowa. Mniej więcej, gdy ukończyłem pięć lat, ksiądz kupił sobie psa i dał mu na imię Mirek. Przeżywałem wtedy z tego powodu niewyobrażalne katusze. Jak się tylko pokazałem na drodze, miejscu naszych zabaw, moi rówieśnicy natychmiast wołali: „Mirek do nogi”, „Mirek bierz go”, „Mirek do budy”. Cierpiałem straszliwie, nie pokazywałem się na drodze i ku zmartwieniu mojej babci przestałem chodzić do kościoła. Na szczęście przeprowadziliśmy się do Miedzianowa, gdzie mój tata dostał pracę rządcy w majątku.

Nie było tu kościoła i nikt na mnie nie wołał jak na psa. Stał za to pałac w parku z dwoma stawami. Do pałacu, gdzie pracowała moja mama jako gospodyni, nie wolno mi było wchodzić. Raz, gdy państwo wyjechali z majątku, mama pokazała mi pałac od środka. Bardzo mi się tu podobało. Wystraszyłem się nawet wielkiego łba dzika wiszącego na ścianie. Najbardziej lubiłem wyjeżdżać z tatą bryczką w pole. Wszyscy tacie się kłaniali, a ja byłem z tego bardzo dumny. W Miedzianowie mieszkaliśmy krótko, czego mama bardzo żałowała. Spytałem ją kiedyś, dlaczego tak krótko mieszkaliśmy w Miedzianowie? Zamiast dbać o to, by fornale dobrze pracowali, twój ojciec ich oświecał i buntował - odpowiedziała.

Przenieśliśmy się do Kalisza, gdzie tata dostał pracę w „Społem.” Miasto zrobiło na mnie wielkie wrażenie swoim ogromem i wysokimi domami. Pewnej niedzieli, gdy po mszy wyszliśmy z kościoła świętego Józefa, mama zaprowadziła mnie na plac, gdzie stał wysoki pomnik, a na nim były wypisane nazwiska żołnierzy, którzy zginęli w wojnie z bolszewikami. Pokazała mi nazwisko mojego stryja, Stefana Chrzanowskiego, który zginął za ojczyznę. Do szkoły poszedłem, gdy skończyłem sześć i pół roku. Od tej chwili tata zaczął traktować mnie zupełnie inaczej, bardziej poważnie. Zabierał mnie do „wujka” Staszka do Sulisławic. Siadałem na ramie roweru i jechaliśmy przez całe miasto, najpierw do Noskowa, gdzie mieszkał brat taty Stasiek, a potem do Sulisławic. U „wujka” Staszka odbywały się zebrania. Mama nie pozwalała mi o nich nikomu mówić. Zbierali się tu różni ludzie, także pani nauczycielka z mojej szkoły. Lubiałem u „wujka” Staszka oglądać różne rzeźby świętych i aniołów. Wujek Staszek tworzył te figury i wstawiał do kościołów. Tata powiedział mi, że dlatego u wujka Staszka można



bezpiecznie się spotykać. Wujek Staszek nazywał się Karpała i podobnie jak mój tata był członkiem Stronnictwa Ludowego.

Z czasu zamieszkania w Kaliszu wbiła mi się w pamięć samodzielna wyprawa do dziadka do Strzałkowa. Tata powiedział mi wtedy, że będą wybory i mam zawieźć ulotki. Zapakował je do mojego tornistra, a mama zaprowadziła mnie na dworzec autobusowy, kupiła bilet i poprosiła szofera, aby wysadził mnie w Nadzieży, gdzie mieszkała moja babcia Aniela. Ale u babci miałem się nie pokazywać tylko u wujka Kaczmarka. Z Nadzieży, przez łąki zaprowadzono mnie do Strzałkowa do dziadka Grudzińskiego. W nocy dziadek rozlepił ulotki w całej wsi. Widziałem je, gdy wujek Kaziu odwoził mnie rano furmanką „na Nadzież” do autobusu. Gdy wróciłem do domu dowiedziałem się, że tatę zabrali policjanci. Pod wieczór udaliśmy się z mamą do starostwa, gdzie go trzymali. Przedostałem się przez krzaki otaczające budynek i pukałem do okratowanych okien piwnicznych. Jedno otworzyło się i podałem tacie przez kraty jedzenie.

Mojego taty policja chyba nie lubiła. Aresztowali go później w Opatówku, gdzie został kierownikiem spółdzielni „Społem”. Tu podobało mi się najbardziej: w sklepie były cukierki, ale mnie smakowała słodka kawa zbożowa w kostkach i ser szwajcarski, który stał na ladzie pod wielkim szklanym kloszem. Na dużym placu były góry węgla, a pod zadaszonym magazynem sztuczne nawozy w papierowych workach; kainit i sól potasową sprzedawano luzem. Był też cement i wapno. I właśnie przez ten cement tatę zamknęła policja. W Szczytnikach budowano pomnik księdza Kordeckiego. Kiedy furmanki przyjechały po cement, tata powiedział, że lepiej wybudować bunkry, bo pomnik Niemcy rozwalą. Trzymali tatę trzy dni. Wrócił do domu zarośnięty i wymęczony. Nie upłynęło zbyt dużo czasu, a tata dostał powołanie do wojska. Żegnając go, płakaliśmy głośno: mama, mój młodszy brat Rysiek i ja. Pamiętam jeszcze ułanów, którzy o świcie podjechali pod dom, w którym mieszkaliśmy, mama wyniosła im lemoniadę ze sklepu, a ja dałem im, mój największy skarb, kawę zbożową w kostkach, którą odłożyłem na czas wojny. W kilka dni po wkroczeniu Niemców opuszczaliśmy Opatówek furmanką przysланą przez dziadka. Ostatni obraz, jaki zachowałem z miasteczka, to na rynku długa drewniana belka przymocowana do niewysokich słupów, na której wisiało kilku Żydów. Mama zasłoniła mi oczy. Pod wieczór przyjechaliśmy do Strzałkowa. Wojna mnie nie oszczędzała. Pojechaliśmy kiedyś z mamą do Kalisza, do lekarza. Kiedy już doktor zakończył badanie, skierowaliśmy się w kierunku placu świętego Józefa, na którym nie było już pomnika bohaterów. Niemcy zburzyli. Ledwo przeszliśmy przez most Niemiec w mundurze uderzył mnie w twarz za to, że mu się nie ukloniłem i nie zdjąłem przed nim czapki. Potem już, gdy zbliżyliśmy się do placu, zobaczyliśmy rozstawionych w rzędzie żołnierzy w hełmach i z karabinami, mama spróbowała zawrócić, ale jeden z nich przywołał nas skinieniem ręki i kazał stanąć na placu, gdzie było już bardzo dużo ludzi otoczonych przez żołnierzy. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, mama próbowała się dowiedzieć, ale osoby, które pytała też nic nie wiedziały. Po pewnym czasie ludzie z

ciszonymi głosami przekazywali sobie wiadomość: prowadzą księdza, prowadzą księdza...Nic nie mogłem zobaczyć, bo dorośli zasłaniali mi widok. Przecisnąłem się do przodu. Niemieccy żołnierze prowadzili mężczyznę w czarnych spodniach i białej koszuli, miał związane z przodu ręce i czarną opaskę na oczach. Żołnierze trzymali go z obu stron, pod pachami. Podprowadzili go do ściany domu, unieśli trochę do góry i zawiesili na dwóch hakach wbitych w mur. Stałem jak sparaliżowany, wpatrując się w człowieka wiszącego na hakach. Ciszę panującą na placu przerwał ostry męski głos. Ciało księdza gwałtownie wstrząsnęło się, nogi podskoczyły w górę w taki sposób, jakby chciał zeskoczyć z huśtawki. W tym samym momencie usłyszałem huk wystrzałów. Mama chwyciła mnie za ramię. Nie czułem nic, tylko mocny uścisk mamy palców na ramieniu. Na murze zobaczyłem człowieka w zakrwawionej koszuli ze zwieszoną głową. Zabity ksiądz wisiał na ścianie na wprost kościoła garnizonowego. Ludzie szeptem przekazywali sobie wiadomość, że Niemcy znaleźli w kościele ukryte karabiny.

Może to się wydać dziwne, ale najwięcej moich chłopięcych wspomnień mam ze Strzałkowa. Przed wojną w domu mojego dziadka, Antoniego Grudzińskiego, często w niedzielę zbierali się chłopcy i bez przerwy się naradzali. Przyjeżdżali do dziadka nawet panowie z Warszawy, wtedy spotykali się w sadzie, bo w mieszkaniu się nie mieścili. Pewno z tego powodu ksiądz proboszcz nazwał mojego dziadka i tatę oraz chłopów, „żydowskimi wojtkami”, słyszałem to na własne uszy i widziałem na własne oczy, jak „żydowskie wojtki” utworzyli przed kościołem szpaler i wychodzącego proboszcza „wyświęcali” kaszkietami z głów zdjętymi.

Strzałków w tamtych czasach był wsią biedną i ludzie stąd szukali zarobków „na saksach”, podobnie jak mój dziadek i jego dwaj synowie, wyjeżdżali do Niemiec i Francji „na roboty.” Dziadek opuszczał wieś wczesną wiosną, wracał późną jesienią. Pamiętam, że przywoził mi z Francji bardzo grubą i twardą czekoladę, która smakowała nadzwyczajnie. Nigdy później nie jadłem tak dobrej czekolady.

Najmłodsza córka dziadka, nazywana w rodzinie „wyskrobkiem”, a moja ukochana ciocia Julcia, żartowała: „tata wracał z Francji, dokupił morgę ziemi, naprawił płot, zrobił nowe dziecko i już go nie było”. Dziadek cieszył się we wsi uznaniem, w jesienne i zimowe wieczory w największej izbie kobiety i dziewczyny darły pierze, a mężczyźni politykowali. Opowiadał wtedy jak za młodu służył w carskiej armii na Syberii i jak w Irkucku pomagał uciekać więźniom i zesłańcom. Ale najchętniej mówił o tym, jak żyją rolnicy we Francji. Znacznie później dowiedziałem się, że w Strzałkowie było dużo ludowców, członków Stronnictwa Ludowego, którym przewodził mój ojciec.

Obok kościoła stała czteroklasowa szkoła. Mała drewniana chata, kryta słomą. Zaczęłem do niej chodzić w czasie wojny na prywatne lekcje. Naukę przerwałem dopiero wtedy, gdy Niemcy wywieźli ze wsi nauczycielkę, panią Wojciechowską. Na

strychu naszego domu znalazłem wielki drewniany kufer pełen książek. Prawie wszystkie przeczytałem, choć nie wszystkie rozumiałem. Wśród książek znalazłem dwie bardzo grube. Były to oprawione roczniki czasopisma „Polska Wolność.” Zafascynował mnie wiersz pisany dziwnymi literami – jak się później dowiedziałem – cyrylicą i przetłumaczony na język polski. Przez wiele dni rozszyfrowywałem rosyjskie litery. I w ten sposób nauczyłem się rosyjskiego alfabetu. Był to wiersz o Bajkale „Sławnoje morie swiaszczennyj Bajkał...” Nie wiedziałem, że jest to pieśń. Zaśpiewali mi ją rosyjscy żołnierze, z którymi w kwietniu 1945 roku leżałem w Kaliszu w szpitalu, po tym, gdy mi zapalnik od pocisku armatniego wybuchł w ręce. Nie przypuszczałem w tedy, że gdy dorosnę, będę ją śpiewał z Rosjanami nad Bajkałem właśnie, pijąc wódkę pod omula.

Ze Strzałkowa pamiętam wilijarzy. Młodzi mężczyźni już pod koniec listopada zbierali się kolejno w różnych domach i ćwiczyli śpiew kolęd. W wigilię Bożego Narodzenia przebierali się na biało: białe kalessy i białe koszule, na głowy zakładali wysokie białe czapy, kształtem przypominające czapki ułańskie, przybrane bombkami i ozdobami podobnymi do tych na choinkach, na twarze zakładali maski. Każdy wilijarz miał w ręku pleciony z lnianych woskowanych nici kańczug zakończony rozczesaną konopną końcówką. Gdy wychodzili na wiejską drogę, strzelali z tych batów, a echo w mroźny wigilijny wieczór niesło się po wsi. Przed wejściem do domu zakładali groźne maski. Pierwszą kolędę śpiewali w maskach. Potem pytali, czy są w domu niegrzeczne dzieci? I był to dla chłopców w moim wieku moment najważniejszy. Jeśli rodzice wskazałoby niegrzeczne dzieciaka, dostałby baty. Grzeczna dzieciarnię nagradzali cukierkami. A wilijarzy po odśpiewaniu kilku kolęd gospodyni częstowała kielbasą, ciastem i różnymi świątecznymi przysmakami, a gospodarz nalewał każdemu po kielichu. Zdarzało się i tak, że gdy docierali na krzyżówki Strzałkowa, z trudem śpiewali, a i kroki ich stawały się mniej sprężyste.

W Strzałkowie mieszkali różni rolnicy. Ci, których interesowały nowinki, przychodzili do dziadka i mojego taty, ale wielu trzymało z księdzem. I ci omijali nasz dom z daleka. Dziadek nazywał ich „przydupasami” i oni przeważnie nie chcieli na swoich polach siać nawozów sztucznych. Mój tata i dziadek pewnej wiosennej nocy rozsiali na ich oziminach nawozy w kształcie krzyża. Jak tylko żyto podrosło, krzyże wyróżniały się wysokością i ciemniejszą zielenią. A przed żniwami widać było wyraźnie, że kłosa są dorodniejsze, dłuższe i grubsze. Biegaliśmy z chłopakami i oglądaliśmy zagony z krzyżami. Dziadek mówił, że to „ani chybi cud.”

Mój dziadek Antoni Grudziński nigdy w życiu nie przekroczył progów szkoły. Był samoukiem. Słynął z prawości charakteru i mądrości, toteż w naszym domu, wieczorami zbierali się chłopcy i po swojemu dyskutowali. Nie podobało się to proboszczowi. Bo część chłopów, można powiedzieć zwolenników dziadka, w niedzielę nie wchodziła do kościoła tylko stała na zewnątrz. Pamiętam, że dziadek przyjaźnił się z Cyganami, którzy rozbijając obóz zawsze do niego przychodzili. A i z

Cygankami lubił porozmawiać. Opowiadał im o tym, co się zdarzyło we wsi i u sąsiadów, a one potem wróżyły i w tych wróżbach była sama prawda. Nasza sąsiadka Napadłkowa wygarnęła dziadkowi, że opowiada „Cyganichom” o jej prywatnych sprawach. Dziadek słuchał pretensji spokojnie, a kiedy sąsiadka skończyła zapytał: a czy słyszałaś, Marysiu, żeby komu w naszej wsi zginęła choćby jedna kura? Pamiętam też Muchina, Żyda, który od czasu do czasu jeździł po wsi furmanką ciągniętą przez bardzo chudego konia i skupował stare garnki i szmaty, skórki królików i zajęcy. Zawsze dziadek go zapraszał. Siadali przy stole, dziadek wyjmował z kredensu flaszeczkę „okowity” i wypijali z Muchinem po kieliszku. Tylko po jednym. Sami taki ustanowili obyczaj.

Na początku wojny ukrywali się u dziadka różni ludzie. Najczęściej przebywał u nas znany przedwojenny działacz ludowy, kolega mojego ojca. Nazywał się Paweł Łuczak. Tak się opiekował moją mamą, że urodziła mi się śliczna siostrzyczka Marysia. A tata nie dawał znaku życia. Nie wiedzieliśmy, czy żyje? Daty nie pamiętam, ale chyba w połowie 1940 roku otrzymaliśmy z Lizbony przesyłkę z Czerwonego Krzyża. Paczkę kawy i dwie czekolady. I to był znak, że tata żyje. Ale zdarzeń już cofnąć nie było można.

Strzałków to wieś leżąca z dala od głównych traktów. To też i żandarmi z rzadka tu zaglądali, ale jak tylko pojawiali się na krzyżówkach wiedzieliśmy o tym natychmiast. Ukochany pies dziadka wychodził wtedy z budy i bez względu na porę dnia i nocy zaczynał wyc z takim przejęciem, że obcy, jeśli akurat u nas przebywali uciekali w pola, a babcia z mamą chowały mięso i zakazane produkty. Pewnej jesieni przed wieczorem Burek zaczął wyc przeraźliwie, a właśnie wtedy dziadek z wujkami ćwiartowali świniaka. Budynek, w którym znajdowała się obora i stajnia, rozdzielało pomieszczenie nazywane „sklepem”, w którym przechowywano ziemniaki, stała tam też wielka beczka do kiszenia kapusty w główkach (dziś w Polsce już takiej kapusty nikt nie kisi, można podobną w smaku kupić u Turków w Bernie). Ziemniaki przechowywane w sklepie sięgały prawie pod sufit. Dziadek kazał mi się wdrapać na sam szczyt ziemniaczanej piramidy, świniaka położył na ziemi, a ja zasypałem go pyrkami, zjeżdżając w dół na pupie. Pies uratował nas przed katastrofą. Burek był niewysokim kudłatym psem maści szaro-srebrnej, wielkie brwi zasłaniały mu całkowicie oczy. Ciotki usiłowały mu je obciąć, ale dziadek kategorycznie zabronił. Był to pies bardzo mądry. Jesienią, gdy za stodołą posiano żyto, spuszczałem go z łańcucha, wyprowadzałem na pole, aby kury pogonił. Burek kur nie zagryzał, ale tym od sąsiadów wrywał zawsze pióra, swoje tylko płoszył. Wszyscy się przekonaliśmy, że z naszymi kurami żył w zgodzie, a może nawet kolegował się z nimi. Babcia ciągle narzekała, że zbieramy za mało jajek. Według jej obliczeń ktoś jajka musiał podkraść. Początkowo podejrzenie padło na dziadka, który rzekomo podbierał jajka dla koni.

Aż tu pewnego dnia, gdy zamierzałem włożyć do budy Burka świeżą słomę, znalazłem w jego budzie trzydzieści dwa jajka! O tym odkryciu mówiono w rodzinie przez wiele dni. Po tym odkryciu obserwowałem psa i kury. Te kokoszki, które znosiły jajka, przychodziły przed budę i cichutko śpiewnie popiskiwały, wtedy pies wychodził z leża, do którego wprowadzała się nioska. Największą rewelacją było to, że ani jedno jajko nie zostało stłuczone. Niemcy, gdy im domroziło w Rosji, zaczęli jeździć po wsiach i zabierać kozuchy. Dziadek kozuchy schował w budzie psa. Burek wszedł do tej budy i siedział tam cichutko jak trusia, tak długo aż żandarmi odjechali. Nie mogliśmy się nadziwić jego zachowaniu. Gdy dziadka i babcię wywieźli Niemcy na roboty do „rejchu”, w 1942 roku, pies posmutniał, choć znał wujka Józefa równie dobrze jak dziadka.

Kiedy po zakończeniu wojny dziadkowie powrócili do domu, widziałem na własne oczy jak pies się z dziadkiem witał. Moja córka, Ewa, gdy jej o tym opowiadałam nie chce mi wierzyć, że dziadek i pies płakali. Burek skomlał, kładł się przed dziadkiem na grzbiecie, lizał mu ręce i całował go po policzkach gdy dziadek przyklęknął. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale ja to powitanie widzę jeszcze dziś.

Dziadków w Niemczech wyzwolili Amerykanie. Babcia opowiadała, że dziadek zatrudnił się w amerykańskim wojsku w koszarach, gdzie dobrze zarabiał. Nie myszkował po niemieckich mieszkaniach, niczego nie ukradł. Oszczędzał zarobione pieniądze, za które kupił dla każdego w rodzinie jakiś upominek. Wracali do Polski pociągami, przez Pragę czeską, gdzie mieli przesiadkę. I tu wydarzyło się coś, co zupełnie odmieniło mojego dziadka. Wracali do Strzałkowa z czterema walizkami. Na dworcu w Pradze krasnoarmiejcy ukradli im dwie walizki. I to dziadkiem mocno wstrząsnęło. W pierwszą niedzielę po powrocie poszedł do kościoła i długo klęcząc żarliwie się modlił, był to znak, że pogodził się z księdzem, choć proboszcz był już w Strzałkowie inny.

Gdy cała wieś zaatakowała sługę Bożego za wycięcie drzew na cmentarzu, dziadek księdza bronił. Nigdy już nie opowiadał o swoim pobycie na Syberii. O Rosjanach nie wyrażał się dobrze. A gdy na wystawie rolniczej w Kaliszu, będąc już studentem, kupiłem radzieckiego szampana, a wujek Józef tak niefortunnie otworzył butelkę, że cała zawartość wyleciała w powietrze, dziadek skwitował to stwierdzeniem, że „wszystko, co ruskie, to oszukane.” W Ciemniku, na Ziemiach Zachodnich, gdzie mieszkała moja ciocia Irka, w PGR pracowały dwa radzieckie kombajny. Uprosiłem dziadka, aby poszedł ze mną na pole i obejrzał te cuda socjalistycznej techniki. Dał się nakłonić. Porozmawiał z kombajnistami, popytał, a na zakończenie powiedział, że przed wojną na polach Francji pracowały już lepsze kombajny. Miał wtedy rację, ale ona do mnie nie docierała, bo ja wierzyłem poecie, że „...ojczyzna, której żaden knut już swoim świstem nie ocieni, to Stalin”.

W styczniu 1945 roku panowały w Strzałkowie srogie mrozy. Mieszkaliśmy z mamą, która była w stanie błogosławionym i nie mogła ciężko pracować, więc Niemcy odesłali ją z Reichu do domu, u ciotki Darulki, za wsią. Wieczorami wychodziliśmy przed dom i obserwowaliśmy łunę na wschodnim krańcu nieba. Nocami słyszeliśmy od strony Małgowa i Nadzieży dudnienie ziemi. Paweł Łuczak mówił, że to Niemcy uciekają. Miał rację. Po kilku dniach o świcie od strony Małgowa wjechały do wsi rosyjskie czołgi. Minęły nasz dom i zatrzymały się dopiero na krzyżówkach. Pobiegłem tam co sił w nogach. Cały Strzałków wyszedł na powitanie na drogę. Rosyjscy żołnierze pytali „Kuda germańcy?” Odpowiadaliśmy: na Madalinie. Madalin był wsią zamieszkałą jeszcze przed wojną przez kolonistów niemieckich. Pamiętam jak w sierpniu przed wybuchem wojny, gdy paśliśmy krowy na pastwiskach pod „Kapitanką,” rozpalali ogniska na łąkach. Pewno w ten sposób dawali swoim znaki.

Teraz rosyjscy żołnierze wsadzili kilku chłopaków na ciężarówkę i pojechaliśmy „na Madalin.” Przed nami jechały dwa czołgi, a za nami dwie ciężarówki i dwa czołgi. Kiedy dojechaliśmy do Madalina, pojazdy zatrzymały się. Lufa pierwszego czołgu podniosła się w górę i wystrzeliła. Wtedy żołnierze pozeskakiwali z samochodów i weszli do wsi. Przeszukiwali domy, sprawdzali szafy, zrzucali pierzyny z łóżek, zaglądali do schowków. Żołnierzy niemieckich nie znaleźli. Dopiero, gdy zaczęli sprawdzać obory i stodoły, ukazali się niemieccy żołnierze. Wychodzili z rękami podniesionymi do góry albo założonymi na głowie. Rosjanie ustawiali ich w rzędzie wzdłuż drogi. Niemcy musieli zdjąć płaszcze i bluzy. Niektórzy mieli w kieszeniach płaszczy ukryte pistolety. Rosjanie przeszukiwali skrupulatnie szyniele. Pistolety i portfele wyrzucali na śnieg. Każdego Niemca oficer rosyjski pytał: był pod Stalingradem? Żołnierze niemieccy zaprzeczali ruchem głowy. Jeden Niemiec zapytany milczał. Rosjanin głośniejszym głosem powtórzył: był pod Stalingradem? Niemiec patrzył przed siebie, a w jego twarzy nie drgnął nawet żaden mięsień. Rosjanin zerwał z niego bluzę, poddarł do góry rękaw koszuli, obejrzał rękę, chwycił Niemca za szyję, wyprowadził na środek drogi, kopnięciem w kostkę podciął mu nogi, Niemiec padł na śnieg. Rosjanin obrócił się w kierunku czołgu, machnął ręką i czołg ruszył. Wjechał na leżącego człowieka, zatrzymał się, poruszył się w lewo, poruszył się w prawo i pojechał do przodu. Kawalki zmiażdżonego ciała drżały na białym śniegu. Nie wytrzymałem tego widoku, podbiegłem do stojącego drzewa i zwymiotowałem. Po powrocie do domu dostałem gorączki i mama położyła mnie w łóżku. Przez dwa dni nic nie jadłem.

Tymczasem we wsi działy się rzeczy nadzwyczajne. Paweł Łuczak z wujkiem Kaziem założyli milicję, a posterunek mieścił się u Gryła, w domu na krzyżówkach. Pobiegłem tam, bo chciałem zobaczyć, co się dzieje. Trafiłem na moment wymierzania sprawiedliwości. Milicjanci z biało-czerwonymi opaskami na rękawach bili po pupie wierzbowymi prętami Budę, starszą kobietę, która podobno donosiła żandarmom. Brali w tym wymierzaniu sprawiedliwości dwaj jej synowie. Zrobiło mi się żal tej kobiety, ale pocieszałem się, że specjalnie nie ucierpiała, bo miała na sobie kilka spódnic, choć wrzeszczała okropnie,.

W czasie, gdy mnie mama trzymała w łóżku czołgi opuściły wieś, a na ich miejsce ściągnęło wojsko zupełnie inne. Przyjechali wozami zaprzęgniętymi w konie, kilka dziwnych pojazdów ciągnęło armaty i kuchnie polowe. W domach potworzono kwatery dla żołnierzy. Do izb gościnnych żołnierze nanieśli słomy, na której spali. Gospodynie nie narzekały, bo wszyscy cieszyli się, że Ruscy przepędzili zniechęconych Szwabów. Co bogatsi gospodarze zabijali świnie i gościli wyzwolicieli. Żołnierze przynosili w bańkach spirytus dolewali wody „pa pałam” i pili razem z mieszkańcami wsi. U ciotki Darulki też kwaterowało kilku żołnierzy. Przynieśli w kance na mleko spirytus, który mama zmieszała z sokiem wiśniowym. Kiedy już wszyscy dobrze się bawili nabrałem z kanki do garnuszka trochę płynu i usiłowałem spróbować jak ten napój smakuje? Po pierwszym łyku wybiegłem z krzykiem na dwór i padłem na śnieg. Spaliłem sobie spirytusem przelyk.

Było to moje pierwsze w życiu spotkanie z alkoholem. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego dorośli piją to świństwo.

Ciotka Darulka, która nie miała dzieci - w czasie kolacji - zaopiekowała się przystojnym, najmłodszym żołnierzem i obdarzała go nieskrywanym matczynym uczuciem, głaskała go po jasnych włosach, a od czasu do czasu całowała w policzek. Żołnierz pokazywał ciotce zdjęcia swojej mamy i sióstr, które teraz nad Wołgą z pewnością o nim myślą. Pito zdrowie rosyjskich żołnierzy i Polaków, a krasnoarmiejcy zapewniali, że już niedługo dobiją „Giermanców w Berlinie”. Na czułość ciotki okazywaną żołnierzowi nie zwracano uwagi, nikogo też ona nie dziwiła. Dopiero rano ciotka, po wyjściu z komórki, oświadczyła, że w całym długim życiu żaden chłop nie wygodził jej tak jak Sasza! Wojsko, które przyszło do wsi poprzedniego ranka opuszczało gościnne chałupy i ruszało „na zapad.” Nie mijało wiele czasu, a do wsi przybywały nowe oddziały. To też gospodynie nie usuwały słomy z izb gościnnych, bo wiedziały, że nadejdą nowi żołnierze. Dla nas chłopaków zmiany żołnierzy były wielkim wydarzeniem. Wieczorem byliśmy u Słopiniów, gdzie w dwóch izbach kwaterowali żołnierze. Poszliśmy tam, bo słychać było harmoszkę i śpiewy. Zbliżał się wieczór i w jednej izbie żołdacy poszli już spać, w drugiej kończyły się przyśpiewki. W tym momencie wpadła do domu Maryśka Słopiniowa z okrzykiem, że za stodołami ciągną Niemcy. Rosjanie nie założyli nawet mundurów, ledwo na boscie nogi wciągnęli „sapogi” chwycili pepesze i pobiegli w kierunku stodoł. Rozległy się strzały. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, gdy zobaczyliśmy prowadzonych niemieckich żołnierzy. Nie mieli broni ani pasów. Szli ze spuszczonej głowami...

W śniegu znajdowaliśmy karabiny i pistolety. Miałem piękny czarny pistolet i prawdziwy karabin. Znalazłem też nieszczęsny zapalnik. Z pistoletu nie strzelałem, bo był za ciężki, ale z karabinu oddałem kilka strzałów. Dom ciotki Darulki był ostatnim we wsi, za nim rozciągały się zasypane śniegiem pola. Po polach kicały zajęce, opierałem więc o płot ciężki karabin i strzelałem do szaraków. Nie trafiłem ani jednego, ale widok rozsypującego się śniegu sprawiał mi radość. Zabawa nie trwała

zbyt długo, bo wujek Kaziu, którego Paweł Łuczak przed wyjazdem do Kalisza mianował komendantem milicji odebrał mi karabin i pistolet i surowo zabronił przynoszenia broni do domu.

- Jak znajdziesz – powiedział – przynieś na posterunek.

Przez wstąpienie do milicji wujek Kaziu narobił sobie biedy. Była już pełna wiosna, a na Koloni odbywało się wesele, na które komendanta zaproszono. I jak to na weselu, kiedy chłopcy sobie bimbrow popili doszło do bijatyki. Chciano właśnie pobić jakiegoś obcego młodzieńca, ale Kaziu założył biało-czerwoną opaskę i bójki zabronił. Nie upłynęło od tego wydarzenia więcej niż miesiąc, gdy „partyzanci” nazywani bandytami schwytali wujka Kazia, postawili pod krzyżem, jako milicjanta zamierzali go rozstrzelać. Do wykonania wyroku nie doszło, albowiem wśród „partyzantów” znajdował się ów młodzieniec, którego na weselu wujek Kaziu nie pozwolił pobić. Podszedł do komendanta, który zamierzał wydać rozkaz i mu o tym opowiedział. W ten sposób wujek ocalał życie. Ale po kilku dniach został aresztowany przez UB za współpracę z bandami. Bo skoro go „bandziory” nie rozstrzelali, to musiał być jednym z nich. Wujek posiedział kilka miesięcy, jak mawiał, nie za swoje grzechy. Po wypadku z zapalnikami nie wróciłem już do Strzałkowa. Mama przeniosła się do Kalisza, bo Paweł Łuczak objął jakieś ważne stanowisko w Poznaniu. Nie pracował tam zbyt długo, bo pokłócił się z komendantem Armii Radzieckiej. W Kaliszu kończyłem szkołę podstawową, którą wspominam bez sentymentu, albowiem byłem tam prześladowany przez harcerzy, a to z tego powodu, iż nie chodziłem na religię. Najpierw miałem przeprowadę z zakonnica, która nauczała religii. Przed całą klasą poddała mnie krytyce, jako zwyrodnialca.

- W Liskowie, przed wojną – mówiła – uczyłam twoją matkę i ojca, porządnych ludzi, a ty chyba jesteś opanowany przez szatana.

- Źle pani uczyła, bo mój tata przestał wierzyć – wykrzychałem. Potem miałem ciągle bójki z harcerzami, którzy bili mnie przy każdej okazji. Mimo że mieli nade mną liczebną przewagę nie dawałem się, dlatego często wracałem do domu poobijany i posiniaczony.

W liceum już mnie nikt nie prześladował, ale nauki w Kaliszu pobierałem krótko. Ojciec, który przebywał w Anglii postanowił, że pojedę do stryja, kierownika szkoły w Czernicach, koło Wielunia. Mój stryj Franciszek człowiek wielkiej zacności, delikatnie mówiąc „przekonał” mnie, że powinienem uczyć się religii. Zapewniał, że ksiądz Łukaszewski jest uosobieniem dobroci i miłości, a wiedza u niego zdobyta przyda mi się w życiu.



- Podobnie jak twój ojciec w Boga nie wierzę, ale w niedzielę chodzę do kościoła, bo jak można postąpić inaczej, gdy w koło morze katolików? Czy sądzisz, że ci dobrzy, ale nieoświeceni ludzie tolerowaliby nauczyciela, który nie chodzi do kościoła?

Zacząłem więc uczęszczać na lekcje religii, a ksiądz Łukaszewski traktował mnie życzliwie. Gdy na niedzielę nie wracałem do Czernic w parach szedłem z internatem do kościoła. Aż tu pewnego razu zadałem księdzu pytanie o niepokalane poczęcie. Nie dyktowała mi tego pytania chłopięca złośliwość, ale z pewnością moja tępota i wiejska obserwacja życia ludzi i zwierząt. Zapytałem pasterza czy może przytoczyć jeszcze choćby jeden przykład niepokalanego poczęcia w historii?

Ksiądz Łukaszewski zdenerwował się pytaniem, a gdy to zauważyłem nie wiem, dlaczego zaatakowałem dając swoją interpretację. Nie powtórzę jej tutaj nie chcąc być posądzony o obrażanie uczuć katolickiego morza wiernych.

Ksiądz Łukaszewski, człowiek łagodny i dobry tak się zdenerwował, że wyrzucił mnie za drzwi.

W Wieluniu, wzorując się na tacie, wstąpiłem do Związku Młodzieży Wiejskiej R.P. „Wici”, Uwiódł mnie hymn organizacji: „ Do niebieskich pował od gród czarnej ziemi...”

Niebieskie powały z kościoła w Strzałkowie tkwiły chyba w mojej podświadomości. Dzięki „Wici” wyjechałem na kilka dni do Warszawy, gdzie odbyło się seminarium. Zapamiętałem ówczesny Nowy Świat, który wyglądał jak wielkie rumowisko i szło się nim wąską ścieżką wydeptaną w gruzach.

W liceum ciągle popadałem w jakieś konflikty. Mieszkałem w internacie. Wspólną stołówkę dla dziewcząt i chłopców prowadziły zakonnice, co było pewną atrakcją, mogliśmy bowiem trzy razy dziennie w czasie posiłków spotkać koleżanki, w których się podkochiwaliśmy. Zdarzyło się na pewnej kolacji, że w zupie znaleźliśmy białe robaczki. Na znak protestu zaczęliśmy stukać łyżkami o talerze. Zakonnice nie zdołały przywołać nas do porządku. Powiadomiły więc dyrektora liceum mieszkającego w budynku szkoły po drugiej stronie ulicy. Pan dyrektor, Wojciech Rzutkowski, człowiek surowy i wymagający pojawił się w piwnicznej stołówce. Poinformował nas głosem nie znoszącym sprzeciwu, co młodzież szkolna jadała w Sparcie, a swoje wystąpienie zakończył stwierdzeniem, że on spożywa te same, co my posiłki i zganiał nas za to, że przerwaliśmy mu kolację. Obiecał, że żadne tego rodzaju wysoki nie będą w przyszłości tolerowane.

Pan dyrektor rzeczywiście jadał posiłki przygotowywane przez zakonnice. Codziennie z ulicy Szkolnej na Śląską nosił mu je w wiklinowym koszyku

przykrytym białą, wykrochmaloną serwetką Jasiek, uczeń, który mieszkał razem z dyrektorem. Wiedzieliśmy o nim tyle, że jest sierotą i pochodzi z Warszawy.

Ryśka Hańczkiewiczza i mnie podkusił, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, jakiś diabeł, bo następnego dnia uciekliśmy z lekcji, zaczailiśmy się na podwórku i sprawdziliśmy, co Jasiek niesie na obiad panu dyrektorowi. Przekonaliśmy się, że dyrektor jada dania przygotowywane w tej samej kuchni, ale nie takie same jak my uczniowie, o czym zapewnił nas poprzedniego wieczoru. No i wybuchła niesamowita awantura. Następnego dnia dyrektor wyrzucił nas z internatu. Znaleźliśmy się „na bruku.” Rodzice Ryśka przyszli nam z pomocą i zamieszkaliśmy na stacji. Do internatu wróciliśmy dopiero w następnym roku szkolnym, gdy dyrektorem liceum został pan Aleksander Wiankowski, człowiek, który rozumiał młodzież, nauczyciel o lewicowych poglądach. Znała go osobiście moja sympatia Renia Krzysztofińska, od niej właśnie dowiedziałem się, że nowy pan dyrektor jest prawdziwym komunistą, bo już przed wojną tak go nazywano w środowisku nauczycielskim. Nie podważałem tej informacji albowiem Renia jeszcze przed wojną niosła welon za wybranką dyrektora w czasie ślubu w kościele, miała więc wiadomości z pierwszej ręki. Komunista w tamtych czasach nie był jeszcze komuchem.. Miałem niebawem poznać go osobiście.

Bo oto pewnego późnego popołudnia, już po zakończeniu lekcji, gdy szkoła kompletnie opustoszała do sali internatu gdzie odrabialiśmy lekcje wkroczył, w pełnym majestacie, pan woźny i obwieścił, że „uczeń Chrzanowski ma się natychmiast stawić u pana dyrektora”. Ugięły się pode mną nogi. Szedłem za panem Choczajem z duszą na ramieniu i gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie co ja takiego znowu zrobiłem?

Dyrektor Aleksander Wiankowski w niczym nie przypominał swojego poprzednika, nie raczył uczniów łacińskimi maksymami (per aspera ad astra) nie poruszał się z wyraźnie wystudiowanym dostojeństwem, zachowywał się normalnie. Wskazał mi krzesło i natychmiast zapytał jak się czuję w internacie? I dlaczego mój ojciec nie wraca z Anglii? Odpowiedziałem, że był na wojnie, w bitwie pod Calais ciężko ranny, nie ma jednego oka, a w czaszce wstawili mu kawałek srebrnej płytki.

Dyrektor słuchając mojej odpowiedzi wyciągnął z teczki kartkę papieru, a gdy skończyłem mówić podał mi ją i zapytał czy osobiście napisałem swój życiorys. Potwierdziłem, że osobiście i własnoręcznie. Wtedy zapytał czy wiem kiedy ojciec służył w Korpusie Ochrony Pogranicza? Odpowiedziałem, że przed moim urodzeniem.

Czy zgadzasz się ze mną, że nie był jeszcze wtedy twoim ojcem?

Zgodziłem się.

Dlaczego zatem napisałeś, że służył w KOP twój ojciec?

Bo jestem dumny, że mój tata bronił granic naszej ojczyzny – wyrecytowałem.

Dyrektor uśmiechnął się do mnie życzliwie i opowiedział, że KOP spełniał różne funkcje, które teraz w nowym ustroju są negatywnie oceniane. Wysłuchałem krótkiego wykładu historii Polski. Po czym dyrektor poprosił mnie abym więcej w żadnym życiorysie nie pisał o KOP-ie, bo mi to może zaszkodzić. Ten życiorys zniszczymy, napisz nowy i jutro przynieść mi go na dużej przerwie. Wstałem z krzesła. Dyrektor Wiankowski podał mi rękę i powiedział: nie chwal się tym synu przed nikim.

Udzielał mi życiowych rad jeszcze wielokrotnie, podsuwał książki do czytania, a kiedy wybrano mnie na przewodniczącego zarządu szkolnego ZMP złożył gratulacje i odniosłem wrażenie, że był wyraźnie zadowolony. To on zachęcił mnie do prowadzenia kursu dla osób, które nie umiały pisać i czytać. Wzbraniałem się, wszak sam nie wiele wiedziałem, ale dyrektor nie ustępował. Przez siedem miesięcy w świetlicy ZMP, trzy razy w tygodniu stawałem przed czternastoma „uczniami” dorosłymi ludźmi i pomagałem im opanować alfabet. Trzy osoby zrezygnowały, wyjechały na Ziemię Odzyskane, do Stargardu Szczecińskiego gdzie znalazły pracę! Jedenastu moich „uczniów” dotrwało do końca nauki i otrzymało świadectwa ukończenia kursu. Do dziś pamiętam ich radość. Cieszyłem się wraz z nimi. Dyrektor Wiankowski szybko awansował i przeprowadził się do Łodzi, gdzie go kilka razy odwiedziłem, bo w tym mieście z racji pełnienia różnych funkcji w ZMP bywałem dość często.

Na moim świadectwie maturalnym widniał dopisek, że jestem „przodownikiem nauki i pracy społecznej”. Otwierało mi to drzwi każdej uczelni w Polsce bez egzaminu. Miałem szczęście. Ten dopisek sprawił, że musieli przyjąć mnie na Wydział Dziennikarski Uniwersytetu Warszawskiego, mimo że mój ojciec przebywał w Anglii. Nie udało mi się wyjechać na studia do Moskwy, choć się o to starałem. Z mojego rocznika na studia do ZSRR zakwalifikowano w ministerstwie tylko Ireneusza Kustrzebę, jedyne z całej szkoły. Ukończył w Moskwie wydział filozofii. W Polsce ukazała się jego książka pt. „znak i znaczenie w psychologii behawiorystycznej” wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w 1971 roku. Cała „wieluńska paczka” przyjęła ten fakt z radością. Oto jeden z nas uzyskał tytuł doktora i w dodatku filozofii. Piszę o tym, bo zdarzyło się, że Irek zeznawał w sądzie w Olsztynie jako świadek. Zapytany przez sąd o zawód odpowiedział: filozof. Na to wysoki sąd: proszę sobie z sądu nie żartować.

Łora Kim, żona Irka, też filozofka tak opisała ukazanie się wspomnianej książki: „Byłabym zapomniała dodać o najważniejszym: ukazanie się pracy dr Kustrzeby spowodowało wiele zamętu w jego sytuacji i duszy, albowiem postawiło go przed hamletowskim „być albo nie być”... docentem. Przyjęcie tej nominacji wiąże się dla niego, jak zdołałam ustalić z przyjęciem dodatkowych funkcji, co znając pracowitość etc Doktora nie jest sprawą bez znaczenia. Ja co prawda nawołuję go, aby

nie rozstrzygał spraw nierozstrzygalnych lecz usiadł do napisania następnej książki i zarazem habilitacji, ale jak wiecie wszystkie dobre rady spotyka ten los, że nikt ich nie chce realizować”. Doktorat Kustrzeby oblewaliśmy we Wrocławiu przez kilka dni radzieckim szampanem (i nie tylko), kilkanaście zakurzonych butelek tego trunku kupiłem w jakiejś wsi, w gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska” pod Wrocławiem.

Można powiedzieć, że w taki zwyczajny sposób żegnaliśmy beztroską młodość wkraczając w dorosłe życie. Ireneusz Kustrzeba, syn biednego chłopca spod Wielunia, Jan Szewczyk z Krzyworzeczki, Józef Reszka z Wielunia, Mirosław Chrzanowski ze Strzałkowa i tysiące młodych, którym Polska Ludowa umożliwiła awans społeczny, nieosiągalny w warunkach II Rzeczypospolitej.

Wybraliśmy socjalizm, nikt nas do tego nie zmuszał. Wtedy, zaraz po wojnie ten ustrój otwierał przed nami drzwi awansu. Kierowaliśmy się nie cynicznym wyrachowaniem, a romantycznym dążeniem do zmiany świata i Polski. O gorszących wypaczeniach tamtych czasów dowiadaliśmy się stopniowo. Nie przechodziliśmy obok tych faktów obojętnie. Październik 1956 roku stał się dla nas nadzieją. Wierzyliśmy, że socjalizm może mieć ludzkie oblicze. Wierzyliśmy do końca. A kiedy zrozumieliśmy, że nasz socjalizm nie został przez społeczeństwo zaakceptowany, nie uciekliśmy z pokładem . . .

Kapitalizm, który zafundowała nam „Solidarność” też nie stał się rajem, przynajmniej dla większości „zwykłych ludzi” w Polsce. W przeciwieństwie do grabarzy socjalizmu nie potępiam w czambuł „wolnego rynku”. Obok wad ma kapitalizm, nawet ten polski siermiężny, swoje zalety. Socjalizm też nie składał się z samych wad, co nam współcześni ideologowie usiłują wmówić. Kapitalizm może na swoje konto zapisać ogromny postęp cywilizacyjny. Ale podstawowych spraw człowieka nie rozwiązał. Stąd moja nadzieja, że musi powstać na ziemi taki ustrój, który sprawi, że każdy człowiek będzie żył po ludzku. Nazwa tego ustroju jest bez znaczenia.

To by było wszystko, co pragnę przekazać moim wnukom. Dodam na zakończenie jeszcze tylko to, że byłem pierwszy w rodzinie i pierwszy w rodzinnej wsi, który ukończył wyższą uczelnię. Mojej córce Ewie, absolwentce Uniwersytetu Warszawskiego, realny socjalizm już się nie podobał.

Panta rhei – mawiał podobno – Heraklit.